



BESTSELLEROWY CYKL  
**1**  
TOM

**JO  
NESBØ  
CZŁOWIEK  
NIETOPERZ**

Niepokorny śledczy z Oslo – początek historii

Wydawnictwo Dolnośląskie

JO NESBØ

**CZŁOWIEK  
NIETOPIERZ**

**(Flaggermusmannen)**

Tłumaczyła Iwona Zimnicka

**TMN**

Wydanie polskie: 2005

Wydanie oryginalne: 1997

Tytuł oryginału

*Flaggermusmannen*

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce

Mark Pellegrini

Zdjęcie i okładka dostępne na licencji Creative Commons

Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0

Pełen tekst licencji dostępny na stronie:

<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/legalcode>

Korekta

Iwona Gawryś, Ewa Kowalik

Copyright © Jo Nesbø 1997

Published by agreement with Salomonsson Agency.

Polish editions © Publicat S.A. MMXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

ISBN 978-83-245-9476-4

Wydanie elektroniczne 2013

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

[www.wydawnictwodolnoslaskie.pl](http://www.wydawnictwodolnoslaskie.pl)

*Wzniósł się w powietrze z szeroko rozpostartymi skrzydłami, a potem opadł;  
skrzydła, teraz trzepocząca peleryna, owinęły się mocno wokół ciała mężczyzny.*

Frank Miller

# WALLA

## 1. SYDNEY, PAN KENSINGTON I TRZY GWIAZDKI

Zaczęło się nie najlepiej.

Kobieta sprawdzająca paszport w pierwszej chwili uśmiechnęła się szeroko:

– Jak samopoczucie?

– Dziękuję, świetnie – skłamał Harry Hole. Czuł się fatalnie. Minęło już ponad trzydzieści godzin od chwili, gdy wyruszył z Oslo przez Londyn, a od przesiadki w Bahrajnie siedział w samolocie na fotelu koło wyjścia awaryjnego. Ze względów bezpieczeństwa oparcie ledwie dawało się odchylić do tyłu i krzyż niemal mu pękł, zanim jeszcze dotarli do Singapuru.

A teraz kobieta za ladą przestała się uśmiechać.

Z wyraźnym zainteresowaniem przejrzała paszport do końca. Harry nie potrafił powiedzieć, co początkowo wywołało jejwesołość: jego zdjęcie czy pisownia nazwiska.

– Interesy?

Harry Hole był przekonany, że kontrolerzy paszportów w większości innych miejsc na świecie dodaliby *sir*, ale czytał, że tego rodzaju formalne uprzejmościowe zwroty nie były szczególnie popularne w Australii. Nie miało to zresztą dla niego wielkiego znaczenia. Podróżował rzadko, nie był też snobem. Teraz pragnął jedynie jak najszybciej znaleźć się w hotelowym pokoju z łóżkiem.

– Tak – odparł, bębniąc palcami o ladę.

I właśnie wtedy kobieta z kwaśną miną ściągnęła usta i spytała ostrym głosem:

– Dlaczego w pańskim paszporcie nie ma wizy, *sir*?

Harry'emu serce podskoczyło w piersi, jak to się dzieje w przeczuciu nadciągającej katastrofy. Może formy *sir* używanodopiero wtedy, gdy sytuacja stawała się poważna?

– Przepraszam, zapomniałem – mruknął, gorączkowo przeszukując wewnętrzne kieszenie. Dlaczego specjalnej wizy nie mogli wkleić na stałe do paszportu, tak jak się robi ze zwykłymi wizami? I dlaczego, u diabła, nigdy nie potrafił zapamiętać, co wkłada do której kieszeni? Za plecami słyszał lekki szum walkmana i wiedział, że stoi tam jego sąsiad z samolotu, który przez całą drogę słuchał jednej i tej samej kasety. Było gorąco, chociaż dochodziła już prawie dziesiąta wieczorem. Harry poczuł, że zaczyna go swędzieć głowa.

Wreszcie znalazł dokument i położył go na ladzie.

– Jest pan policjantem?

Kontrolerka podniosła wzrok znad specjalnej wizy i bacznie mu się przyjrzała, ale na jej twarzy nie dostrzegł już niechęci.

– Mam nadzieję, że nie zamordowano jasnowłosych Norweżek? – Roześmiała się i energicznie przybiła stempel na wizie.

– Cóż, tylko jedną – odparł Harry.

W hali przylotów roiło się od trzymających tabliczki z nazwiskami przedstawicieli biur podróży i kierowców limuzyn, ale Harry na żadnej nie dostrzegł swojego. Już miał szukać taksówki, kiedy między tabliczkami, wyraźnie zmierzając w jego stronę, przecisnął się ciemnoskóry mężczyzna z niezwykle szerokim nosem i czarnymi kręconymi włosami, ubrany w jasnoniebieskie dzinsy i hawajską koszulę.

– *Mister Hoo-li*, prawda? – oświadczył triumfalnie.

Harry Hole przez moment odczuł zaskoczenie. Nastawił się na to, że początek pobytu w Australii będzie musiał poświęcić na korygowanie wymowy swojego nazwiska tak, by nie nazywano go „dziurą”.

„Święty”<sup>1</sup> brzmiało o wiele lepiej.

– Andrew Kensington. Jak się pan miewa? – Mężczyzna, szczerząc zęby w uśmiechu, wyciągnął wielką dłoń.

Chwył ją mocny jak imadło.

– Witamy w Sydney. Mam nadzieję, że podróż minęła dobrze – dodał serdecznie, jak echo powtarzając słowa stewardesy sprzed zaledwie dwudziestu minut. Chwył prawie nową walizkę Harry’ego i ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się za siebie. Harry pospieszył za nim, starając się nie stracić z oczu jego pleców.

– Pracuje pan dla policji w Sydney? – zapytał.

– Jasne. Uwaga!

Obrotowe drzwi uderzyły Harry’ego w twarz, prosto w nos; natychmiast łzy trysnęły mu z oczu. Marna slapstickowa komedia nie mogłaby zacząć się gorzej. Rozcierał nos, przeklinając po norwesku, a Kensington przyglądał mu się ze współczuciem.

– Cholerne drzwi, nie?

Harry nie odpowiedział. Bo i co tu mówić?

Na parkingu Kensington otworzył bagażnik małej zniszczonej toyoty i wrzucił do niego walizkę.

– Ma pan ochotę prowadzić? – spytał zaraz, zaskoczony.

Harry zorientował się, że stoi po stronie kierowcy. Cholera, przecież w Australii obowiązuje ruch lewostronny. W końcu i tak musiał usiąść z tyłu, bo na przednim siedzeniu pasażera leżało mnóstwo papierów, kaset i śmieci.

– Jest pan Aborygenem? – odezwał się, kiedy wjeżdżali na autostradę.

– Widzę, że nie da się pan oszukać – odparł Kensington, zerkając w lusterko.

– W Norwegii nazywamy Aborygenów „australijskimi Murzynami”.

Kensington wciąż patrzył w lusterko.

– Naprawdę?

Harry poczuł się nieswojo.

– Hm. Chodzi mi po prostu o to, że pańscy przodkowie najwyraźniej

---

<sup>1</sup> *Hole* (ang.) – dziura, *holy* (ang.) – święty (przyp. tłum.).



nie wywodzili się spośród skazańców zesłanych tu z Anglii dwieście lat temu – zaczął tłumaczyć, chcąc wykazać się przynajmniej minimalną znajomością historii tego kraju.

– Racja, Hoo-li. Moi przodkowie zjawili się tu nieco wcześniej, a mówiąc dokładniej, czterdzieści tysięcy lat temu.

Kensington uśmiechnął się do lusterka. Harry obiecał sobie, że przynajmniej przez jakiś czas będzie trzymał głowę na kłódkę.

– Rozumiem. Proszę mi mówić Harry.

– Okej, Harry. Mów mi Andrew.

Przez resztę drogi Andrew nie zamykał ust. Wiózł Harry'ego do King's Cross i opowiadał, że ta część Sydney to dzielnica dziwek, a także centrum handlu narkotykami i w zasadzie całej innej przestępczej działalności. Co drugi publiczny skandal łączył się z którymś z hoteli albo barów ze striptizem, położonych na obszarze tego kilometra kwadratowego.

– No, jesteśmy na miejscu – oświadczył nagle Andrew. Podjechał do chodnika, wyskoczył z samochodu i wyjął z bagażnika walizkę Harry'ego. – Widzimy się jutro – dodał i w jednej chwili zniknął razem z samochodem.

Harry, z zeszywniałym kręgosłupem, coraz bardziej otumaniony długą podróżą i zmianą stref czasowych, został nagle sam ze swoją walizką w mieście liczącym mniej więcej tyłu mieszkańców, ile jest ludności w całej Norwegii. W końcu na drzwiach okazałego budynku dostrzegł napis „Crescent Hotel”. Obok widniały trzy gwiazdki. Szefowa policji w Oslo nie słynęła z szerokiego gestu, jeśli chodziło o fundusze na zakwaterowanie podwładnych, ale może nie będzie tak źle. Może urzędnikom państwowym przysługuje jakiś rabat. Harry pomyślał z rezygnacją, że zapewne dostanie najmniejszy pokój w całym hotelu.

I tak też się stało.

## 2. DIABEŁ TASMAŃSKI, KLAUN I SZWEDKA

Harry delikatnie zastukał do drzwi szefa Komendy Policji Sydney South.

– Proszę wejść! – rozległ się grzmiący głos ze środka.

Przy oknie za dębowym biurkiem stał wysoki, potężny mężczyzna z imponującym brzuchem. Spod rzadkich włosów groźnie sterczały siwe, krzaczaste brwi, ale zmarszczki wokół oczu powstały od uśmiechu.

– Harry Holy z Oslo w Norwegii, *sir*.

– Niech pan siada, Holy. Wygląda pan na cholernie ożywionego jak na tak wczesny poranek. Mam nadzieję, że nie złożył pan wizyty chłopakom z wydziału narkotykowego. – Neil McCormack roześmiał się serdecznie.

– To przez zmianę stref czasowych. Nie śpię od czwartej rano, *sir* – wyjaśnił Harry.

– Oczywiście, to tylko taki zawodowy dowcip z mojej strony. Parę lat temu mieliśmy tu niezłą aferę korupcyjną, dziesięciu policjantów skazano między innymi za to, że handlowali ze sobą narkotykami. Zaczęto ich podejrzewać, bo kilku z nich było nadzwyczajnie rzeźkich na okrągło przez całą dobę. W zasadzie nie ma z czego żartować – zaśmiał się dobrodusznie, włożył okulary i zaczął przerzucać leżące przed nim papiery. – Przesłano pana tutaj, żeby wspomóc nas w śledztwie w związku z zabójstwem Inger Holter, obywatelki norweskiej, posiadającej zezwolenie na pracę w Australii. Sądząc po zdjęciach, blondynki, ładnej dziewczyny. Dwudziestotrzyletniej, tak?

Harry skinął głową. McCormack teraz spoważniał.

– Znaleziona przez rybaków od strony morza w Zatoce Watsona, a konkretnie w parku Gap. Półnaga, wszystko wskazuje na to, że najpierw została zgwałcona, potem uduszona, ale śladów nasienia nie znaleziono. Zwłoki pod osłoną nocy przetransportowano do parku i zrzucono z urwiska. – Skrzywił się. – Przy odrobinę gorszej pogodzie fale z pewnością by ją zabrały, a tak leżała na kamieniach i znaleziono ją

następnego dnia rano. Jak już mówiłem, nie mamy śladów nasienia, a to dlatego, że pochwę ma wypatroszoną i woda morska starannie z niej wszystko wypłukała. Brak też jakichkolwiek odcisków palców, ale mamy przybliżony czas zgonu... – McCormack zdjął okulary i potarł twarz. – No i brakuje nam mordercy. Co pan, u diabła, ma zamiar z tym zrobić, *mister Holy*?

Harry już chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył.

– No tak, zamierza pan baczenie się przyglądać, jak ścigamy tego drania, a po drodze opowiadać norweskiej prasie o tym, jak to wspólnie odwalamy dobrą robotę, pilnować, żebyśmy nie urazili nikogo z ambasady norweskiej czy krewnych, a poza tym wykorzystać urlop i wysłać jedną czy dwie widokówki do swojej drogiej szefowej. Jak ona się w ogóle miewa?

– O ile wiem, dobrze.

– Twarda baba. Na pewno wyjaśniła, czego się po panu spodziewa.

– O tyle o ile. Mam uczestniczyć w śledz...

– Świetnie. O tym proszę zapomnieć. Oto nowe zasady. Punkt pierwszy: od tej pory słucha pan mnie, mnie i tylko mnie. Punkt drugi: nie będzie pan brał udziału w żadnych czynnościach, o których pana nie powiadomię. I punkt trzeci: jeden wyskok i siedzi pan w pierwszym samolocie do domu.

Wszystko to zostało powiedziane z uśmiechem, ale przesłanie było jasne. Łapy z daleka, jesteś tu tylko jako obserwator. Równie dobrze Harry mógł zabrać ze sobą kąpielówkę i aparat fotograficzny.

– Zrozumiałem, że Inger Holter była w Norwegii kimś w rodzaju gwiazdy telewizyjnej.

– To raczej przesada, *sir*. Parę lat temu prowadziła program dla młodzieży, właściwie już o niej zapominano, kiedy się to wydarzyło.

– Mówiono mi, że wasze gazety bardzo rozdmuchały to morderstwo. Kilka przysłało tu już swoich ludzi. Daliśmy im to, co mamy, ale mamy niewiele, więc pewnie wkrótce się znudzą i wrócą do domu. Nie wiedzą, że pan tu jest. Wszystkim przydzieliliśmy ich własne niańki, które się nimi zajmują, więc o to nie musi się pan martwić.

– Dziękuję, *sir* – powiedział Harry najzupełniej szczerze. Myśl o uwieszonych mu na ramieniu nadgorliwych dziennikarzach

z norweskich gazet nie była ani trochę kusząca.

– Okej, Holy, będę z panem szczerzy i powiem, jak się sprawy mają. Mój szef dokładnie mi wyjaśnił, że deputowanym z miasta Sydney bardzo zależy na jak najszybszym wyjaśnieniu tej sprawy; jak zawsze chodzi o politykę i o pieniądze.

– Pieniądze?

– Cóż, spodziewamy się, że bezrobocie w Sydney przekroczy w tym roku dziesięć procent, miasto potrzebuje więc każdego grosza z turystyki. W dwutysięcznym roku czekają nas igrzyska olimpijskie, a liczba turystów przybywających ze Skandynawii rośnie. Morderstwa, zwłaszcza niewyjaśnione, to zła reklama dla miasta. Staramy się więc, jak możemy, sprawą zajmuje się zespół złożony z czterech śledczych, mamy też pierwszeństwo w dostępie do wszystkich innych naszych zasobów, baz danych, personelu technicznego, ludzi z laboratorium i tak dalej.

McCormack odszukał jakąś kartkę i przyjrzał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Właściwie powinien pan pracować z Wadkinsem, lecz ponieważ prosił pan o współpracę z Kensingtonem, nie widzę powodów, żeby się temu sprzeciwić.

– *Sir*, nie pamiętam, żebym...

– Kensington to dobry chłop. Mało któremu z tubylców udało się zająć tak wysoko jak jemu.

– Naprawdę?

McCormack wzruszył ramionami.

– Tak już jest. Cóż, Holy, w razie jakiegoś problemu wie pan, gdzie mnie szukać. Pytania?

– Jeden drobiazg, *sir*. Zastanawiałem się, czy *sir* to właściwa forma zwracania się do zwierzchnika w tym kraju, czy też może jest to trochę zbyt...

– Formalne? Sztywne? Tak, raczej tak. Ale mnie się podoba. Przypomina mi, że to faktycznie ja jestem szefem tej budy. – McCormack wybuchnął śmiechem i mocnym uściśnięciem ręki zakończył spotkanie.

– Styczeń to w Australii sezon turystyczny – wyjaśniał Andrew, gdy przedzierał się przez korki w okolicy Circular Quay. – Wszyscy przyjeżdżają oglądać Operę, pływać łodziami po Zatoce i gapić się na dziewczyny na Bondi Beach. Szkoda, że ty musisz pracować.

Harry wzruszył ramionami.

– Mnie wszystko jedno. Turyści z ojczyzny przyprawiają mnie tylko o poty i chęć, żeby dać któremuś w mordę.

Wydostali się na New South Head Road, gdzie toyota przyspieszyła, kierując się na wschód, ku Zatoce Watsona.

– Wschodnia część Sydney różni się od wschodniej części Londynu – tłumaczył Andrew, kiedy mijali kolejne eleganckie domy. – Ta okolica nazywa się Double Bay, ale my mówimy o niej „Double Pay”<sup>2</sup>.

– Gdzie mieszkała Inger Holter?

– Przez jakiś czas ze swoim chłopakiem w Newtown, ale kiedy się rozstali, przeprowadziła się do jednopokojowego mieszkania w Glebe.

– Z chłopakiem?

Andrew wzruszył ramionami.

– To Australijczyk, inżynier informatyk. Poznali się, kiedy przyjechała tu na wakacje dwa lata temu. On ma alibi na noc morderstwa, zresztą nie wygląda na typowego zabójcę. Ale nigdy nie wiadomo, prawda?

Zaparkowali w pobliżu parku Gap, jednego z wielu zielonych płuc Sydney. Do wietrznego parku położonego wysoko ponad Zatoką Watsona na północy i Oceanem Spokojnym na wschodzie prowadziły strome kamienne schody. Po otwarciu drzwiczek samochodu uderzył ich upał. Andrew włożył wielkie ciemne okulary, które Harry’emu przywiodły na myśl rodzimego króla porno. Z jakiegoś powodu jego australijski kolega ubrał się dzisiaj w opięty garnitur; zdaniem Harry’ego ciemnoskóry potężny mężczyzna, który kołyszącym się krokiem wspinał się przed nim po ścieżce w stronę punktu widokowego, wyglądał w tym stroju odrobinę komicznie.

– Tu masz Ocean Spokojny, Harry. Następny przystanek to Nowa Zelandia, za mniej więcej dwa tysiące mokrych kilometrów.

---

<sup>2</sup> *Bay* (ang.) – zatoka; *pay* (ang.) – zapłata (przyp. tłum.).

Harry rozejrzał się. Na zachodzie widział centrum z mostem Harbour, na północy plażę, żagłówki na Zatoce Watsona i zielone Manly, przedmieście na północnej stronie cieśniny. Na wschodzie horyzont załamywał się spektrum różnych odcieni błękitu. Przed nimi klify opadały pionowo w dół, gdzie morskie fale kończyły swą długą podróż w ryczącym crescendo wśród skał.

– Okej, Harry. Stoisz teraz w historycznym miejscu. W 1788 roku Anglicy przysłali do Australii pierwszy statek ze skazańcami. Mieli się osiedlić nad Zatoką Botaniczną kilkadziesiąt kilometrów na południe stąd, ale po przybyciu na miejsce kapitan Phillip stwierdził, że okolica jest zbyt nieprzyjazna, i posłał niedużą łódkę na północ wzdłuż wybrzeża, żeby poszukała czegoś lepszego. Łódka dopłynęła za cypel, na którym teraz właśnie stoimy, i marynarze zobaczyli najwspanialszy port na świecie. Wkrótce potem kapitan Phillip przyплыł z resztą floty, było to jedenaście statków, siedmiuset pięćdziesięciu skazańców, kobiet i mężczyzn, czterystu marynarzy, cztery kompanie morskie i zapasy na dwa lata. Ale ten kraj jest surowszy, niż się wydaje. Anglicy nie potrafili wykorzystywać darów natury tak, jak nauczyli się tego Aborygeni. Kiedy dwa i pół roku później przyплыł następny statek z zapasami, Anglicy byli już bliscy głodowej śmierci.

– Wygląda na to, że z czasem zaczęło im się wieść lepiej. – Harry skinieniem głowy wskazał na zielone wzgórza Sydney i poczuł kroplę potu spływającą między łopatkami. Ten upał go przerażał.

– Owszem, Anglikom tak – przyznał Andrew i splunął w przepaść. Odprowadzali płwocinę wzrokiem, dopóki nie rozszarpał jej wiatr. – Dobrze, że dziewczyna, spadając, już nie żyła. Po drodze musiała zawadzić o skały. Kiedy ją znaleźli, miała wyrwane z ciała duże kawałki.

– Od jak dawna nie żyła, kiedy ją znaleziono?

Andrew skrzywił się.

– Lekarz policyjny mówił, że od czterdziestu ośmiu godzin, ale on... – Uderzył dłonią w szyję.

Harry pokiwał głową. Lekarz policyjny najwyraźniej zaliczał się do tych, którym ciągle chciało się pić.

– A w tobie budzi się sceptycyzm, kiedy ktoś podaje ci okrągłe liczby?

– Została znaleziona w piątek rano, przyjmijmy więc, że zginęła w jakimś momencie w środę w nocy.

– Są tutaj jakieś ślady?

– Sam widzisz, samochody parkują na dole, okolica nie jest oświetlona nocą i względnie mało tu ludzi. Nie zgłosił się żaden świadek i szczerze mówiąc, nie liczymy, że się zgłosi.

– To co teraz robimy?

– Postąpimy zgodnie z zaleceniami mojego szefa. Pójdziemy do restauracji i wykorzystamy część przysługującego nam funduszu reprezentacyjnego. Mimo wszystko jesteś najwyższym postawionym przedstawicielem policji norweskiej w promieniu dwóch tysięcy kilometrów. Co najmniej.

Andrew i Harry siedzieli przy nakrytym białym obrusem stole. Stara rodzinna restauracja rybna U Doyle’a leżała w głębi Zatoki Watsona, oddzielona od morza jedynie niewielką piaszczystą plażą.

– Tak piękne, że aż śmieszne, prawda? – zauważył Andrew.

– Jak na przesłodzonej widokówce.

Na plaży tuż przed nimi chłopczyk i dziewczynka budowali zamek z piasku na tle lazurów błękitnego morza i porośniętych bujną zielenią wzgórz z dumną panoramą Sydney w oddali.

Harry wybrał przegrzebki i pstrąga tasmańskiego. Andrew zdecydował się na flandrę australijską, o której Harry nigdy nie słyszał, zamówił także butelkę chardonnay rosemount – „ani trochę nie pasuje do tego jedzenia, ale jest białe, smaczne i mieści się w ramach budżetu” – i z lekkim zaskoczeniem przyjął informację, że Harry nie pije alkoholu.

– Kwakr? – spytał.

– Nic z tych rzeczy – odpowiedział Harry.

U Doyle’a słynęła jako jedna z najlepszych restauracji rybnych w Sydney. Był szczyt sezonu, wszystkie miejsca zajęte i Harry uznał, że właśnie z tego powodu niełatwo jest nawiązać kontakt z obsługą.

– Kelnerzy tutaj są jak planeta Pluton – stwierdził Andrew ze złością. – Krążą po peryferiach, pojawiają się tylko raz na dwadzieścia lat i nawet

wtedy nie daje się ich dostrzec gołym okiem.

Harry'emu wcale to nie przeszkadzało. Rozsiadł się wygodnie na krześle, wzdychając z zadowoleniem.

– Za to podają pyszne jedzenie – powiedział. – I nareszcie rozumiem, po co ten garnitur.

– Chyba nie do końca. Sam widzisz, że nie jest to zbyt eleganckie miejsce, ale z doświadczenia wiem, że nawet do takich lokali nie powinienem przychodzić w dżinsach i podkoszulku. Muszę jakoś zrekompensować swój wygląd.

– O czym ty mówisz?

Andrew popatrzył na Harry'ego.

– Aborygeni nie cieszą się tutaj zbyt wielkim poważaniem, być może już to zrozumiałeś. Anglicy bardzo wcześniej zaczęli pisać do domu, że tubylcy mają skłonność do alkoholu i przestępstw z żądzy zysku.

Harry słuchał z zainteresowaniem.

– Uważali, że to tkwi w genach. Jeden z nich napisał: „Potrafią jedynie tworzyć piekielną muzykę polegającą na dmuchaniu w długie, wydrażone kawałki drewna, które nazywają *didgeridoo*”. Cóż, Australia to kraj, który chwali się, że zdołał z wielu rozmaitych kultur stworzyć dobrze funkcjonujące społeczeństwo. Ale dla kogo ono dobrze funkcjonuje? Problem tkwi w tym, że Aborygenów właściwie już nie widać. Są prawie nieobecni w życiu społecznym kraju, chyba że chodzi o ich szczególne interesy i kulturę. Biali wieszają sobie w domu sztukę aborygeńską i już mają spokojne sumienie. Aborygenów natomiast widać w kolejkach po zasilek, w statystykach zabójstw i w więzieniach. Aborygen ma dwadzieścia sześć razy większe szanse na trafienie do pudła niż inny Australijczyk. Zastanów się trochę nad tym, Harry Holy.

Andrew wypił resztę wina, a Harry rzeczywiście trochę się nad tym zastanowił. Pomyślał również, że prawdopodobnie właśnie zjadł najlepiej przyrządzoną rybę w całym swoim trzydziestodwuletnim życiu.

– A mimo to Australia nie jest bardziej rasistowska od innych krajów. Rzeczywiście jesteśmy wielokulturowym narodem, mieszkają tu ludzie z całego świata. To oznacza tylko, że idąc do restauracji, opłaca się włożyć garnitur.



Harry znów pokiwał głową. Nie było nic więcej do powiedzenia na ten temat.

– Inger Holter pracowała w barze?

– Jasne. W The Albury na Oxford Street w Paddington. Pomyślałem, że moglibyśmy się tam wybrać wieczorem.

– A dlaczego nie od razu? – Harry poczuł, że całe to tracenie czasu zaczyna go trochę niecierpliwic.

– Ponieważ najpierw odwiedzimy jej gospodarza.

Na bezchmurnym niebie bez zapowiedzi pojawił się Pluton.

Glebe Point Road okazała się przyjemną, niezbyt ruchliwą ulicą, na której mieściły się jedna przy drugiej nieduże, skromne, w przeważającej mierze etniczne restauracje z różnych stron świata.

– Kiedyś była to dzielnica bohemy – opowiadał Andrew. – W latach siedemdziesiątych jako student mieszkałem w sąsiedztwie. Wciąż znajdziesz tu typowe restauracje wegetariańskie dla ludzi, którym ochrona środowiska i alternatywny styl życia rzuciły się na mózg, księgarnie dla lesbijek i podobne historie. Ale dawni hippisi i inni zapaleńcy zniknęli, kiedy Glebe stało się modne i ceny najmu podskoczyły. Teraz nie byłoby mnie stać na to, żeby tutaj mieszkać, nawet za pensję policjanta.

Skęcili w prawo na Hereford Street i przez furtkę weszli na posesję numer 54. Natychmiast podbiegło do nich jakieś nieduże czarne puszyste zwierzę i powarkując, odłoniło rząd drobnych, ostrych ząbków. Potworek wyglądał na szczerze rozgniewanego i odznaczał się uderzającym podobieństwem do przedstawionego na zdjęciu w folderze turystycznym diabła tasmańskiego. Podpis pod zdjęciem informował, że zwierzę jest agresywne, prawdę mówiąc, nieprzyjemne i że gatunek niemal całkiem wyginął. Harry żywił szczerą nadzieję, że to prawda. Kiedy ten osobnik skoczył na niego z szeroko otwartym pyskiem, Andrew uniósł stopę i trafił zwierzę z woleja. Ze skowytaniem poleciało w krzaki rosnące wzdłuż płotu.

Kiedy weszli po schodkach, w drzwiach stanął wielkobrzucho mężczyzna, który wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka.

– Co się stało z psem? – spytał kwaśno.

– Leży i podziwia krzewy różane – odparł Andrew z uśmiechem. – Jesteśmy z policji, z wydziału zabójstw. *MisterRobertson*?

– Tak, tak, czego znowu chcecie? Powiedziałem już przecież, że powiedziałem wszystko, co wiem.

– A teraz pan powiedział, że już pan powiedział.

Zapadła długa chwila ciszy, w której Andrew dalej się uśmiechał, a Harry przeniósł ciężar ciała z lewej nogi na prawą.

– Bardzo przepraszam, *mister Robertson*, nie będziemy zamęczali pana na śmierć, ale ten pan jest bratem Inger Holter i chciałby obejrzeć jej pokój, jeśli to nie sprawi zbyt wielkiego kłopotu.

Zachowanie Robertsona odmieniło się radykalnie.

– Przepraszam, nie wiedziałem... Proszę wejść!

Otworzył drzwi i ruszył przodem po schodach na górę.

– No tak, nie wiedziałem nawet, że Inger miała brata, ale teraz, kiedy pan o tym wspomniał, oczywiście dostrzegam podobieństwo.

Za jego plecami Harry odwrócił się do Andrew i przewrócił oczami.

Pokoju Inger nikt nie sprzątnął. Wszędzie walały się ubrania, czasopisma, pełne popielniczki i puste butelki po winie.

– Hm. Policja prosiła, żebym na razie niczego nie ruszał.

– Rozumiemy.

– Ona po prostu pewnego wieczoru nie wróciła do domu. Zniknęła.

– Dziękujemy, *mister Robertson*, czytaliśmy zeznania.

– Mówiłem jej, że nie powinna wracać do domu wieczorem tą drogą przez Bridge Road i targ rybny. Ciemno tam, mnóstwo żółtków i czarnych... – Przerażony popatrzył na Kensingtona. – Przepraszam, nie chciałem...

– W porządku. Może pan teraz odejść, *mister Robertson*.

Robertson zszedł na dół, usłyszeli pobrzękiwanie butelek w kuchni.

W pokoju stało łóżko, kilka półek na książki i biurko. Harry rozejrzał się, próbując stworzyć sobie obraz Inger Holter. Wiktyologia: wczuć się w sytuację ofiary. Ledwie pamiętał z ekranu telewizyjnego tę niby-ostrą

dziewczynę o niebieskich niewinnych oczach, pełną dobrej woli i młodzieńczego entuzjazmu.

W każdym razie nie zaliczała się do typu domatorek, które każdą wolną chwilę poświęcają swojemu gniazdku. Na ścianach nie było obrazów, wisiał tylko plakat z filmu *Braveheart – Waleczne serce* z Melem Gibsonem, który Harry zapamiętał jedynie dlatego, iż z niepojętych powodów zdobył Oscara za najlepszy film. No cóż, pomyślał. To znaczy, że miała marny gust, jeśli chodzi o filmy. I o mężczyzn. On sam zaliczał się do tych, którzy poczuli się osobiście dotknięci, kiedy Mad Max zrobił z siebie gwiazdę Hollywood.

Oprócz tego na ścianie wisiało zdjęcie Inger siedzącej na ławce razem z grupą długowłosych, brodatych młodych ludzi. W tle widać było kolorowe domki jak z westernu. Dziewczyna miała na sobie fioletową luźną sukienkę, jasne włosy zwisały płasko po obu stronach bladej, poważnej twarzy. Na kolanach młodego mężczyzny, którego trzymała za rękę, siedziało dziecko.

Na półce leżała paczka tytoniu papierosowego, kilka książek z dziedziny astrologii i topornie rzeźbiona drewniana maska z długim nosem zagiętym jak dziób. Harry odwrócił ją, na etykietce widniał napis: *Made in Papua New Guinea*.

Ubrania, które nie leżały na łóżku albo na podłodze, wisiały w niedużej szafie. Nie było ich zbyt wiele: kilka bawełnianych koszulek, zniszczony płaszcz i duży słomkowy kapelusz na półce.

Andrew z szuflady w biurku wyjął paczkę bibulek papierosowych.

– King Size Smoking Slim. Skręcała duże papierosy.

– Znaleźliście tu jakieś narkotyki? – spytał Harry.

Andrew pokręcił głową i wskazał na bibułki.

– Ale domyślałem się, że gdybyśmy odkurzyli popielniczki, to odkrylibyśmy ślady konopi.

– A dlaczego tego nie zrobiono? Nie było tu techników?

– Po pierwsze, nie mamy powodów, żeby zakładać, że to miejsce zbrodni, po drugie, o palenie marihuany nie ma co robić krzyku. My tu w Nowej Południowej Walii mamy bardziej pragmatyczne podejście do marihuany niż w niektórych innych stanach Australii. Nie wykluczam,

że to morderstwo może mieć związek z narkotykami, ale joint czy dwa w tych okolicznościach niewiele znaczą. Czy zażywała coś innego, nie wiemy z całą pewnością. W The Albury krąży sporo środków działających jak narkotyki, ale niezabronionych, i nikt z ludzi, z którymi rozmawialiśmy, o niczym nie wspominał. Nie znaleziono też śladów we krwi. W każdym razie nie brała twardych narkotyków, nie wykryliśmy żadnych ranek po ukłuciach. Mamy zresztą niezłe rozeznanie w środowisku.

Harry popatrzył na niego. Andrew chrząknął.

– Taka jest przynajmniej oficjalna wersja. A tu jest coś, w czym, jak mówili, może mógłbyś nam pomóc.

To był list. Zaczynał się od słów „Kochana Elisabeth” i najwyraźniej nie został dokończony. Harry przeleciał go wzrokiem.

*Tak, tak, u mnie wszystko w porządku, a co ważniejsze: zakochałam się! On jest oczywiście piękny jak młody bóg, ma długie kręcone brązowe włosy, mały nabity tyłeczek i spojrzenie, które powtarza to, co przed chwilą ci wyszeptał: że chce cię mieć teraz, od razu, za najbliższym węglem, w toalecie, na stole, na podłodze, gdziekolwiek. Ma na imię Evans, 32 lata, był już (tak, tak!) wcześniej żonaty i ma ślicznego półtorarocznego synka, Tom-Toma. Akurat w tej chwili nie pracuje nigdzie na stałe, ale coś tam robi na własny rachunek.*

*Wiem, wiem, przeczuwasz kłopoty, ale obiecuję, że nie dam się porwać. Przynajmniej na razie.*

*Dość już o Evansie. Wciąż pracuję w The Albury. Jaś Fasola przestał zapraszać mnie na randki, odkąd Evans pewnego wieczoru zjawił się w barze, a to już w każdym razie pewien postęp, choć ciągle wodzi za mną tymi swoimi lepkimi oczami. Fuj! Właściwie zaczynam mieć dość tej pracy, ale muszę wytrzymać, dopóki nie przedłużę zezwolenia na pobyt. Rozmawiałam z Telewizją Norweską, planują kontynuację serii jesienią w przyszłym roku i będę mogła włączyć się w tę robotę, jeśli zechcę. Ach, te decyzje!*

List kończył się w tym miejscu, bez podpisu czy daty.

W drodze do wyjścia Harry podał Robertsonowi rękę. Ten odpowiedział mu ukłonem i kondolencjami oraz oświadczeniem, że Inger była wspaniałą dziewczyną i fantastyczną lokatorką, ba! ozdobą całego domu, a może nawet całego sąsiedztwa. Cuchnął piwem i dykcję już miał niewyraźną. Kiedy przechodzili przez furtkę, z rabaty różanej dobiegło popiskiwanie. Wyjrzała para wystraszonych oczu.

Znaleźli stolik w ciasnej wietnamskiej restauracji w Darling Harbour. Siedzieli tu niemal wyłącznie Azjaci i wyraźnie było widać, że większość z nich to stali goście. Prowadzili z kelnerem rozmowy w niezrozumiałym języku tonem, który nieprzewidywalnie wznosił się i opadał.

– Zupełnie tak, jakby z przerwami wdychali hel, od czego głos się robi jak u Kaczora Donalda – stwierdził Harry.

– Nie lubisz Azjatów? – spytał Andrew.

Harry wzruszył ramionami.

– Czy lubię? Żadnego nie znam. Można powiedzieć, że nie mam żadnego powodu, żeby ich nie lubić. Wydają się uczciwi i pracowici. A ty?

– Do Australii przyjeżdża wielu Azjatów i nie wszystkim się to podoba. Ja nie mam nic przeciwko nikomu. Niech przyjeżdżają.

Harry miał wrażenie, że między wierszami usłyszał: „I tak już za późno. Mój naród i tak już utracił tę ziemię”.

– Jakiś czas temu uzyskanie zezwolenia na pobyt w Australii dla Azjaty graniczyło z cudem. Władze chciały, żeby kraj pozostał możliwie biały. Tłumaczyły, że trzeba zapobiegać poważniejszym konfliktom kulturowym, bo doświadczenia z „asymilacją Aborygenów” były, łagodnie mówiąc, nie najlepsze. Ale potem Japończycy zaofiarowali się, że wpompują do Australii kapitał, no i atmosfera się zmieniła. Nagle okazało się, że nie należy się zbyt izolować i trzeba ponieść konsekwencje faktu, że Azja to nasze najbliższe sąsiedztwo i że handel z takimi krajami jak Japonia stał się z czasem ważniejszy od handlu z Europą i Stanami. Japońskim sieciom pozwolono więc wybudować hotele wzdłuż Złotego Wybrzeża w stronę Brisbane i przywieźć tu japońskich dyrektorów, kucharzy i recepcjonistów, natomiast Australijczycy mogli pracować jako pokojówki i pikolacy. Taka

sytuacja prędzej czy później musi wywołać reakcję. Nikt nie lubi być pucybutem we własnym kraju.

– Zakładam, że twój naród również?

Andrew uśmiechnął się z goryczą.

– Europejczycy nigdy nie złożyli u Aborygenów podania o zezwolenie na pobyt.

Harry spojrział na zegarek. Do otwarcia The Albury, gdzie pracowała Inger Holter, pozostało jeszcze parę godzin.

– Może chcesz przedtem zajrzeć do domu? – spytał.

Andrew pokręcił głową.

– Ostatnio nie spotykam tam nikogo oprócz siebie.

– Ostatnio?

– Tak, w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jestem rozwiedziony. Żona i córki mieszkają w Newcastle. Próbuję się z nimi widywać tak często, jak tylko mogę, ale to kawałek stąd, a dziewczynki niedługo już tak urosną, że same będą sobie organizowały weekendy. Wkrótce pewnie się przekonam, że nie jestem jedynym mężczyzną w ich życiu. To śliczne diabełki. Czternaście i piętnaście lat. Cholera, przegnałbym każdego chłopaka, który ośmieliłby się zbliżyć do drzwi.

Andrew uśmiechnął się szeroko. Harry nie mógł nie darzyć sympatią tego niezwykłego kolegi po fachu.

– Taka już kolej rzeczy, Andrew.

– Racja, stary. A jak jest u ciebie?

– Cóż, nie mam kobiety. Nie mam dzieci. Nie mam psa. Mam jedynie szefa, ojca i paru typków, których wciąż nazywam kumplami, chociaż telefonują coraz rzadziej. Ja podobnie.

– W tej kolejności?

– W tej.

Roześmiali się, a potem siedzieli, obserwując rozpoczynający się popołudniowy ruch. Andrew zamówił jeszcze jedną victoria bitter. Ze sklepów i banków wylewał się strumień siwowłosych Greków o orlich nosach, Azjatów w okularach i ciemnych garniturach, Holendrów i długonosych dziewcząt o rudych włosach, niewątpliwie brytyjskiego pochodzenia. Wszyscy podbiegali, żeby złapać autobus do Parramatta albo

podziemną kolejkę do stacji przesiadkowej Bondi. Ludzie interesu w krótkich spodenkach – fenomen typowo australijski, jak powiedział Andrew – kierowali się do nabrzeży, żeby wsiąść na któryś z promów płynących na przedmieścia położone na północnym brzegu zatoki Port Jackson.

– I co teraz robimy? – spytał Harry.

– Idziemy do cyrku! Jest tu, kawałek dalej przy tej ulicy. Obiecałem przyjacielowi, że któregoś dnia tam zajrzemy. A dzisiaj też jest dzień, prawda?

W The Powerhouse niewielka trupa cyrkowa już rozpoczęła popołudniowe bezpłatne przedstawienie dla nielicznej, lecz bardzo młodej i entuzjastycznie nastawionej publiczności. Andrew wyjaśnił, że gdy po Sydney jeździły jeszcze tramwaje, w tym budynku mieściła się elektrownia i zajezdnia tramwajowa. Obecnie funkcjonował jako swoiste muzeum techniki. Para biuściastych dziewcząt zakończyła właśnie niezbyt spektakularny numer na trapezie, zebrała jednak gorące oklaski.

Potem na scenę wtoczono wielką gilotynę, a jednocześnie wszedł klaun. Ubrany był w kolorowy kostium i pasiastą czapkę zainspirowaną najwyraźniej przez rewolucję francuską. Ku wielkiej ucieście dzieci potykał się i przewracał. Po chwili dołączył do niego inny klaun w długiej białej peruce i Harry zrozumiał, że ma on przedstawiać Ludwika XVI.

– Przewagą jednego głosu skazany na śmierć! – obwieścił klaun w pasiastej czapce.

Skazańca zaprowadzono na szafot, gdzie ku nieustającemu zachwytowi dzieci po wielu krzykach i wrzaskach położył wreszcie głowę pod nóż. Rozległo się krótkie bębnienie, gilotyna opadła i ku zaskoczeniu wszystkich, włącznie z Harrym, obcięła monarsze głowę z odgłosem przypominającym uderzenie siekiery w lesie w pogodny zimowy ranek. Głowa w peruce odskoczyła i potoczyła się do kosza. Zgasło światło, a gdy się ponownie zapaliło, bezgłowy król stał w kręgu reflektorów z własną głową pod pachą. Zachwyt dzieci nie miał końca. Potem światło znów zgasło, a gdy zapaliło się ponownie, na scenie stała już cała trupa, kłaniając

się widzom. Przedstawienie dobiegło końca.

Gdy strumień ludzi ruszył ku wyjściu, Andrew i Harry skierowali się za kulisy. W prowizorycznej garderobie artyści już zdejmowali kostiumy i zmywali szminki.

– Otto, przywitaj się z moim kolegą z Norwegii! – zawołał Andrew.

Jedna z twarzy się obróciła. Ludwik XVI wyglądał nieco mniej majestatycznie bez peruki i ze szminką rozmazaną na twarzy:

– Tuka!

– Harry, to jest Otto Rechnagel.

Otto eleganckim ruchem wyciągnął rękę, nadstawiając grzbiet dłoni, a kiedy Harry, nieco zmieszany, poprzestał na jej lekkim uściśnięciu, zrobił urażoną minę.

– Nie pocałujesz, przystojniaczku?

– Otto uważa się za kobietę, w dodatku kobietę szlacheckiego rodu.

– Co za bzdury, Tuka. Otto zawsze wiedziała i wie, że jest mężczyzną. Wyglądasz na zdezorientowanego, młody człowieku, może chciałbyś się sam przekonać? – Otto roześmiał się perliście i kobieco.

Harry poczuł, że czerwienieją mu koniuszki uszu. Tymczasem para sztucznych rzęs zatrzepotała z wyrzutem w stronę Andrew.

– Czy ten twój przyjaciel umie mówić?

– Przepraszam. Nazywam się Harry... hm... Holy. Wspaniały numer. Świetne kostiumy. Bardzo... żywy. I niezwykły.

– Ten numer z Ludwikiem XVI? Niezwykły? Przeciwnie, to klasyka. Został po raz pierwszy wykonany przez klaunów ze słynnej rodzinnej trupy Jandaschewskich, zaledwie w dwa tygodnie po prawdziwej egzekucji w styczniu 1793. Widzowie to uwielbiali. Ludzie zawsze kochali publiczne egzekucje. Wiesz, ile powtórek z zabójstwa Kennedy'ego pokazują ogółem rocznie amerykańskie stacje telewizyjne?

Harry pokręcił głową.

Otto zamyślony popatrzył w sufit.

– Całkiem sporo.

– Otto uważa się za spadkobiercę wielkiego Jandaschewsky'ego –



wyjaśnił Andrew.

– Ach, tak? – Słynne rodziny klaunów nie były specjalnością Harry’ego.

– Wydaje mi się, Tuka, że twój przyjaciel nie jest do końca oświecony. Rodzina Jandaschewskych była wędrowną trupą muzykujących klaunów, którzy przybyli do Australii na przełomie wieków i tu się osiedlili. Urządzali przedstawienia cyrkowe aż do śmierci Jandy’ego w 1971. Zobaczyłem go po raz pierwszy, kiedy miałem sześć lat. Już od tamtej pory wiedziałem, kim zostanę. I tak właśnie jest.

Otto uśmiechnął się spod warstwy szminki smutnym uśmiechem klauna.

– Skąd wy dwaj się znacie? – spytał Harry.

Andrew i Otto wymienili spojrzenia. Harry dostrzegł drgania w kącikach ust i zrozumiał, że znalazł się w kłopotach.

– Chodzi mi tylko o to, że... policjant i klaun... to dość...

– To długa historia – powiedział Andrew. – Można w zasadzie powiedzieć, że dorastaliśmy razem. Otto oczywiście sprzedałby swoją matkę za mój tyłek, ale ja już w młodym wieku czułem dziwny pociąg do dziewczyn i do wszystkiego, co paskudnie heteroseksualne. To musi mieć jakiś związek z dziedziczeniem i środowiskiem. Co o tym myślisz, Otto?

Andrew chichotał, uchylając się przed wachlarzem, którym Otto próbował go uderzyć.

– Nie masz stylu, nie masz pieniędzy, a twój tyłek to przechwałki! – krzyknął cienkim głosem Otto.

Harry rozejrzał się po pozostałych członkach trupy, lecz sprawiali wrażenie ani trochę niezaskoczonych tą sceną. Jedna z piersiastych dziewczyn, które występowały na trapezie, mrugnęła do niego zachęcająco.

– Harry i ja wybieramy się dziś wieczorem do The Albury. Pójdziesz z nami? – spytał Andrew.

– Dobrze wiesz, że już tam nie chodzę, Tuka – odparł Otto ze złością.

– Powinno ci dawno przejść. Wiesz przecież, że życie toczy się dalej.

– Masz na myśli życie wszystkich innych ludzi. Moje zatrzymało się w tym momencie. Dokładnie w tym. Kiedy umiera miłość, umieram również ja. – Otto teatralnym gestem dotknął ręką czoła.

– Jak chcesz.

– W dodatku muszę najpierw wrócić do domu i nakarmić Waldorfa. Wy idźcie, może wpadnę tam trochę później.

– Do zobaczenia – powiedział Harry i posłusznie musnął wargami nadstawioną dłoń Ottona.

– Już nie mogę się doczekać, przystojniaczku.

Słońce już zaszło, kiedy dojechali do Oxford Street w Paddington i znaleźli miejsce na postój przy niewielkim parku. Na tabliczce widniał napis „Green Park”, ale trawę wypaliło słońce, a jedynym zielonym elementem była altana wznosząca się pośrodku parku. Wśród drzew leżał na trawie mężczyzna, w którego żyłach wyraźnie płynęła aborygeńska krew. Ubrany był w łachmany i tak brudny, że skóra wyglądała bardziej na szarą niż na czarną. Na widok Andrew uniósł rękę jakby w geście pozdrowienia, lecz policjant nie zwrócił na niego uwagi.

W The Albury było tak dużo ludzi, że musieli się przeciskać w szklanych drzwiach. Harry zatrzymał się na kilka sekund, żeby uważnie przyjrzeć się widokowi, który się przed nim roztoczył. Klientelę stanowiła barwna mieszanka rozmaitych typów, w której przeważali wyraźnie młodzi ludzie: rockerzy w wyblakłych dżinsach, *yuppies* w garniturach i z gładko ulizanymi włosami, „artyści” z kozimi bródkami i obowiązkowymi na wernisażu bąbelkami w kieliszkach, piękni, jasnowłosi surferzy o olśniewająco białych uśmiechach i motocykliści – czyli *the bikies*, jak powiedział Andrew – w czarnych skórzanych kurtkach. Pośrodku lokalu, na kontuarze baru, trwał pokaz, w którym uczestniczyły długonogie półnagie kobiety w purpurowych, głęboko wyciętych bluzeczkach. Skakały w kółko przy wtórze *I Will Survive* Glorii Gaynor i udając, że śpiewają, poruszały szerokimi, umalowanymi na czerwono ustami. Dziewczyny się zmieniały, te, które nie brały udziału w numerze, obsługiwały gości, otwarcie z nimi flirtując.

Harry przepchnął się do baru i zamówił coś do picia.

– Już się robi, blondasku – odpowiedziała głębokim basem kelnerka

w rzymskim hełmie na głowie i uśmiechnęła się zalotnie.

– Powiedz mi, czy ty i ja jesteśmy jedynymi normalnymi ludźmi w tym mieście? – spytał Harry, wróciwszy z piwem i szklanką soku.

– Pod względem liczby gejów Sydney zajmuje drugie miejsce na świecie po San Francisco – wyjaśnił Andrew. – Australijska prowincja nie słynie z tolerancji wobec odchyłeń seksualnych. A kiedy już rozniosła się sława miasta, w którym jest największy wybór partnerów, to nic dziwnego, że ściąga tutaj pokręcona młodzież z całej Australii. Zresztą nie tylko z Australii. Do Sydney codziennie przybywa wielu homoseksualistów z całego świata.

Przeszli do innego baru na tyłach lokalu, Andrew zawołał dziewczynę za ladą. Stała obrócona plecami i miała najbardziej rude włosy, jakie Harry kiedykolwiek widział. Sięgały jej aż do tylnych kieszeni wąskich niebieskich džinsów, ale nie skrywały wcięcia w tali i harmonijnie zaokrąglonych bioder. Dziewczyna odwróciła się, błysnęła lazurówoniebieskimi oczyma i w uśmiechu odsłoniła rząd białych zębów w drobnej, ślicznej twarzy, obsypanej niezliczoną ilością piegów. Doprawdy, karygodna rozrzutność, jeśli to nie jest kobieta, pomyślał Harry.

– Przypominasz mnie sobie? – zawołał Andrew, przekrzykując hałas i dudnienie dyskotekowej muzyki z lat siedemdziesiątych. – To ja pytałem o Inger. Możemy pogadać?

Rudowłosa spoważniała. Kiwnęła głową, powiedziała coś innej kelnerce i wskazała drogę do niewielkiej palarni za kuchnią.

– Jakies nowe wieści? – spytała, a Harry nie potrzebował nic więcej, żeby stwierdzić, że dziewczyna prawdopodobnie o wiele lepiej niż po angielsku mówi po szwedzku.

– Spotkałem kiedyś pewnego staruszka – odezwał się po norwesku. Popatrzyła na niego zaskoczona. – Był kapitanem statku pływającego po Amazonce. Powiedział trzy słowa po portugalsku i to mi wystarczyło, żeby odgadnąć, że jest Szwedem. Mieszkał w Ameryce od trzydziestu lat, a ja po portugalsku nie znam ani słowa.

Ruda dziewczyna wyglądała na kompletnie zaskoczoną, ale w końcu wybuchnęła śmiechem. Szczerym, zadowolonym śmiechem, który

przywiódł Harry'emu na myśl głos jakiegoś rzadkiego leśnego ptaka.

– To naprawdę takie oczywiste? – spytała. Miała głęboki, spokojny głos, lekko francuskie „r”.

– Melodia języka – wyjaśnił Harry. – Nigdy nie potraficie się jej pozbyć.

– Czy wy się znacie? – Andrew przyglądał im się z niedowierzaniem.

Harry spojrzał na dziewczynę.

– Ani trochę – odparła.

Właściwie szkoda, pomyślał Harry.

Rudowłosa nazywała się Birgitta Enquist, mieszkała w Australii od czterech lat, a od roku pracowała w The Albury.

– Oczywiście rozmawialiśmy w pracy, ale właściwie nie miałam z Inger żadnych bliższych kontaktów. Ona trzymała się z boku. My z baru tworzymy grupę i od czasu do czasu wychodzimy razem na miasto. Niekiedy i ona się pojawiała, ale nie zaliczała się do stałego grona. Kiedy zaczęła tu pracować, akurat wyniosła się od jakiegoś faceta w Newtown. Najbardziej osobistą rzeczą, jaką o niej wiem, jest to, że ten związek zaczął się zapowiadać na zbyt stały. A ona najwyraźniej miała potrzebę nowych impulsów.

– Wiesz, z kim się trzymała? – spytał Andrew.

– Właściwie nie. Mówiłam już, że owszem, rozmawialiśmy, ale ona nigdy nie opowiadała mi zbyt dużo o swoim życiu. Ja też się nie dopytywałam. W październiku wybrała się na północ do Queensland i tam, zdaje się, nawiązała znajomość z jakimiś ludźmi z Sydney, z którymi od tamtej pory utrzymywała kontakt. O ile dobrze pamiętam, poznała tam też pewnego faceta. Wpadł tu kiedyś wieczorem, ale przecież o tym już ci mówiłam? – rzuciła pytająco.

– Wiem o tym, droga panno Enquist. Chciałem tylko, żeby mój kolega z Norwegii usłyszał to wprost od ciebie, a jednocześnie obejrzał sobie miejsce, w którym pracowała Inger. Harry Holy jest przecież uważany za najlepszego śledczego w Norwegii i możliwe, że my z policji w Sydney przeoczyliśmy coś, co jemu uda się dostrzec.

Harry gwałtownie zakasłał.

– Kto to jest Jaś Fasola? – spytał nieswoim głosem.

– Jaś Fasola? – powtórzyła zdziwiona Birgitta.

– No, ktoś, kto przypomina tego angielskiego komika... hm... Rowana Atkinsona, chyba tak się nazywa?

– Aha, chodzi wam o Jasia Fasolę! – Birgitta znów zaśmiała się ptasim śmiechem.

Śmiejąc się dalej, poprosił w duchu Harry.

– To Alex, szef baru. Przyjdzie później.

– Mamy powody, by przypuszczać, że interesował się Inger.

– Alex rzeczywiście oglądał się za Inger. Zresztą nie tylko za nią. Większość dziewczyn z baru doświadczyła jego rozpaczliwych prób. My go nazywamy Fiddler Ray. To taka tutejsza ryba, płaszczka. To Inger wymyśliła Jasia Fasolę. Temu biedakowi nie jest łatwo, ma już ponad trzydzieści lat, mieszka u matki i jakoś nic mu się nie udaje. Ale jako szef jest fajny i całkowicie nieszkodliwy, jeśli o to wam chodzi.

– Skąd wiesz?

Birgitta zmarszczyła nos.

– On nie ma tego czegoś.

Harry udał, że coś notuje.

– A wiesz, czy znała lub poznała kogoś, kto by... hm... miał to coś?

– Cóż, tu przychodzi sporo różnych typów. Nie wszyscy to homoseksualiści. I wielu z nich zwracało uwagę na Inger, jest przecież taka ładna. To znaczy była. Ale nie kojarzy mi się nikt szczególny. Był...

– Tak?

– Nie, nic.

– Czytałem w raporcie, że Inger pracowała tu tego wieczoru, którego, jak przypuszczamy, została zamordowana. Wiesz, czy była z kimś umówiona po pracy, czy miała wracać prosto do domu?

– Zabrała z kuchni resztki jedzenia, mówiła, że to dla okropnego psiska. Wiedziała, że nie ma psa, więc spytałam, dokąd się wybiera. Powiedziała, że do domu. Nic więcej nie wiem.

– Diabeł tasmański – mruknął Harry.

Birgitta popatrzyła na niego pytająco.

– Pies jej gospodarza – wyjaśnił. – Pewnie musiała go przekupywać,

żeby ją wpuścić.

Podziękował za informacje. Kiedy już mieli odejść, Birgitta powiedziała:

– Wszyscy w The Albury jesteśmy wstrząśnięci tym, co się stało. Jak przyjęli to jej rodzice?

– Obawiam się, że bardzo ciężko – odparł Harry. – Oboje są oczywiście w szoku i obwiniają się o to, że ją tu puścili. Jutro trumna zostanie wysłana do Norwegii. Mogę się postarać o adres w Oslo, jeśli chcielibyście wysłać jakieś kwiaty na pogrzeb.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony.

Harry miał ochotę spytać o coś jeszcze, ale nie przemógł się, żeby to powiedzieć akurat teraz, przy tej rozmowie o śmierci i pogrzebie. W drodze do wyjścia uświadomił sobie jednak, że długo nie zapomni pożegnalnego uśmiechu Birgitty.

– Cholera – powiedział do siebie na głos. – Wóz albo przewóz.

W lokalu wszyscy transwestyci wraz ze sporą liczbą gości stali na barze i naśladowali Katrinę & The Waves, z głośników dudnił przebój *Walking on Sunshine*.

– W takim miejscu jak The Albury nie ma czasu na zbyt długi smutek – stwierdził Andrew.

– Pewnie tak powinno być – pokiwał głową Harry. – Życie toczy się dalej.

Poprosił, by Andrew chwilę zaczekał, a sam wrócił do baru i skinął ręką na Birgitte.

– Przepraszam, ostatnie pytanie.

– Słucham.

Harry nabrał głęboko powietrza. Właściwie już żałował, ale było za późno.

– Czy znasz w mieście jakąś dobrą tajską restaurację?

Birgitta zastanowiła się.

– Tak, jest jedna niezła na Bent Street. W śródmieściu. Wiesz, gdzie to jest? Podobno naprawdę dobra.

– Na tyle dobra, że mogłabyś tam pójść ze mną?

To zabrzmiało bardzo marnie, pomyślał Harry. Poza tym to

nieprofesjonalne zachowanie, bardzo nieprofesjonalne. Birgitta jęknęła z rezygnacją, lecz nie na tyle wielką, by Harry nie zrozumiał, że to jakiś początek. W dodatku uśmiech cały czas czaił się gdzieś blisko.

– Często pan z tego korzysta, panie policjancie?

– Dość często.

– Działa?

– Statystycznie? Nie najlepiej.

Birgitta roześmiała się, przekrzywiła głowę i zaciekawiona popatrzyła na Harry'ego, w końcu wzruszyła ramionami.

– A dlaczego by nie? Mam wolne w środę. O dziewiątej. I to ty stawiasz, gliniarzu.

### 3. BISKUP, BOKSER I MEDUZA

Kiedy Harry otworzył oczy, wciąż była dopiero czwarta. Próbował zasnąć, ale myśl o nieznanym mordercy Inger Holter oraz o fakcie, że w Oslo jest ósma wieczorem, nie pozwalały mu zapaść w sen. Poza tym wciąż miał przed oczami piegowatą twarz dziewczyny, z którą rozmawiał zaledwie przez dwie minuty, a która mimo wszystko spowodowała go do idiotycznego zachowania.

– Niecelegancko, Hole – szepnął w ciemność hotelowego pokoju, przeklinając sam siebie.

O szóstej uznał, że już może wstać. Po odświeżającym prysznicu wyszedł pod bladoniebieskie niebo, na którym wisiało nierzeczywiste poranne słońce. Chciał znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby zjeść śniadanie. Z centrum dobiegał szum, ale poranne godziny szczytu nie dotarły jeszcze tu, do czerwonych latarni i mocno umalowanych na czarno oczu. King's Cross posiadało nieco zwietrzały czar, przeżytą urodę, która wprawiała Harry'ego w taki nastrój, że idąc, nucił. Oprócz kilku spóźnionych, lekko chwiejących się na nogach nocnych marków, pary śpiącej pod kocem gdzieś na schodach i bladej, cienko ubranej dziwki z porannej zmiany na ulicach na razie nikogo nie było widać.

Właściciel jednej z restauracji ogródkowych sflukiwał węzem chodnik. Harry uśmiechem wyprosił wczesne podanie śniadania. Kiedy jadł swój bekon z grzanką, swawolny wietrzyk próbował uciec z jego serwetką.

– Wcześniej zaczynasz, Holy – stwierdził McCormack. – To dobrze. Mózg funkcjonuje najlepiej między wpół do siódmej a jedenastą. Później, moim zdaniem, to tylko wygłupy. Poza tym rano jest tu spokojnie. Kiedy po dziewiątej zaczyna się hałas, ledwie udaje mi się dodać dwa do dwóch. A ty jak? Mój syn twierdzi, że musi włączać wieżę stereo na full, kiedy odrabia lekcje, i że nie może się skupić, kiedy jest tak strasznie cicho. Pojmujesz to? Tak czy owak wczoraj miałem już tego dość,



wmaszerowałem do niego i wyłączyłem tę piekielną maszynę. „Mnie to potrzebne, żeby myśleć!” – wrzasnął. Powiedziałem, że ma się uczyć jak normalni ludzie. „Ludzie są różni, staruszk” – odburknął mi ze złością. Akurat jest w tym wieku, no wiesz.

McCormack przerwał, spoglądając na zdjęcie stojące na biurku.

– Masz dzieci, Holy? Nie? Czasami zadaję sobie pytanie, po co, na miłość boską, się w to wplątałem. A wracając do rzeczy, w jakiej szturczyj norze cię ulokowali?

– Crescent w King’s Cross, *sir*.

– King’s Cross, tak, tak. Nie jesteś pierwszym Norwegiem, który się tam zatrzymał. Parę lat temu mieliśmy oficjalną wizytę biskupa Norwegii czy kogoś w tym stylu, nie pamiętam, jak się nazywał, w każdym razie jego sztab w Oslo zamówił dla niego pokój w King’s Cross Hotel. Wydawało im się, że nazwa hotelu zawiera jakieś odniesienia biblijne. Kiedy biskup ze swoim orszakiem przybył do hotelu wieczorem, jedna ze starych, zaprawionych w bojach dziwek zauważyła jego koloratkę i przedstawiła kilka soczystych propozycji. Biskup wymeldował się, chyba jeszcze zanim zanieśli na górę jego walizki...

McCormack śmiał się tak, że z oczu popłynęły mu łzy.

– Tak, tak, Holy. Jakie masz dzisiaj pytania?

– Zastanawiałem się, czy mógłbym zobaczyć zwłoki Inger Holter, zanim zostaną przewiezione do Norwegii, *sir*.

– Kensington może cię zabrać do kostnicy, kiedy przyjdzie. Ale dostałeś przecież protokół z sekcji.

– Oczywiście, *sir*, ja tylko...

– Co tylko?

– Lepiej mi się myśli, kiedy mam zwłoki przed oczami, *sir*.

McCormack odwrócił się do okna i mruknął coś pod nosem. Harry uznał to za zgodę.

Temperatura w piwnicach kostnicy South Sydney wynosiła osiem stopni przy dwudziestu ośmiu stopniach na zewnątrz.

– Zrobiłeś się mądrzejszy? – spytał Andrew. Zatrząsał się z zimna

i ciasniej owinął kurtkę.

– Mądrzejszy? Nie – odparł Harry, patrząc na ziemskie szczątki Inger Holter. Jej twarz wyszła z upadku stosunkowo nienaruszona. Jedno nozdrze zostało wprawdzie rozcięte i kość policzkowa z jednej strony wbita, a na jej miejscu utworzyło się spore zagłębienie, nie było jednak żadnych wątpliwości co do tego, że woskowoblada twarz należała do tej samej dziewczyny, która tak promiennie uśmiechała się na zdjęciu w policyjnym raporcie. Na szyi widać było czarne ślady. Resztę ciała pokrywały sińce, rany, duże głębokie rozcięcia. Z jednego wystawała biała kość.

– Rodzice chcieli zobaczyć zdjęcia. Adwokat nalegał, choć ambasada norweska tłumaczyła, że to raczej niewskazane. Matka nie powinna oglądać swojej córki w takim stanie. – Andrew pokręcił głową.

Harry przyjrzał się śladom na szyi przez szkło powiększające.

– Ten, kto ją udusił, zrobił to gołymi rękami. Trudno jest zabić człowieka w taki sposób. Morderca musi być albo bardzo silny, albo mieć bardzo silny motyw.

– Albo robić to już kilka razy wcześniej.

Harry popatrzył na Andrew.

– Co masz na myśli?

– Ona nie ma na ubraniu włosów wyrwanych mordercy ani żadnych fragmentów skóry pod paznokciami. Żaden ślad na dłoniach nie wskazuje, żeby się broniła. Została zabita tak szybko i skutecznie, że ani nie zdążyła, ani nie zdołała stawić oporu.

– Czy to wam przypomina coś, z czymś się już kiedyś zetknęliście?

Andrew wzruszył ramionami.

– Kiedy się dostatecznie długo pracuje, to każde morderstwo zaczyna przypominać coś, co się już kiedyś widziało.

To nieprawda, pomyślał Harry. Jest akurat odwrotnie: kiedy się dostatecznie długo pracuje, człowiek uczy się dostrzegać drobne szczegóły w każdym morderstwie; detale, którymi kolejne zbrodnie różnią się od siebie i przez które każda staje się wyjątkowa.

Andrew spojrział na zegarek.

– Poranna odprawa zaczyna się za pół godziny. Musimy się pospieszyć.

Szefem grupy śledczej był Larry Wadkins, detektyw po studiach prawniczych, który prędko piął się po szczeblach kariery. Miał wąskie wargi, rzadkie włosy, mówił prędko, rzeczowo, bez intonacji i zbędnych przymiotników.

– Brak mu delikatności – powiedział Andrew wprost. – Cholernie dobry śledczy, ale to nie jego należy prosić o zawiadomienie rodziców o znalezieniu zwłok córki. Poza tym w sytuacjach stresowych zaczyna przeklinać – uzupełnił.

Prawą ręką Wadkinsa był Sergej Lebie, elegancko ubrany łysy Jugosłowianin z czarną bródką, przez którą przypominał Mefistofelesa w garniturze. Andrew stwierdził, że na ogół sceptycznie odnosi się do mężczyzn aż tak bardzo dbających o swój wygląd, ale dodał:

– Lebie właściwie nie jest pawiem, on po prostu podchodzi do sprawy wyglądu z wielką starannością. Ma między innymi zwyczaj baczego przyglądania się swoim paznokciom, ale to wcale nie wypływa z arogancji. No i po przerwie na lunch czyści buty. Nie spodziewaj się, że będzie dużo mówił, ani o sobie, ani o kimś innym.

Najmłodszy w zespole był Yong Sue, nieduży, chudy jak szkielet sympatyczny facet, zawsze z uśmiechem na czubku ptasiej szyi. Jego rodzina przyjechała do Australii z Chin przed trzydziestoma laty. Dziesięć lat temu, kiedy Sue miał dziewiętnaście lat, jego rodzice wybrali się do Chin w odwiedziny i nigdy więcej się nie pojawili. Dziadek twierdził, że syn był wmieszany w jakieś „polityczne historie”, ale nie chciał się w nie zagłębiać. Sue nigdy się nie dowiedział, co się stało. Teraz utrzymywał dziadków i dwójkę młodszego rodzeństwa, pracował dwanaście godzin na dobę i co najmniej przez dziesięć się uśmiechał. „Jeśli znasz jakiś kiepski dowcip, opowiedz go Sue, on się śmieje dosłownie ze wszystkiego” – powiedział Andrew.

Teraz cała grupa zebrała się w maleńkim dusznym pokoiku, w którym pojękujący wentylator w kącie miał zadbać o minimalny choćby ruch powietrza. Wadkins stanął przy tablicy z przodu i przedstawił Harry’ego pozostałym.

– Nasz norweski kolega przetłumaczył list, który znaleźliśmy w mieszkaniu Inger Holter. Znalazłeś coś interesującego, Hole?

– Hoj-li.

– Przepraszam, Holy.

– Cóż, najwyraźniej właśnie związała się z kimś o imieniu Evans. Można przypuszczać, że to jego trzyma za rękę na zdjęciu nad biurkiem.

– Sprawdziliśmy – odezwał się Lebie. – Uważamy, że to człowiek, który nazywa się Evans White.

– Ach, tak? – Wadkins podniósł w górę wąską brew.

– Mamy na niego niewiele. Rodzice przyjechali tu z USA pod koniec lat sześćdziesiątych i otrzymali zezwolenie na pobyt. W tamtych czasach to nie było trudne – dodał Lebie wyjaśniająco. – W każdym razie jeździli po kraju bussem, a w menu mieli żywność wegetariańską, marihuanę i LSD, co było wówczas powszechne. Urodziło im się dziecko, rozwiedli się, a kiedy Evans miał osiemnaście lat, ojciec wrócił do USA. Matka zajmuje się healingiem, scjentologią i wszelkim mistycyzmem astralnym. Prowadzi przybytek o nazwie Kryształowy Zamek na rancho w rejonie Złotego Wybrzeża. Turystom i poszukującym duszom sprzedaje kamienie obdarzone karmą i importowane śmieci z Tajlandii. Evans w wieku osiemnastu lat postanowił zająć się tym, czym zajmuje się coraz większa część australijskiej młodzieży – powiedział, znów zwracając się do Harry'ego – to znaczy nicnierobieniem.

Andrew nachylił się do Harry'ego i mruknął cicho:

– Australia to idealny kraj dla tych, którzy chcą jedynie pojeździć, trochę posurfować i korzystać z życia na koszt podatników. Wspaniała sieć socjalna i wspaniały klimat. Mieszkamy w cudownym kraju. – Znów się odchylił.

– Evans obecnie nie ma żadnego stałego adresu – podjął Lebie – ale sądzimy, że do niedawna mieszkał w baraku na skraju miasta wraz z białą hołotą Sydney. Ci, z którymi tam rozmawialiśmy, twierdzą, że od pewnego czasu go nie widzieli. Nigdy nie był aresztowany, więc niestety jedyną jego fotografią, jaką posiadamy, jest zdjęcie do paszportu zrobione, kiedy miał trzynaście lat.

– Zaimponowaliście mi – powiedział Harry szczerze. – W jaki sposób w tak krótkim czasie na podstawie jednego zdjęcia i samego imienia zdołaliście wśród osiemnastu milionów ludzi odnaleźć faceta, który ma

czystą kartotekę?

Lebie skinieniem głowy wskazał na Kensingtona.

– Andrew rozpoznał miasto na fotografii, przefaksowaliśmy kopię zdjęcia na lokalny posterunek policji i podali nam to nazwisko. Twierdzą, że Evans odgrywa pewną rolę w tamtejszym środowisku, co w tłumaczeniu na zrozumiały język oznacza, że jest jednym z królów marihuany.

– To musi być bardzo niewielkie miasto – stwierdził Harry.

– Nimbin, nieco ponad tysiąc mieszkańców – wtrącił Andrew. – Żyli głównie z produktów mleczarskich, dopóki narodowe zrzeszenie studentów australijskich w roku 1973 nie wymyśliło zorganizowania czegoś, co nazwali Festiwalem Aquarius.

Wokół stołu rozległ się szum.

– Ten festiwal koncentrował się właściwie na idealizmie, alternatywnym stylu życia, powrocie do natury i podobnych historiach. Gazety skupiły się jednak na młodzieży zażywającej narkotyki i uprawiającej niczym nieskrępowany seks. Impreza trwała ponad dziesięć dni, a dla niektórych jeszcze się nie skończyła. W okolicach Nimbin panują dobre warunki naturalne. Do rozwoju wszelkich możliwych rzeczy. Powiem tak: mam wątpliwości co do tego, że produkty mleczarskie wciąż stanowią tam najważniejszą gałąź gospodarki. Na głównej ulicy, pięćdziesiąt metrów od lokalnego posterunku policji, znajdziesz najjaśniejszy w Australii rynek marihuany. I, obawiam się, również LSD.

– W każdym razie – dodał Lebie – według policji ostatnio widziano go w Nimbin.

– Gubernator Nowej Południowej Walii prowadzi tam jakąś większą kampanię – wtrącił Wadkins. – Rząd w Canberze zmusił go, zdaje się, do zrobienia czegoś z rosnącym handlem narkotykami.

– Zgadza się – potwierdził Lebie. – Policja wykorzystuje małe samoloty i helikoptery, żeby fotografować pola, na których uprawiane są konopie.

– Okej – przerwał mu Wadkins. – Musimy znaleźć faceta. Kensington, ty najwyraźniej nieźle znasz to miejsce, a ty, Holy, pewnie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby zobaczyć większy kawałek Australii. Poproszę McCormacka, żeby zadzwonił do Nimbin i powiadomił ich

o waszym przyjeździe. Yong, ty dalej stukaj na swoim komputerze, zobaczysz, co ci z tego przyjdzie. No, zacznijmy wreszcie coś robić i...

– ...chodźmy na lunch! – dokończył Andrew.

Wmieszali się w tłum turystów, pojechali jednotorową kolejką do Darling Harbour, wysiedli przy Harbourside i znaleźli w restauracji stolik na zewnątrz z widokiem na port.

Obok nich na wysokich szpilkach przemknęła para długich nóg. Andrew jęknął i gwizdnął wysoce niepoprawnie politycznie. Kilka głów w restauracji obróciło się i popatrzyło na nich z irytacją. Harry pokręcił głową.

– Jak się miewa twój przyjaciel Otto?

– Cóż, jest załamany. Został porzucony dla kobiety. Ich kochankowie, jeśli od początku działają na obie strony, zawsze kończą z kobietą. On tak twierdzi. Ale zapewne przeżyje również tym razem.

Harry ku swemu zaskoczeniu poczuł kroplę deszczu. I rzeczywiście, z północnego zachodu prawie niezauważenie przypląnęły ciężkie chmury.

– W jaki sposób udało ci się rozpoznać to Nimbin na zdjęciu? Przecież widziałeś tylko fasady domów.

– Nimbin? Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że jestem starym hippisem? – Andrew wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Mówi się, że ci, którzy twierdzą, że pamiętają Festiwal Aquarius, wcale tam nie byli. Cóż, ja pamiętam przynajmniej domy na głównej ulicy. Wyglądało to jak miasto bezprawia na westernie średniej klasy, pomalowane na psychodeliczne fiolety i żółcie. A prawdę mówiąc, sądziłem, że tylko ja widziałem te kolory pod wpływem pewnych substancji działających na aparat zmysłów. Tak było, dopóki nie zobaczyłem tego zdjęcia w mieszkaniu Inger.

Kiedy wrócili z lunchu, Wadkins zwołał kolejne zebranie w pokoju operacyjnym. Yong Sue znalazł w swoim komputerze interesujące informacje.

– Przejrzałem wszystkie niewyjaśnione morderstwa na terenie Nowej Południowej Walii, jakich dokonano w ciągu ostatnich dziesięciu lat,

i trafiłem na cztery, które przypominają naszą sprawę. Zwłoki kobiet znaleziono w odosobnionych miejscach – dwóch na wysypisku śmieci, jednej na skraju lasu przy bocznej drodze, a ciało jednej wyłowiono z Darling River. Wszystkie kobiety zostały prawdopodobnie zabite i wykorzystane seksualnie gdzie indziej, a potem przewiezione i porzucone. I co najważniejsze, wszystkie zostały uduszone i miały na szyi ślady palców.

Yong Sue uśmiechnął się promiennie.

Wadkins chrząknął.

– Tylko spokojnie na zakrętach. Ostatecznie uduszenie nie jest wcale niezwykłym sposobem zabójstwa w powiązaniu z gwałtem. A jak to wygląda geograficznie, Sue? Darling River leży cholernie daleko, ponad tysiąc kilometrów od Sydney.

– Niestety, *sir*. Nie udało mi się ustalić żadnego schematu pod względem geograficznym. – Yong sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego.

– Cóż, zwłoki czterech uduszonych kobiet rozrzucone po całym stanie w okresie dziesięciu lat to trochę mało, żeby...

– Jeszcze jedno, *sir*. Wszystkie te kobiety miały jasne włosy. Mam na myśli nie blond, tylko jasne, wręcz białe włosy.

Lebie gwizdnął bezgłośnie. Wokół stołu zapanowała cisza.

Wadkins wciąż nie krył sceptycyzmu.

– Mógłbyś użyć trochę matematyki, Yong? Przyjrzeć się statystykom i stwierdzić, czy prawdopodobieństwo mieści się w granicach rozsądku, zanim ogłosimy, że trafiliśmy w cel? Dla wszelkiej pewności powinieneś być może sprawdzić całą Australię. No i zająć się również niewyjaśnionymi gwałtami. Możliwe, że tam też coś znajdziemy.

– To może trochę potrwać, ale spróbuję, *sir*. – Yong znów się uśmiechał.

– Okej. Kensington i Holy, dlaczego jeszcze nie jesteście w drodze do Nimbin?

– Wyjeżdżamy jutro rano, *sir* – odparł Andrew. – Jest świeża sprawa gwałtu w Lithgow, którą chciałbym zbadać najpierw. Mam przeczucie, że tu może istnieć jakiś związek. Akurat się tam wybieraliśmy.

Wadkins zmarszczył czoło.

– Lithgow? Staramy się pracować jako zespół, Kensington. To znaczy, że dyskutujemy i koordynujemy, a nie tylko wałujemy się na własną rękę. O ile wiem, nigdy nie rozmawialiśmy o żadnej sprawie gwałtu w Lithgow.

– Po prostu przeczucie, *sir*.

Wadkins westchnął.

– Cóż, McCormack uważa, że posiadasz coś w rodzaju szóstego zmysłu...

– My, Aborygeni, utrzymujemy bliższy kontakt ze światem duchów niż blade twarze, *sir*.

– W moim wydziale praca policyjna nie opiera się na takich kwalifikacjach, Kensington.

– To był żart, *sir*. Mam w tej sprawie coś jeszcze.

Wadkins pokręcił głową.

– Dobrze, tylko bądźcie jutro w tym porannym samolocie.

Wyjechali z Sydney autostradą. Lithgow to przemysłowe miasteczko liczące jakieś dziesięć, dwanaście tysięcy mieszkańców, ale Harry'emu najbardziej przypominało średniej wielkości wioskę. Przed posterunkiem policji tkwiło na słupie mrugające niebieskie światełko.

Szef posterunku przyjął ich ciepło. Był jowialnym mężczyzną z nadwagą i kolekcją podbródków, miał na nazwisko Larsen i dalekich krewnych w Norwegii.

– Zna pan jakichś Larsenów<sup>3</sup> w Norwegii? – spytał.

– Cóż, jest ich całkiem sporo – odparł Harry.

– Tak, babcia mówiła, że mamy tam u was dużą rodzinę.

– Rzeczywiście.

Larsen dobrze pamiętał tamtą sprawę gwałtu.

– Na szczęście w Lithgow podobne rzeczy nie zdarzają się często. To było na początku listopada. Kobietę napadnięto na jednej z bocznych uliczek, kiedy wracała do domu z pracy na nocnej zmianie, i wciągnięto do samochodu. Sprawca groził jej wielkim nożem, dojechał do odludnej leśnej drogi u stóp Gór Błękitnych i tam zgwałcił na tylnym siedzeniu.

---

<sup>3</sup> Larsen – nazwisko bardzo popularne w Norwegii (przyp. tłum.).



Gwałcieciel już zaciskał ręce na jej szyi, kiedy z tyłu zatrąbił jakiś samochód. Kierowca jadący do letniego domku sądził, że zaskoczył na tej pustej leśnej drodze czułą parkę, i dlatego nie chciał wysiąść. Gdy gwałcieciel wrócił na siedzenie kierowcy, kobiecie udało się wymknąć tylnymi drzwiami i podbiec do tamtego drugiego samochodu. Sprawca zrozumiał, że zabawa się skończyła, dodał gazu i zniknął.

– Czy któreś z nich zauważyło numer rejestracyjny?

– Ależ skąd, było ciemno i wszystko odbywało się zbyt szybko.

– Czy ta kobieta widziała sprawcę z bliska? Macie rysopis?

– Przybliżony. Jak już mówiłem, było ciemno.

– Przywieźliśmy ze sobą zdjęcie. Ma pan jakiś adres, pod którym moglibyśmy znaleźć tę kobietę?

Larsen podszedł do szafki z dokumentami i zaczął w niej grzebać, ciężko przy tym oddychając.

– A tak w ogóle – zaczął Harry – wie pan, czy to blondynka?

– Blondynka?

– Tak, czy ma jasne włosy, białe?

Podbródki Larsena zaczęły się trząść, a on sam sapał jeszcze ciężiej. Harry zrozumiał, że się śmieje.

– Nie, nie, raczej nie, kochany. Ona jest *koori*.

Harry pytająco popatrzył na Andrew.

Andrew spoglądał w sufit.

– Jest czarna – wyjaśnił w końcu, a Larsen uzupełnił:

– Jak węgiel.

– To znaczy, że *koori* to jakieś plemię? – spytał Harry, kiedy wyjechali z posterunku.

– No, nie całkiem – odparł Andrew.

– Nie całkiem?

– To długa historia. Kiedy biali przybyli do Australii, żyło tu około siedmuset pięćdziesięciu tysięcy tubylców podzielonych na sześćset, siedemset plemion. Mówili ponad dwustu pięćdziesięcioma językami, a wiele z nich różniło się od siebie tak, jak angielski od chińskiego. Ale

za sprawą kul i prochu, nowych chorób, na które tubylcy nie mieli żadnej odporności, integracji i innych dóbr, przywiezionych przez białego człowieka, liczba ludności dramatycznie się zmniejszyła. Wiele plemion całkiem wyginęło. Zniknęła pierwotna struktura plemienna, a wtedy na nazwanie tych, którzy pozostali, zaczęto używać bardziej ogólnych określeń. Aborygenów, którzy mieszkają tu, na południowym wschodzie, nazywa się *koori*.

– Ale dlaczego, na miłość boską, nie sprawdziłeś wcześniej, czy ona jest blondynką?

– Niedopatrzenie. Musiałem coś źle odczytać. Czy w Norwegii ekrany komputerów nigdy nie migoczą?

– Do diabła, Andrew, nie mamy czasu na tracenie go na takie strzały w ciemno.

– Ależ tak! I mamy też czas na coś, co wprawi cię w lepszy humor – oświadczył Andrew, po czym gwałtownie skręcił w prawo.

– Dokąd jedziemy?

– Na australijskie targi rolnicze. Prawdziwe.

– Targi rolnicze? Umówiłem się na wieczór, Andrew.

– Aha, przypuszczam, że z tą panną ze Szwecji. Nie martw się, to szybko pójdzie. A poza tym zakładam, że jako przedstawiciel organów ścigania zdajesz sobie sprawę z konsekwencji spoufalania się z potencjalnym świadkiem.

– Ta kolacja oczywiście mieści się w ramach śledztwa. Będę zadawał ważne pytania.

– Jasne.

Plac targowy leżał na dużej, otwartej równinie, mając za sąsiedztwo jedynie rozrzucone wokół hale fabryczne i garaże. Kiedy skręcili przed wielki namiot, akurat dobiegało końca ostatnie okrążenie rajdu traktorów i spaliny wciąż unosiły się gęsto nad ziemią. Na placu wrzało, z rozmaitych kramów dobiegały krzyki i wrzaski, ale chyba każdy obecny tu człowiek miał w ręku szklanekę piwa i uśmiech na ustach.

– Zabawa i handel w pięknej symbiozie – stwierdził Andrew. – Czegoś

podobnego w Norwegii nie macie.

– No, mamy coś, co się nazywa jarmark.

Koło namiotu rozwieszono wielkie plakaty. Duże czerwone litery informowały: „Bokserzy Jima Chiversa”. Pod spodem było zdjęcie przedstawiające dziesięciu zawodników, najwidoczniej członków zespołu. Podano również tak ważne dane, jak nazwisko, wiek, miejsce urodzenia i waga. Na samym dole widniał napis: „Czy podejmiesz to wyzwanie?”.

W namiocie pierwszy bokser już się rozgrzewał na ringu. Owinięty szlafrokiem z gładkiego materiału boksował się z cieniami w bladym świetle padającym spod kopuły namiotu. Za chwilę na ring wszedł starszy tęgawy mężczyzna w nieco zużyty smokingu, towarzyszyła temu głośna wrzawa. Najwidoczniej był tu już wcześniej, bo publiczność zaczęła skandować jego imię: Ter-ry, Ter-ry!

Władczym ruchem ręki powstrzymał okrzyki i sięgnął po mikrofon zwisający z sufitu.

– *Ladies and Gentlemen!* Kto podniesie rękawicę?

Odpowiedział mu wielki wrzask, po którym nastąpiła długa, pełna ozdobników przemowa, stanowiąca najwyraźniej stały punkt programu, na temat „szlachetnej sztuki samoobrony”, zaszczytów i sławy, a także złego nastawienia władz do boksu, które przeklinano określeniami godnymi zagorzałego kaznodziei. Przemowa zakończyła się powtórzeniem pytania: kto podniesie rękawicę?

W górę wystrzeliło kilka rąk, Terry skinieniem dłoni przywołał ich właścicieli do przodu. Ochotnicy ustawili się w kolejce przy stoliku, gdzie poproszono ich o podpisanie jakiegoś kwitka.

– Co tu się dzieje? – zdziwił się Harry.

– Ci młodzi mężczyźni z okolicy będą próbowali spuścić lanie któremuś z bokserów Jima Chiversa. Jeśli im się uda, zdobędą wielką nagrodę, a co ważniejsze, lokalną chwałę i sławę. Teraz podpisują oświadczenie, że są zdrowi, sprawni i świadomi, że organizator nie ponosi żadnej odpowiedzialności za nagłą zmianę stanu ich zdrowia – wyjaśnił Andrew.

– O rany, czy to legalne?

– Hm... – Andrew zwlekał z odpowiedzią. – W 1971 pojawiło się coś w rodzaju zakazu, musieli więc nieco zmienić formułę, ale widzisz, to

rozrywka, która ma w Australii długą tradycję. Ukradli Jimmy'emu Chiversowi imię, ten prawdziwy prowadził zespół bokserów, który jeździł po kraju na rozmaite zawody i jarmarki po drugiej wojnie światowej. Facet był wręcz instytucją, wielu późniejszych mistrzów pochodziło z grupy Jimmy'ego. Zawsze walczyli u niego zawodnicy przeróżnych narodowości – Chińczycy, Włosi i Grecy. I Aborygeni. Wtedy ludzie, którzy wchodzili na ring, sami mogli wybrać, z kim będą walczyć, więc na przykład, jeśli byłeś antysemitą, to mogłeś sobie wybrać Żyda, nawet jeżeli Żyd miał duże szanse porządnie złoić ci skórę.

Harry zaśmiał się.

– A czy to nie podsyca rasizmu?

Andrew podrapał się w brodę.

– Może tak, może nie. W każdym razie był to jakiś sposób na rozładowanie tłumionej agresji. Ludzie w Australii przyzwyczaili się do mieszanki kulturowej i rasowej, w sumie społeczeństwo funkcjonuje całkiem nieźle. Ale pewne napięcia zawsze pozostaną. A wtedy mimo wszystko lepiej jest trochę się poszturchać na ringu bokserskim niż na ulicach. Weź na przykład walki białych z Aborygenami, takie mecze zawsze budziły większe zainteresowanie. Aborygen z drużyny Jimmy'ego, który się dobrze spisał, często stawał się bohaterem w rodzinnej wiosce. Wśród wszystkich upokorzeń wywoływał odrobinę poczucia wspólnoty i budził dumę. Wydaje mi się też, że te walki nie powodowały większego rozłamu między rasami. Kiedy biali chłopcy dostawali lanie od czarnego, budziło to więcej szacunku niż nienawiści. Australijczycy to naród, który bardzo wysoko ceni sport.

– Mówisz jak zagorzały konserwatysta.

Andrew roześmiał się.

– Coś ty! Jestem prostym wieśniakiem.

– To już na pewno nieprawda.

Andrew zaśmiał się jeszcze głośniej.

Rozpoczęła się pierwsza walka. Rudowłosy, mocno zbudowany, ale niewysoki mężczyzna, który przyniósł własne rękawice bokserskie i przyprowadził własnych kibiców, stanął naprzeciwko jeszcze niższego zawodnika z drużyny Chiversa.

– Irlandczyk przeciwko Irlandczykowi – oświadczył Andrew z miną znawcy.

– Szósty zmysł ci to podpowiada? – spytał Harry.

– Oczywiście. Rude włosy, czyli Irlandczycy. Przekłęci twardziele, to będzie długa walka.

– *Go-go-Johnny, go-go-go!* – wrzasnęli kibice.

Zdążyli powtórzyć swój okrzyk jeszcze dwa razy i walka się skończyła. Johnny dostał trzy ciosy w nos i nie chciał się więcej boksować.

– Irlandczycy nie są już tacy jak kiedyś – westchnął Andrew.

Otwarcie przyjmowano zakłady dotyczące następnej walki. Ludzie zebrali się wokół dwóch mężczyzn w wysokich skórzanych kapeluszach z szerokimi rondami, najwyraźniej bukmacherów. Wszyscy mówili jeden przez drugiego, a specjalne niegniotące się banknoty australijskich dolarów przechodziły z ręki do ręki. We wściekłym tempie zawierano ustne umowy, niczego nie notowano, jedynie lekkie skinienie głowy bukmachera potwierdzało, że zakład został przyjęty.

– Jak to jest z ustawą o hazardzie? – mruknął Andrew i wykrzyknął jakieś trzy czy cztery słowa, których Harry nie był w stanie zrozumieć.

– Co powiedziałeś?

– Postawiłem sto dolarów na to, że reprezentant Chiversa pokona przeciwnika przed końcem drugiej rundy.

– W tym hałasie chyba nikt nie mógł tego zrozumieć?

Andrew zaśmiał się. Najwyraźniej bawiła go rola profesora.

– Nie zauważyłeś, że bukmacher uniósł brew? To się nazywa podzielność uwagi, Harry. To zdolność częściowo wrodzona, a częściowo wyuczona. Polega na umiejętności słuchania wielu rzeczy naraz, odcedzania zbędnego hałasu i dostrzegania tego, co ważne.

– Raczej słyszenia.

– I słyszenia. Próbowaleś tego, Harry? To bardzo pożyteczne w wielu sytuacjach.

W głośnikach zatrzeszczało i Terry z mikrofonem przedstawił Robina „Murri” Tooombę z drużyny Chiversa i Bobby’ego „Lobby” Paina, miejscowego olbrzyma, który wkroczył na ring, przeskakując przez liny przy wtórze ryku publiczności. Ściągnął koszulkę i odsłonił potężną

owłosioną klatkę piersiową, nabrzmiałe mięśnie ramion. Tuż przy ringu podskakiwała jakaś ubrana na biało kobieta. Bobby posłał jej w powietrzu pocałunek, a zaraz potem dwóch sekundantów zawiązało mu rękawice. W sali podniósł się szum, kiedy Toowoomba przeszedł między linami. Był wysokim, niezwykle czarnym i pięknym mężczyzną.

– *Murri?* – spytał Harry.

– Aborygen z Queensland.

W kubiców Johnny'ego na powrót wstąpiło życie, gdy uświadomili sobie, że teraz, głośno dopingując, mogą używać imienia Bobby. Uderzono w gong i dwaj bokserzy zbliżyli się do siebie. Biały był większy, niemal o głowę wyższy od swego czarnego przeciwnika, lecz nawet dla niewprawnego widza było oczywiste, że nie porusza się z szybką elegancją Aborygena.

Bobby rzucił się w przód i wymierzył potężny cios w stronę Toowoomby, który się uchylił. Zebrana publiczność jęknęła, a ubrana na biało kobieta zawyła z podziwu. Bobby jeszcze parę razy zamachnął się w powietrze, aż w końcu Toowoomba podsunął się i ostrożnie, jakby na próbę, uderzył go w twarz. Bobby cofnął się dwa kroki i wyglądał, jakby już miał dość na ten wieczór.

– Powinienem był postawić dwie stowy – stwierdził Andrew.

Toowoomba, krążąc wokół Bobby'ego, zadał mu jeszcze parę drażniących ciosów, odsuwając się w taki sam płynny sposób za każdym razem, kiedy Bobby wymachiwał rękami jak pałkami. Ciężko przy tym dyszał i wrzeszczał wściekły, kiedy Toowoomba znów nie było w tym miejscu, w którym znajdował się zaledwie przed momentem. Publiczność zaczęła gwizdać. Wreszcie Toowoomba wyciągnął rękę jakby na powitanie, trafił prosto w brzuch Bobby'ego, który zgiął się wpół i skulony wycofał do rogu. Aborygen ze zmartwioną miną zrobił dwa kroki w tył.

– Wykończ go, czarny sukinsynu! – wrzasnął Andrew.

Zaskoczony Toowoomba odwrócił się w ich stronę, uśmiechnął się i pomachał im ręką nad głową.

– Nie stój i nie szczerz się, ty idioto! Rób, co do ciebie należy! Tu chodzi o mój zakład!

Toowoomba obrócił się, żeby wreszcie zakończyć walkę, lecz akurat

w chwili, kiedy miał zadać Bobby'emu decydujący cios, rozległ się gong. Obaj bokserzy przeszli do swoich narożników, a prowadzący złapał za mikrofon. Kobieta w bieli już była w narożniku Bobby'ego i krzyczała na niego, natomiast jeden z sekundantów podsunął mu butelkę piwa.

Andrew nie krył złości.

– Robin nie chce zrobić krzywdy białasowi, w porządku, ale powinien uszanować fakt, że postawiłem na niego, cholernego diabła.

– Ty go znasz?

– Owszem, znam Robina Toowoombę – odparł Andrew.

Gong znów się rozległ i Bobby stanął w narożniku, czekając na Toowoombę, który zbliżał się zdecydowanym krokiem. Bobby trzymał ręce uniesione wysoko, żeby osłonić głowę. Toowoomba zadał mu lekki cios w korpus, Bobby osunął się na liny. Toowoomba obrócił się i popatrzył błagalnie na Terry'ego, konferansjera, który jednocześnie pełnił funkcję kogoś w rodzaju sędziego, żeby przerwał walkę.

Andrew krzyknął, lecz było za późno.

Cios Bobby'ego rzucił Toowoombę na plecy z głośnym plaśnięciem. Kiedy oszołomiony znów podniósł się na nogi, Bobby rzucił się na niego jak orkan. Ciosy były proste i dokładne, głowa Toowoomby podskakiwała jak piłeczka pingpongowa, z dziurki w nosie popłynął cienki strumyczek krwi.

– Cholera! To kanciarz! – zawołał Andrew.

– Kanciarz?

– Nasz przyjaciel Bobby udaje amatora, to stara sztuczka, żeby człowiek Chiversa lekko podchodził do sprawy i się otworzył. Ten facet to prawdopodobnie lokalny mistrz. Cholera, Robin!

Toowoomba zasłonił rękami twarz i cofał się pod naporem Bobby'ego. Lewe ramię białego wypadło w przód i wracało, za lewymi następowały ciężkie prawe sierpowe i haki.

Publiczność wpadła w ekstazę. Kobieta w bieli znów była na nogach. Wykrzykiwała tylko pierwszą sylabę imienia Bobby'ego, przenikliwie przeciągając samogłoskę: „Boo...”.

Terry pokręcił głową, a grupa kibiców natychmiast wzniosła bojowy okrzyk:

- Go-go-Bobby, go-go-go, Bobby-be-good!
- No to już koniec – stwierdził Andrew z rezygnacją.
- Toowoomba przegra walkę?
- Oszalałeś? – Andrew popatrzył na niego ze szczerym zdumieniem. –

Toowoomba zabije tego faceta. A ja miałem nadzieję, że nic złego się tu dzisiaj nie wydarzy.

Harry skoncentrował się, próbując dostrzec to, co widział Andrew. Toowoomba położył się na linach, wyglądał niemal na odprężonego, podczas gdy Bobby wściekle walił w mięśnie jego brzucha. Harry'emu przez moment wydawało się, że Toowoomba zaśmie. Kobieta w bieli ciągnęła za sznury za plecami Aborygena. Bobby zmienił taktykę i celował teraz w głowę, lecz Toowoomba unikał ciosów, uchylając się górną połową ciała powoli, wręcz leniwie. Prawie jak wąż okularnik, pomyślał Harry. Prawie jak...

Kobra!

Bobby zeszywniał w pół ruchu. Głowę miał wykręconą w lewo, a na twarzy wyraz taki, jakby akurat przypomniał sobie coś, co kompletnie uciekło mu z pamięci, a potem oczy wywróciły mu się w tył głowy, ochraniacz na zęby wypadł z ust, a równy, cienki strumyczek krwi trysnął z małej dziurki na grzbiecie nosa w miejscu, gdzie kość nosowa została złamana. Toowoomba zaczekał, aż Bobby znajdzie się w połowie drogi do podłogi, dopiero wtedy uderzył ponownie. W namiocie zapadła kompletna cisza. Harry wyraźnie usłyszał paskudny plask, kiedy drugi cios trafił w nos Bobby'ego, po czym kobiecy głos wykrzyczał pozostałą część jego imienia:

- ...biii!

Jasnoczerwona krew z głowy Bobby'ego przemieszana z potem opryskała narożnik.

Terry skoczył do przodu i dał właściwie niepotrzebny już sygnał, że walka jest skończona. W namiocie wciąż panowała cisza, słychać było jedynie stukot butów biało ubranej kobiety, kiedy pędziła po drewnianych deskach środkowym przejściem i wybiegała z namiotu. Sukienkę miała z przodu pobrudzoną na czerwono, a na twarzy ten sam wyraz zdziwienia co Bobby.



Toowoomba próbował pomóc w postawieniu Bobby'ego na nogi, ale sekundanci go odepchnęli. Ktoś gdzieś zaklaskał, ale zaraz ucichł. Rozległy się jednak tym głośniejsze gwizdy, kiedy Terry podniósł rękę Toowoombi wysoko do góry. Andrew pokręcił głową.

– Sporo ludzi tutaj na pewno postawiło pieniądze na lokalnego mistrza – stwierdził. – Chodźmy, odbierzemy forszę i zamienimy kilka poważnych słów z tym durniem Murri.

– Robin, ty głupku, powinni cię zamknąć, naprawdę!

Twarz Robina „Murri” Toowoombi rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Przykładał sobie do oka łód owinięty ręcznikiem.

– Tuka! Słyszałem cię w środku. Znów wróciłeś do hazardu?

Toowoomba mówił cicho. To człowiek przyzwyczajony do tego, że się go słucha, pomyślał natychmiast Harry. Głos miał przyjemny i łagodny, zdaniem Harry'ego nie brzmiał jak głos człowieka, który przed chwilą złamał nos mężczyźnie dwa razy większemu od siebie.

– Hazard? – prychnął Andrew. – Za moich czasów stawiania pieniędzy na chłopców Chiversa nie dało się nazwać hazardem, ale teraz, zdaje się, nie ma nic pewnego na świecie. Jak mogłeś tak się dać oszukać jakimś cholernemu białemu prostakowi? Do czego to doprowadzi?

Harry chrząknął.

– A tak, rzeczywiście – przypomniał sobie Andrew. – Robin, poznaj mojego kolegę. To jest Harry Holy. Harry, to największy łajdak i psychopata morderca, Robin Toowoomba.

Podali sobie ręce, a Harry znów poczuł się tak, jakby wsadził palce między drzwi. Wyduślił z siebie: „Jak się masz?” i w odpowiedzi, której towarzyszył uśmiech odsłaniający perłowobiałe zęby, usłyszał: „Absolutnie fantastycznie, stary, a ty jak się masz?”.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odparł Harry, rozcierając dłoń.

Te australijskie obyczaje doprawdy wiele go kosztowały. Według Andrew należało opisać swoje niesłychanie dobre samopoczucie, a chłodne: „Dziękuję, nieźle” mogło prędko zostać wzięte za obrazę.

Toowoomba kciukiem wskazał na Andrew.

– À propos łajdaka, czy Tuka powiedział ci, że kiedyś sam boksował dla Jima Chiversa?

– Najwyraźniej wciąż jeszcze nie wiem wielu rzeczy o... hm... Tuce. To tajemniczy facet.

– Tajemniczy? – roześmiał się Toowoomba. – On tylko nie mówi wprost. Tuka mówi ci wszystko, co powinienes wiedzieć, musisz tylko umieć go słuchać. Ale oczywiście nie powiedział ci, że poproszono go o odejście od Chiversa, ponieważ był zwyczajnie zbyt niebezpieczny? Ile kości policzkowych, nosowych i szczęk masz na sumieniu, Tuka? Uważano go za największy młody talent w boksie, jakiego nie było w Nowej Południowej Walii od wielu lat. Ale pojawił się pewien problem. Tuka nie potrafił panować nad sobą, nie wiedział, co to dyscyplina. W końcu podczas pewnego meczu pobił sędziego, który, jego zdaniem, zakończył walkę zbyt wcześnie, w dodatku na korzyść Tuki. To dopiero żądza krwi! Zawieszono go na dwa lata.

– Na trzy i pół – uśmiechnął się Andrew. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, by Toowoomba opowiadał o jego karierze bokserskiej. – Mówię ci, ten cholerny sędzia to był prawdziwy kretyn. Ledwie go tknąłem, a on od razu upadł i złamał sobie obojczyk.

Toowoomba i Andrew zaśmiali się serdecznie i uderzyli dłońmi.

– Robin dopiero się urodził, kiedy ja już boksowałem. On tylko cytuje to, co sam mu mówiłem – wyjaśnił Andrew Harry'emu. – Był w grupie trudnej młodzieży, z którą pracowałem w wolnych chwilach. Trenowaliśmy boks i po to, by uświadomić chłopcom znaczenie panowania nad sobą, opowiedziałem im kilka półprawdziwych historii o sobie. Ku przestrodze. Robin najwyraźniej źle mnie zrozumiał i zamiast się zniechęcić, zaczął mnie naśladować.

Toowoomba spoważniał.

– Zwykle dobre z nas chłopaki, Harry. Pozwalamy im się trochę pokreć, zanim zadamy parę luźnych ciosów, żeby zrozumieli, kto tu rządzi. Później na ogół szybko się poddają. Ale ten facet umiał boksować, mógł wyrzucić komuś krzywdę. Takie typki dostają to, o co proszą.

Otworzyły się drzwi.

– Niech cię cholera, Toowoomba! Jakbyśmy już wcześniej nie mieli

problemów, to jeszcze musiałeś złamać nos zięciowi miejscowego szefa policji! – Konferansjer Terry wyglądał na bardzo niezadowolonego, a swoją dezaprobatę podkreślił głośnym splunięciem na podłogę.

– To był czysty odruch, szefie – odparł Toowoomba, spoglądając na brunatną od tytoniu plwocinę. – Więcej się nie powtórzy – oświadczył, puszczając oko do Andrew.

Wstali. Toowoomba i Andrew objęli się, na pożegnanie wypowiadając kilka zdań w języku, z którego Harry nie rozumiał ani słowa. On sam czym prędzej poklepał Toowoombę po ramieniu, żeby uniknąć kolejnych uścisków dłoni.

– Po jakimu rozmawialiście na koniec? – spytał Harry, kiedy już wsiedli do samochodu.

– Po kreolsku. To mieszanka angielskiego ze słowami pochodzenia aborygeńskiego. Posługuje się nią wielu Aborygenów w całym kraju. A jak ci się podobał boks?

Harry nie spieszył się z odpowiedzią.

– Ciekawie było zobaczyć, jak zarabiasz trochę forsy, ale moglibyśmy już być w Nimbin.

– Gdybyśmy nie przyjechali tu dzisiaj, to nie mógłbyś spędzić wieczoru w Sydney – przypomniał Andrew. – Nie można umówić się z taką kobietą, a potem po prostu nie przyjść. Przecież mówimy być może o twojej przyszłej żonie i matce małych Holych, Harry.

Obaj uśmiechnęli się lekko. Samochód mijał drzewa i niskie domy. Słońce na wschodniej półkuli zachodziło.

Zanim dojechali do Sydney, zrobiło się ciemno, ale wieża telewizyjna świeciła w środku miasta niczym gigantyczna żarówka, wskazując drogę. Andrew zatrzymał się przy Circular Quay w pobliżu Opery. Przez snop światła samochodowego reflektora przeleciał nietoperz i zaraz zniknął. Andrew zapalił cygaro i dał Harry’emu znak, żeby jeszcze siedział.

– Nietoperz to aborygeński symbol śmierci, wiedziałeś o tym? Wyobraź sobie miejsce, w którym ludzie żyją w izolacji przez czterdzieści tysięcy lat.

Innymi słowy nie zetknęli się z judaizmem, nie mówiąc już o chrześcijaństwie i islamie, ponieważ od najbliższego kontynentu dzieli ich cały ocean, a mimo to ich mit o stworzeniu świata jest mniej więcej taki: pierwszym człowiekiem był Beer-rok-born. Został stworzony przez Baime, niestworzonego, który stanowił początek wszystkiego i który kochał wszystkie stworzenia i o nie dbał. Niezły gość, innymi słowy, ten Baime, wśród przyjaciół zwany Wielkim Ojcowskim Duchem. Po tym, jak Baime zapewnił Beer-rok-bornowi i jego kobiecie stosunkowo dobre miejsce do życia, nazaczył swoim znakiem drzewo *yarran*, na którym mieszkał rój pszczoł. Nakazał dwojgu ludziom: „Możecie szukać pożywienia w całej krainie, którą wam podarowałem, lecz to drzewo jest moje. Jeśli spróbujecie tam zdobyć pożywienie, i was, i wasze potomstwo czeka wiele zła”. Coś w tym rodzaju. W każdym razie pewnego dnia, kiedy kobieta Beer-rok-bornowa wybrała się po drewno, doszła do drzewa *yarran*. Z początku przestraszyła się na widok świętego drzewa, lecz dookoła leżało tyle chrustu, że nie uległa instynktowi, który nakazywał jej uciekać stamtąd czym prędzej. Poza tym Baime nie wspominał nic o chruście. Kiedy zbierała suche gałązki, usłyszała nagle lekki szum nad głową, popatrzyła w górę i ujrzała pszczoły. Dostrzegła również miód ściekający po pniu. Wcześniej próbowała miodu tylko raz, a tymczasem tu było go bardzo dużo. Przezrocyste słodkie krople lśniły w słońcu i kobieta Beer-rok-bornowa nie potrafiła dłużej opierać się pokusie. Wspięła się na drzewo.

W tej samej chwili z góry powiało chłodem i kobietę objęła jakaś wstrętna postać z olbrzymimi czarnymi skrzydłami. Był to nietoperz Narahdarn, którego Baime wyznaczył do pilnowania świętego drzewa. Kobieta spadła na ziemię i biegiem wróciła do swojej jaskini. Skryła się tam, było już jednak za późno. Sprowadziła na świat śmierć, której symbolem był nietoperz Narahdarn, a jego przekleństwo miało dotknąć wszystkich potomków Beer-rok-bornowa. Drzewo *yarran* zapłakało gorzkimi łzami nad tą tragedią. Łzy spływały po pniu i zastygały, właśnie dlatego na korze drzewa *yarran* można dzisiaj znaleźć czerwoną gumę.

Andrew z zadowoleniem ssał cygaro.

– Adam i Ewa bardzo się chyba od tego nie różnią?

Harry pokiwał głową, przyznając, że rzeczywiście jest wiele

podobieństw.

– A może po prostu ludzie bez względu na to, w jakim miejscu na Ziemi mieszkają, mają te same wizje i fantazje? – Zamyślił się. – Może są one wrodzone, dane przez naturę, wpisane w pewnym sensie w twarde dyski i pomimo wszystkich różnic prędzej czy później i tak dotrzemy do identycznych odpowiedzi?

– Miejmy nadzieję, że tak jest – powiedział Andrew, mrużąc oczy wśród dymu. – Miejmy nadzieję.

Harry wypił już sporo ze swojej drugiej coli, kiedy zjawiła się Birgitta, dziesięć po dziewiątej. Ubrana była w prostą białą bawełnianą sukienkę, a rude włosy zebrała w imponujący koński ogon.

– Zacząłem się już bać, że nie przyjdiesz – powiedział Harry. Zabrzmiało to jak żart, ale on naprawdę tak myślał. Obawiał się tego od chwili, gdy umówili się na spotkanie.

– Naprawdę? – Birgitta spojrzała na niego rozbawiona. Poczł pewność, że to będzie miły wieczór.

Zamówili zielone curry z wieprzowiny, kurczaka z orzechami cashew z woka, australijskie chardonnay i perriera.

– Muszę powiedzieć, że spotkanie Szwedki tak daleko od ojczyzny było dla mnie wielkim zaskoczeniem.

– W tym nie ma nic dziwnego. W Australii mieszka około dziewięćdziesięciu tysięcy Szwedów.

– Co takiego?

– Większość wyemigrowała tutaj przed drugą wojną światową, ale mnóstwo młodziży przyjechało też w latach osiemdziesiątych, kiedy w Szwecji zaczęło wzrastać bezrobocie.

– A ja sądziłem, że wy, Szwedzi, zaczynacie tęsknić za klopsikami i słupem świętojańskim, jeszcze zanim dojedziecie do Helsingør.

– Musiałeś mieć na myśli Norwegów. Wy jesteście naprawdę zwariowani. Wszyscy Norwegowie, których tu poznałam, już po paru dniach zaczęli tęsknić za domem, a po dwóch miesiącach wyjeżdżali, wracali do siebie, do swoich norweskich swetrów.

– Ale z Inger było inaczej?

Birgitta spoważniała.

– Tak, z Inger było inaczej.

– Wiesz, dlaczego tu została?

– Pewnie z tego samego powodu co większość z nas. Człowiek wyjeżdża na wakacje, zakochuje się w kraju, w klimacie, w beztróskim życiu albo w jakimś facecie. Stara się o zezwolenie na pobyt, a dziewczyny ze Skandynawii nie mają problemów ze znalezieniem w Australii pracy w barze, i nagle okazuje się, że do domu tak daleko, a tutaj tak łatwo zostać.

– Z tobą też tak było?

– Mniej więcej.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Curry było gęste, ostre i smaczne.

– Co wiesz o nowym chłopaku Inger?

– Mówiłam już, że pewnego wieczoru zajrzał do baru. Poznała go w Queensland, wydaje mi się, że na Fraser Island. Wyglądał jak wydanie hippisa, które, jak sądziłam, już dawno wymarło, lecz okazało się, że w Australii żyje w najlepszym zdrowiu. Długie włosy z warkoczami, kolorowe obszerne szaty, sandały. Wyglądał, jakby przyszedł wprost z plaży w Woodstock.

– Woodstock leży w głębi lądu, w New Jersey.

– A nie było tam jakiegoś morza albo jeziora, w którym się kąpali? Wydaje mi się, że to pamiętam.

Harry przyjrzał się jej uważniej. Siedziała lekko zgarbiona, skoncentrowana na jedzeniu. Piegi jakby skupiły się na grzbiecie nosa. Harry uznał, że jest śliczna.

– Nie musisz wiedzieć takich rzeczy, jesteś za młoda.

Roześmiała się.

– A ty? Jesteś staruszką?

– Ja? W niektóre dni owszem. To przez tę pracę. Pod pewnymi względami człowiek bardzo szybko się starzeje. Ale mam nadzieję, że nie jestem jeszcze do tego stopnia pozbawiony złudzeń i cyniczny, żeby od czasu do czasu nie poczuć, że żyję.

– Biedaku!

Harry nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale nie mówię tego, żeby zaapelować do twoich matczynych instynktów, chociaż może nie byłby to wcale taki zły pomysł. Tak po prostu jest.

Obok stolika przeszedł kelner i Harry skorzystał z okazji, żeby zamówić jeszcze jedną wodę mineralną.

– Za każdym razem, gdy bada się historię morderstwa, człowiek zostaje w jakiś sposób zraniony. Niestety z reguły za morderstwem kryją się raczej ludzkie brudy i smutne historie, motywy znacznie mniej wyrafinowane niż te, które można odnaleźć w powieściach Agathy Christie. Na początku uważałem się za kogoś w rodzaju rycerza sprawiedliwości, ale teraz niekiedy czuję się jak śmieciarz. Mordercy to na ogół żałosne typki i bez trudu można wskazać co najmniej dziesięć dobrych powodów, dla których stali się, kim się stali. Z reguły kończy się więc tym, że człowiek przede wszystkim odczuwa frustrację, głównie dlatego, że przestępcom nie wystarczy niszczenie własnego życia, że przy upadku muszą pociągnąć za sobą również innych. Prawdopodobnie to, co mówię, wciąż brzmi trochę sentymentalnie...

– Przepraszam, nie chciałam wydać się cyniczna, rozumiem, o co ci chodzi – odparła.

W łagodnym powiewie wiatru z ulicy płomień świecy stojącej na stole między nimi zamigotał.

Birgitta opowiedziała o tym, jak razem ze swoim chłopakiem cztery lata temu spakowali w Szwecji plecaki i wyruszyli jako *backpackers*, o tym jak przejechali z Sydney do Cairns autobusem i autostopem, jak nocowali w namiotach i w tanich hotelach, jak w tych samych hotelach pracowali jako recepcjoniści i kucharze. Nurkowali przy Wielkiej Rafie Koralowej i pływali w otoczeniu żółwi i rekinów młotów. Medytowali przy Ayers Rock, oszczędzali na pociąg z Adelaide do Alice Springs, byli na koncercie Crowded House w Melbourne, aż w pewnym motelu w Sydney natrafili na ślełą ścianę.

– To dziwne, że coś, co funkcjonuje tak dobrze, może być taką... pomyłką.

– Pomyłką?

Birgitta chwilę się zawahała. Może uznała, że już i tak opowiedziała temu natrętnemu Norwegowi więcej, niż powinna.

– Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić. Po drodze coś straciliśmy. Coś, czego istnienie przyjmowaliśmy za pewnik. Przestaliśmy się zauważać, a wkrótce przestaliśmy się też dotykać. Zmieniliśmy się po prostu w towarzyszy podróży, w osoby, które dobrze jest mieć przy sobie, bo taniej jest mieszkać w dwuosobowym pokoju i bezpieczniej nocować z kimś w namiocie. On w Noosa poznał Niemkę, córkę bogatych rodziców, a ja pojechałam dalej, żeby miał spokój. Nic mnie to nie obchodziło. Kiedy przyjechał do Sydney, powiedziałam, że zakochałam się w niedawno poznanym głupim surferze z Ameryki. Nie wiem, czy mi uwierzył, może zrozumiał, że po prostu daję nam obojgu pretekst, żeby zakończyć ten związek. Próbowaliśmy się kłócić w tym motelu, ale nawet to już nam się nie udało. Powiedziałam mu, żeby jechał wcześniej do Szwecji, a ja przyjadę za nim.

– Chyba bardzo cię wyprzedził.

– Byliśmy ze sobą sześć lat. Uwierzysz, że prawie nie pamiętam, jak wyglądał?

– Oczywiście.

Birgitta westchnęła.

– Nie przypuszczałam, że tak może być. Byłam pewna, że się pobierzemy i będziemy mieć dzieci, zamieszkamy na przedmieściach Malmö w domku z ogrodem, z gazetą „Svenska Dagbladet” na schodach, a teraz... Teraz ledwie mogę przypomnieć sobie jego głos i to, jak się z nim kochałam, albo... – spojrzała na Harry’ego – albo to, że był zbyt uprzejmy, by kazać mi siedzieć cicho, kiedy po paru kieliszkach wina zaczynałam za dużo gadać.

Harry uśmiechnął się szeroko. Birgitta nie skomentowała faktu, że on nie tknął wina.

– Ja wcale nie jestem uprzejmy, tylko ciekawy – powiedział.

– W takim razie sam musisz mi opowiedzieć coś bardziej osobistego niż to, że jesteś policjantem.

Pochyliła się nad stołem. Harry nakazał sobie powstrzymać się od zagładania jej w dekolcie. Poczul jej zapach i pożądliwie wciągnął nosem



powietrze. Nie może dać się omamić. To tylko działanie tych cynicznych drani Karla Lagerfelda albo Christiana Diora, którzy dokładnie wiedzą, czego trzeba, żeby zawrócić w głowie nieszczęsnemu samcowi.

Birgitta pachniała cudownie.

– Cóż – zaczął Harry. – Mam siostrę, moja matka zmarła kilka lat temu, mieszkam w mieszkaniu, którego nie mogę się pozbyć, na Tøyen w Oslo. Nie mam za sobą żadnych długich związków, tylko jeden, który pozostawił ślad.

– Naprawdę? I w twoim życiu nie ma teraz nikogo?

– Właściwie nie. Utrzymuję parę nieskomplikowanych i bezsensownych układów z kobietami, do których od czasu do czasu dzwonię, kiedy one nie dzwonią do mnie.

Birgitta zmarszczyła czoło.

– Powiedziałem coś nie tak? – spytał Harry.

– Nie wiem, czy interesuje mnie ten typ mężczyzn czy też kobiet. Jestem pod tym względem trochę staroświecka.

– Oczywiście wszystko to jest już teraz za mną – zapewnił natychmiast Harry, podnosząc do góry szklanekę z perrierem.

– Nie wiem też, czy podobają mi się twoje szybkie odpowiedzi. – Birgitta stuknęła się z nim kieliszkiem.

– A czego szukasz w mężczyźnie?

Oparła brodę na rękę i zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że lepiej wiem, czego nie lubię, niż co lubię w mężczyznach.

– No to czego nie lubisz? Oprócz szybkich odpowiedzi.

– Mężczyzn, którzy próbują mnie poderwać.

– Bardzo ci dokuczają?

Uśmiechnęła się.

– Pozwól, że coś ci podpowiem, casanova: jeśli chcesz oczarować kobietę, to musisz sprawić, by poczuła się wyjątkowa, specjalnie traktowana, by uważała, że dostaje coś, czego nie dostaje żadna inna. Mężczyźni, którzy próbują podrywać dziewczyny w barach, na ogół tego nie rozumieją. A w przypadku takiego libertyna jak ty mówienie na ten temat jest jak rzucanie pereł przed wieprze.

Harry roześmiał się.

– Mówiąc „parę kobiet”, miałem na myśli dwie. Mówię „parę”, bo to lepiej brzmi. Może na przykład ktoś pomyśli, że chodzi o... trzy. Poza tym jedna z nich, sądząc z tego, co powiedziała, kiedy ostatnio się z nią widziałem, próbuje wrócić do swojego byłego chłopaka. Dziękowała mi za to, że byłem taki nieskomplikowany, a nasz związek... cóż, chyba bezsensowny. Ta druga to kobieta, z którą zaczynałem się wiązać, a która teraz upiera się, że ponieważ to ja się wycofałem, moim obowiązkiem jest zapewnienie jej przynajmniej minimum życia seksualnego, dopóki któremuś z nas nie ułoży się inaczej. Ale chwileczkę, dlaczego ja przyjmuję pozycję obronną? Jestem porządnym facetem, który muchy by nie skrzywdził. Czyżbyś sugerowała, że staram się kogoś tutaj oczarować?

– Owszem, starasz się oczarować mnie. Nie próbuj zaprzeczać.

Harry nie zaprzeczył.

– W porządku. Jak sobie radzę?

Birgitta wypła spory łyk wina, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chyba dobrze. W każdym razie nieźle. A właściwie... całkiem dobrze.

– Czy to znaczy, że oceniasz mnie na czwórkę z minusem?

– Mniej więcej tak.

W dole przy porcie było ciemno, prawie pusto, wiał rześki wiatr. Na schodach do oświetlonego budynku Opery młoda para o niezwyklej tuszy ustawiała się przed fotografem. Dyrygował świeżo upieczonymi małżonkami, kazał stawać raz tu, raz tam, a oni wyglądali na bardzo niezadowolonych z tego, że muszą stale przesuwac swoje wielkie ciała. W końcu jednak doszli do porozumienia z mistrzem i nocna sesja fotograficzna przed Operą zakończyła się śmiechem i być może kilkoma łezkami.

– To chyba musi być taki stan, o którym się mówi, że się pęka ze szczęścia – stwierdził Harry. – A może po szwedzku tak się nie mówi?

– Owszem, po szwedzku też można być aż tak szczęśliwym. – Birgitta ściągnęła gumkę z włosów i stanęła na wietrze przy balustradzie nad morzem. – Tak, to się zdarza – powiedziała właściwie do siebie. Obróciła

się piegowatym nosem w stronę morza, a wiatr zwał jej rude włosy do tyłu.

Przypominały parzydełka meduzy. Harry nie wiedział, że meduzy mogą być takie piękne.

#### 4. MIASTO O NAZWIE NIMBIN, KLAUS KINSKI I KÅRE

##### WILLOCH

Zegarek Harry'ego wskazywał jedenastą, kiedy samolot wylądował w Brisbane, ale stewardesa przez głośnik upierała się, że jest dopiero dziesiąta.

– W Queensland nie mają czasu letniego – wyjaśnił Andrew. – To była głośna sprawa polityczna, zakończona referendum. Chłopi głosowali przeciwko.

– O rany! To zabrzmiało tak, jakbyśmy przyjechali do krainy konserwy.

– Rzeczywiście, stary. Jeszcze parę lat temu mężczyźni z długimi włosami nie mieli prawa wstępu na teren tego stanu. To było po prostu zabronione.

– Żartujesz, prawda?

– Queensland jest trochę inne. Pewnie wkrótce zakaże się tu wstępu skinheadom.

Harry z zadowoleniem pogładził się po ostrzyżonych na jeża jasnych włosach.

– Czy powinienem wiedzieć o Queensland coś więcej?

– Hm... jeśli masz jakąś marihuanę w kieszeniach, to powinieneś raczej zostawić ją w samolocie. Przepisy dotyczące narkotyków są w Queensland surowsze niż w innych stanach. Nie przypadkiem Festiwal Aquarius zorganizowano w Nimbin. Miasto leży tuż za granicą Nowej Południowej Walii.

Znaleźli stanowisko firmy Avis, w której zarezerwowano im samochód.

– W zamian za to Queensland ma takie miejsca, jak Fraser Island, Wielka Wyspa Piaszczysta, gdzie Inger Holter poznała Evansa White'a. Ta wyspa to właściwie olbrzymia piaskowa wydma, ale na środku znajdziesz tropikalny las deszczowy, jeziora z najczystsza na świecie wodą i piasek tak biały, że plaże wyglądają jak z marmuru. Nazywa się go piaskiem krzemowym, bo zawartość krzemu jest o wiele wyższa niż w zwykłym

piasku. Prawdopodobnie możesz go wsypać wprost do komputera.

– Kraina obfitości, prawda? – stwierdził facet za ladą, podając im kluczyki.

– Ford Escort? – Andrew skrzywił się, ale podpisał. – To one jeszcze istnieją?

– Specjalna zniżka, *sir*.

– Nie wątpię.

Słońce paliło Pacific Highway, a panorama Brisbane ze szkła i kamienia lśniła w oddali jak kryształki w żyrandolu.

– Pięknie – stwierdził Harry. – Bardzo porządnie i przyzwoicie, jak gdyby ktoś zaprojektował i wybudował całość naraz.

– To niezbyt dalekie od prawdy; Brisbane to pod wieloma względami całkowicie nowe miasto. Nie tak wiele znów lat temu była to po prostu duża wioska, w której mieszkało kilkuset wieśniaków. Jak się dobrze rozejrzysz, to zauważysz, że ludzie wciąż mają tu odrobinę krzywe nogi. Ale miasto jest jak świeżo odremontowana kuchnia, lśniące, ma proste linie, a dookoła mnóstwo wolno przeżuwiających krów.

– To był naprawdę wspaniały obraz, Andrew. Nie musisz się więcej popisywać, kierowco!

Z autostrady prowadzącej na wschód zjechali w zielony pofałdowany krajobraz i pędzili na przemian wśród lasów i pól uprawnych.

– Witamy na australijskiej prowincji – powiedział Andrew.

Mijali pasące się krowy, które przyglądały się im zamglonym spojrzeniem.

Harry zaśmiał się.

– Co się stało? – spytał Andrew.

– Widziałeś tę historyjkę obrazkową Larsona, na której krowy stoją na dwóch nogach, gadają na łące i popalają papierosy, a potem nagle któraś z nich woła: „Uwaga, kolejny samochód!”?

Zapadła cisza.

– Kto to jest Larson?

– Nieważne.

Mijali niskie drewniane domy z werandami, z drzwiami zasłoniętymi moskitierą i pikapami zaparkowanymi od frontu.

Widzieli szerokozade robocze konie, popatrujące za nimi melancholijnie, ule i świnie, które z wielkim zadowoleniem tarzały się w błocie za ogrodzeniem. Drogi stawały się coraz węższe. Około południa zatankowali benzynę w jakiejś małej miejscowości, gdzie tablica informacyjna powiedziała im, że znajdują się w Uki, które przez dwa lata z rządu ogłaszano najczystszy miastem w Australii. Nie napisano jednak, kiedy to było.

– O rany! – westchnął Harry, kiedy wreszcie dotoczyli się do Nimbin.

Główna ulica miała około stu metrów, domy pomalowano na wszystkie kolory tęczy, a galeria obecnych tam postaci wyglądała na żywcem wyjętą z jednego z filmów o Cheechu i Chongu, które Harry miał w swojej kolekcji wideo.

– To przecież lata siedemdziesiąte! – wykrzyknął. – Zobacz, Peter Fonda obściskuje się z Janis Joplin!

Przejechali wolno w górę ulicy. Spojrzenia lunatycznych oczu śledziły samochód.

– To naprawdę fantastyczne, nie sądziłem, że takie miejsca jeszcze istnieją. Można umrzeć ze śmiechu.

– Dlaczego? – spytał Andrew.

– Ty nie uważasz, że to komiczne?

– Komiczne? Rozumiem, że dzisiaj łatwo się śmiać z tych marzycieli. Widzę, że nowe pokolenie uważa dzieci kwiaty za bandę ćpunów, którzy tylko grali na gitarach akustycznych, czytali na głos własne wiersze i na okrągło pieprzyli się ze sobą w przypadkowej kolejności. Przyglądam się, jak organizatorzy Woodstock udzielają wywiadów w krawatach i ze śmiechem opowiadają o ideach z tamtych czasów, które dzisiaj najwyraźniej wydają im się bardzo naiwne. Ale ja nie potrafię tak na to patrzeć. Jestem głęboko przekonany, że świat byłby zupełnie inny bez tych idei, które przyniosło tamto pokolenie. Hasła o pokoju i miłości to dziś może tylko wytarte slogany, ale my, którzy dorastaliśmy w tamtych czasach, naprawdę tak myśleliśmy. Całymi sobą.

– Czy ty nie jesteś trochę za stary na to, żeby być hippisem?

– Owszem, byłem stary. Byłem zblazowanym przebiegłym hippisem – uśmiechnął się Andrew. – Niejedna dziewczynka dostała wtajemniczenia w liczne sekrety miłości razem z wujkiem Andrew.

Harry szturchnął go w ramię.

– Wydawało mi się, że jeszcze przed chwilą opowiadałeś o ideałach, ty stary knurze!

– Oczywiście, że to był idealizm – odparł Andrew urażony. – Przecież nie mogłem rzucić tych kruchych kwiatków na pastwę niezdarnego przyszczatego nastolatka, ryzykując, że dziewczyna przeżyje traumę, która naznaczy ją na następnych dziesięć lat.

– A więc to był najważniejszy wkład lat siedemdziesiątych dla dzisiejszego społeczeństwa?

Andrew pokręcił głową.

– Powietrze, człowieku, to się czuło w powietrzu. Wolność. Wiarę w człowieka. Możliwość zbudowania czegoś nowego. I nawet jeśli Bill Clinton twierdzi, że nie zaciągał się marihuaną, to jednak wdychał to samo powietrze, tego samego ducha, co reszta z nas. I oczywiście to się odbiło na wszystkich. Cholera, trzeba by było nie oddychać co najmniej przez pięć lat, żeby bodaj cząstka tamtej atmosfery nie przeniknęła do krwi. Śmieję się więc, Harry Holy, ale za dwadzieścia lat, kiedy się już zapomni o rozszerzanych spodniach i całej marnej poezji, myśl tamtych czasów ukaże się w zupełnie innym świetle. Wspomnisz moje słowa!

Harry i tak się roześmiał.

– Nie bierz tego do siebie, Andrew, ale ja dorastałem w następnym pokoleniu. Dokładnie tak jak wy wyśmiewaliście się z obcisłych koszul i włosów wysmarowanych brylantyną z lat pięćdziesiątych, tak samo my śmialiśmy się z waszych proroków i z kwiatów we włosach. Myślisz, że dzisiejsze nastolatki nie śmieją się z takich jak ja? Tak to już jest. Ale wygląda na to, że tutaj lata siedemdziesiąte zdołały przeżyć.

Andrew machnął ręką.

– Wydaje mi się, że w Australii panuje szczególnie dobry klimat dla roślin takich jak tutaj. Ruch hippisów nigdy całkiem tu nie zamarł, a raczej przeszedł bezpośrednio w New Age. W każdej księgarni znajdziesz co najmniej jedną ścianę z książkami na temat alternatywnego stylu życia,

healingu, kontaktu ze swoim wewnętrznym ja, wegetarianizmu, sposobu na uwolnienie się od materializmu i życie w harmonii z samym sobą i z naturą. Ale oczywiście nie wszyscy palą trawkę.

– To nie jest New Age, Andrew. To starzy, fest zaćpani hippisi, ni mniej, ni więcej.

Andrew wyrzął przez okno i roześmiał się. Siedzący na ławce facet w tunice i z długą siwą brodą pokazał im znak „V”. Na tabliczce z rysunkiem starego żółtego hippisowskiego busa widniał napis: „Muzeum Marihuany”, a niżej, mniejszymi literami: „Wstęp: Jeden dolar. Jeśli nie możesz zapłacić, i tak wejdź”.

– Tu, w Nimbin, jest muzeum narkotyków – wyjaśnił Andrew. – Głównie to śmieci, lecz o ile dobrze pamiętam, mieli sporo interesujących oryginalnych zdjęć z meksykańskich wypraw Kena Keseya, Jacka Kerouaca i innych pionierów z czasów eksperymentowania z narkotykami rozszerzającymi świadomość.

– Kiedy LSD nie było groźne?

– A seks był po prostu zdrowy. Cudowny czas, Harry Holy. Żałuj, że cię tu wtedy nie było.

Zaparkowali nieco wyżej na głównej ulicy, a potem się cofnęli. Harry zdjął okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban i starał się wyglądać na cywila. W Nimbin najwyraźniej trwał spokojny dzień i Harry z Andrew przeszli pod obstrzałem spojrzeń między handlującymi: „Dobra trawa... Najlepsza w Australii, człowieku... Trawa z Papui-Nowej Gwinei, fantastyczna!”.

– Papua-Nowa Gwinea! – prychnął Andrew. – Nawet tu, w stolicy trawki, ludzie żyją w przekonaniu, że trawa jest lepsza, jeśli tylko pochodzi z dostatecznie odległego miejsca. A ja mówię: kupuj to, co australijskie!

Ciężarna, a mimo to bardzo chuda dziewczyna, siedząca na krześle przed „muzeum”, zamachała do nich. Mogła mieć od dwudziestu do czterdziestu lat. Ubrana była w luźne, intensywnie kolorowe szaty, a koszulę z przodu miała rozpiętą w taki sposób, że wystawał spod niej brzuch ze skórą naciągniętą jak na bębnie. Harry’emu wydawało się, że dziewczyna ma w sobie coś znajomego. Sądząc po wielkości żrenic, mógł stwierdzić, że w jej menu śniadaniowym znalazły się substancje bardziej pobudzające niż marihuana.



– Szukacie czegoś innego? – spytała. Widać zauważyła, że nie okazali żadnego zainteresowania trawą.

– Nie... – zaczął Harry.

– Chodzi wam o kwas, chcecie LSD, prawda? – Pochylona w ich stronę, mówiła szybko, z napięciem.

– Nie, nie chcemy kwasu – odparł Andrew cicho i zdecydowanie. – Szukamy czegoś innego, rozumiesz?

Dziewczyna dalej się im przyglądała. Andrew poruszył się tak, jakby chciał odejść, a wtedy zerwała się z krzesła. Wielki brzuch przynajmniej pozornie wcale jej w tym nie przeszkadzał. Złapała Andrew za rękę.

– Okej, ale tutaj tego nie załatwimy. Przyjdźcie za dziesięć minut do tego pubu po drugiej stronie ulicy.

Andrew kiwnął głową, dziewczyna odwróciła się i ruszyła w dół ulicy, niosąc swój wielki brzuch przed sobą. Po piętach deptał jej mały szczeniak.

– Wiem, o czym myślisz, Harry – powiedział Andrew, zapalając cygaro.  
– Uważasz, że to brzydko z naszej strony oszukiwać Dobrą Mateczkę, że chcemy kupić heroinę. Że kilkaset metrów dalej, na tej samej ulicy, jest posterunek policji i że tam moglibyśmy się dowiedzieć wszystkiego, co nam potrzeba, o Evansie Whicie. Ale ja mam uczucie, że tak będzie prędzej. Chodźmy na piwo, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Pół godziny później Dobra Mateczka zjawiała się w niemal pustym pubie w towarzystwie faceta, który sprawiał wrażenie naćpanego co najmniej tak samo jak ona. Wyglądał jak hrabia Drakula w wydaniu Klausa Kinskiego, ubrany na czarno, blady i wychudzony, z sińcami wokół oczu.

– No proszę – szepnął Andrew. – Temu przynajmniej nie można zarzucić, że nie testuje tego, co sprzedaje.

Dobra Mateczka i klon Kinskiego od razu skierowali się do nich. Mężczyzna sprawiał wrażenie, że nie ma ochoty spędzać w dziennym świetle więcej czasu niż to absolutnie konieczne.

– Za ile chcecie kupić? – spytał, omijając wszystkie uprzejmości.

Andrew siedział demonstracyjnie obrócony plecami.

– Wolałbym, żeby było nas jak najmniej, kiedy będziemy przechodzić do konkretów, *mister* – powiedział, nie obracając się.

Kinski zrobił ruch głową i rozzłoszczona Mateczka zniknęła. Najprawdopodobniej była na procencie, ale Harry przypuszczał, że zaufanie pomiędzy nią a Kinskim, jak w przypadku większości narkomanów, nie istniało.

– Nic przy sobie nie mam, a jeśli jesteście glinami, to obetnę wam jaja. Najpierw pokażcie forszę, potem stąd wyjdziemy. – Kinski mówił szybko i nerwowo, a jego spojrzenie przeskakiwało z miejsca na miejsce.

– To daleko? – spytał Andrew.

– Spacerok krótki, ale odlot dłu-ugi. – Na moment odłonił zęby w grymasie na kształt przelotnego uśmiechu.

– No dobra, stary. Siadaj i zamknij gębę – powiedział Andrew i pokazał mu policyjną odznakę.

Kinski zdrętwiał. Harry wstał i poklepał się po pasku za plecami. Narkoman i tak by nie sprawdzał, czy Harry rzeczywiście ma broń.

– Co to za amatorszczyzna? Mówiłem już przecież, że nic przy sobie nie mam. – Kinski ze złością opadł na krzesło obok Andrew.

– Wychodzę z założenia, że znasz miejscowego szeryfa i jego pomocników. Przypuszczam też, że oni znają ciebie. Ale czy wiedzą, że zacząłeś sprzedawać herę?

Typek wzruszył ramionami.

– A kto tu mówi o herze? Myślałem, że mowa o trawie...

– Oczywiście. Nikt nie powiedział ani słowa o herze i może ani słowa nie powie, pod warunkiem że udzielisz nam pewnych informacji.

– Żartujecie sobie ze mnie, prawda? Miałbym ryzykować, że obetną mi głowę za to, że kogoś wsypałem, tylko dlatego, że jakieś gliny nie stąd, które w dodatku nic na mnie nie mają, wpadają nagle i...

– Że kogoś wsypałeś? Spotkaliśmy się tutaj, niestety, nie doszliśmy do zgody w kwestii ceny towaru i tyle. Masz nawet świadka na to, że spotkaliśmy się, żeby ubić zwykły interes. Jeśli zrobisz to, co ci powiemy, to nigdy więcej nas nie zobaczysz, podobnie zresztą jak wszyscy inni tutaj.

Andrew zapalił cygaro i zmrużonymi oczyma popatrzył

na nieszczęsnego ćpuna po drugiej stronie stolika, potem dmuchnął mu dymem w twarz i podjął:

– Natomiast jeżeli nie dostaniemy tego, czego szukamy, może się zdarzyć, że wychodząc, przypniemy sobie policyjne odznaki i że w najbliższej przyszłości nastąpi kilka aresztowań, co z pewnością nie przysporzy ci popularności w środowisku. Nie wiem, czy wobec donosicieli stosuje się tę metodę, o której wspomniałeś wcześniej. Ci, co palą marihuanę, to z reguły pokojowo nastawieni ludzie, ale wiedzą to i owo, i nie zdziwiłoby mnie, gdyby szeryf najzupełniej przypadkiem któregoś dnia potknął się o cały twój magazyn. Ci od marihuany nie przepadają za konkurencją twardych narkotyków, a w każdym razie za konkurencją, którą są ćpuny donosiciele. A jeśli chodzi o wymiar kary za handel dużą ilością heroiny, to z pewnością orientujesz się, co może za to grozić?

Kolejna chmura niebieskiego dymu z cygara prosto w twarz Kinskiego. Nie co dzień ma się szansę dmuchnąć dymem w twarz świni, pomyślał Harry.

– Okej – podjął Andrew, kiedy Kinski milczał. – Evans White. Powiesz nam, gdzie on jest, kim on jest i w jaki sposób go znajdziemy. I to teraz.

Kinski rozejrzał się po pubie. Wielka głowa z zapadniętymi policzkami kiwała się na cienkiej szyi; przypominał sępa przy padlinie, który ostrożnie rozgląda się dokoła w strachu, czy przypadkiem lwy nie powrócą.

– Tylko to? – spytał. – Nic więcej?

– Nic więcej – odparł Andrew.

– A skąd mam wiedzieć, że za moment znów nie będziecie czegoś chcieli?

– Nie możesz tego wiedzieć.

Kiwnął głową, jak gdyby i tak miał świadomość, że to jedyna odpowiedź, na jaką może liczyć.

– No dobra. Na razie nie jest jeszcze grubą rybą, ale z tego, co słyszę, pnie się w górę. Pracował dla *madame* Rosseau, tutejszej królowej trawki, ale teraz buduje własny interes. Trawa, kwas i możliwe, że trochę morfiny. Trawa jest taka sama jak ta, którą sprzedaje reszta. Lokalna produkcja. Ale on ma, zdaje się, dobre kontakty w Sydney i dostarcza tam trawę w zamian

za tani dobry kwas. A kwas się teraz liczy.

– Nie ecstasy i heroina? – zdziwił się Harry.

– A dlaczego miałyby tak być? – spytał Kinski ze złością.

– Cóż, mogę mówić tylko o tym, jak jest tam, skąd przyjechałem, ale po fali *house* oblicza się, że w Anglii ponad połowa całej młodzieży powyżej szesnastego roku życia próbowała ecstasy. A po *Trainspotting* hera stała się najmodniejszym narkotykiem...

– Co? Jaki *house*? Jaki *Trainspotting*? – Mężczyzna patrzył na niego zdziwiony. Harry już wcześniej zetknął się z faktem, że ćpuny z opóźnieniem zauważają pewne zjawiska społeczne.

– Gdzie znajdziemy Evansa? – spytał Andrew.

– Sporo czasu spędza w Sydney, ale widziałem go w mieście parę dni temu. Ma dzieciaka z dziewczyną z Brisbane, która kiedyś się tu wałęsała. Nie wiem, gdzie ona teraz jest, ale dzieciak w każdym razie jest na farmie, na której Evans mieszka, kiedy przyjeżdża do Nimbin.

W krótkich słowach wyjaśnił, gdzie szukać gospodarstwa.

– Jaki to typ ten White? – dopytywał się Andrew.

– A co ja mam powiedzieć? – Kinski podrapał się w brodę, której nie miał. – Czarujący dupek, nie tak się mówi?

Andrew i Harry nie wiedzieli, ale pokiwali głowami na znak, że rozumieją, o co mu chodzi.

– Handluje się z nim dobrze, ale nie chciałbym być jego dziewczyną, jasne?

Tym razem pokręcili głowami.

– To przystojniak i słynie z tego, że nie wystarcza mu jedna samica naraz. Z jego dziewczynami ciągle są jakieś awantury, krzyki i wrzaski, więc nic dziwnego, że od czasu do czasu któraś pojawia się z podsinionym okiem.

– Hm. Wiesz coś o blondynce, Norweżce, Inger Holter? W zeszłym tygodniu znaleziono ją martwą nad Zatoką Watsona w Sydney.

– Tak? Nigdy o niej nie słyszałem. – Najwyraźniej gazety też go nie interesowały.

Andrew zgasił cygaro, obaj z Harrym wstali.

– Czy naprawdę mogę wierzyć, że będziecie trzymać gębę na kłódkę? –

spytał Kinski, patrząc na nich z niedowierzaniem.

– Oczywiście – odparł Andrew i ruszył w stronę drzwi.

Posterunek policji znajdował się przy głównej ulicy, a dokładnie rzecz biorąc, sto metrów od muzeum, i wyglądał jak zwykły dom mieszkalny. Różnił się tylko wystawioną na trawniku niedużą tabliczką ze stosowną informacją. W środku siedział szeryf i jeden z jego asystentów, każdy za swoim ogromnym biurkiem. W wielkim pokoju oprócz tego znajdowała się sofa, stół-ława, telewizor, imponujący zbiór roślin doniczkowych i półka na książki, na której stał olbrzymi ekspres do kawy. Zasłonki w drobną kratkę przydawały pomieszczeniu atmosfery norweskiego domku letniskowego.

– *Good day* – powiedział Andrew.

Harry przypomniał sobie, że kiedyś w latach osiemdziesiątych premier Kåre Willoch odezwał się tak samo do amerykańskich telewidzów. Dzień później urażone norweskie gazety oskarżyły premiera o ośmieszanie Norwegii za granicą prowincjonalnym angielskim.

– *Good day* – odparli szeryf i asystent, którzy najwyraźniej nie czytali norweskich gazet.

– Jestem Kensington, a to Holy. Zakładam, że dzwoniли z Sydney i wyjaśniali, dlaczego tu jesteśmy.

– I tak, i nie – odparł ten z mężczyzn, który najwidoczniej był szeryfem. Niebieskooki, ogorzały, w wieku około czterdziestu lat, o jowialnym wyglądzie i mocnym uścisku ręki. Przypominał Harry'emu postać ojca z australijskich filmów dla dzieci o kangurku Skippym lub delfinie Flipperze, jednego z tych ubranych w khaki, spokojnych, nienaganych moralnie australijskich bohaterów dnia codziennego, którzy potrafili znieść tyle trudów. – Ci z Sydney wyrażali się dość niejasno. Zrozumieliśmy, że szukacie jakiegoś faceta, ale nie chcieliście, żebyśmy go tu sprowadzili. – Szeryf wstał i podciągnął spodnie. – Boicie się, że się wygłupimy? Myślicie, że nie znamy się na swojej robocie?

– Bez obrazy, szefie. Wiemy, że macie pełne ręce roboty z tym nakreślaniami mapy marihuany. Pomyśleliśmy więc, że możemy odszukać

tego faceta bez zawracania wam głowy. Zdobyliśmy jakiś adres i właściwie chcemy tylko zadać mu kilka pytań.

Andrew wysunął dolną wargę na znak, że wszystko to jedynie błażostka.

– Sydney i Canberra to jedna sitwa – burknął niezadowolony szeryf. – Wydają rozkazy i przysyłają ludzi, a my, którzy siedzimy na miejscu, jako ostatni dowiadujemy się, o co chodzi. A na kogo spada wina, jak coś pójdzie nie tak?

– Amen – mruknął asystent zza biurka.

Andrew pokiwał głową.

– Szkoda gadać. Mamy z tym do czynienia na co dzień – stwierdził. – Gdziekolwiek się obrócisz, okazuje się, że szefowie wdepnęli tam już wcześniej. Tak się porobiło. My pracujemy w terenie i wiemy, jak co działa, a kierują nami szczury biurowe z marnym dyplomem prawa, które marzą jedynie o wydostaniu się stąd i robieniu kariery.

Harry czym prędzej twierdząco pokiwał głową i ciężko westchnął.

Szeryf przyjrzał się im badawczo, ale na twarzy Andrew nie dopatrywał się ironii. Zdecydował więc, że wątpliwości przemówią na korzyść oskarżonych, i zaproponował im kawę.

– Niezły macie tu ekspres. – Harry wskazał na potwora w kacie.

Dobrze trafił.

– Parzy litr kawy na minutę – oznajmił szeryf z dumą i dokonał krótkiego wprowadzenia w szczegóły techniczne urządzenia.

Po paru filiżankach kawy doszli do wniosku, że klub North Sydney Bears z ligi rugby to cholerne snoby i że norweski panczenista, narzeczony pływaczki Samantha Riley, to z całą pewnością gość w porządku.

– Widzieliście na mieście plakaty zapowiadające demonstrację? – spytał asystent. – Namawiają ludzi, żeby przyszli jutro na lądowisko i wywrócili nasz helikopter. Uważają, że fotografowanie prywatnych posiadłości jest sprzeczne z konstytucją. Wczoraj pięć osób się do niego przykuło. Nie mogliśmy podnieść sieżakarni w powietrze do późnego popołudnia.

Szeryf i asystent zachichotali. Wyraźnie było widać, że nie jest im z tego powodu przykro.

Po jeszcze jednej filiżance kawy Andrew i Harry wstali, stwierdzając,

że najwyższy czas porozmawiać chwilę z Evansem White'em, i podaniem ręki podziękowali za poczęstunek.

– Aha, jeszcze coś – przypomniał sobie Andrew, zatrzymując się w drzwiach. – Doszły mnie słuchy, że ktoś w Nimbin sprzedaje herę. Chudy ciemny gość. Wygląda jak wampir na strajku głodowym.

Szeryf gwałtownie poderwał głowę.

– Herę?

– Chyba chodzi mu o Mondale'a – stwierdził asystent.

– Mondale, ten pieprzony degenerat! – wściekł się szeryf.

Andrew uchylił nieistniejącego kapelusza.

– Pomyślałem sobie, że pewnie chcielibyście o tym wiedzieć.

– Jak kolacja z naszym świadkiem ze Szwecji? – spytał Andrew po drodze do rezydencji White'a.

– Smaczna. Mocno przyprawiona, ale smaczna – odparł natychmiast Harry.

– Przestań, Harry! O czym rozmawialiście?

– O wielu różnych rzeczach. O Norwegii i o Szwecji.

– Aha, i kto wygrał?

– Ona.

– A co takiego ma Szwecja, czego nie macie w Norwegii? – zdziwił się Andrew.

– Przede wszystkim najważniejsze: paru dobrych reżyserów filmowych. Bo Widerberga, Ingmara Bergmana...

– Phi! Reżyserzy! – prychnął Andrew. – My też ich mamy. Natomiast Edvarda Griega macie tylko wy.

– O rany! – zdziwił się Harry. – Nie wiedziałem, że jesteś znawcą muzyki klasycznej. Również.

– Grieg był geniuszem. Weź na przykład drugą część symfonii c-moll, tam gdzie...

– Przepraszam, Andrew – przerwał mu Harry. – Ja wyrosłem na punku, a do symfonii zbliżyłem się najbardziej przy Yes i King Crimson. Nie słucham muzyki z poprzednich stuleci, okej? Wszystko przed rokiem 1980

to epoka kamienna. Mamy zespół, który się nazywa Dumdum Boys, i...

– Prawykonanie symfonii c-moll odbyło się w 1981 – odparł Andrew. – Dumdum Boys? To bardzo pretensjonalna nazwa.

Harry się poddał.

Evans White patrzył na nich półprzymkniętymi oczami. Włosy w strąkach zwisały mu na twarz. Podrapał się w krocze i demonstracyjnie beknął. Nie wyglądał na zaskoczonego ich widokiem. Nie dlatego, że się ich spodziewał, ale prawdopodobnie fakt, że ludzie go odwiedzają, nie był niczym nadzwyczajnym. Mimo wszystko siedział na najlepszym kwasie w całym dystrykcie, a Nimbin to niewielka miejscowość, w której plotki szybko się roznoszą. Harry liczył się z tym, że człowiek taki jak White nie zajmuje się detalem, a już na pewno nie handluje w drzwiach własnego domu, lecz z pewnością na farmie od czasu do czasu pojawiali się zainteresowani kupnem hurtowych ilości.

– Źle trafiliście. Spróbujcie w mieście – oświadczył White i zamknął drzwi z moskitierą.

– Jesteśmy z policji, panie White. – Andrew pokazał swoją odznakę. – Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Evans odwrócił się do nich plecami.

– Nie dzisiaj. Nie lubię glin. Wróćcie z nakazem aresztowania albo przeszukania czy czymś takim, zobaczymy, co da się zrobić. Na razie dobranoc.

Trzasnął również wewnętrznymi drzwiami. Harry oparł się o framugę i zawołał:

– Evans White! Słyszysz mnie pan? Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy to pan jest na tym zdjęciu, *sir*. A jeśli tak, to czy zna pan tę blondynkę, która siedzi obok pana. Nazywała się Inger Holter i już nie żyje.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu zaskrzypiały zawiasy i Evans wyjrzał.

Harry przyłożył zdjęcie do siatki w drzwiach.

– Nie wyglądała tak ładnie, kiedy policja z Sydney ją znalazła, panie White.



W kuchni na stole leżały porozrzucane gazety, w zlewie nie mieściły się już brudne talerze i szklanki, a podłoga nie widziała wody z mydłem od kilku miesięcy. Mimo to Harry od razu zauważył, że ten dom nie nosi znamion prawdziwego rozpadu, nie wygląda na mieszkanie zajędzonego ćpuna. Nie było widać leżących tygodniami resztek jedzenia, nie cuchnęło szczynami, a zasłony nie były zaciągnięte. Ponadto w pomieszczeniu panował swego rodzaju wewnętrzny ład. Harry zrozumiał, że EvansWhite wciąż panuje nad sytuacją.

Usiedli na kuchennych krzesłach, Evans wyjął z lodówki butelkę piwa i natychmiast przystawił ją do ust. Beknięcie poniosło się echem po całej kuchni, zaraz po nim nastąpił chichot Evansa.

– Niech pan nam opowie o swoim związku z Inger Holter, panie White – powiedział Harry, machając ręką, żeby odgonić przykry zapach.

– Inger była miłą, ładną i dość głupią dziewczyną, która wyobrażała sobie, że możemy być razem szczęśliwi. – Evans popatrzył w sufit, a potem zadowolony znów zachichotał. – Myślę, że właśnie to jest dobre podsumowanie – stwierdził.

– Czy domyśla się pan, jak została zamordowana i kto mógł to zrobić?

– No cóż, tu, w Nimbin, też mamy gazety i wiem, że została uduszona. Ale przez kogo? Pewnie przez jakiegoś dusiciela. – Odrzucił głowę w tył i roześmiał się. Lok kręconych włosów opadł mu na czoło, w opalonej twarzy błysnęły białe zęby, a zmarszczki od uśmiechu wokół oczu rozciągnęły się w stronę uszu, w których wisiły pirackie obręcze.

Andrew chrząknął.

– Panie White, kobieta, którą pan dobrze znał i z którą łączył pana intymny związek, została niedawno zamordowana. Pana osobiste odczucia w związku z tą sprawą to nie nasz interes. Ale jak pan zapewne rozumie, szukamy zabójcy i jeśli pan nie spróbuje nam pomóc tu i teraz, będziemy zmuszeni doprowadzić pana na posterunek w Sydney.

– Wybieram się do Sydney tak czy owak, więc jeśli to oznacza, że zapłacicie za bilet lotniczy, to w niczym mi nie przeszkadzacie. – Evans pogardliwie wzruszył ramionami.

Harry nie wiedział, co o tym myśleć. Czy Evans White naprawdę był takim twardzielem, jakiego próbował udawać, czy też cierpiał na tak

zwany „niedorozwój duszy”? Typowo norweskie określenie, pomyślał Harry. W żadnym innym kraju na świecie sąd nie ocenia jakości duszy.

– Jak pan sobie życzy, panie White – powiedział Andrew. – Bezpłatny bilet lotniczy, bezpłatne mieszkanie i wyżywienie, bezpłatny adwokat, bezpłatna reklama. I status podejrzanego w sprawie.

– Też mi problem. Wyjdę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– A wtedy proponujemy bezpłatne śledzenie przez całą dobę na okrągło. Bezpłatne budzenie w nocy w celu sprawdzenia, czy jest pan w domu, może nawet dwie, trzy bezpłatne rewizje. Ciekawe, co wtedy znajdziemy?

Evans wypił piwo do końca i zaczął zdrapywać etykietkę z butelki.

– A co was interesuje? – spytał niechętnie. – Wiem tylko, że ona pewnego dnia nagle zniknęła. Miałem jechać do Sydney, więc próbowałem do niej dzwonić, ale nie było jej ani w pracy, ani w domu. Przyjeżdżam do miasta i tego samego dnia czytam w gazecie, że została zamordowana. Przez dwie doby chodzę jak zombi. Bo czy to normalne, że ktoś z twojegootoczenia zostaje uduszony?

– Nie bardzo. Ale to znaczy, że pan ma alibi na czas, kiedy dokonano zabójstwa. To dobrze... – Andrew coś zanotował.

Evans jednak drgnął.

– Alibi? O co chodzi? Chyba nie jestem, do cholery, o nic podejrzany? A może chcecie mi powiedzieć, że gliny miały na tę sprawę ponad tydzień i nie natrafiły na żaden porządny ślad?

– Sprawdzamy wszystkie ślady, panie White. Może mi pan powiedzieć, gdzie pan spędził dwa dni przed przyjazdem do Sydney?

– Byłem tu, na farmie, oczywiście.

– Sam?

– Nie całkiem. – Evans wyszczerzył zęby i uniósł pustą butelkę nad głowę. Poszybowała przez powietrze eleganckim łukiem i bezszelestnie zniknęła w wiadrze ze śmieciami pod kuchennym blatem. Harry z uznaniem pokiwał głową.

– Mogę spytać, kto był razem z panem?

– Owszem, no dobrze, nie mam nic do ukrycia. Kobieta. Angeline Hutchinson. Mieszka tu, w Nimbin.

Harry zapisał.

– Kochanka? – spytał Andrew.

– Coś w tym rodzaju – odparł Evans.

– Może pan nam opowiedzieć o Inger Holter? Jaka ona była?

– E, nie znaleźliśmy się zbyt długo. Poznałem ją w Sydney, w barze, w którym pracowała. The Albury. Zaczęliśmy rozmawiać, powiedziała mi, że zbiera pieniądze na wyjazd do Byron Bay. To kilkadziesiąt kilometrów stąd, więc dałem jej swój numer telefonu w Nimbin. Kilka dni później zadzwoniła z pytaniem, czy mogłaby zatrzymać się na jedną noc na farmie. Została ponad tydzień. Później spotykaliśmy się w Sydney, kiedy tam przyjeżdżałem. Pewnie ze dwa, trzy razy. Jak rozumiecie, nie zdążyliśmy stać się starym małżeństwem. A poza tym czułem już jej oddech na karku.

– Oddech na karku?

– Tak, zakochała się w moim synku, Tom-Tomie, i snuła bajki o rodzinie i domku na wsi. Mnie to nie bardzo pasowało, ale pozwoliłem jej robić to dalej.

– Co robić?

Evans zaczął kręcić.

– Ona była z rodzaju tych, co w pierwszej chwili są bardzo twarde, ale miękną, kiedy się je podrapie pod brodą i powie, że trochę się je lubi. Wtedy gotowe są zrobić dla ciebie wszystko.

– To znaczy, że była troskliwą dziewczyną? – spytał Harry.

Evansowi najwyraźniej nie spodobał się kierunek, jaki przybrała rozmowa.

– Może i tak. Przecież mówiłem, nie znałem jej zbyt dobrze. Ona już od jakiegoś czasu nie widziała się ze swoją rodziną w Norwegii, więc możliwe, że była po prostu spragniona... ludzi. Kogoś bliskiego, prawda? Wiem, cholera, że tak było. Mówiłem wam, że to była głupia, romantyczna dziewczyna. Nie miała w sobie nic złego...

Głos Evansa lekko zadrżał. W kuchni zapadła cisza. Harry pomyślał, że albo Evans jest dobrym aktorem, albo mimo wszystko posiada jakieś ludzkie uczucia.

– Skoro nie widział pan żadnej przyszłości dla tego związku, to dlaczego pan od niej nie odszedł?

– Właśnie odchodziłem. Właściwie stałem już w drzwiach i mówiłem „cześć”. Ale nie zdążyłem tego zrobić, bo ona zniknęła. O, tak... – Pstryknął palcami.

Rzeczywiście głos mu się zmienił, uznał Harry.

Evans popatrzył na swoje ręce.

– Niezły sposób na zniknięcie, co?

## 5. MATKA, WIELKI PAJĄK I BUBBUR

Wspinali się po krętych, stromych górskich drogach. Drogowskaz wskazywał drogę do Kryształowego Zamku.

– Pytanie brzmi: czy Evans White mówi prawdę? – powiedział Harry.

– Pozwól, że podzielę się z tobą odrobiną doświadczenia. Od ponad dwudziestu lat rozmawiam z ludźmi, którzy mają rozmaite powody do tego, żeby kłamać albo mówić prawdę. Z winnymi i niewinnymi, z mordercami, kieszonkowcami, z kłębkami nerwów i z zimnymi rybami. Z tymi o niewinnych buziach dziecka i tymi o pełnych blizn twarzach łotrów, z socjopatami, psychopatami, filantropami... – Andrew szukał dalszych przykładów.

– Rozumiem, Andrew.

– ...z Indianami i białymi. Wszyscy opowiadali swoją historię w jednym tylko celu: żeby im uwierzono. I wiesz, czego się nauczyłem?

– Że nie da się powiedzieć, kto kłamie, a kto nie.

– Właśnie, Harry! – Andrew się ożywił. – W tradycyjnej literaturze kryminalnej każdemu szacownemu detektywowi nieomylny nos pozwala wyczuć, kiedy ludzie kłamią. Bzdura! Ludzka natura jest jak wielki nieprzenikniony las, którego dogłębne poznanie nikomu nie jest dane. Nawet matka nie zna najgłębszych tajemnic własnego dziecka.

Skreśli na parking przy dużym zielonym ogrodzie, przez który wiodła wąska, żwirowana ścieżka wijąca się między fontannami, rabatkami kwiatowymi i drzewami egzotycznych gatunków. Za ogrodem wznosił się wielki dom, będący najwyraźniej Kryształowym Zamkiem, który szeryf w Nimbin pokazał im na mapie.

Dzwonek nad drzwiami zaanonsował ich nadejście. Przybytek najwyraźniej cieszył się popularnością, gdyż sklep był pełen ludzi. Kobieta o obfitym biuście przywitała ich promiennym uśmiechem i zaprosiła do środka z takim entuzjazmem, jak gdyby od miesiący nikt tu nie zaglądał.

– Jesteście tu pierwszy raz? – spytała, jakby jej kryształowy sklep

uzależniał i ludzie, gdy już raz połknęli bakcyła, odwiedzali go regularnie. I może w istocie tak było. – Zazdroszczę wam – oświadczyła, gdy potwierdzili, że nigdy wcześniej tu nie gościli. – Przeżywać Kryształowy Zamek po raz pierwszy! – krzyknęła z zachwytem. – Idźcie tym korytarzem! Na prawo jest nasza wyśmienita wegetariańska restauracja, która serwuje najwspanialsze dania. Po wyjściu stamtąd idźcie na lewo, do sali kryształów i minerałów. To naprawdę cudowne miejsce!

Machnięciem ręki dała im znak, że mają iść dalej. Po takiej zachęcie stwierdzenie, że restauracja to właściwie całkiem zwyczajna kawiarnia, w której podają kawę, herbatę, sałatki z jogurtem i kanapki, było niewątpliwym rozczarowaniem. W tak zwanej sali kryształów i minerałów w skomplikowanym oświetleniu prezentowano migoczące kryształy, figurki Buddy ze skrzyżowanymi nogami, niebieskie i zielone kawałki kwarcu i naturalne kamienie. Pomieszczenie wypełniał lekki aromat kadzidła, usypiająca muzyka fletni Pana i odgłosy pluskającej wody. Harry stwierdził, że owszem, sklep jest przyjemny, lecz całość była nieco kiczowata i raczej nikomu nie zapierała tchu w piersiach. O trudności z oddychaniem ewentualnie przypominały jedynie ceny.

– Cha, cha! – zaśmiał się Andrew, zerknąwszy na kilka etykietek. – Ta kobieta jest genialna!

Wskazał na klientów sklepu, na ogół w średnim wieku, przynajmniej pozornie dobrze sytuowanych.

– Pokolenie dzieci kwiatów dorosło, mają dorosłe prace, dorosłe dochody, ale ich serca wciąż pozostają gdzieś na planecie astralnej.

Wrócili do lady. Piersiasta kobieta ciągle uśmiechała się tak samo promiennie. Ujęła Harry'ego za rękę i przycisnęła mu do wnętrza dłoni jakiś zielononiebieski kamyk.

– Jesteś Koziorożcem, prawda? Włóż ten kamień pod poduszkę, usunie z pokoju wszelką negatywną energię. W zasadzie kosztuje sześćdziesiąt pięć dolarów, ale uważam, że naprawdę powinienes go mieć, więc ci go oddam za pięćdziesiąt.

Odwróciła się do Andrew.

– A ty musisz być Lwem.

– Nie, proszę pani, jestem policjantem. – Dyskretnie pokazał odznakę.

Kobieta pobladła i popatrzyła na niego z przerażeniem.

– To okropne. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

– Nic mi o tym nie wiadomo, *madame*. Zakładam, że pani jest Margaret Dawson, dawniej White. Jeśli tak, to czy możemy zamienić z panią kilka słów na osobności?

Margaret Dawson prędko odzyskała równowagę i zawołała jedną ze swoich pomocnic, żeby zajęła się kasą. Potem zaprowadziła Harry'ego i Andrew do ogrodu, gdzie usiedli przy białym drewnianym stole. Między dwoma drzewami rozpostarta była siatka, którą Harry w pierwszej chwili wziął za sieć, lecz po bliższych oględzinach okazało się, że to olbrzymia pajęczyna.

– Chyba zanosí się na deszcz – odezwała się Margaret Dawson, pocierając dłonie.

Andrew chrząknął.

Przygryzła dolną wargę.

– Przepraszam, panie konstablu, po prostu jestem bardzo zdenerwowana.

– Wszystko w porządku, proszę pani. Ależ ma pani pajęczynę!

– Ach, to? To sieć Billy'ego, naszego pajaka myszowatego. Pewnie gdzieś tu śpi.

Harry odruchowo przyciągnął nogi do siebie.

– Pajak myszowaty? Czy to znaczy, że on zjada... myszy? – spytał.

Andrew uśmiechnął się.

– Harry jest z Norwegii. Oni tam nie są przyzwyczajeni do wielkich pajaków.

– Ach, tak? Wobec tego mogę pana pocieszyć, że to nie te duże są groźne – powiedziała Margaret Dawson. – Mamy natomiast śmiertelnie niebezpiecznego maleńkiego pajaczka, który nazywa się *redback*, ale on najlepiej czuje się w miastach, gdzie może się ukryć w tłumie. W ciemnych piwnicach, w wilgotnych kątach.

– Jakbym go znał – mruknął Andrew. – Ale wróćmy do sprawy. Chodzi o pani syna.

Teraz pani Dawson naprawdę pobladła.

– O Evansa?

Andrew zerknął na Harry'ego.

– O ile wiemy, pani Dawson, wcześniej nie miał problemów z policją – powiedział Harry.

– Nie, najwyraźniej nie, dzięki Bogu.

– Właściwie zajechaliśmy tutaj, ponieważ zobaczyliśmy, że pani Zamek leży, można powiedzieć, na naszej trasie powrotnej do Brisbane. Chcieliśmy spytać, czy pani znała pewną dziewczynę, Inger Holter.

Kobieta powtórzyła nazwisko, w końcu pokręciła głową.

– Evans nie miał zbyt wielu dziewczyn. Przywoził je tutaj, żeby mi je przedstawić. Po tym, jak urodziło mu się dziecko z... z tą okropną dziewczuchą, której imienia chyba nie chcę pamiętać, zabroniłam... powiedziałam, że powinien trochę poczekać, dopóki nie znajdzie tej właściwej.

– Dlaczego miał czekać? – spytał Harry.

– Ponieważ ja tak powiedziałam.

– A dlaczego pani tak powiedziała?

– Ponieważ... ponieważ tak nie powinno być! – Zerknęła na sklep, żeby zasygnalizować, że jej czas jest cenny. – Ponieważ Evans to wrażliwy chłopiec, którego łatwo zranić. W jego życiu było dużo negatywnej energii i potrzebna mu kobieta, której mógłby w pełni zaufać. Nie te... latawice, które tylko zawracają mu w głowie.

Tęczówki pani Dawson pokryła szara mgielka.

– Często widuje się pani z synem? – spytał Andrew.

– Evans przyjeżdża, kiedy tylko może. Potrzebuje tutejszego spokoju. Biedaczysko tak ciężko pracuje. Próbowali panowie tych ziół, które sprzedaje? Czasami mi je przywozi, a ja dodaję trochę do herbaty w kawiarni.

Andrew znów chrząknął. Harry kątem oka dostrzegł jakiś ruch między drzewami.

– Powinniśmy już iść, pani Dawson. Jeszcze tylko ostatnie pytanie.

– Słucham.

Andrew najwyraźniej się zakrztusił, chrząkał i chrząkał. Pajęcza sieć zaczęła się kołysać.

– Czy pani zawsze miała takie jasne włosy?



Kiedy wylądowali z powrotem w Sydney, był już późny wieczór. Harry czuł się straszliwie zmęczony i tęsknił jedynie za hotelowym łóżkiem.

- Pójdziemy na drinka? – zaproponował Andrew.
- Nie, dziękuję.
- W The Albury?
- To przecież prawie praca – odparł Harry.
- No właśnie.

Birgitta uśmiechnęła się na ich widok. Obsłużyła jakiegoś gościa i podeszła do nich. Spojrzenie utkwiała w Harrym.

- Hej – powiedziała.
- Harry poczuł, że ma jedynie ochotę usiąść jej na kolanach i zasnąć.
- Dwa razy podwójny gin z tonikiem, w imieniu prawa – oznajmił Andrew.

– Dla mnie raczej tylko sok grejpfrutowy – zaprotestował Harry.

Birgitta obsłużyła ich i pochyliła się nad barem.

– Bardzo dziękuję za wczorajszy wieczór – szepnęła do Harry'ego po szwedzku. W barowym lustrze za jej plecami zobaczył swój idiotyczny uśmiech.

– Hej, hej, tylko bez żadnych skandynawskich zalotów! Dopóki to ja płacę za drinki, będziemy rozmawiać po angielsku. – Andrew obrzucił ich surowym spojrzeniem. – A teraz coś wam, młodym ludziom, powiem. Miłość to większe misterium niż śmierć. – Zrobił efektowną przerwę. – Wuj Andrew opowie wam prastarą australijską legendę, a mianowicie historię o olbrzymim wężu Bubburze i o Walli.

Przysunęli się bliżej, Andrew cmoknął zadowolony i zapalił cygaro.

– Był sobie kiedyś młody wojownik o imieniu Walla, który zakochał się w pięknej dziewczynie, Moorze, a ona w nim. Walla przeszedł plemienną ceremonię wtajemniczenia, stał się mężczyzną i mógł się ożenić z którąkolwiek kobietą z plemienia, pod warunkiem że nie była już mężatką i że chciałyby go. A Moora go chciała. Walla nie mógł znieść myśli o rozstaniu z ukochaną, lecz tradycja wymagała, by wybrał się na polowanie, z którego trofea miały być przeznaczone na podarki dla

rodziców narzeczonej. Dopiero później mógł się odbyć ślub. Pewnego pięknego ranka, kiedy na listkach lśniła rosa, Walla wyruszył na polowanie. Moora podarowała mu białe piórko kakadu, które Walla wpiął we włosy.

Podczas nieobecności Walli Moora poszła zbierać miód na wesele, niełatwo go jednak było znaleźć i musiała odejść od obozowiska dalej niż zwykle. Trafiła do doliny pełnej wielkich kamieni. W dolinie panowała niezwykła cisza, nie było słychać ptaków ani owadów. Miała już stamtąd odejść, kiedy dostrzegła gniazdo z wielkimi białymi jajami, największymi, jakie kiedykolwiek widziała. Muszę je zabrać na wesele, pomyślała i sięgnęła ręką do gniazda.

W tej samej chwili usłyszała, że coś wielkiego przesuwa się po kamieniach, i nie zdołała odskoczyć ani nawet otworzyć ust, a już olbrzymi brunatnożółty wąż owinał się wokół jej pasa. Moora walczyła, lecz nie udało się jej uwolnić. Popatrzyła w błękitne niebo nad doliną i próbowała wezwać Wallę, lecz nie miała już powietrza w płucach i nie zdołała wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Wąż zaciskał się wokół niej coraz mocniej, aż w końcu wydusił z niej całe życie, pogruchotał wszystkie kości w ciele. Potem popęzł z powrotem w cienie, z których się wynurzył, gdzie nie dało się go dostrzec, bo jego kolory zlewały się z grą światła i cieni wśród drzew i kamieni w dolinie. Uplłynęły dwa dni, zanim znaleziono ciało Moory. Rodzice dziewczyny byli niepokieszeni, matka z płaczem pytała ojca, co powiedzą Walli po jego powrocie do domu.

Andrew, ożywiony opowieścią, popatrzył na Harry'ego i Birgitę.

– Ognisko już dogasało, kiedy następnego dnia o świcie Walla powrócił z polowania. Chociaż wyprawa była pełna trudów, krok miał lekki, a oczy błyszczące i wesołe. Podszedł do rodziców Moory, którzy w milczeniu siedzieli przy ognisku. „Oto moje dary dla was” – powiedział. A polowanie się udało. Przyniósł kangura, wombata i uda emu.

„Wróciłeś akurat w czas na pogrzeb, Wallo, ty, który miałeś być naszym synem” – odpowiedział mu ojciec Moory. Walla, wstrząśnięty, ledwie zdołał ukryć swój żal i smutek, lecz ponieważ był dzielnym wojownikiem, powstrzymał łzy i spytał chłodno: „Dlaczego jeszcze jej nie pochowaliście?”. „Ponieważ znaleźliśmy ją dopiero dzisiaj” – odparł ojciec.

„Wobec tego pójdę za nią i będę się domagał powrotu jej ducha. Nasz *wirinun*, czarownik, może uleczyć jej pogruchotane kości, a ja na powrót tchnę w nią życie”. „Jest za późno” – powiedział ojciec Moory. „Jej duch już powędrował tam, gdzie udają się duchy wszystkich zmarłych kobiet. Ale ten, kto ją zabił, wciąż żyje. Znasz swój obowiązek, synu?”

Walla bez słowa odszedł do jaskini, w której mieszkał wraz z innymi nieżonatymi mężczyznami z plemienia. Do nich również się nie odezwał. Upłynęło kilka miesięcy, a Walla wciąż nie uczestniczył w śpiewach i tańcach, tylko siedział samotnie. Niektórzy uważali, że chciał, aby serce mu stwardniało i zapomniało o Moorze. Inni przypuszczali, że planuje wyprawę do królestwa śmierci kobiet. „To mu się nigdy nie uda” – twierdzili. „Istnieje osobne miejsce dla kobiet i osobne miejsce dla mężczyzn”.

W końcu do ogniska przyszła pewna staruszka. „Mylicie się” – powiedziała. „On po prostu zatopił się w myślach o tym, w jaki sposób ma pomścić swoją ukochaną. Wydaje się wam, że starczy wziąć włócznie i zabić Bubbura, wielkiego brunatnożółtego węża? Nigdy go nie widzieliście, ale ja w młodości raz go spotkałam. I tego dnia posiwiaty mi włosy. To najstraszniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić. Uwierzcie moim słowom, Bubbura można pokonać tylko na jeden sposób: odwagą i przebiegłością, a tego, jak sądzę, młodemu wojownikowi nie brakuje”.

Następnego dnia Walla podszedł do ogniska. Oczy mu błyszczały, wydawał się niemal uradowany, kiedy pytał, kto wybierze się z nim zbierać gumę. „Przecież mamy gumę” – odparli zaskoczeni takim dobrym humorem Walli. „Możemy ci dać”. „Chcę mieć świeżą gumę” – oświadczył. Śmiejąc się z ich przerażenia, powiedział: „Chodźcie ze mną, pokażę wam, do czego mi potrzebna guma”. Zaciekawieni ruszyli za nim, a kiedy już nazbierali gumy, Walla zaprowadził ich do doliny z wielkimi kamieniami. Tam na najwyższym drzewie zbudował podest, a towarzyszom kazał wycofać się do ujścia rzeki. Na drzewo zabrał tylko swego najlepszego przyjaciela. Stamtąd zaczęli wzywać Bubbura po imieniu, aż echo potoczyło się przez dolinę, a słońce wzeszło na niebie.

I nagle pojawiła się brązożółta głowa, która kołysała się w przód i w tył, szukając miejsca, z którego dochodziło wołanie. Wokół niej roilo się

od mniejszych żółtobrazowych węży, które najwyraźniej wykluły się z jaj widzianych przez Moore. Walla i jego przyjaciel ugnietli z gumy wielkie kule. Kiedy Bubbur ujrzał ich na drzewie, otworzył paszczę, wysunął język i wyciągnął się do nich. Słońce stało teraz w zenicie i białoczerwona paszcza Bubbura aż lśniła. W momencie kiedy wąż zaatakował, Walla cisnął największą gumową kulę wprost w otwartą gardziel węża, który odruchowo zamknął paszczę, wbijając zęby w gumę.

Bubbur opadł na ziemię, lecz nie mógł pozbyć się gumy, która skleiała mu pysk. Walli i jego przyjacielowi udało się powtórzyć tę samą sztuczkę ze wszystkimi mniejszymi węzami i wkrótce wszystkie zostały unieszkodliwione. Wtedy Walla wezwał pozostałych mężczyzn. Ci nie okazali litości, uśmiercili wszystkie węże. Bubbur zabił przecież najpiękniejszą dziewczynę plemienia, a potomstwo węża mogło pewnego dnia osiągnąć takie same rozmiary jak on. Od tego dnia groźnego brązowożółtego węża Bubbura rzadko można spotkać w Australii, ale ludzki strach z każdym upływającym rokiem czyni go dłuższym i grubszym.

Andrew wypił resztę swojego ginu z tonikiem.

– I jaki z tego morał? – spytała Birgitta.

– Że miłość to większe misterium niż śmierć. I że należy wystrzegać się węża.

Andrew zapłacił za drinki, wesóło poklepał Harry'ego po plecach i wyszedł.

# MOORA

## 6. SZLAFROK, STATYSTYKA I RYBKA AKWARIOWA

Otworzył oczy. Zza okna, w którym leniwie powiewała zasłona, dochodził szum budzącego się miasta. Harry leżał i przyglądał się absurdowi na ścianie po drugiej stronie pokoju: zdjęciu szwedzkiej pary królewskiej. Królowej ze spokojnym, dodającym otuchy uśmiechem i królowi, który wyglądał tak, jakby ktoś przyłożył mu do pleców nóż. Harry rozumiał, jak król musiał się czuć. Jego również w trzeciej klasie podstawówki nakłoniono do wystąpienia w roli księcia w bajce o pięknej księżniczce.

Rozległ się szum lejącej się wody i Harry przesunął się na drugą stronę łóżka, żeby powąchać poduszkę. Na prześcieradle leżał długi rudy włos – a może parzydełko meduzy?

Czuł się lekki, dosłownie jak piórko. Tak lekki, że miał obawy, iż powiew zasłon podniesie go z łóżka i wyciągnie za okno, a unosząc się nad Sydney w porannych godzinach szczytu odkryje, że nie ma na sobie ubrania. Doszedł do wniosku, że ta lekkość bierze się stąd, iż jego ciało w ciągu nocy pozbyło się tyłu płynów. Chyba stracił na wadze kilka kilo.

– Harry Hole, Komenda Policji w Oslo, znany ze swoich dziwnych pomysłów – mruknął.

– Przepraszam?

Birgitta stanęła w pokoju w nadzwyczaj paskudnym szlafroku i z głową owiniętą białym ręcznikiem jak turbanem.

– Ach, dzień dobry, ty piękna, ty swobodna. Patrzyłem właśnie na zdjęcie króla, który nie chce być królem, tam na ścianie. Nie sądzisz, że wolałby raczej być wieśniakiem i grzebać w ziemi? Tak przynajmniej wygląda.

Birgitta spojrzała na zdjęcie.

– Nie wszystkim dane jest trafić w życiu na właściwe miejsce. A jak na przykład jest z tobą, gliniarzu?

Położyła się na łóżku obok niego.

– Trudne pytanie na tak wczesny poranek. Zanim odpowiem, żądam, żebyś zdjęła ten szlafrok. Nie chcę wprowadzać negatywnych emocji, ale zapytany odpowiedziałbym, że ten strój kwalifikuje się na moją listę „dziesięciu najbrzydszych rzeczy, jakie widziałem”.

Birgitta roześmiała się.

– Ja go nazywam „zabójcą erotyzmu”. Ale spełnia swoją funkcję, kiedy pyszałkowaci obcy faceci stają się zbyt natrętni.

– Sprawdzałaś, czy ten kolor ma jakąś nazwę? Może masz do czynienia z całkowicie dotychczas nieznanym odcieniem? Czymś w rodzaju nieodkrytej białej plamy na mapie kolorów, gdzieś pomiędzy zielonym a brązowym?

– Nie próbuj się wykręcić od odpowiedzi na moje pytanie, wstrętny Norwegu! – Uderzyła go w głowę poduszką, ale po krótkich zapasach to ona znalazła się na spodzie. Harry, przytrzymując ją za rękę, nachylił się i ustami próbował sięgnąć do paska szlafroka. Birgitta zaczęła krzyczeć, kiedy zrozumiała jego zamiary, w końcu zdołała uwolnić kolano, które sprawnie wbiła mu w brodę. Harry jęknął i przewrócił się na bok. Zadziałała błyskawicznie i kolanami przygwoździła mu ramiona.

– Odpowiadaj!

– Dobrze, dobrze, poddaję się! Tak, trafiłem w życie na właściwe miejsce. Jestem najlepszym gliniarzem, jakiego możesz sobie wyobrazić. Tak, wolę łapać niegrzecznych chłopców, niż grzebać się w ziemi albo chodzić na uroczyste obiady i stać na balkonie, machając ręką do tłumu. I owszem, wiem, że to perwersyjne.

Birgitta pocałowała go w usta.

– Mogłabyś umyć zęby – powiedział Harry przez zaciśnięte wargi.

Kiedy śmiejąc się, odruchowo odchyliła głowę, Harry wykorzystał szansę. Czym prędzej się uniósł, szarpnął zębami za pasek i pociągnął. Szlafrok się rozchylił, a wtedy Harry przesunął kolana i wciągnął ją na siebie. Skóra Birgitty była rozgrzana, wilgotna po prysznicu.

– Policja! – krzyknęła, oplatając go nogami. Harry poczuł pulsowanie krwi w całym ciele.

– Gwałt – dodała już szeptem i ugryzła go w ucho.

Później leżeli i razem gapili się w sufit.

– Chciałabym... – zaczęła Birgitta.

– Tak?

– Nie, nic.

Wstali i ubrali się. Harry spojrzął na zegarek i stwierdził, że już jest spóźniony na poranną odprawę. Stał przy drzwiach wyjściowych i objął Birgittę.

– Chyba wiem, co byś chciała – powiedział. – Chciałabyś, żebym opowiedział ci coś o sobie.

Birgitta wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi.

– Wiem, że ci się to nie podoba – westchnęła. – Ale mam wrażenie, że wszystko, czego się o tobie dowiedziałam, musiałam z ciebie wyciągać. To, że twoja matka była dobrą i mądrą kobietą, w połowie Laponką, i że umarła sześć lat temu. To, że twój ojciec jest wykładowcą i nie podoba mu się to, co robisz, ale o tym nie mówi, i że człowiek, którego kochasz ponad wszystko na ziemi, twoja siostra, ma „lekkiego” Downa. Lubię wiedzieć o tobie takie rzeczy, ale chciałabym, żebyś mi o nich mówił dlatego, że masz na to ochotę.

Harry pogładził ją po karku.

– Chcesz dowiedzieć się o mnie czegoś naprawdę? Poznać tajemnicę?

Kiwnęła głową.

– Ale dzielenie się tajemnicami łączy – szepnął jej we włosy. – A tego nie zawsze się pragnie.

W milczeniu stali w korytarzu. Harry nabrał powietrza.

– Przez całe życie otaczali mnie ludzie, którzy mnie kochali. Zawsze

dostawałem to, czego pragnąłem. Krótko mówiąc, nie ma żadnego wyjaśnienia na to, dlaczego stałem się tym, kim jestem.

Powiew od okna rozwiął Harry'emu włosy. Był tak łagodny i lekki, że Harry musiał zamknąć oczy.

– Dlaczego stałem się alkoholikiem.

Powiedział to twardo i nieco głośniejszym głosem. Birgitta tkwiła przy nim nieruchomo.

– W Norwegii wiele trzeba, żeby zatrudniony przez państwo pracownik został wylany z pracy. Niezdolność sama nie wystarczy, lenistwo jest pojęciem nieistniejącym, a na szefa możesz wrzeszczeć tyle, ile ci się podoba, *no problem*. Prawdę powiedziawszy, w zasadzie możesz robić, co chcesz. Prawo chroni cię niemal przed wszystkim. Z wyjątkiem picia. A w policji, jeśli stawisz się pijany w pracy więcej niż dwa razy, to już stanowi podstawę do natychmiastowego zwolnienia. Przez jakiś czas łatwiej było policzyć dni, kiedy przychodziłem do pracy trzeźwy.

Rozluźnił uścisk wokół Birgitty i lekko odsunął ją od siebie. Chciał zobaczyć, jak zareaguje. Potem znów ją przytulił.

– A mimo to jakoś funkcjonowałem. Ci, którzy się czegoś domyślali, patrzyli przez palce. Ktoś być może powinien to zgłosić wyżej, ale lojalność i poczucie wspólnoty są w policji bardzo silne. Pewnego wieczoru jechałem razem z kolegą do mieszkania w tarasowym bloku na wzgórzu Holmenkollen, żeby zadać pewnemu człowiekowi kilka pytań dotyczących morderstwa związanego z narkotykami. Facet nie był nawet podejrzany, ale kiedy zadzwoniliśmy do drzwi, zobaczyliśmy, jak pełnym gazem wyjeżdża z garażu obok. Wskoczyliśmy więc z powrotem do samochodu i ruszyliśmy za nim. Umieściliśmy koguta na dachu i pognaliśmy sto dziesięć na godzinę w dół Sørkedalsveien. Trochę nami rzucało od lewej do prawej, trąciliśmy kilka krawężników i w końcu mój kolega spytał, czy to raczej nie on powinien prowadzić. Ale ja byłem tak przejęty, żeby nie stracić z oczu tamtego gościa, że tylko machnąłem ręką.

O tym, co się stało później, tylko mu opowiadano. Przy Vinderen ze stacji benzynowej akurat wyjechał jakiś samochód. Siedział w nim młody chłopak, który właśnie zrobił prawo jazdy i przyjechał na stację po papierosy dla ojca. Samochód policyjny przepchnął jego auto przez płot



odgradzający tory kolejowe, rozwalił budkę na przystanku, pod którą zaledwie dwie minuty wcześniej stało pięć czy sześć osób, i zatrzymał się na peronie po drugiej stronie szyn. Kolega Harry'ego wyleciał przez przednią szybę i znaleziono go na torach dwadzieścia metrów dalej. Uderzył głową w słup przy płocie z tak wielką siłą, że słup zgiął się na czubku. Musieli zdejmować mu odciski palców, aby mieć pewność co do tożsamości. Chłopak z tamtego drugiego samochodu został sparaliżowany od karku w dół.

– Odwiedzałem go w pewnym zakładzie, który się nazywa Sunnås – powiedział Harry. – Wciąż marzy o tym, żeby pewnego dnia móc prowadzić samochód. Mnie znaleźli w aucie z pękniętą czaszką i wewnętrznymi wylewami. Przez kilka tygodni leżałem pod respiratorem.

Matka przychodziła co dzień razem z siostrą. Siadały każda po swojej stronie łóżka i trzymały go za ręce. Ojciec zaglądał wieczorami, poza godzinami odwiedzin. Ponieważ silny wstrząs mózgu przyprawił Harry'ego o zaburzenia widzenia, nie wolno mu było ani czytać, ani oglądać telewizji. Ojciec więc czytał mu na głos. Siedział tuż przy łóżku i szeptem wprost do ucha, żeby się nie zmęczyć, czytał Sigurda Hoela i Kjartana Fløgstada, swoich ulubionych autorów.

– Zabiłem jednego człowieka, drugiemu zniszczyłem życie, a mimo to sam tkwiłem w inkubatorze miłości i troski. No a pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, kiedy wreszcie znalazłem się na wspólnej sali, było przekupienie pacjenta z sąsiedniego łóżka, żeby namówił swojego brata na przyniesienie mi małej butelki ginu.

Harry umilkł. Birgitta oddychała równo i spokojnie.

– Jesteś wstrząśnięta? – spytał.

– Wiedziałam, że jesteś alkoholikiem już za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłam. Mój ojciec też jest alkoholikiem.

Harry nie potrafił odpowiedzieć.

– Mów dalej – poprosiła.

– Reszta dotyczy policji norweskiej. Może lepiej tego nie wiedzieć.

– Jesteśmy daleko od Norwegii – stwierdziła.

Harry mocno ją uściskał.

– Dosyć się już dowiedziałaś jak na jeden dzień – powiedział. – Ciąg

dalszy w następnym numerze. Muszę już iść. Zgadzasz się, żebym również dziś wieczorem przyszedł do The Albury i poprzeskadzał ci w pracy?

Birgitta uśmiechnęła się z lekkim smutkiem, a Harry zrozumiał, że łączy się z nią mocniej niż powinien.

– Spóźniłeś się – stwierdził Wadkins, kiedy Harry zjawił się w biurze, i położył mu na biurku zestaw kopii.

– To ciągle wynik zmiany stref czasowych. Coś nowego?

– Masz tu trochę rzeczy do przeczytania. Yong Sue wygrzebał stare sprawy dotyczące gwałtów. Przeglądają je akurat razem z Kensingtonem.

Harry stwierdził, że potrzeba mu najpierw filiżanki porządnej kawy, i poszedł do stołówki. Zastał tam również ożywionego McCormacka. Usiedli przy jednym stoliku, każdy ze swoją *white flat*, kawą z dużą ilością mleka bez pianki.

– Dzwonili od ministra sprawiedliwości, do którego telefonował norweski minister. Rozmawiałem przed chwilą z Wadkinsem i zrozumiałem, że kogoś namierzacie.

– Evansa White’a. Cóż, on mówi, że ma alibi na te dni około morderstwa. Prosiłmy policję w Nimbin o wezwanie kobiety, z którą, jak twierdzi, był, żeby sprawdzić jego historię. Zapowiedzieliśmy, że ma nigdzie nie jeździć bez uprzedzenia.

McCormack burknął coś pod nosem.

– Spotkałeś się z tym facetem twarzą w twarz, Holy. To on?

Harry zapatrzył się w swoją kawę. Białe smugi mleka układały się w spiralę przypominającą mgławicę gwiazdną.

– Mogę się posłużyć analogią, *sir*? Wiedział pan, że Droga Mleczna to spiralna mgławica, w której jest ponad sto tysięcy milionów gwiazd? Że gdyby się podróżowało na przestrzał jednego z ramion spiralnych z prędkością światła przez ponad tysiąc lat, to i tak dotarłoby się zaledwie do połowy? Nie mówiąc już o podróży wzdłuż, czyli przez całą Drogę Mleczną...

– Jak na mój gust trochę za bardzo filozofujesz o tak wczesnej porze, Holy. Co próbujesz powiedzieć?

– Że ludzka natura jest jak wielki ciemny las, którego poznanie nikomu nie jest dane w ciągu jednego krótkiego życia. Że nie mam pojęcia, *sir*.

McCormack popatrzył na Harry'ego z zatroskaną miną.

– Zaczynasz mówić jak Kensington, Holy. Może źle zrobiłem, łącząc was w parę. On ma za dużo dziwactw w głowie.

Yong położył folię na projektor.

– Rocznie zgłaszanych jest w tym kraju ponad pięć tysięcy gwałtów. Zrozumiałe samo przez się, że beznadziejną sprawą jest szukanie w tym jakiegoś schematu bez posłużenia się statystyką. Zimną, drętwą statystyką. Hasło numer jeden to elementy statystycznie istotne. Innymi słowy, szukamy systematyczności, która nie daje się wytłumaczyć zbiegami okoliczności. Hasło numer dwa to demografia. Ja najpierw zająłem się zgłoszeniami dotyczącymi niewyjaśnionych morderstw i gwałtów, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich pięciu lat, zgłoszeniami zawierającymi słowa: „ucisk szyi” i „duszenie”. Znalazłem dwanaście morderstw i kilkaset gwałtów. Następnie zredukowałem tę liczbę, dodając warunek, że ofiary muszą być blondynkami pomiędzy szesnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, zamieszkałymi na wschodnim wybrzeżu. Oficjalne statystyki i dane dotyczące koloru włosów z naszego biura paszportowego pokazują, że ta grupa stanowi mniej niż pięć procent wszystkich mieszkających tu kobiet. A mimo to zostało mi siedem morderstw i ponad czterdzieści gwałtów.

Yong położył kolejną folię z wynikami procentowymi i diagramem kolumnowym. Niczego nie komentował, pozwolił, żeby każdy obejrzał to sobie sam. Nastąpiła długa chwila ciszy, w końcu jako pierwszy odezwał się Wadkins:

– Czy to znaczy...

– Nie – odparł Yong. – To nie znaczy, że wiemy coś, czego nie wiedzieliśmy wcześniej. Te liczby są za słabe.

– Ale możemy przypuszczać – wtrącił Andrew – możemy na przykład przypuszczać, że jakiś człowiek systematycznie gwałci blondynki i nieco mniej systematycznie je zabija. I lubi przykładzać dłonie do kobiecej szyi.

Nagle wszyscy chcieli mówić naraz i Wadkins musiał prosić o ciszę. Jako pierwszemu pozwolono zabrać głos Harry'emu.

– Dlaczego te powiązania nie zostały odkryte wcześniej? Mówimy przecież o siedmiu morderstwach i czterdziestu, pięćdziesięciu gwałtach, które mogą się ze sobą łączyć.

Yong Sue wzruszył ramionami.

– Gwałt jest niestety zjawiskiem codziennym również w Australii i podobne sprawy nie zawsze otrzymują taki priorytet, jakiego byśmy sobie życzyli.

Harry pokiwał głową. Nie miał żadnych podstaw, by atakować. W imieniu własnego kraju również powinien bić się w piersi.

– Poza tym większość gwałcicieli dokonuje przestępstw w swoim mieście czy w okolicy, w której mieszka, nie uciekają później. Dlatego w zwykłych sprawach o gwałt nie ma żadnej systematycznej współpracy między stanami. Problemem w tych sprawach, które obejmują moje statystyki, jest rozrzut geograficzny.

Yong wskazał na listę miejscowości i dat.

– Jednego dnia w Melbourne, miesiąc później w Cairns, a po tygodniu w Newcastle. W okresie mniej niż dwóch miesięcy gwałty w trzech różnych stanach. Czasami w kapturze, innym razem w masce, co najmniej raz przy użyciu nylonowej pończochy, a kilkakrotnie ofiary w ogóle nie widziały gwałciciela. Miejsca rozmaite, od ciemnych bocznych uliczek po parki. Ofiary były wciągane do samochodów albo przestępca włamywał się nocą do ich domów. Krótko mówiąc, nie ma tu żadnego schematu oprócz tego, że ofiary to blondynki, były duszone i żadna nie potrafiła podać policji rysopisu sprawcy. A zresztą jest jeszcze jedna rzecz. Sprawca, kiedy morduje, niezwykle starannie dba o czystość, niestety. Najprawdopodobniej myje ofiary, usuwa wszelkie swoje ślady, odciski palców, nasienie, włókna z ubrania, włosy czy skórę pod paznokciami ofiar. Ale oprócz tego nie znajdujemy żadnych elementów, które chętnie przypisujemy seryjnym mordercom. Żadnych śladów niezwykłych, rytualnych czynności, żadnej pozostawionej dla policji wizytówki mówiącej: to ja. Po tych trzech gwałtach w ciągu dwóch miesięcy zapada cisza na cały rok, chyba że on jest sprawcą również niektórych

z pozostałych gwałtów zgłoszonych na przestrzeni tego roku. Ale o tym nic nam nie wiadomo.

– A co z morderstwami? – spytał Harry. – Czy tu gdzieś nie powinno zadzwonić?

Yong pokręcił głową.

– Rozrzut geograficzny. Kiedy policjant z Brisbane znajduje zwłoki zgwałconej kobiety, to Sydney nie jest pierwszym miejscem, w którym szuka sprawcy. Poza tym te morderstwa są na tyle oddalone w czasie, że trudno było dostrzec wyraźny związek. Uduszenie nie jest przecież niezwykłą metodą zabójstwa przy gwałcie.

– Czy w Australii nie ma policji federalnej? – spytał Harry.

Wokół stołu pojawiły się znaczące uśmieшки, Harry postanowił więc nie drążyć tej sprawy i zmienił temat.

– Jeśli to seryjny morderca... – zaczął.

– ...to często postępuje według jakiegoś schematu, ma jakąś nić przewodnią – dokończył Andrew. – Ale w tym przypadku nic takiego nie widać, prawda?

Yong pokiwał głową.

– Na pewno jest wśród policjantów ktoś, komu raz czy drugi w ciągu tych lat przyszło do głowy, że to może być seryjny morderca. Prawdopodobnie powyciągał stare sprawy z archiwów i porównywał je, lecz wariacje były zbyt duże, żeby mogły poprzeć podejrzenia.

– Jeśli to seryjny morderca, to czy nie miałby mniej lub bardziej uświadomionego pragnienia, żeby zostać złapany? – spytał Lebie.

Wadkins chrząknął. To była jego dziedzina.

– W literaturze kryminalnej często seryjni mordercy właśnie tak bywają przedstawiani – powiedział. – Mówi się, że działania mordercy to wołanie o pomoc, że zostawia drobne zakodowane wiadomości i ślady, które są przejawem podświadomego pragnienia, by ktoś go powstrzymał. I czasami rzeczywiście tak bywa. Obawiam się jednak, że to nie jest wcale takie proste. Większość seryjnych morderców tak jak inni przestępcy nie chce zostać złapana. A jeśli to rzeczywiście seryjny morderca, to nie dał nam zbyt wiele materiału do pracy. Są tu jeszcze inne rzeczy, które mi się nie podobają. – Uniósł lekko górną wargę, odsłaniając rząd żółtawych zębów. –

Po pierwsze, fakt, że on z pozoru nie ma żadnego schematu działania, oprócz tego, że ofiary są blondynkami i że je dusi. Może to wskazywać, że traktuje morderstwo jako jednorazowy wyczyn, jako coś w rodzaju dzieła sztuki, które musi się różnić od tego, co zrobił wcześniej. A to nam bardzo utrudnia pracę. Albo też działa według jakiegoś ukrytego wzoru, którego na razie jeszcze nie potrafimy dostrzec. Ale może również oznaczać, że wcale nie planuje morderstw, lecz w niektórych wypadkach zabicie ofiary okazuje się konieczne, na przykład dlatego, że zobaczyła jego twarz, stawiała opór, wzywała pomocy lub wydarzyło się coś innego, nieprzewidzianego.

– Albo mordował tylko w tych wypadkach, kiedy mu nie wyszło – podsunął Lebie.

– A może jakiś psycholog powinien bliżej przyjrzeć się tym sprawom? – zaproponował Harry. – Może mógłby naszkicować jakiś profil psychologiczny, który by nam pomógł?

– Może. – Wadkins sprawiał wrażenie, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

– A jaka jest ta druga rzecz, *sir*? – spytał Yong.

– Co? – Wadkins się obudził.

– Powiedział pan „po pierwsze”. Jaka jest ta druga rzecz, która się panu nie podoba?

– To, że on tak nagle przestaje – odparł Wadkins. – Oczywiście to może wynikać z praktycznych przyczyn, na przykład wyjeżdża albo choruje, lecz może też nagle ogarniać go przecucie, że ktoś wkrótce zacznie się czegoś domyślać. Na chwilę więc się wycofuje. O, tak... – Pstryknął palcami. – A w takim razie mówimy o naprawdę niebezpiecznym człowieku. Zdyscyplinowanym, przebiegłym, niepopychanym tym rodzajem samoniszczącej namiętności, która wciąż narasta, a wreszcie doprowadza do odkrycia większości seryjnych morderców. To kalkulujący, inteligentny zabójca, którego nie uda nam się dopaść, dopóki nie urządzi prawdziwej krwawej łaźni. Jeśli w ogóle kiedykolwiek nam się to uda.

W pokoju zapadła ponura cisza. Harry zadrżał. Pomyślał o seryjnych mordercach, o których czytał, a których nigdy nie udało się złapać, bo policja pracowała na pusto, gdyż morderstwa nagle ustawały. Do dzisiaj

nie wiadomo, czy morderca nie żyje, czy tylko zapadł w zimowy sen.

– Co teraz zrobimy? – spytał Andrew. – Poprosimy wszystkie blondynki poniżej wieku emerytalnego, żeby wieczorem nie wychodziły z domu?

– Wtedy pojawi się ryzyko, że on się schowa pod ziemię, i nigdy go nie dopadniemy – powiedział Lebie. Wyjął kieszonkowy szczyryk, którym zaczął starannie czyścić paznokcie.

– No dobrze, ale z drugiej strony mamy pozwolić, aby wszystkie australijskie blondynki stanowiły przynętę dla tego faceta? – spytał Yong.

– Nakazanie ludziom siedzenia w domu na nic się nie zda – stwierdził Wadkins. – Jeśli on szuka ofiary, i tak ją znajdzie. Czyż nie włamał się do kilku? Nie, zapomnijcie o tym. Musimy go wykurzyć.

– W jaki sposób? On działa w całej przeklętej wschodniej Australii i nikt nie wie, kiedy znowu uderzy. Gwałci i zabija od przypadku do przypadku. – Lebie mówił do swoich paznokci.

– Nie masz racji – odparł Andrew. – W wypadku faceta, któremu udaje się działać tak długo, nic nie jest przypadkowe. Może się wydawać, że część seryjnych morderców życzy sobie skupienia uwagi na swoich czynach. Zostawiają swój znak na miejscu morderstwa, identyfikację. Z tym tak nie jest. Wprost przeciwnie, stara się unikać podobieństw. Demaskuje go jedynie jego namiętność do duszenia. Poza tym jest nieobliczalny. Tak mu się przynajmniej wydaje. Ale on się myli. Ponieważ schemat istnieje. Zawsze istnieje wzór. Nie dlatego, że go zaplanował, lecz ponieważ ludzie to gatunek posiadający swoje przyzwyczajenia. Pod tym względem nie ma różnicy między tobą, mną a gwałciicielem. Chodzi tylko o to, żeby stwierdzić, jakie są przyzwyczajenia tego konkretnego osobnika.

– Ten facet to szaleniak – stwierdził Lebie. – Czy tak naprawdę wszyscy seryjni mordercy nie są schizofrenikami? Nie słyszą głosów, które nakazują im zabijać? Zgadzam się z Harrym. Sprowadźmy specjalistę od grzebania w mózgu.

Wadkins podrapał się w kark. Sprawiał wrażenie nieco zagubionego.

– Psycholog z pewnością będzie umiał sporo nam powiedzieć na temat seryjnego mordercy, ale nie jest wcale pewne, że kogoś takiego szukamy.

– Siedem morderstw. Dla mnie to już seria – stwierdził Lebie.

– Posłuchajcie. – Andrew wychylił się ponad stołem i podniósł do góry swoje wielkie czarne ręce. – Dla seryjnego mordercy akt seksualny jest podporządkowany zabójstwu. Gwałt bez następującego po nim zabójstwa nie ma sensu. Ale w wypadku naszego człowieka gwałt jest najważniejszy. Dlatego być może w tych przypadkach, kiedy mordował, robił to ze względów praktycznych, jak mówi Wadkins. Na przykład dlatego, że ofiara mogłaby go zidentyfikować, że widziała jego twarz. – Andrew zrobił przerwę. – Albo dlatego, że wie, kim on jest. – Położył ręce przed sobą.

Wiatrak w kącie zgrzytał, ale powietrze było bardziej duszne niż kiedykolwiek.

– Statystyka jest w porządku – powiedział Harry – ale nie możemy pozwolić, żeby nas zwiodła, a przekręcając norweskie przysłowie: prędko może się zdarzyć, że nie dostrzeżemy drzew, widząc tylko las.

Wadkins wyjął chusteczkę, którą otarł pot z czoła.

– Możliwe, że sens z pewnością celnego norweskiego przysłowia przepadł w tłumaczeniu, ale muszę przyznać, że nie zrozumiałem zupełnie nic.

– Chodzi mi po prostu o to, że mimo wszystko jest bardzo możliwe, iż morderstwo Inger Holter było jednorazowym działaniem. Podczas epidemii czarnej śmierci niektórzy ludzie umarli też na zapalenie płuc, prawda? Załóżmy, że Evans White nie jest seryjnym mordercą. To, że jakiś facet krąży i zabija blondynki, nie musi oznaczać, że Evans White nie zabił Inger Holter.

– Dość zawile przedstawione, ale rozumiemy, o co ci chodzi, Holy – stwierdził Wadkins i podsumował: – Dobrze, chłopaki. Szukamy gwałciela i możliwe, powtarzam, możliwe, że seryjnego zabójcy. To McCormack zdecyduje, czy śledztwo należy rozszerzyć. My w tym czasie będziemy dalej pracować nad tym, co mamy. Kensington, coś nowego do przekazania?

– Holy nie zdążył na poranną odprawę, dlatego powtórzę, że rozmawiałem z Robertsonem, uroczym gospodarzem Inger Holter, i spytałem, czy nazwisko Evans White z czymś mu się kojarzy. I najwyraźniej trochę oprzytomniał, bo coś mu się przypomniało. Idziemy



tam dziś po południu. Poza tym telefonował nasz dobry znajomy, szeryf Nimbin. Ta Angeline Hutchinson potwierdziła, że przebywała u Evansa White'a przez dwie doby poprzedzające znalezienie zwłok Inger Holter.

Harry zaklął.

Wadkins klasnął w dłonie.

– Okej, wracamy do pracy, chłopaki! Przygwoździmy tego drania!

To ostatnie powiedział bez przekonania w głosie.

Harry słyszał gdzieś, że pamięć psa działa przeciętnie przez trzy sekundy, lecz dzięki ciągłym repetycjom można jej działanie znacznie wydłużyć. Wyrażenie „pies Pawłowa” pochodzi od eksperymentów przeprowadzonych przez rosyjskiego fizjologa Iwana Pawłowa, podczas których badał odruchy warunkowe w systemie nerwowym psa. Przez pewien czas przekazywał specjalny sygnał, wystawiając psom jedzenie. Pewnego razu nadał sygnał, ale jedzenia nie wystawił, a mimo to trzustka i żołądek psa zaczęły produkować soki niezbędne do strawienia jedzenia. Odkrycie nie było może specjalnie zaskakujące, ale w każdym razie przyniosło Pawłowowi Nagrodę Nobla. Udowodnił, że ciało poprzez powtarzanie uczy się „pamiętać”.

Kiedy więc Andrew po raz drugi w ciągu paru dni celnym kopniakiem posłał należącego do Robertsona diabła tasmańskiego prosto w żywopłot, istniały podstawy, by sądzić, że zwierzak zapamięta to dłużej niż pierwszy kopniak. Kiedy następnym razem usłyszy obce kroki przy furtce, może zamiast złości zacznie odczuwać ból w żebrach.

Robertson wpuścił ich do kuchni i zaprosił na piwo. Andrew przyjął propozycję, ale Harry poprosił o szklanę wody mineralnej. Tego życzenia jednak Robertson nie mógł spełnić, Harry stwierdził więc, że wystarczy mu papieros.

– Wolałbym, żeby pan nie palił – powiedział Robertson, kiedy Harry wyjął paczkę. – W moim domu obowiązuje zakaz palenia. Papierosy szkodzą zdrowiu – oświadczył i wychylił pół butelki piwa naraz.

– Pana interesuje problem zdrowia? – spytał Harry.

– Oczywiście. – Robertson nie zwrócił uwagi na złośliwość. – W tym

domu nie palimy, nie jemy też mięsa ani ryb. Oddychamy świeżym powietrzem i żywimy się tym, co daje natura.

– Czy to dotyczy również psa?

– Mój pies nie miał mięsa w pysku od szczeniaka. To prawdziwy laktowegetarianin – odparł Robertson z wyraźną dumą.

– To wyjaśnia jego zły humor – mruknął Andrew.

– Zrozumieliśmy, że pan zna Evansa White'a, panie Robertson. Co pan nam może o nim powiedzieć? – Harry wyjął notatnik. Nie miał zamiaru zapisywać, ale z doświadczenia wiedział, że ludzie na widok notatnika odnoszą wrażenie, że ich zeznania są naprawdę ważne. Podświadomie starają się mówić jak najdokładniej, nie spieszą się i szczególnie przedstwiają fakty, takie jak godziny, nazwiska i miejsca.

– Konstabl Kensington zadzwonił do mnie z pytaniem, kto odwiedzał Inger Holter w czasie, kiedy tu mieszkała. Odpowiedziałem, że byłem u niej w pokoju i oglądałem to zdjęcie przypięte do ściany, i przypomniało mi się, że widziałem już tego chłopaka z dzieckiem na kolanach.

– Ach, tak?

– Tak, był tu dwa razy. Przynajmniej o dwóch razach wiem. Raz zamknęli się u niej w pokoju i zabawiali się niemal przez dwie doby. Ona była bardzo... hm... głośna. Zacząłem myśleć o sąsiadach i nastawiłem muzykę na full, żeby się nie krępowali. To znaczy, Inger i ten facet. Chociaż chyba im to nie przeszkadzało. Za drugim razem był tu bardzo krótko i zaraz wyszedł.

– Pokłócili się?

– Pewnie można tak powiedzieć. Wołała za nim, że opowie tej krowie, jaki z niego drań. I że zdradzi jakiemuś człowiekowi jego plany.

– Jakiemuś człowiekowi?

– Użyła imienia albo nazwiska, ale ja go nie pamiętam.

– A ta krowa? O kogo może chodzić? – spytał Andrew.

– Staram się nie mieszać w prywatne życie moich lokatorów, konstablu.

– Świetne piwo, panie Robertson. Kto to jest ta krowa? – Andrew udał, że nie słyszał protestu.

– No właśnie. – Robertson przeciągał, nerwowo przenosząc wzrok z Andrew na Harry'ego. Próbował się uśmiechnąć. – Ona prawdopodobnie

jest ważna dla sprawy, nie uważacie? – pytanie zawisło w powietrzu, lecz nie na długo. Andrew odstawił butelkę z głośnym stuknięciem i nachylił się aż do twarzy Robertsona.

– Za dużo się pan naoglądał telewizji, panie Robertson. Panu się wydaje, że teraz dyskretnie podsunę panu studolarowy banknot, a pan szeptem poda mi nazwisko, po czym bez słowa wyjdziemy. W rzeczywistym świecie wygląda to tak, że zaraz zadzwonimy po radiowóz, który przyjedzie na sygnale, zakujemy pana w kajdanki i wyprowadzimy stąd, czy się pan będzie wstydził, czy nie, na oczach wszystkich sąsiadów. Potem zawieziemy pana na posterunek, oświetlimy twarz żarówką i przymkniemy na noc, jako „ewentualnego podejrzanego”, jeśli nie udzieli nam pan informacji lub jeśli nie zjawi się pana adwokat. W rzeczywistym świecie może zostać pan oskarżony nawet o zatajanie informacji w celu ukrywania mordercy. Automatycznie stanie się pan współwinny, a za to grozi kara do sześciu lat. No to jak będzie, panie Robertson?

Robertson pobladł. Kilka razy otwierał i zamykał usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przypominał rybkę akwariową, która właśnie zrozumiała, że nie zostanie nakarmiona, lecz stanie się czymś pokarmem.

– Ja... nie chciałem dawać do zrozumienia, że...

– Po raz ostatni pytam: kim jest krowa?

– Wydaje mi się, że to ta ze zdjęcia... Ta, co tu była...

– Z jakiego zdjęcia?

– Na tym zdjęciu w pokoju Inger stoi za Inger i chłopakiem. To ta mała, opalona, w opasce. Poznałem ją, bo była tu parę tygodni temu i pytała o Inger. Przyprowadziłem Inger, stały na schodach i rozmawiały. Zaczęły na siebie krzyczeć i obrzucać się wyzwiskami. Potem trzasnęły drzwi i Inger z płaczem pobiegła do siebie na górę. Więcej tej dziewczyny nie widziałem.

– Proszę przynieść to zdjęcie, panie Robertson. Zostawiłem odbitkę w biurze.

Robertson zmienił się w uosobienie usłużności i pognął po schodach do pokoju Inger. Kiedy wrócił, Harry'emu wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, żeby stwierdzić, którą z kobiet na zdjęciu gospodarz miał

na myśli.

– Podczas spotkania z nią wydawało mi się, że ona ma w sobie coś znajomego.

– To przecież Dobra Mateczka! – wykrzyknął Andrew zaskoczony.

– Założę się, że w rzeczywistości nazywa się Angeline Hutchinson.

Kiedy wychodzili, tasmańskiego diabła nigdzie nie było widać.

– Zadał pan sobie pytanie, dlaczego wszyscy nazywają pana konstablami, detektywie Kensington? – spytał Harry już w samochodzie.

– To ma na pewno związek z moją budzącą zaufanie osobą. „Konstabl” kojarzy się z „dobrodusznym wujkiem”, prawda? – powiedział Andrew zadowolony. – A ja nie mam serca ich poprawiać.

– Jesteś jak prawdziwy miś – zaśmiał się Harry.

– Miś koala – dodał Andrew.

– Sześć lat pudła, łgarz!

– To była pierwsza rzecz, jaka wpadła mi do głowy.

## 7. TERRA NULLIUS, ALFONS I NICK CAVE

W Sydney padał deszcz. Woda waliła o asfalt, spływała po ścianach domów i w ciągu jednej krótkiej minuty zebrała się w strumyki płynące wzdłuż krawężników. Ludzie uciekali przed ulewą, wpadając w kałuże. Niektórzy najwyraźniej uwierzyli porannej prognozie pogody i wzięli parasole. Pojawiły się teraz w obrazie ulicy jak wielkie kolorowe muchomory. Andrew i Harry stali na czerwonym świetle na William Street przy Hyde Park.

– Pamiętasz Aborygena, który siedział w tamtym parku tuż przy The Albury tamtego wieczoru? – spytał Harry.

– W Green Park?

– Próbował się z tobą przywitać, ale ty nie odpowiedziałeś. Dlaczego?

– Nie znam go.

Światło zmieniło się na zielone i Andrew mocno nacisnął pedał gazu.

W The Albury było prawie pusto, kiedy Harry wszedł do środka.

– Wcześniej się zjawiasz – powitała go Birgitta. Ustawiała na półkach czyste szklanki.

– Pomyślałem sobie, że na pewno obsługa jest miłsza, zanim zjawi się tłum.

– My tutaj obsługujemy wszystkich. – Uszczypnęła Harry'ego w policzek. – Co byś chciał?

– Tylko kawę.

– To na nasz koszt.

– Bardzo ci dziękuję, skarbie.

Birgitta roześmiała się.

– Skarbie? Tak mój ojciec nazywa matkę. – Przysiadła na stołku i wychyliła się do Harry'ego ponad barem. – I właściwie powinnam zacząć się denerwować, kiedy facet, którego znam krócej niż tydzień, zaczyna się pieszczotliwie do mnie zwracać.

Harry wdychał jej zapach. Naukowcy wciąż bardzo niewiele wiedzą o tym, w jaki sposób ośrodek węchu w mózgu przetwarza impulsy nerwowe z komórek węchowych na świadome odczucia. Ale Harry nawet się nad tym nie zastanawiał. Wiedział jedynie, że kiedy czuł zapach Birgitty, z jego głową i ciałem zaczynały dziać się dziwne rzeczy. Powieki na pół się przymykały, kąciki ust rozciągały się w szerokim uśmiechu, a humor natychmiast się poprawiał.

– Spokojnie – powiedział. – Nie wiesz, że „skarbie” zalicza się do niegroźnych spieszczeń?

– Nie wiedziałam nawet, że w ogóle istnieje coś, co się nazywa niegroźnymi spieszzeniami.

– Ależ tak! Na przykład „moja droga”, „kochana” albo „kotku”.

– A jakie są groźne?

– Ha! „Misiaczku” jest dość niebezpieczne – odparł Harry.

– Co takiego?

– „Misiaczku”. Takie misiaczkowe słowa. Niebezpiecznie pieścizotliwe słowo nie może być wytarte i bezosobowe, lecz przeznaczone dla konkretnej osoby, intymne. Dobrze wymawiać je przez nos, trochę tak, jak się mówi do dzieci. Dopiero wtedy są powody do klaustrofobii.

– Znasz więcej podobnych przykładów?

– Gdzie się podziała kawa?

Birgitta trzepnęła go ścierką, a potem nalała kawę do dużego kubka. Stała obrócona plecami, a Harry nabrał ochoty, by wyciągnąć się i dotknąć jej włosów.

– Teraz moja kolej. Chcę usłyszeć dalszy ciąg twojej opowieści – oświadczyła Birgitta i usiadła. Nakryła ręką jego dłoń. Harry wypił łyk kawy i obejrzał się za siebie. Nabrał powietrza.

– Ten mój kolega nazywał się Stiansen. Na imię miał Ronny. To imię dobre dla twardziela. Ale on nie był twardzielem. Był miłym, chętnym do pomocy chłopakiem, który uwielbiał być policjantem. Pochowali go, kiedy ja wciąż leżałem pod respiratorem. Mój szef z komendy odwiedził mnie później w szpitalu, przyniósł pozdrowienia od komendanta policji w Oslo. Już wtedy powinienem był wyczuć smród. Ale byłem trzeźwy i humor miałem podły. Pielęgniarka odkryła, że przemycano mi alkohol,

i mojego sąsiada przeniesiono do innej sali, więc od dwóch dni nie piłem. „Wiem, o czym myślisz” – powiedział mój szef. „Przestań się tym dręczyć, masz robotę do zrobienia”. Sądził, że myślę o samobójstwie. Mylił się. Rozmyślałem o tym, jak zdobyć coś do picia.

Mój szef to człowiek, który niedługo krąży wokół tematu. „Stiansen nie żyje” – oznajmił. „Nic już teraz nie możesz zrobić, żeby mu pomóc. Pomóc możesz jedynie sobie i swojej rodzinie. I nam. Czytałeś gazety?” Odparłem, że nic nie czytałem, że ojciec czytał mi na głos jakieś książki, ale prosiłem go, żebyśmy ani słowem nie rozmawiali o wypadku. Szef stwierdził, że to dobrze, ponieważ fakt, iż nie rozmawiałem z nikim o tym, co się stało, znacznie upraszcza sprawę. „Bo widzisz, to nie ty prowadziłeś samochód” – powiedział. Czyli innymi słowy za kierownicą nie siedział pijany policjant z Komendy Okręgowej w Oslo. I spytał, czy zrozumiałem. Czy pojąłem, że to Stiansen prowadził. Ten z nas, którego badanie krwi wykazało, że był trzeźwy jak dziecko.

Pokazał mi gazety sprzed tygodnia, w których zamglonym wzrokiem mogłem przeczytać, że kierowca zginął na miejscu, natomiast jego kolega zajmujący miejsce pasażera został ciężko ranny. „Ale to ja siedziałem na miejscu kierowcy” – powiedziałem. „Szczerze wątpię, znaleziono cię na tylnym siedzeniu” – oświadczył szef. „Wiesz, że przeszedłeś poważny wstrząs mózgu. Założę się, że nie pamiętasz nic z tej jazdy”. Oczywiście, zrozumiałem, do czego zmierza. Prasę interesowały jedynie wyniki badań krwi kierowcy, a dopóki on był czysty, nikogo nie obchodziły moje. Sprawa i tak była dla firmy dostatecznie nieciekawa.

Między oczyma Birgitty pojawiła się głęboka zmarszczka. Podniosła wzrok.

– Ale jak można było powiedzieć rodzicom Stiansena, że to on prowadził samochód? Ci ludzie chyba w ogóle nie mają uczuć! W jaki sposób...

– Mówiłem ci już, że w Komendzie panuje bardzo silna lojalność. Czasami dobro policji staje się ważniejsze od dobra rodziny. Ale możliwe również, że rodzina Stiansena otrzymała wersję, z którą łatwiej im będzie żyć. W wersji szefa kierowca, czyli Stiansen, podjął świadome ryzyko podczas pościgu za osobą, która, bardzo możliwe, popełniła przestępstwo

narkotykowe i morderstwo. A wypadek na służbie może się zdarzyć każdemu. Chłopak w tym drugim samochodzie był mimo wszystko niedoświadczonym kierowcą i nie da się wykluczyć, że ktoś inny inaczej oceniłby sytuację i nie wyjeżdżał na drogę przed nami. Pamiętaj, że mieliśmy włączoną syrenę.

– I jechaliście sto dziesięć na godzinę.

– W strefie gdzie obowiązuje pięćdziesiąt. Tak, tak, chłopaka oczywiście nie dało się obwiniać. Istotna była argumentacja. Dlaczego rodzina miałaby się dowiedzieć, że ich syn był pasażerem? Czy rodzice czuliby się lepiej, gdyby syn po śmierci zyskał sławę jako funkcjonariusz, który pozwolił prowadzić samochód pijanemu w sztok koledze? Mój szef raz po raz rozważał argumenty, aż głowa mnie rozboleła, myślałem, że pęknie. W końcu przechyliłem się za łóżko i zacząłem wymiotować żółcią. Przybiegła pielęgniarka. Następnego dnia przyszła do mnie rodzina Stiansena, rodzice i młodsza siostra. Przynieśli kwiaty, powtarzali, że mają nadzieję, że wkrótce wyzdrowieję. Ojciec powiedział, że sam czuje się winny, bo nigdy za bardzo nie karmił syna za szybką jazdę. Płakałem jak dziecko. Każda sekunda była jak powolne wykonywanie wyroku śmierci. Siedzieli u mnie ponad godzinę.

– Na miłość boską, co im powiedziałaś?

– Nic. To oni opowiadali mnie. O Ronnym, o planach, jakie miał, o tym, kim chciał zostać i co robić. O jego dziewczynie, która studiowała w Stanach. O tym, że o mnie wspominał. Mówił, że jestem dobrym policjantem i dobrym kolegą, że mi ufał.

– Co się stało później?

– Leżałem w szpitalu dwa miesiące. Szef zaglądał do mnie parę razy. Raz powtórzył to, co powiedział już wcześniej: „Wiem, o czym myślisz. Skończ z tym”. I tym razem miał rację. Chciałem już tylko umrzeć. Możliwe, że w ukrywaniu prawdy był cień altruizmu. Kłamstwo samo w sobie nie było najgorsze. Najgorsze było to, że ratowałem własną skórę. Może to brzmi dziwnie, sporo o tym myślałem, więc pozwól, że wytłumaczę ci to trochę bliżej.

W latach pięćdziesiątych żył pewien młody wykładowca uniwersytecki, Charles Van Doren, który zasłynął w całych Stanach,



ponieważ nie miał sobie równych w teleturniejach organizowanych przez jeden z ogólnokrajowych kanałów telewizyjnych. Tydzień po tygodniu bił na głowę wszystkich pozostałych zawodników. Niektóre z pytań były niesłychanie trudne i wszystkim aż mowę odbierało z podziwu, że ten gość najwyraźniej zna odpowiedź na wszystko. Dostawał pocztą propozycje małżeństwa, powstał jego fan club, a na wykładach studenci oczywiście się tłoczyli. W końcu podczas jednej z audycji wstał i oświadczył, że producenci programu udostępnili mu wszystkie pytania z góry.

Gdy go spytano, dlaczego ujawnił oszustwo, opowiedział o swoim wuju, który przyznał się żonie, ciotce Van Dorena, do niewierności. W rodzinie zapanowało poruszenie, a później Van Doren spytał wuja, dlaczego wyznał zdradę. Ten skok w bok miał bowiem miejsce przed laty, a wuj później całkowicie zerwał kontakt z tamtą kobietą. Wuj odpowiedział mu, że nie zdrada była najgorsza, tylko unikanie odpowiedzialności, której nie miał siły ponieść. I tak samo było z Charlesem Van Dorenem.

Wydaje mi się, że ludzie odczuwają coś w rodzaju potrzeby poniesienia kary, gdy przestają akceptować swoje czyny.

Ja w każdym razie tego pragnąłem. Chciałem, by mnie ukarano, wychłostano, udreńczono i ponizono. Wszystko jedno jak, bylebym tylko zapłacił za swoją winę. Ale nie było nikogo, kto by mnie ukarał. Nie mogli mnie nawet wyrzucić z pracy, bo oficjalnie byłem przecież trzeźwy. Przeciwnie, opublikowano pochwałę szefa policji, ponieważ zostałem ciężko ranny podczas czynnego pełnienia służby. Ukaralem się więc sam. Zadałem sobie najcięższą karę, jaką potrafiłem sobie wyobrazić. Postanowiłem żyć dalej i skończyć z piciem.

Do baru zaczęli przychodzić ludzie, Birgitta dała znak, że wkrótce będzie wolna.

– A potem?

– Stałem z powrotem na nogi, zacząłem pracować. Siedziałem w pracy dłużej niż wszyscy inni. Trenowałem. Chodziłem na długie spacery, czytałem książki. Trochę zająłem się prawem. Przestałem spotykać się ze złym towarzystwem, z dobrym także. Z przyjaciółmi, którzy wciąż mi pozostali po tym, jak zwyciężył nade mną alkohol. Właściwie nie wiem dlaczego, to było jak wielkie sprzątnięcie. Całe moje dawne życie musiało

odejść, i to, co w nim było dobre, i to złe. Pewnego dnia usiadłem i obdzwoniłem wszystkich należących, moim zdaniem, do poprzedniego życia, i oświadczyłem: „Cześć, nie możemy się więcej spotykać. Miło było cię poznać”. Większość to zaakceptowała, kilku nawet się ucieszyło. Niektórzy twierdzili, że zamykam się w sobie. Cóż, możliwe, że mieli rację. Przez ostatnie trzy lata spędziłem więcej czasu z siostrą niż z kimkolwiek innym.

– A kobiety w twoim życiu?

Harry zerknął na drugi koniec baru. Kilku gości zaczęło się niecierpliwić.

– To już inna, równie długa historia. I stara. Po wypadku nie było już nic, o czym warto by opowiadać. Najwyraźniej stałem się samotnym wilkiem, który dręczy się własnymi sprawami. Kto wie, może po prostu wydawałem się bardziej ujmujący, kiedy byłem pijany. – Harry dołał sobie mleka do kawy, uśmiechając się pod nosem.

– Dlaczego cię tu przysłali?

– Widocznie któryś z moich zwierzchników uważa, że mogę się do czegoś przydać. To pewnie też coś w rodzaju papierka lakmusowego, który ma wykazać, w jaki sposób funkcjonuję pod presją. O ile dobrze zrozumiałem, jeśli uda mi się nie położyć tego zadania, to w kraju otworzą się przede mną pewne możliwości.

– A to twoim zdaniem jest ważne?

Harry wzruszył ramionami.

– Niewiele rzeczy jest bardzo ważnych. – Kiwnął głową, wskazując na drugą stronę baru. – A przynajmniej nie tak ważnych, jak dla tych chłopaków napić się czegoś możliwie najprędzej.

Birgitta zniknęła. Harry siedział dalej, mieszając kawę. Nagle jego uwagę przyciągnął głos z odbiornika telewizyjnego, wiszącego nad półkami z butelkami. Nadawano wiadomości. Harry po chwili zorientował się, że chodzi o grupę Aborygenów domagającą się jakiegoś konkretnego obszaru ziemi.

– ...zgodnie z nową ustawą, Aktem o prawie pierwszych

mieszkańców... – mówił prowadzący.

– A więc sprawiedliwość zwycięża. – Harry usłyszał za sobą jakiś głos.

Obrócił się. W pierwszej chwili nie poznał stojącej przed nim długonogiej, mocno upudrowanej kobiety o grubych rysach i w jasnej peruce. W końcu jednak przypomniał sobie tępo zakończony nos i szparę między przednimi zębami.

– Klaun! – zawołał. – Otto...

– Otto Rechnagel we własnej wysokiej osobie, przystojniaczku. To jest wada wysokich obcasów. Właściwie wołałabym, żeby moi mężczyźni byli wyżsi ode mnie. Mogę?

Usiadł na stołku barowym obok Harry'ego.

– Jaka jest twoja trucizna? – spytał Harry, usiłując przyciągnąć uwagę zajętej Birgitty.

– Daj sobie spokój, ona już wie – powiedział Otto.

Harry zaproponował mu papierosa, którego Otto wziął bez podziękowania i umieścił w różowej fifce. Harry podsunął mu zapaloną zapalną. Otto przyglądał mu się znacząco; paląc papierosa, wciągał policzki. Krótka sukienka opinała szczupłe uda w pończochach. Harry musiał przyznać, że przebranie jest jak prawdziwe dzieło sztuki. Otto w damskim stroju wyglądał bardziej kobieco niż większość kobiet, z jakimi Harry się stykał. Oderwał się od jego spojrzenia i wskazał na ekran telewizora.

– Co masz na myśli, mówiąc, że sprawiedliwość zwycięża?

– Nie słyszałeś o *terra nullius*, o Eddiem Mabo?

Harry dwukrotnie pokręcił głową. Otto ułożył wargi jak do oralnego aktu seksualnego i wypuścił dwa grube kółka dymu, które wolno uniosły się w powietrze.

– Widzisz, *terra nullius*, czyli ziemia niczyja, to zabawne określenie. Wymyślili je Anglicy, kiedy tu przybyli i zorientowali się, że w Australii jest niewiele uprawianej ziemi. Aborygeni byli bowiem półnomadami, żyli z myślistwa, rybołówstwa, z tego, co samo rośnie w przyrodzie. I tylko dlatego, że pół dnia nie garbili się nad polem kartofli, Anglicy uznali ich za istoty niższego rzędu. Byli zdania, że uprawa ziemi to konieczne ogniwo rozwoju każdej cywilizacji, i zapomnieli o fakcie, że pierwsi z nich

po przybyciu tutaj o mało nie zginęli z głodu, kiedy próbowali wyżyć z jałowej ziemi. Natomiast Aborygeni znali tętejszą naturę na wylot. W różnych porach roku przemieszczali się tam, gdzie było jedzenie, i wydawało się, że niczego im nie brakuje. Kapitan Cook nazwał ich najszcześniejszymi ludźmi, z jakimi się zetknął. Oni całkiem po prostu nie mieli potrzeby uprawiania ziemi. Ponieważ jednak nie byli przywiązani do jednego obszaru, Anglicy zdecydowali, że ta ziemia nie ma właściciela, że to *terra nullius*. I zgodnie z zasadą *terra nullius* Anglicy mogli nadać własność nowo przybyłym, bez względu na opinię Aborygenów. Przecież oni nie byli właścicielami swojej ziemi.

Birgitta postawiła przed Ottonem duży kieliszek margherity.

– Kilka lat temu pojawił się pewien gość znan Cieżsiny Torresa, Eddie Mabo, który rzucił wyzwanie istniejącemu stanowi rzeczy, sprzeciwiając się zasadzie *terra nullius* i twierdząc, że ziemię bezprawnie skradziono kiedyś Aborygenom. W roku 1992 Sąd Najwyższy przyznał Eddiemu Mabo rację i orzekł, że Australia należała niegdyś do Aborygenów. Sędziowie stwierdzili, że jeśli rdzenni mieszkańcy zamieszkiwali jakiś obszar lub z niego korzystali przed nadejściem białych, to mogą się domagać przyznania jego własności. To orzeczenie, rzecz jasna, wywołało wielką wrzawę, mnóstwo białych podniosło krzyk z obawy przed utratą ziemi.

– A co się dzieje teraz?

Otto wypił głęboki łyk z obsypanego na brzegu solą kieliszka, zrobił przy tym taką minę, jakby podano mu ocet, i delikatnie wytarł wargi serwetką.

– No cóż, wyrok zapadł i postanowienia Aktu o prawie pierwszych mieszkańców zostały przyjęte, ale też i realizuje się je w sposób niezupełnie przypadkowy. Nie jest tak, że jakiś nieszczęsny farmer nagle staje w obliczu utraty całej posiadłości. Z czasem więc największa panika ucichła.

Siedzę sobie w barze, pomyślał Harry, i słucham, jak transwestyta peroruje na temat australijskiej polityki. Nagle poczuł się mniej więcej tak samo na miejscu, jak Harrison Ford w barowej scenie w *Gwiezdnych wojnach*.

Wiadomości przerwała reklama, na której pojawili się Australijczycy

we flanelowych koszulach i skórzanych kapeluszach. Z dumą reklamowali piwo, którego najważniejszą cechą było to, że jest australijskie.

– Cóż, wypijmy za *terra nullius* – zaproponował Harry.

– Wypijmy, przystojniaczku. Ach, prawie zapomniałam, w przyszłym tygodniu występujemy z nowym przedstawieniem w St. George's Theatre na Bondi Beach. Żądam wręcz, żebyście razem z Andrew przyszli je zobaczyć. Weźcie ze sobą jeszcze kogoś i dobrze by było, żebyście zachowali oklaski na moje numery.

Harry ukłonił się nisko i podziękował za trzy bilety, które Otto podał mu, wytwornie odginając przy tym mały palec.

Kiedy Harry w drodze z The Albury na King's Cross mijał Green Park, odruchowo rozglądał się za szarym Aborygenem, ale tego wieczoru w bladym świetle parkowych latarni siedziało tylko dwóch białych pijaków. Chmury, które zgromadziły się na niebie wcześniej, teraz się rozwiały, niebo było pogodne i gwiazdziste. Po drodze Harry napotkał dwóch mężczyzn, którzy wyraźnie się kłócili. Stali każdy po swojej stronie chodnika, wrzeszcząc do siebie. „Nie mówiłeś, że nie będzie cię przez całą noc!” – krzyczał jeden cienkim, zduszonym od płaczu głosem. Harry musiał przejść między nimi.

Przed wietnamską restauracją kelner stał oparty o ścianę i palił papierosa. Wyglądał tak, jakby już miał za sobą długi dzień. Sznur samochodów i ludzi płynął powoli przez Darlinghurst Road na King's Cross.

Na rogu przy Bayswater Road stał Andrew i żuł kielbasę.

– Jesteś. Co do minuty, jak prawdziwy Germanin.

– Niemcy leżą...

– Niemcy to Teutoni, a ty jesteś Germaninem z Północy. Nawet tak wyglądasz. Wypierasz się swojej rasy, chłopcze?

Harry miał ochotę zadać mu to samo pytanie, ale się powstrzymał.

Andrew był we wspaniałym humorze.

– Zaczniemy od kogoś, kogo znam.

Już wcześniej uzgodnili, że rozpoczną poszukiwanie słynnej igły jak

najbliżej środka stogu siana, między dziwkami na Darlinghurst Road. Nietrudno było je znaleźć. Harry kilka już rozpoznawał.

– Mongabi, stary, jak interesy? – Andrew zatrzymał się i serdecznie przywitał ciemnego faceta w obcisłym garniturze, obwieszonego biżuterią. Gdy mężczyzna otworzył usta, błysnął złoty ząb.

– Tuka, ty ogierze! Nie narzekam.

Ten przynajmniej wygląda jak alfons, pomyślał Harry.

– Harry, poznaj Teddy’ego Mongabi, najgorszego alfonsa w Sydney. Siedzi w interesie już od dwudziestu lat, ale ciągle wystaje na ulicy razem ze swoimi dziewczynami. Nie zaczynasz przypadkiem robić się na to za stary, Teddy?

Teddy rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się tutaj, Tuka. Przecież to tutaj coś się dzieje, wiesz. Kiedy się zaszyjesz w biurze, mija niewiele czasu, a tracisz rozeznanie i kontrolę. A kontrola w tej branży jest najważniejsza, wiesz. Kontrola dziewczyn i kontrola klientów. Ludzie są jak psy, wiesz. A pies, nad którym nie ma się kontroli, jest nieszczęśliwy. A nieszczęśliwe psy gryzą, wiesz.

– Skoro tak mówisz, Teddy. Posłuchaj, chciałbym porozmawiać z kilkoma twoimi dziewczynami. Szukamy niegrzecznego chłopca, mógł przyjść się tu zabawić.

– Jasne. Z kim chciałbyś pogadać?

– Jest Sandra?

– Będzie tu w każdej chwili. Jesteś pewien, że nie chcesz nic więcej? To znaczy nic więcej niż pogadać?

– Nie, nie, dziękuję, Teddy. Będziemy w Palladium. Możesz poprosić Sandrę, żeby tam zajrzała?

Przed Palladium stał naganiacz i wykrzykiwał do ludzi zachęcające gładkie słowa. Na widok czarnoskórego policjanta rozjaśnił się. Andrew zamienił z nim kilka słów i przeszli, nie zaglądając do okienka z biletami. Wąskie schody prowadziły do piwnicy słabo oświetlonego klubu striptizerskiego, gdzie siedziała już przy stolikach garstka mężczyzn w oczekiwaniu na kolejny występ. Znaleźli wolny stolik na tyłach sali.

– Mam wrażenie, że znasz wszystkich w tej okolicy – powiedział Harry.

– Wszystkich, dla których znajomość ze mną jest przydatna i których

mnie przydaje się znać. Przypuszczam, że u was w Oslo też istnieje taka dziwna symbioza między policją a półświatkiem.

– Jasne. Ale odnoszę wrażenie, że twoje kontakty są bardziej osobiste niż nasze.

Andrew roześmiał się.

– Pewnie czuję z nimi swego rodzaju pokrewieństwo. Gdybym nie był w policji, może sam działałbym w tej branży, kto wie?

Po schodach zeszła czarna sukienka mini na wysokich szpilkach. Oczy spod krótkiej czarnej grzywki rozejrzały się ciężkim zamglonym spojrzeniem. W końcu kobieta podeszła do ich stolika. Andrew podsunął jej krzesło.

– Sandro, to Harry Holy.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się krzywo szerokimi, umalowanymi na czerwono ustami. Brakowało jej jednego kła. Harry ujął ją za zimną trupioblada dłoń. Dziewczyna miała w sobie coś znajomego, musiał ją widzieć na Darlinghurst Road innego wieczoru, może była inaczej umalowana albo w innym ubraniu.

– O co chodzi? Ścigasz bandytów, Kensington?

– Ścigamy pewnego konkretnego bandytę, Sandro. Lubi dusić. Gołymi rękami. Brzmi znajomo?

– Znajomo? To pasuje do połowy naszych klientów. Skrzywdził kogoś?

– Prawdopodobnie tylko te, które mogły go zidentyfikować – odparł Harry. – Widziałas już tego faceta? – Podsunął jej zdjęcie Evansa White'a.

– Nie – odparła, nie patrząc na fotografię, i obróciła się do Andrew. – Co to za typ, którego ze sobą przyprowadziłeś, Kensington?

– To Norweg. Jest policjantem, a jego siostra pracowała w The Albury. Została zgwałcona i zabita w zeszłym tygodniu. Dwadzieścia trzy lata. Harry wziął urlop bezpłatny i przyjechał tu, żeby znaleźć człowieka, który to zrobił.

– Przepraszam – powiedziała Sandra i popatrzyła na zdjęcie. – Tak – rzuciła tylko.

– Co masz na myśli? – ożywił się Harry.

– To, że go widziałam.

– Czy... hm... spotkałaś się z nim?

– Nie, ale był kilka razy na Darlinghurst Road. Nie mam pojęcia, co tu robi, ale twarz jest znajoma. Mogę trochę popytać...

– Bardzo dziękuję... Sandro – powiedział Harry.

Uśmiechnęła się krótko.

– Muszę wracać do pracy, chłopaki. Pewnie jeszcze pogadamy.

Minispódniczka zniknęła tą samą drogą, którą się pojawiła.

– Mamy go! – powiedział Harry.

– Mamy? Tylko dlatego, że ktoś widział tego faceta na King's Cross? Nie ma zakazu pokazywania się na Darlinghurst Road ani też pieprzenia się z dziewczynkami, nawet jeśli po to tu przyszedł. A w każdym razie zakaz nie jest zbyt surowy.

– Nie czujesz tego, Andrew? W Sydney mieszkają cztery miliony ludzi, a ona widziała tego jednego, którego szukamy. To oczywiście nie jest żaden dowód, ale znak, prawda? Nie czujesz, że zaczynamy się zbliżać?

Przyciszono nieciekawą muzykę i przygaszono światła. Goście przybytku skierowali uwagę na scenę.

– Ty jesteś całkiem przekonany o tym, że to Evans White, prawda?

Harry kiwnął głową.

– Każde włókienko w moim ciele mówi, że to Evans White. Mam w brzuchu takie uczucie, że może chodzić o niego.

– W brzuchu?

– Intuicja to nie jest żaden hokus-pokus, jak się nad tym głębiej zastanowisz, Andrew.

– Zastanawiam się nad tym teraz, Harry, i nic nie czuję w brzuchu. Opowiedz mi, jak ten twój brzuch działa.

– Cóż... – Harry spojrzał na Andrew, by się przekonać, czy ten z niego nie kpi. Ale Andrew patrzył na niego ze szczerym zainteresowaniem. – Intuicja to tylko suma wszystkich zebranych doświadczeń. Wyobrażam to sobie tak, że wszystko, co przeżyłeś, wszystko, co wiesz, co ci się wydaje, że wiesz, i nie wiedziałeś, że wiesz, tkwi w podświadomości, jakby na wpół uśpione. Z reguły nie czujesz tego uśpionego zwierzęcia, ono tylko leży, chrapie i chłonie nowe rzeczy, prawda? Ale od czasu do czasu mruga oczami, przeciąga się i mówi ci: „Halo, ja to już gdzieś kiedyś widziałem”. I tłumaczy ci, w którym miejscu na obrazku dana rzecz powinna się



znaleźć.

– Pięknie, Holy. Ale czy jesteś pewien, że to uśpione zwierzę dostrzeże wszystkie szczegóły na tym obrazku? Przecież to, co się widzi, może zależeć od miejsca, w którym się stoi i z którego się patrzy.

– Co przez to rozumiesz?

– Weź na przykład gwiazdziste niebo. To niebo, które widzisz w Norwegii, jest dokładnie tym samym niebem, które widzisz w Australii, lecz ponieważ teraz jesteś „na dole”, stoisz do góry nogami w stosunku do tego, co widzisz w domu. Przez to wszystkie gwiazdozbiory oglądasz do góry nogami. Jeśli nie wiesz, że tak jest, wszystko ci się pomyli i możesz popełnić błąd.

Harry zdziwiony spojrzał na Andrew.

– Do góry nogami?

– Jasne. – Andrew zgasił cygaro.

– W szkole uczyłem się, że rozgwieżdżone niebo, które wy oglądacie, jest całkowicie inne od tego, które my widzimy. W Australii kula ziemską zakrywa widok tych gwiazd, które możemy nocą oglądać w Norwegii.

– Niech będzie i tak. – Andrew był niewzruszony. – Tak czy owak pozostaje kwestia, z jakiego miejsca patrzysz na rzeczy. Chodzi mi o to, że wszystko jest względne, prawda? A przez to tak cholernie skomplikowane.

Ze sceny rozległ się jakby syk, buchnął biały dym. W następnej chwili zabarwił się na czerwono, a z głośników popłynęła muzyka smyczków. Z chmury dymu wyłoniła się kobieta ubrana w prostą suknię i mężczyzna w spodniach i białej koszuli.

Harry słyszał tę muzykę już wcześniej. Był to ten sam utwór, który szumiał w słuchawkach sąsiada z samolotu przez całą drogę z Londynu, ale dopiero teraz dotarł do niego tekst. Kobięcy głos śpiewał, że nie wiadomo dlaczego nazywano ją dziką różą; ostro kontrastował z głębokim, ponurym głosem mężczyzny:

*Then I kissed her good-bye,*

*said all beauty must die*

*I bent down and planted a rose between her teeth...*

Harry'emu śniły się gwiazdy i brązowożółte węże, kiedy obudziło go lekkie stukanie do drzwi jego hotelowego pokoju.

Przez moment leżał nieruchomo, sprawdzając, na ile go stać. Znow zaczęło padać. Rynna za oknem śpiewała. Wstał nagi, otworzył drzwi na oścież z nadzieją, że rozpoczynająca się erekcja zostanie zauważona. Birgitta zaśmiała się zaskoczona i wpadła mu w objęcia. Z jej włosów kapłała woda.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że o trzeciej. – Harry udawał, że jest zły.

– Goście nie chcieli wyjść. – Podniosła do niego piegowatą twarz.

– Jestem w tobie dziko, bezgranicznie, szaleńczo zakochany – szepnął, mocno ujmując jej głowę.

– Wiem o tym – odparła z powagą i mokrą, zimną ręką chwyciła jego pulsujący członek. – Halo, to dla mnie?

Harry stał przy oknie, popijał sok pomarańczowy wyjęty z minibaru i patrzył w niebo. Chmury znow się rozstały, jak gdyby ktoś wielokrotnie ponakłował aksamitne niebo widelcem i z dziurek sączyło się boskie światło.

– Co myślisz o transwestytach? – spytała Birgitta z łóżka.

– Chodzi ci o to, co myślę o Ottonie? – Harry zastanowił się i w końcu roześmiał. – Chyba podoba mi się arogancja jego stylu. Opuszczone powieki, niezadowolona mina. Zmęczenie życiem. Jak to nazwać? To jak pełen melancholii kabaret, w którym flirtuje ze wszystkim i ze wszystkimi. Powierzchowny autoparodystyczny flirt.

– I to ci się podoba?

– Lubię jego zadziorność. Wszystkiego tego, co on sobą reprezentuje, większość ludzi nienawidzi.

– A czego to nienawidzi większość?

– Słabości, wrażliwości. Australijczycy chwalą się, że są tacy liberalni. Może i tak jest, ale zrozumiałem też, że ideałem jest uczciwy, prosty, ciężko harujący Australijczyk obdarzony dobrym humorem i porcją patriotyzmu.

– True blue.

– Co?

– Oni to nazywają *true blue*. Albo *dinkum*. To znaczy mniej więcej tyle, że jakaś osoba albo rzecz jest prawdziwa, szczerą, swojską.

– A za fasadą jowialnej swojskości łatwo jest ukryć cholernie dużo gówna. Natomiast Otto z całym swoim przesadnym sztafirem reprezentuje uwodzicielskość, iluzję i fałsz, ale wydaje mi się najbardziej szczerą osobą, z jaką się tu zetknąłem. Jest nagi, wrażliwy i prawdziwy.

– Moim zdaniem to brzmi bardzo poprawnie politycznie. Harry Holy, najlepszy przyjaciel gejów. – Birgitta najwyraźniej miała nastrój do kpin.

– Ale też i ładnie to powiedziałem, prawda?

Położył się na łóżku, popatrzył na nią niewinnym niebieskim spojrzeniem.

– Naprawdę się cieszę, że nie mam na ciebie ochoty jeszcze raz, moja panno. Przecież rano mamy tak wcześnie wstać.

– Mówisz tak tylko po to, żeby mnie zachęcić – stwierdziła Birgitta.

Rzucili się na siebie jak dwa gotowe do parzenia się borsuki.

## 8. SYMPATYCZNA PROSTYTUTKA, DZIWNY DUŃCZYK

### I KRYKIET

Harry znalazł Sandrę przed klubem Dez Go-Go. Stała na chodniku, rozglądając się po swoim małym królestwie. Zmęczone nogi balansowały na wysokich obcasach, ręce miała założone na piersi, w palcach trzymała papierosa, a senne spojrzenie śpiącej królowny zarazem zapraszało i odpychało. Krótko mówiąc, wyglądała jak dziwka z każdego innego miejsca na świecie.

– Dzień dobry – powiedział Harry.

Sandra popatrzyła na niego jak na zupełnie obcego człowieka.

– Pamiętasz mnie?

Podciągnęła w górę kąciki ust, może miał to być uśmiech.

– Oczywiście, kochasiu. Chodźmy!

– Jestem Holy, policjant.

Sandra zmrużyła oczy.

– Cholera, rzeczywiście! Moje szkła kontaktowe zaczynają rano strajkować. Widocznie przez te wszystkie spaliny.

– Mogę ci postawić kawę? – spytał Harry uprzejmie.

Wzruszyła ramionami.

– Nic się tu nie dzieje, więc równie dobrze mogę już sobie zrobić wieczór.

W drzwiach klubu striptizerskiego pojawił się nagle Teddy Mongabi, gryzł zapałkę. Krótko skinął Harry'emu głową.

– Jak przyjmują to twoi rodzice? – spytała Sandra, kiedy już przyniesiono im kawę.

Usiedli w barze, w którym Harry jadał śniadania, Bourbon & Beef. Kelner już pamiętał jego stałe zamówienie: jajka sadzone na grzance z szynką, tarte ziemniaki smażone z cebulą i kawa, *white flat*. Sandra piła czarną.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Twoja siostra...

– A tak, oczywiście. – Podniósł do ust filiżankę, żeby zyskać trochę czasu. – Cóż, przyjmują to tak, jak się można spodziewać. Dziękuję za zainteresowanie.

– Żyjemy w strasznym świecie.

Słońce nie wzeszło jeszcze ponad dachy domów na Darlinghurst Road, ale niebo już było lazurowobłękitne, nakrapiane gdzieś białymi obłoczkami. Wyglądało jak tapeta do pokoju dziecinnego, ale nawet to nie pomagało, świat i tak był strasznym miejscem.

– Rozmawiałam z kilkoma dziewczętami – powiedziała Sandra. – Ten facet ze zdjęcia nazywa się White. Handluje amfą i kwasem. Niektóre od niego kupują. Ale do żadnej nie przychodził jako klient.

– Może nie musi płacić za zaspokajanie swoich potrzeb? – zauważył Harry.

Sandra roześmiała się.

– Potrzeba seksu to jedno. Potrzeba kupowania seksu to coś zupełnie innego. Wielu facetów właśnie to kręci. My potrafimy wiele rzeczy, których nie dostaniesz w domu, uwierz mi.

Harry podniósł na nią wzrok.

Sandra popatrzyła wprost na niego i mgła na jej oczach na moment zniknęła. Wierzył jej.

– Sprawdzalas daty, o których rozmawialiśmy?

– Jedna z dziewczyn powiedziała, że kupiła od niego kwas wieczorem na dzień przed znalezieniem twojej siostry.

Harry odstawił filiżankę tak gwałtownie, że kawa się wychlapała, i pochylił się nad stolikiem. Mówił cicho i szybko.

– Mogę z nią porozmawiać? Można jej zaufać?

Szerokie, umalowane na czerwono usta Sandry rozdzieliły się w uśmiechu. W miejscu, gdzie brakowało zęba, widniała czarna dziura.

– Mówiłam ci już, że kupowała kwas. A kwas to substancja zakazana również w Australii. Nie możesz z nią rozmawiać. A co do twojego drugiego pytania – czy komuś na kwasie można ufać? – Wzruszyła ramionami. – Powtarzam tylko to, co mi powiedziała. Ale przypuszczam,

że chyba nie najlepiej się orientuje, czy jest środa, czy czwartek.

Atmosfera w pokoju odpraw była napięta, nawet wentylator burczał głośniejsz niż zwykle.

– Przykro mi, Holy. Zostawiamy White'a. Zero motywu, a poza tym jego dziewczyna twierdzi, że w chwili popełnienia morderstwa był w Nimbin – powiedział Wadkins.

Harry podniósł głos.

– Nie słyszycie, co mówię? Angeline Hutchinson działa na amfie i Bóg jeden wie na czym jeszcze. Jest w ciąży. Najprawdopodobniej z Evansem White'em. Na Boga, ludzie, to jej diler! Bóg Ojciec i Jezus w jednej i tej samej osobie. Dziewczyna powie wszystko, co on jej każe. Rozmawialiśmy z facetem, u którego Inger Holter wynajmowała mieszkanie. Wiemy od niego, że Angeline jej nienawidziła i miała do tego powody, bo Norweżka chciała jej odebrać White'a.

– Może więc powinniśmy przyjrzeć się uważniej tej Hutchinson? – powiedział cicho Lebie. – Ona miała przynajmniej wyraźny motyw. Może to ona potrzebuje White'a jako alibi, a nie odwrotnie?

– Przecież White łąe. Widziano go w Sydney dzień przed znalezieniem zwłok Inger Holter. – Harry wstał i krążył po pokoju, robiąc dwa kroki w każdą stronę, bo więcej miejsca nie było.

– Widziała go prostytutka uzależniona od LSD i w dodatku nie wiemy, czy będzie chciała to powtórzyć – przypomniał Wadkins i odwrócił się do Yonga. – Co powiedzieli w towarzystwach lotniczych?

– Policjanci z Nimbin na własne oczy widzieli White'a na głównej ulicy trzy dni przed morderstwem. Ani w Ansett, ani w Qantas nie ma White'a na listach pasażerów pomiędzy tym momentem a dniem morderstwa.

– To o niczym nie świadczy – burknął Lebie. – Handlarz narkotyków nie podróżuje, do cholery, pod własnym nazwiskiem. Poza tym mógł przyjechać pociągiem. Albo samochodem, jeśli miał dużo czasu.

Harry teraz już się zagotował ze złości.

– Powtarzam, statystyki amerykańskie pokazują, że w siedemdziesięciu procentach morderstw ofiara znała mordercę. Mimo to koncentrujemy

śledztwo na seryjnym mordercy, chociaż wiemy, że na jego odnalezienie mamy mniej więcej takie same szanse jak na wygraną w Lotto. Zrobmy coś raczej tam, gdzie są większe szanse. Mamy mimo wszystko faceta, na którego wskazuje sporo poszlak. Najważniejsze, żeby trochę nim teraz potrząsnąć. I działać, dopóki ślady wciąż jeszcze są świeże. Ściągnąć go i pomachać mu przed nosem zarzutami. Sprowokować do popełnienia błędu. Akurat w tej chwili on robi z nami to, co chce. Spycha nas na boczny tor.

– Hm... – Wadkins zaczął głośno myśleć. – Jasne, że nie wyglądałoby najlepiej, gdyby się okazało, że sprawcą jest osoba, którą mieliśmy przed nosem, a nie zareagowaliśmy.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Andrew.

– Cześć, przepraszam za spóźnienie, ale ktoś musi dbać o bezpieczeństwo na ulicach. Co się dzieje, szefie? Masz zmarszczki na czole głębokie jak Jamison Valley.

Wadkins westchnął.

– Siedzimy tu i zastanawiamy się, czy trochę nie przegrupować sił. Odłożyć na bok teorię seryjnego mordercy i skoncentrować się na Evansie Whicie. Albo na Angeline Hutchinson. Holy, zdaje się, uważa, że ich alibi nie jest zbyt wiele warte.

Andrew roześmiał się i wyjął z kieszeni jabłko.

– Chciałbym zobaczyć, jak ważąca czterdzieści pięć kilo ciężarna dziewczyna wyciska życie z rosłej, hożej i silnej Skandynawki, a potem ją gwałci.

– To tylko taka myśl – mruknął Wadkins.

– A jeśli chodzi o Evansa White'a, możecie o nim zapomnieć. – Andrew polerował jabłko o rękaw marynarki.

– Bo?

– Rozmawiałem z jednym ze swoich kontaktów. W dniu morderstwa był w Nimbin, żeby zdobyć partię trawy, i dowiedział się o fantastycznym towarze Evansa White'a.

– I co?

– Nikt mu nie powiedział, że White nie prowadzi interesu w domu. Wybrał się więc na farmę, z której przepędził go rozwścieczony facet

ze strzelbą pod pachą. Pokazałem mu zdjęcie. Przykro mi, ale nie ma wątpliwości, że w dniu, w którym popełniono morderstwo, Evans White był w Nimbin.

W pokoju zapadła cisza. Nie umilkł tylko wentylator, słychać też było chrzęst, kiedy Andrew odgryzł wielki kęs jabłka.

– Wracamy do tablicy – oświadczył Wadkins.

Harry umówił się z Birgittą na kawę w budynku Opery o piątej, przed jej wyjściem do pracy. Gdy jednak tam przyszli, kafeteria okazała się zamknięta. Karteczka informowała, że ma to związek z przedstawieniem baletowym.

– Zawsze coś się tu dzieje – stwierdziła Birgitta.

Stanęli przy balustradzie, patrząc na Kirribilli po przeciwnej stronie.

Po zatoce sunął brzydki zardzewiały statek z rosyjską flagą, a dalej w Port Jackson widzieli przechylone białe żagle, sprawiające wrażenie, jakby stały w miejscu.

– Co teraz planujesz? – spytała.

– Niewiele więcej mogę tutaj działać. Trumna z ciałem Inger Holter została już wysłana do domu. Dzwonili do mnie dzisiaj z zakładu pogrzebowego w Oslo. Wyjaśniłem, że to ambasada zajęła się transportem lotniczym. Użyli fachowego określenia *mors*. Kochane dziecko ma wiele imion. Ale że śmierć ma ich tyle, to dziwne.

– No to kiedy wyjeżdżasz?

– Gdy tylko wszyscy, o których wiemy, że kontaktowali się z Inger Holter, zostaną wykreśleni ze sprawy. Porozmawiam jutro z McCormackiem. Prawdopodobnie wyjadę przed weekendem, chyba że pojawi się jakiś konkretny ślad. Ale ta sprawa może się bardzo przeciągnąć. Ustaliliśmy, że ambasada będzie pośredniczyła w dalszych kontaktach.

Birgitta kiwnęła głową. Tuż obok nich stanęła grupa japońskich turystów i szum kamer mieszał się z niezrozumiałymi słowami, krzykiem mew i warkotem silników przepływających łodzi.

– Wiedziałeś, że człowiek, który zaprojektował Operę, po prostu uciekł



i wszystko tu zostawił? – spytała nagle Birgitta.

Kiedy pojawiły się największe fale krytyki w związku z przekroczeniem kosztów budowy Sydney Opera House, duński architekt Jørn Utzon porzucił cały projekt i w proteście wyjechał.

– Tak, rozmawialiśmy o tym, kiedy ostatnio tu byliśmy – powiedział Harry.

– Ale pomyśl tylko, wyjechać tak, zostawiając coś, co się zaczęło, chociaż naprawdę wierzysz, że to będzie dobre. Ja chyba nigdy bym tak nie zrobiła.

Postanowili, że Birgitta nie pojedzie do pracy autobusem, Harry ją odprowadzi. Mało jednak rozmawiali, w milczeniu szli w górę Oxford Street w stronę Paddington. Gdzieś z daleka dobiegł grzmot i Harry zdziwiony spojrzał na czyste błękitne niebo. Na rogu stał jakiś siwowłosy dystyngowany mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojony garnitur, na piersiach miał zawieszony plakat: „Tajna policja pozbawiła mnie pracy i domu, zniszczyła mi życie. Oficjalnie nie istnieją, nie mają żadnego adresu ani numeru telefonu, nie są wyszczególnieni w budżecie państwowym. Wydaje im się, że nie można ich o nic oskarżyć. Pomóżcie mi odnaleźć tych bandytów i skazać ich za zbrodnie. Złóżcie podpis albo ofiarujcie datek”. Podniósł do góry księgę, której stronie były gęsto wypełnione podpisami.

Mijali sklep z płytami. Harry pod wpływem impulsu zatrzymał się, a potem wszedł do środka. Za ladą w półmroku stał mężczyzna w ciemnych okularach. Harry spytał, czy mają jakieś płyty Nicka Cave’a.

– Jasne, przecież to Australijczyk – odparł mężczyzna i zdjął okulary. Na czole miał wytatuowanego orła.

– Chodzi mi o duet, coś o dzikiej róży – zaczął Harry.

– Tak, tak, wiem, o co ci chodzi. *Where the Wild Roses Grow* z *Murder Ballads*. Gówniana piosenka, gówniany album. Kup raczej którąś z jego dobrych płyt.

Facet z powrotem włożył okulary i zniknął za ladą.

Harry zaskoczony zamrugał w półmroku.

– Co jest wyjątkowego w tej piosence? – spytała Birgitta, kiedy wyszli

z powrotem na ulicę.

– Najwyraźniej nic – roześmiał się Harry głośno. Sprzedawca ze sklepu z płytami przywrócił mu dobry humor. – Cave i ta dziewczyna śpiewają o morderstwie. Brzmi to pięknie, niemal jak wyznanie miłości, ale to chyba rzeczywiście gówniana piosenka. – Znów się roześmiał. – Powoli zaczynam lubić to miasto.

Poszli dalej. Harry to patrzył przed siebie, to oglądał się w tył na ulicę. Byli na Oxford Street niemal jedyną parą, która nie składała się z dwóch chłopaków albo dwóch dziewczyn. Birgitta ujęła go za rękę.

– Powinieneś tu przyjechać na Mardi Gras i zobaczyć paradę homoseksualistów – powiedziała. – Przemaszerowują po Oxford Street. W zeszłym roku mówili, że ponad pół miliona ludzi z całej Australii przyjechało tu zobaczyć paradę i wziąć w niej udział. To było niesamowite.

Ulica gejowska. Ulica lesbijska. Dopiero teraz Harry zwrócił uwagę na ubrania wystawione w sklepach. Lateks. Skóra. Obcisłe bluzeczki i maleńkie majteczki z jedwabiu. Suwaki i nity. Ale ekskluzywne i stylowe. Pozbawione spoconej wulgarności, która przenikała kluby ze striptizem na King's Cross.

– Kiedy byłem chłopakiem, mieszkał w sąsiedztwie gej – zaczął opowiadać Harry. – Miał pewnie ze czterdzieści lat, mieszkał sam i wszyscy w okolicy wiedzieli, że to homoseksualista. Zimą rzucaliśmy w niego śnieżkami, wołaliśmy „ciota” i uciekaliśmy przed nim jak szaleńcy, przekonani, że nas zgwałci, gdy tylko nas dopadnie. Ale on nigdy nas nie ganiał, tylko mocniej naciągał czapkę na uszy i szedł do domu. Pewnego dnia się wyprowadził. Nigdy nic złego mi nie zrobił i ciągle się zastanawiam, dlaczego tak go nienawidziłem.

– Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. A tego, czego się boją, nienawidzą.

– Jaka ty jesteś mądra – powiedział Harry, a Birgitta kuksnęła go w brzuch. Z krzykiem osunął się na chodnik, ale ona ze śmiechem poprosiła, żeby nie robił sceny. Wstał więc i pobiegł za nią w górę ulicy.

– Mam nadzieję, że on się przeprowadził tutaj – dodał Harry później.

Po rozstaniu z Birgittą (uświadomił sobie, że każdą rozłąkę z nią na krócej czy dłużej traktował jako rozstanie) zatrzymał się na przystanku

autobusowym. Przed nim stał chłopak z norweską flagą na plecaku. Harry nie zdążył się zdecydować, czy ma się dać rozpoznać, bo akurat przyjechał autobus.

Kierowca jęknął na widok dwudziestodolarowego banknotu.

– Nie ma pan pięćdziesiątka? – spytał ze złością.

– Gdybym miał, tobym dał go tobie, pieprzona cioto! – odparł Harry po norwesku, uśmiechając się przy tym niewinnie, ale kierowcy najwyraźniej nie obchodziło ani to, co rozumiał, ani to, czego nie rozumiał. Z ponurą miną wydał resztę.

Harry postanowił prześledzić trasę, którą Inger Holter wracała do domu w noc morderstwa. Nie dlatego, że inni jej przed nim nie prześledzili: Lebie i Yong zaglądali już do barów i restauracji na trasie i pokazywali zdjęcie Inger, rzecz jasna bez rezultatu. Próbował nakłonić Andrew, żeby mu towarzyszył, ale ten zaparł się, twierdząc, że to tylko strata cennego czasu, który lepiej wykorzystać na oglądanie telewizji.

– Ja nie żartuję, Harry. Oglądanie telewizji podnosi wiarę w siebie. Kiedy popatrzysz, jacy głupi są ludzie, którzy występują w telewizji, od razu zaczynasz czuć się bystrzacha. A badania naukowe pokazują, że ludzie, którzy uważają się za inteligentnych, mają lepsze wyniki od tych, którzy czują się głupi.

Harry nie potrafił podważyć takiego rozumowania, lecz Andrew przynajmniej podał mu nazwę pewnego baru na Bridge Road, którego właścicielowi mógł przekazać od niego pozdrowienia.

– Na pewno nie będzie miał ci nic do powiedzenia, ale może chociaż sprzeda ci colę za pół ceny – oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu.

Harry wysiadł z autobusu przy ratuszu i przeszedł się w stronę Pyrmont. Przyglądał się wysokim domom i wielkomięskiemu ruchowi, ale to nie powiedziało mu, co spotkało Inger Holter tamtego wieczoru. Przy targu rybnym wszedł do kawiarni i zamówił bajgla z łososiem i kaparami. Z okna widział most przez zatokę Blackwattle i Glebe po drugiej stronie. Na otwartym placu zaczęto już budować scenę pod gołym niebem. Harry na plakatach przeczytał, że to w związku ze świętem narodowym, Australian Day, które wypadło w następną niedzielę. Poprosił kelnera o kawę i wziął się za bary z „Sydney Morning Herald”, gazetą takich

rozmiarów, że dałoby się w nią zapakować cały połów, i nawet obejrzenie samych tylko zdjęć było ciężką pracą. Pozostała jeszcze godzina dziennego światła, a Harry chciał sprawdzić, jakie zwierzęta wypełzają spod ziemi w Glebe po zapadnięciu ciemności.

Właściciel The Cricket był również dumnym właścicielem stroju, którego bohater narodowy Nick Ambrose używał, kiedy Australia pokonała Anglię w trzech kolejnych meczach testowych w krykieta na początku lat osiemdziesiątych. Strój wisiał oprawiony w ramki za szkłem na ścianie ponad jednoręki bandytą. Na drugiej ścianie wisiały dwa z drewnianych kijów i piłka, których używano w roku 1978, kiedy to Australia nareszcie pobiła Pakistan po długim okresie porażek. Po kradzieży *wickets*, palików bramki, używanych w meczu z Afryką Południową, wyeksponowanych tuż nad drzwiami wejściowymi, właściciel uznał, że musi przybijać swoje klejnoty gwoździami. I to nie okazało się skuteczne – nakolannik legendarnego Willarda Stautona został pewnego wieczoru rozstrzelany na strzepy przez gościa, któremu nie udało się go zdjąć ze ściany.

Harry wszedł do środka. Na widok ekspozycji pamiątek i przypuszczalnie zainteresowanych krykietem typów stanowiących klientelę baru natychmiast przyszła mu do głowy myśl, że powinien chyba zmienić swoją opinię na temat krykieta jako sportu dla snobów. Goście nie wyglądali na świeżo wyfryzowanych i pachnących, podobnie zresztą jak Burroughs za barem.

– Dobry wieczór – powiedział. Jego głos zabrzmiał jak tępą kosa na osetce.

– Tonik, bez ginu – poprosił Harry, dając mu znak, by zatrzymał resztę z dziesięciodolarowego banknotu.

– Za dużo na napiwek, za mało na łapówkę. – Burroughs pomachał banknotem. – Jesteś policjantem?

– To tak od razu widać? – spytał Harry ze zrezygnowaną miną.

– Oprócz tego, że mówisz jak cholerny turysta. – Burroughs położył przed Harrym resztę i się odwrócił.

– Jestem znajomym Andrew Kensingtona – poinformował Harry.

Burroughs błyskawicznym ruchem obrócił się w jego stronę i zabrał pieniądze.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś? – mruknął.

Burroughs nie przypominał sobie, żeby zauważył albo usłyszał w związku z Inger Holter coś, o czym Harry by nie wiedział, ponieważ Andrew już wcześniej z nim rozmawiał. Ale, jak mawiał dawny mistrz Harry'ego z policji w Oslo, Simonsen zwany Lumbago, lepiej jest spytać o jeden raz za dużo niż za mało.

Harry rozejrzał się dokoła.

– Na co u ciebie można liczyć?

– Szaszłyk z sałatką grecką – odparł Burroughs. – Danie dnia. Siedem dolarów.

– Przepraszam, wyrażam się niezgrabnie – zmieształ się Harry. – Chodzi mi o to, kogo obsługujesz. Jakiego rodzaju masz klientelę?

– Chyba taką, którą się określa jako niższe warstwy – uśmiechnął się Burroughs z rezygnacją. Uśmiech ten powiedział bardzo wiele o jego karierze i o tym, co się stało w dorosłym życiu z marzeniem o prowadzeniu własnego baru.

– Ci, co tam siedzą, to stali goście? – spytał Harry, ruchem głowy wskazując na mroczny kąt, w którym przy stoliku pięciu mężczyzn piło piwo.

– Jasne, podobnie jak większość z tych, którzy tu przychodzą. Akurat nie tędy płynie największy strumień turystów.

– Masz coś przeciwko temu, żebym zadał im parę pytań?

Burroughs się zawahał.

– Ci faceci tam to nie są najgrzeczniejsze dzieci. Nie mam pojęcia, jak zarabiają na to swoje piwo, nie mam też zamiaru ich o to pytać. Powiem ci tylko, że nie pracują od dziewiątej do szesnastej.

– Ale chyba nikt nie lubi, żeby w sąsiedztwie gwałcono i zabijano niewinne dziewczyny. Nawet ludzie, którzy czasem przekraczają granice wyznaczone przez prawo. To przecież odstrasza przybyszów z innych okolic i nie wpływa dobrze na interesy, bez względu na to, co sprzedajesz, czyż nie?

Burroughs tarł i polerował szklanę.

– Na twoim miejscu i tak byłbym bardzo ostrożny.

Harry skinął mu głową i podszedł do stolika w rogu wolnym krokiem, żeby mieli czas go zauważyć. Jeden z mężczyzn podniósł się, zanim Harry do nich dotarł. Skrzyżował ręce na piersi i pokazał sztylet wytatuowany na wypukłym przedramieniu.

– Ten róg jest zajęty, blondasku – odezwał się głosem tak zachrypniętym, jakby szeleściło tylko powietrze w tubie.

– Mam pytanie... – zaczął Harry, ale zachrypnięty już pokręcił głową. – Tylko jedno. Czy któryś z was zna tego człowieka, Evansa White'a? – Podniósł do góry zdjęcie. Do tej pory dwaj pozostali, odwrócenii w jego stronę, tylko na niego zerkali, właściwie bardziej obojętni niż wrodzy. Kiedy jednak padło nazwisko White'a, popatrzyli na niego z nowym zainteresowaniem. Harry zauważył, że również tym dwóm siedzącym do niego tyłem drgnęły mięśnie na karku.

– Nigdy o nim nie słyszałem – oświadczył zachrypnięty. – Prowadzimy akurat bardzo osobistą rozmowę, *mister*. Do widzenia.

– Ta dyskusja nie dotyczy chyba handlu substancjami zabronionymi w rozumieniu australijskiego prawa? – spytał Harry.

Długa cisza. Wybrał śmiertelnie niebezpieczną taktykę. Do takich prowokacji można się uciekać, kiedy ma się za sobą solidne wsparcie lub odpowiednie możliwości odwrotu. Tymczasem on nie miał ani jednego, ani drugiego. Uważał tylko, że najwyższy czas, by coś zaczęło się dziać.

Jeden z siedzących tyłem wstawał i wstawał, a kiedy już prawie dosięgnął sufitu, odwrócił się i pokazał paskudną twarz naznaczoną bliznami po ospie. Gładkie wąsy zwisające przy kącikach ust podkreślały jego orientalny wygląd.

– Dzyngis-chan, dobrze, że cię widzę! Myślałem, że już nie żyjesz! – zawołał Harry, wyciągając do niego rękę.

– Kto ty jesteś? – Głos mężczyzny zabrzmiał chrapliwie jak agonalne rżenie. Każda grupa deathmetalowa dałaby się pokroić, byle tylko zgodził się zostać jej wokalistą.

– Jestem policjantem i chyba nie...

– Identyfikator. – Dzyngis-chan spojrzał na Harry'ego z góry, spod

sufitu.

– Słucham?

– Odznaka.

Harry zdawał sobie sprawę, że sytuacja wymaga czegoś więcej aniżeli plastikowa karta z paszportową fotografią wydana przez Komendę Policji w Oslo.

– Czy ktoś ci mówił, że masz identyczny głos jak wokalista Sepultury? Jak on się nazywa...?

Harry wsunął palec pod brodę, żeby wyglądać na zamyślonego. Zachrypnięty już obchodził stolik. Harry pokazał na niego palcem.

– A ty jesteś Rod Stewart, prawda? Rozumiem, siedzicie tu i planujecie Live Aid II i...

Cios trafił go prosto w zęby. Harry zachwiał się i dotknął ręką ust.

– Czy mam rozumieć, że nie wierzycie w moją przyszłość w roli komika? – spytał. Popatrzył na swoje palce, pokrywała je krew, ślina i coś miękkiego, białego, przypuszczał, że miazga zębowa.

– Czy miazga nie powinna być czerwona? Miazga, to co jest w zębie, no wiesz? – spytał Roda Stewarta, podsuwając mu rękę.

Rod popatrzył na niego nieco zdziwiony i dopiero potem nachylił się, by przyjrzeć się białym kawałeczkom.

– To raczej może zębina. To, co jest pod szklivem – stwierdził. – Staruszek jest dentystą – wyjaśnił kolegom. Potem zrobił krok do tyłu i uderzył jeszcze raz. Harry'emu na moment pociemniało w oczach, ale kiedy jasność wróciła, stwierdził, że jeszcze trzyma się na nogach.

– Zobacz, czy teraz znajdziesz miazgę? – spytał zadowolony Rod.

Harry wiedział, że to głupie. Suma wszelkich doświadczeń i zdrowego rozsądku krzyczały, że to głupie. Boląca szczęka mówiła, że to głupie, ale prawa ręka uznała, że to jednak doskonały pomysł, a w tym momencie to ona decydowała. Trafiła Roda prosto w czubek brody. Harry usłyszał kłapanie gwałtownie zamykającej się szczęki, zanim Rod zatoczył się dwa kroki w tył, co było nieuniknionym efektem ciężkiego, celnego uderzenia w podbródek.

Taki cios rozchodzi się przez szczękę i bezpośrednio dociera do mózdzku (co Harry w tym wypadku uznał za bardzo stosowną nazwę),

po czym przypominający falowanie ruch powoduje szereg mniejszych spięć, lecz również, jeśli ma się szczęście, natychmiastową utratę przytomności i/lub trwałe uszkodzenia mózgu. W wypadku Roda wyglądało na to, że mózg ma kłopoty z podjęciem decyzji, co to ma być: kompletny blackout czy też tylko przemijający wstrząs.

Dżyngis-chan nie miał zamiaru czekać na rezultat. Złapał Harry'ego za kołnierz koszuli, uniósł go na wysokość swoich ramion i odrzucił mniej więcej tak, jak wrzuca się worek z mąką na pokład ładowni. Parze, która akurat zjadła danie dnia za siedem dolarów, podano dosłownie na talerzu człowieka. Odskoczyli, kiedy Harry wylądował plecami na ich stoliku. Boże, mam nadzieję, że zaraz zemdleję, pomyślał, czując ból i widząc Chana kierującego się w jego stronę.

Obojczyk to kość krucha i podatna na obrażenia. Harry wycelował kopniaka, ale cios, który dostał od Roda, musiał zaburzyć mu zdolność widzenia przestrzennego, bo kopnął w powietrze.

– Pożałujesz! – obiecał Chan i uniósł obie ręce nad głowę. Nie potrzebował młota. Cios trafił Harry'ego w klatkę piersiową, natychmiast paralizując wszystkie funkcje sercowo-oddechowe. Dlatego Harry nie widział ani nie słyszał innego mężczyzny, który wszedł do środka, złapał piłkę, za pomocą której Australia rozgromiła Pakistan w 1969, twardą kulkę o średnicy 7,6 centymetra, ważącą sto sześćdziesiąt gramów. Nowo przybyły odchylił górną połowę ciała lekko w tył i w bok na końcu rozbiegu i wyciągnął rękę do tyłu. Zgięte w łokciu ramię z potężną siłą wykonało horyzontalny ruch jak w bejsbolu, a nie łukiem nad głową z wyprostowaną ręką jak w krykiecie, i piłka nie odbiła się od ziemi, lecąc dalej, tylko poszybowała wprost do celu.

Inaczej niż w przypadku Roda, mózdzek Chana nie wahał się ani przez moment, kiedy twarda piłka uderzyła go w czoło tuż pod nasadą włosów: natychmiast się wyłączył. Chan zaczął osuwać się na ziemię, upadał mniej więcej tak, jak wysadzony w powietrze drapacz chmur.

Teraz jednak podniosło się również trzech pozostałych, wyglądali na wściekłych. Nowo przybyły ciemnoskóry mężczyzna przesunął się do przodu, trzymając ręce w niskiej niedbałej gardzie. Jeden z mężczyzn skoczył do przodu, a Harry, któremu jak przez mgłę wydawało się,



że jednak poznaje ciemnoskórego, odgadł właściwie: ciemnoskóry zrobił unik, a potem krok do przodu i posłał dwa lekkie lewe proste jakby tylko po to, żeby zmierzyć odległość, a zaraz potem ze świstem padł od dołu miażdżący prawy hak. Na szczęście w końcu lokalu było na tyle ciasno, że wszyscy trzej nie mogli zaatakować niespodziewanego przybysza jednocześnie. Podczas gdy pierwszego należało zacząć liczyć, do ataku przystąpił drugi, nieco ostrożniej, z rękami przed sobą, w pozycji wskazującej na to, że ma w domu pas jakiegoś koloru w którymś ze sportów walki o azjatyckiej nazwie. Pierwsze próbne uderzenie zakończyło się gardą ciemnoskórego, a kiedy przeciwnik robił obrót do obligatoryjnego kopniaka karate, ciemnoskóry zdążył się odsunąć i cios trafił w pustkę.

Inaczej było z prędką kombinacją, lewy-prawy-lewy, po której karateka zatoczył się pod ścianę. Ciemnoskóry tanecznym krokiem pomknął za nim i posłał lewy prosty tak, że głowa przeciwnika odskoczyła, uderzając z paskudnym stukiem o mur. Karateka osunął się na ziemię jak danie, którym ktoś rzucił o ścianę. Krykiecista uderzył go jeszcze raz, choć najwyraźniej było to całkiem zbędne.

Rod siedział na krześle i obserwował cały ten występ szklanymi oczyma.

Rozległ się cichy trzask, kiedy wyskoczyło ostrze sprężynowego noża trzeciego z mężczyzn. Kiedy z pochylonymi plecami i rękami rozsuniętymi na boki sunął w stronę ciemnoskórego, Rod zwymiotował na swoje buty. Harry z zadowoleniem uznał, że to wyraźna oznaka wstrząsu mózgu. Jemu też było odrobinę niedobrze, zwłaszcza gdy zobaczył, że pierwszy ściągnął ze ściany kij i próbuje zająć boksera od tyłu. Nożownik stał teraz tuż obok Harry'ego, nie zwracając na niego uwagi.

– Za tobą, Andrew! – zawołał Harry, a sam rzucił się na uzbrojoną w nóż rękę. Usłyszał suchy, głuchy odgłos kija, hurgot przewracających się stołów i krzesel, ale musiał skupić się na człowieku z nożem, który uwolnił się i krążył wokół niego, wymachując rękami w teatralnym geście, z uśmiechem szaleńca na twarzy. Nie odrywając wzroku od nożownika, Harry po omacku sięgnął do tyłu na stół w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wykorzystać jako broń. Gdzieś od strony baru wciąż słyszał kij

w akcji.

Nożownik ze śmiechem zbliżył się, przerzucając nóż z ręki do ręki.

Harry skoczył w przód, zadał cios i odskoczył. Prawa ręka nożownika bezwładnie opadła, a nóż z brzękiem uderzył o kamienną podłogę. Napastnik ze zdziwieniem popatrzył na swoją rękę: sterczał z niej rożen od szaszłyka, na którego końcu tkwił jeszcze kawałek pieczarki. Prawa ręka wydawała się całkowicie sparaliżowana, lewą na próbę sięgnął do rożna, jak gdyby chciał się upewnić, że naprawdę tam tkwi. Z twarzy wciąż nie znikał mu wyraz zdziwienia. Musiałem trafić w jakiś przyczep mięśnia albo w nerw, pomyślał Harry, uderzając jeszcze raz.

Poczuł tylko, że trafił w coś twardego, i całą rękę przeszył mu gwałtowny ból. Nożownik cofnął się o krok, patrząc na niego spojrzeniem pełnym urazy. Z dziurki od nosa ciekł mu ciemny strumyczek krwi. Harry złapał się za prawą rękę. Uniósł ją, żeby uderzyć jeszcze raz, ale zmienił zdanie.

– Takie bicie cholernie boli. Nie mógłbyś po prostu się poddać? – spytał.

Nożownik usiadł obok Roda, który wciąż siedział z głową spuszczoną między nogi.

Kiedy Harry się odwrócił, zobaczył, że Burroughs stoi z pistoletem wycelowanym w pierwszego, a Andrew leży bez życia między dwoma wywróconymi stolikami. Część pozostałych gości uciekła, niektórzy z ciekawością obserwowali scenę, ale większość dalej siedziała w barze i oglądała telewizję. Transmitowali właśnie mecz krykieta Anglia – Australia.

Kiedy po rannych przyjechały karetki, Harry zatroszczył się o to, żeby pierwsza zabrała Andrew. Wyniesiono go na noszach, Harry szedł obok. Andrew wciąż krwawił z jednego ucha, w piersiach przy oddechu paskudnie mu świszczało, lecz w końcu odzyskał przytomność.

– Nie wiedziałem, że grasz w krykieta, Andrew. Piękny rzut, ale czy naprawdę trzeba było tak ostro brać się do rzeczy?

– Masz rację, źle oceniłem sytuację. Przecież miałeś pełną kontrolę.

– Nie – powiedział Harry. – Będę szczery i powiem, że wcale tak nie

było.

– Okej, a ja będę szczery i powiem, że cholernie boli mnie łeb i żałuję, że w ogóle się pojawiłem. Słuszniejsze by było, żebyś ty tu leżał. Naprawdę tak myślę.

Karetki przyjechały i odjechały. W końcu w barze został tylko Harry z Burroughsem.

– Mam nadzieję, że nie zniszczyliśmy za dużo wyposażenia – powiedział Harry.

– Nie, nie było tak źle. Poza tym moi goście od czasu do czasu lubią takie rozrywki na żywo. Ale w przyszłości powinieneś chyba czasami zerkać przez ramię. Szef tych chłopaków nie będzie zadowolony, kiedy o tym usłyszy.

– Ach, tak? – Harry zrozumiał, że Burroughs próbuje go ostrzec. – A kim jest ten szef?

– Ja nic nie mówiłem. Ale ten facet na zdjęciu, którym wymachiwałeś, nie jest wcale wykluczony.

Harry długo kiwał głową.

– Wobec tego będę przygotowany. I uzbrojony. Nie masz nic przeciwko temu, żebym sobie wziął jeszcze jeden rożen?

## 9. DWOJE EKSHIBICJONISTÓW, PIJAK, GEJ I BLACK SNAKE

Harry znalazł na King's Cross dentystę, który obejrzał go i stwierdził, że potrzebne będą prace budowlane, by odtworzyć ułamany w połowie przedni ząb. Zrobił coś tymczasowego i wziął honorarium, które, jak Harry miał nadzieję, szef policji w Oslo zgodzi się później zwrócić.

W biurze dowiedział się, że kij przyprawił Andrew o trzy złamane żebra i silny wstrząs mózgu, więc przez najbliższy tydzień kolega nie będzie wstawał z łóżka.

Po lunchu Harry poprosił, by Lebie towarzyszył mu w kilku wizytach w szpitalu. Pojechali do szpitala St. Etienne, gdzie musieli wpisać się do dziennika odwiedzających, wielkiej, ciężkiej księgi rozłożonej przed jeszcze większą zakonnica, która królowała w okienku z rękami założonymi na piersiach. Harry usiłował pytać, dokąd mają iść, ale ona tylko wskazała w głąb, kręcąc głową.

– Nie mówi po angielsku – wyjaśnił Lebie.

W recepcji młody uśmiechnięty mężczyzna wstukał nazwiska do komputera i zaraz podał im numery sal, wyjaśnił też, którędy mają iść.

– W ciągu dziesięciu sekund od średniowiecza do ery elektroniki – szepnął Harry.

Zamienili kilka słów z Andrew w odcieniach żółci i fioletu, ale był w złym humorze i po pięciu minutach kazał im się wynosić. Piętro wyżej w jednoosobowej sali znaleźli nożownika.

Leżał z ręką na temblaku, miał opuchliznę na twarzy i patrzył na Harry'ego wzrokiem pełnym urazy, tak jak poprzedniego wieczoru.

– Czego chcesz, pieprzony glino? – spytał.

Harry usiadł na krześle przy łóżku.

– Chcę wiedzieć, czy Evans White kazał komuś zabić Inger Holter, komu to zlecił i dlaczego.

Nożownik próbował się śmiać, ale zaraz zaniósł się kaszlem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, gliniarzu, i ty chyba też.

– Jak twój bark? – spytał Harry.

Nożownikowi oczy mało nie wyszły z orbit.

– Tylko spró...

Harry wyjął z kieszeni rożen. Nożownikowi na czole wystąpiła gruba sina żyła.

– Żartujesz sobie, glino?

Harry nic nie powiedział.

– Cholera, jesteś wariatem! Chyba nie wyobrażasz sobie, że ci to ujdzie na sucho? Jeśli po waszym wyjściu znajdą u mnie choćby zadraśnięcie, to masz tę swoją pieprzoną robotę z głowy!

Głos zmienił się w dyszkant.

Harry położył mu palec na wargach.

– Cicho bądź, proszę. Widzisz tego wielkiego, łysego faceta przy drzwiach? Trudno dopatrzeć się podobieństwa, ale to kuzyn człowieka, któremu wczoraj rozwaliliście łeb kijem do krykieta. Prosił mnie, żebym go dzisiaj ze sobą zabrał. Jego zadanie ma polegać na zaklejeniu ci gęby i przytrzymaniu, podczas gdy ja będę zdejmował bandaż i wbijał to świecidełko w jedyne miejsce, w którym później nie będzie żadnego nowego znaku. Bo przecież już masz tam dziurę, prawda?

Delikatnie nacisnął prawy bark nożownika, któremu z oczu trysnęły łzy, a klatka piersiowa poruszyła się gwałtownie przy oddechu. Jego wzrok przeskakiwał od Harry'ego do Lebiego i z powrotem. Ludzka natura to dziki, nieprzenikniony las, ale kiedy nożownik otworzył usta, Harry'emu wydało się, że dostrzega w nim rów przeciwpożarowy. Bez wątpienia mówił prawdę.

– To, co wy mi zrobicie, i tak będzie dziesięć razy lepsze od tego, co mi zrobi Evans White, kiedy się dowie, że na niego doniosłem. Ja wiem i wy wiecie, że nawet gdybym miał coś do powiedzenia, to i tak nie będę gadał. Możecie więc zaczynać, ale najpierw powiem wam jedno: błądziecie. Naprawdę źle trafiliście.

Harry spojrzał na Lebiego, tamten lekko pokręcił głową. Harry zastanowił się przez chwilę, w końcu wstał i położył rożen na nocnym stoliku przy łóżku.

– Życzę zdrowia – powiedział.

– *Hasta la vista* – odparł nożownik i wycelował do Harry'ego z palca

wskazującego.

W recepcji hotelu na Harry'ego czekała wiadomość. Rozpoznał numer telefonu komendy i ze swojego pokoju od razu tam oddzwonił. Odebrał Yong Sue.

– Przejrzeliśmy jeszcze raz wszystkie kartoteki – powiedział. – I sprawdziliśmy wszystko trochę dokładniej. Sporo wykroczeń wykreśla się z oficjalnych kartotek po trzech latach, takie jest prawo. Nie wolno rejestrować przedawnionych wykroczeń, ale kiedy są to wykroczenia na tle seksualnym... to cóż, powiedzmy, że notujemy je w bardzo nieoficjalnej teczce. Znalazłem coś interesującego.

– Tak?

– Oficjalna kartoteka Huntera Robertsona, tego, który wynajmował pokój Inger Holter, była najzupełniej czysta. Ale kiedy się jej uważniej przyjrzelśmy, okazało się, że był dwukrotnie karany grzywną za ekshibicjonizm. Poważny ekshibicjonizm.

Harry usiłował wyobrazić sobie niepoważny ekshibicjonizm.

– Na ile poważny?

– Dotykanie własnych organów płciowych w miejscu publicznym. Oczywiście nie musi to o niczym świadczyć, ale to jeszcze nie koniec. Lebie zajrzał do niego, ale nikogo nie zastał, tylko jakiś wściekły pies ujadł za drzwiami. Kiedy tam stał, przyszedł sąsiad. Najwyraźniej jest na stałe umówiony z Robertsonem, że ma wyprowadzać i karmić tę bestię w każdą środę wieczorem. Ma też klucz do drzwi. Lebie rzecz jasna spytał, czy wchodził do tego domu i wyprowadzał psa w tamtą środę wieczorem przed znalezieniem zwłok Inger Holter. I okazało się, że tak.

– I co z tego?

– Robertson wcześniej zeznał, że wieczorem przed znalezieniem Inger był w domu sam. Pomyślałem, że chciałbyś się o tym dowiedzieć od razu.

Harry poczuł nagle, że puls mu przyspiesza.

– Co teraz robicie?

– Samochód policyjny zabierze go z domu jutro, zanim wyjdzie do pracy.

– Hm. Kiedy i gdzie miały miejsce te odrażające czyny?

– Zaraz, zaraz, chyba w jakimś parku. Mam! Green Park, to taki mały...

– Znam go. – Harry prędko się zdecydował. – Chyba się tam przejdę.

Wygląda na to, że ten park ma stałych bywalców. Może oni coś wiedzą?

Yong podał mu również daty, Harry zapisał je w swoim czarnym kalendarzyku Banku Oszczędnościowego, który ojciec co roku dawał mu na gwiazdkę.

– A tak z ciekawości, Yong, kiedy mamy do czynienia z niepoważnym ekshibicjonizmem?

– Kiedy ktoś ma osiemnaście lat, jest pijany i pokaże goły tyłek przejeżdżającemu patrolowi policji w dniu święta narodowego Norwegii.

Zaskoczyło to Harry'ego tak, że nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Yong po drugiej stronie zachichotał.

– Skąd... – zaczął Harry.

– Wprost niewiarygodne, co można znaleźć, mając parę haseł i kolegę Duńczyka w sąsiednim wydziale. – Teraz już Yong śmiał się serdecznie, a Harry poczuł, że temperatura w mózgu gwałtownie mu rośnie.

– Mam nadzieję, że to nic nie szkodzi. – W głosie Yonga zabrzmiała obawa, że może jednak posunął się za daleko. – Nikomu więcej o tym nie wspomniałem. – Mówił tak zmartwionym tonem, że Harry nie mógł się gniewać.

– W tym patrolu była jedna policjantka – wyjaśnił w końcu. – Powiedziała mi potem komplement, że mam bardzo jędrne pośladki.

Yong śmiał się uszczęśliwiony.

Fotokomórka w parku uznała, że jest dostatecznie ciemno, i latarnie zapaliły się akurat w chwili, gdy Harry podchodził do ławki. Od razu poznał siedzącego na niej szarego mężczyznę.

– Dobry wieczór.

Głowa oparta brodą o klatkę piersiową powoli się uniosła i para piwnych oczu popatrzyła na Harry'ego, a raczej przez Harry'ego, i zatrzymała się na jakimś punkcie gdzieś daleko w oddali.

– Masz fajkę? – spytał zardzewiałym głosem.

– Przepraszam?

– Fajkę – powtórzył mężczyzna, wymachując w powietrzu dwoma palcami.

– Aha, chcesz papierosa?

– No tak, fajkę.

Harry wyłowił z paczki dwa papierosy, jednego sam zapalił. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, smakując dym. Znajdowali się w niewielkim zielonym zagajniku pośrodku kilkumilionowego miasta, a mimo to Harry miał wrażenie, że znalazł się gdzieś na pustkowiu. Może sprawiła to zapadająca ciemność w połączeniu z elektrycznym odgłosem niewidzialnych koników polnych, pocierających nogi o siebie. A może poczucie jakiegoś beczasowego rytuału wspólnego palenia. Biały policjant i czarny mężczyzna o szerokiej obcej twarzy, wywodzący się z pradawnych mieszkańców tego niezwykłego kontynentu.

– Kupisz ode mnie kurtkę?

Harry zerknął na ubranie tego człowieka. Była to wiatrówka z cienkiego materiału w kolorze ostrej czerwieni i czerni.

– Flaga aborygeńska – wyjaśnił mężczyzna, pokazując mu plecy kurtki.

– Mój kuzyn je szyje.

Harry łagodnie odmówił.

– Jak ci na imię? – spytał Aborygen. – Harry? To angielskie imię. Ja też mam angielskie imię. Joseph. Przez p i h. A właściwie żydowskie. To ojciec Jezusa, kapujesz? Joseph Walter Roderigue. Moje plemienne imię to Ngardagha. N-gar-dag-ha.

– Dużo czasu spędzasz w tym parku, Joseph?

– Tak, dużo. – Aborygen znów włączył swoje spojrzenie sięgające tysiąca metrów i odpłynął. Wyjął z kurtki dużą butelkę po soku, zaproponował Harry'emu, sam wypił łyk, a potem znów starannie ją zakręcił. Kurtka się rozchyliła i Harry dostrzegł na jego piersi tatuaż. Przez duży krzyż biegł napis „Jerry”.

– Fajny masz tatuaż, Joseph. Mogę spytać, kim jest Jerry?

– Jerry to mój syn. Mój syn. Ma cztery lata. – Joseph rozczapierzył palce, próbując policzyć cztery.

– Cztery. Zrozumiałem. Gdzie jest teraz Jerry?



– W domu. – Joseph pomachał ręką, wskazując kierunek, w którym leżał jego dom. – W domu u swojej matki.

– Posłuchaj, Joseph. Szukam pewnego faceta. Nazywa się Hunter Robertson. Jest biały, nieduży i ma mało włosów. Od czasu do czasu przychodzi tu do parku. Czasami się... obnaża. Wiesz, o kogo mi chodzi? Widziałeś go, Joseph?

– Tak, tak, on przyjdzie. – Joseph zmarszczył nos, jak gdyby Harry marudził o rzeczach oczywistych. – Zaczekaj, on przyjdzie.

Harry wzruszył ramionami. Nie miał żadnej pewności, że to, co mówi Joseph, należy traktować serio, ale nie miał też nic innego do roboty, dał mu więc jeszcze jednego papierosa. Siedzieli na ławce, a dookoła zapadała ciemność, coraz głębsza, aż wreszcie niemal namacalna.

Kościelny dzwon odezwał się w oddali; Harry zapalił ósmego już papierosa i głęboko się zaciągnął. Kiedy ostatnio zabrał siostrę do kina, mówiła mu, że powinien rzucić palenie. Poszli na *Robin Hooda – Księcia złodziei*, z najgorszą obsadą, jaką Harry widział od czasu *Planu 9 z kosmosu*, ale siostrze nie przeszkadzało, że Robin Hood w wykonaniu Kevina Costnera odpowiada szeryfowi Nottingham z szerokim amerykańskim akcentem. Siostrze w ogóle mało co przeszkadzało, piszczała zachwycona, kiedy Costner zaprowadzał porządek w lesie Sherwood, i pociągała nosem, kiedy Marian i Robin w końcu się połączyli.

Później poszli do kawiarni i Harry zamówił dla siostry kakao. Opowiedziała mu, jak dobrze jej w nowym mieszkaniu, w ośrodku w Sogn, chociaż parę osób z tego samego korytarza „ma źle w głowie”. A potem chciała, żeby Harry rzucił palenie: „Ernst mówi, że to niebezpieczne, powiedział, że można od tego umrzeć”. „Kto to jest Ernst?” – spytał Harry, ale ona w odpowiedzi zaczęła tylko chichotać. Potem znów spoważniała: „Nie wolno ci palić, Harald. Nie wolno ci umrzeć, słyszysz?”. „Harald” i „słyszysz” przejęła po mamie.

Harry'ego, imię nadane mu na chrzcie, przeforsował ojciec, który zwykle ustępował żonie we wszystkim, ale tym razem podniesionym głosem nalegał, żeby nadać synkowi imię po dziadku, marynarzu i, zdaje

się, bardzo przystojnym mężczyźnie. Matka, według jej własnych słów, zgodziła się na to w chwili słabości, której później gorzko żałowała.

– Czy kiedykolwiek słyszał ktoś, żeby ktoś o imieniu Harry stał się kimś? – mawiała (kiedy ojciec był w żartobliwym nastroju, zwykle ją cytował, kładąc akcent na „ktoś”).

W każdym razie stanęło na tym, że matka nazywała go Harald po swoim wuju, ale to nie miało żadnego znaczenia dla nikogo oprócz niej. A teraz, po śmierci matki, siostra zaczęła tak na niego mówić. Może taki był jej sposób na wypełnienie pustki po matce? Harry nie miał pewności. W głowie tej dziewczyny tyle było dziwnych myśli. Uśmiechnęła się oczami mokrymi od łez, z nosem ubrudzonym śmietanką, kiedy obiecał jej, że rzuci palenie, nawet jeśli nie od razu, to w każdym razie za jakiś czas.

Teraz siedział i wyobrażał sobie, jak dym tytoniowy wiję się we wnętrzu jego ciała niczym wielki wąż, Bubbur.

Joseph drgnął, przebudził się.

– Moi przodkowie pochodzili z Ludzi-Wron, *Crow People* – oznajmił bez wstępow, ożywiając się. – Umieli latać. – Najwyraźniej sen dodał mu sił. Obiema rękami otarł twarz. – To fajna rzecz latać. Masz dychę?

Harry miał tylko banknot dwudziestodolarowy.

– Może być. – Joseph sięgnął po pieniądze.

Tak jakby roz pogodzenie było tylko przejściowe, chmury znów nasunęły się na zamglony umysł Josepha i dalej mruczał coś w niezrozumiałym języku, przypominającym ten, w którym Andrew rozmawiał z Toowoombą. Andrew mówił, że to po kreolsku. W końcu broda pijanego Aborygena znów opadła mu na pierś.

Harry już podjął decyzję, że wypali papierosa do końca i odejdzie, kiedy pojawił się Robertson. Harry właściwie spodziewał się, że przyjdzie w płaszczu, bo tak wyobrażał sobie standardowy strój ekshibicjonistów, ale Robertson ubrany był tylko w biały T-shirt i dżinsy. Rozejrzył się na prawo i lewo, a potem ruszył przed siebie jakimś dziwnym krokiem, jak gdyby nucił coś w duchu i odruchowo dostosowywał krok do rytmu. Rozpoznał

Harry'ego, dopiero kiedy doszedł do samych ławek; nie zrobił przy tym miny świadczącej o radości z tego spotkania.

– Dobry wieczór, Robertson. Szukaliśmy cię. Siadaj.

Robertson rozejrzył się dookoła, drepcząc w miejscu. Wyglądał tak, jakby miał ochotę uciec, ale w końcu z westchnieniem rezygnacji usiadł.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem – oświadczył. – Dlaczego mnie dręczycie?

– Ponieważ stwierdziliśmy, że masz za sobą przeszłość, w której dręczyłeś innych.

– Dręczyłem innych? Nikogo, do cholery, nie dręczyłem.

Harry popatrzył na niego. Do Robertsona trudno było czuć sympatię, ale mimo to Harry przy najgorszej lub najlepszej woli nie potrafił uwierzyć, że ma do czynienia z seryjnym mordercą. Nawet go to rozzłościło, bo właściwie oznaczało przecież, że niepotrzebnie traci czas.

– Wiesz, ilu młodym dziewczynom zakłóciłeś spokojny sen? – Harry postarał się włożyć w te słowa tyle pogardy, ile tylko umiał. – Wiesz, ile nie potrafi zapomnieć i przez całe życie musi żyć ze wspomnieniem onanizującego się prześladowcy, który zgwałcił je mentalnie? Zdajesz sobie sprawę, w jaki sposób wdarułeś się do ich mózgów, odebrałeś poczucie bezpieczeństwa i spokój, przyprawiałeś o lęk przed ciemnością, upokorzyłeś i sprawiałeś, że czują się wykorzystane?

Robertson wybuchnął śmiechem.

– Nie wymyśli pan już nic więcej, konstablu? A co z tymi wszystkimi, którym zniszczyłem życie seksualne, i tymi, które cierpią na napady lęku i resztę życia muszą spędzić na tabletkach? Poza wszystkim muszę stwierdzić, że ten pański kolega powinien uważać. Ten, który powiedział, że mogę zostać skazany na sześć lat za współudział, jeśli nie stanę na baczność i nie złożę wyjaśnień takim prymitywom jak wy. Ale rozmawiałem już ze swoim adwokatem, on to poruszy z waszym szefem, wiedzcie o tym. Nie przychodźcie więcej i nie próbujcie znów mnie zastraszyć.

– Okej, możemy to załatwić na dwa sposoby, Robertson – oświadczył Harry, lecz zauważył, że nie ma takiego autorytetu w roli groźnego policjanta, jaki miałyby Andrew. – Albo powiesz mi to, co chcę wiedzieć, tu

i teraz, albo...

– ...możemy to zrobić na posterunku. Dziękuję, już to słyszałem. Bardzo proszę, niech mnie pan tam zaciągnie, adwokat zabierze mnie stamtąd w ciągu godziny, a pan i pański kolega zostaniecie oskarżeni o prześladowanie. Zapraszam.

– Akurat nie o tym myślałem – powiedział Harry cicho. –Wyobrażałem sobie raczej dyskretny przeciek, niemożliwy do wytropienia, oczywiście dla jednej ze spragnionych wiadomości i sensacji niedzielnych gazet z Sydney. Potrafi pan to sobie wyobrazić? „Gospodarz Inger Holter, patrz zdjęcie, wcześniej skazany za obnażanie się w miejscach publicznych, znalazł się w kręgu zainteresowań policji...”

– Skazany! Dostałem grzywnę! Czterdzieści dolarów! – Hunter Robertson mówił teraz dyszkantem.

– Wiem, wiem, Robertson. To było drobne wykroczenie – odparł Harry z udawaną wyrozumiałością. – Tak drobne, że z pewnością bez problemu dało się je do tej pory ukrywać przed sąsiadami. Tym bardziej szkoda, że tam, gdzie mieszkasz, ludzie czytają niedzielne gazety, prawda? A w pracy... No i jak z twoimi rodzicami? Umieją czytać?

Robertson pękł. Powietrze uszło z niego jak z przebitej piłki plażowej, przypominał teraz worek grochu. Harry zrozumiał, że najwyraźniej znalazł czuły punkt, którym byli rodzice.

– Ty draniu bez serca – szepnął Robertson zachrypniętym, udręczonym głosem. – Gdzie robią takich ludzi jak wy? – A po chwili dodał: – Co chcesz wiedzieć?

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, gdzie byłeś w wieczór poprzedzający dzień, w którym znaleziono ciało Inger.

– Mówiłem już policji, że byłem sam w domu i że...

– Ta rozmowa jest skończona. Mam nadzieję, że w redakcji znajdą jakieś dobre zdjęcie.

Wstał.

– Okej, okej, nie byłem w domu! – niemal krzyknął Robertson. Odchylił głowę w tył i zamknął oczy.

Harry z powrotem usiadł i zaczął opowiadać:

– Jako student wynajmowałem stancję w jednej z lepszych dzielnic

miasta. Po drugiej stronie ulicy mieszkała pewna wdowa. O siódmej, dokładnie o siódmej w każdy piątek wieczorem, rozsuwała zasłony. Mieszkałem na tym samym poziomie co ona, miałem widok wprost na jej salon, zwłaszcza w piątki, kiedy zapalała olbrzymi żyrandol. Gdy się ją widywało w inne dni tygodnia, wdowa była siwiejącą kobietą w okularach i wełnianym swetrze. Jedną z tych, które stale widuje się w tramwaju czy w kolejce w aptece. Ale w piątek o siódmej, kiedy zaczynało się przedstawienie, myślało się o wszystkim innym, tylko nie o kaszlących skwaszonych staruszkach z laską. Wkładała jedwabny szlafrok w japoński wzór i czarne buty na wysokich obcasach. Wpół do ósmej przychodził do niej mężczyzna, za piętnaście ósma zdejmowała szlafrok i ukazywała się w czarnym gorsecie. Punkt ósma gorset miała już zrzucony do połowy i kierowała się na sofę w stylu chesterfield. Wpół do dziewiątej gościa już nie było, zasłony zasunięte, a przedstawienie skończone.

– Interesujące – burknął Robertson sarkastycznie.

– Interesujące było po pierwsze to, że nigdy nie wyniknęła z tego żadna awantura. Nikt, kto mieszkał po mojej stronie ulicy, nie mógł nie zauważyć, co się dzieje, i prawdopodobnie przeważająca część lokatorów regularnie obserwowała ten występ. Ale nigdy się o tym nie mówiło, o ile wiem, nikt nie zgłosił tego na policję ani się nie skarżył. Drugą interesującą rzeczą była regularność tych przedstawień. Z początku sądziłem, że ma to związek z partnerem, jest uzależnione od niego, może pracuje, może jest żonaty i tak dalej. Z czasem jednak zorientowałem się, że ona zmienia partnerów, lecz godzina przedstawienia pozostaje niezmienną. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, co się dzieje. Wdowa oczywiście rozumiała to, co wie każda stacja telewizyjna. Kiedy już wypracujesz sobie publiczność jakiegoś stałego punktu w programie, to bardzo szkodliwa dla oglądalności jest zmiana czasu nadawania. A właśnie publiczność stanowiła przygotowanie jej życia seksualnego, pojmujesz?

– Pojmuję – odparł Robertson.

– To oczywiście całkowicie zbędne pytanie. A dlaczego opowiadam ci tę historię? Zdziwiło mnie przekonanie naszego śpiącego przyjaciela Josepha o tym, że przyjdiesz dziś wieczorem. Sprawdziłem w swoim kalendarzu i w zasadzie prawie wszystko mi się zgodziło. Dzisiaj mamy

środe, wieczór przed zaginięciem Inger Holter również wypadł w środę, podobnie jak tamte dwa razy, kiedy przyłapano cię na obnażaniu się. Urządzasz stałe przedstawienia, prawda?

Robertson nie odpowiedział.

– Dlatego moje następne pytanie jest takie: dlaczego nie złapano cię więcej razy? Od poprzedniej wpadki minęły już przecież cztery lata, a obnażanie się w parku przed małymi dziewczynkami nie jest powszechnie cenionym zjawiskiem.

– A kto powiedział, że chodzi o dziewczynki? – spytał Robertson ze złością. – Kto powiedział, że tego się nie ceni?

Gdyby Harry umiał gwizdać, z pewnością by to zrobił. Przypomniał sobie kłócaącą się parę, którą poprzedniego wieczoru spotkał w pobliżu.

– A więc obnażasz się przed mężczyznami – stwierdził właściwie do siebie. – Przed gejami z sąsiedztwa. To wyjaśnia, dlaczego zostawiają cię w spokoju. Masz też stałą publiczność?

Robertson wzruszył ramionami.

– Przychodzą i odchodzą, ale w każdym razie wiedzą, kiedy i gdzie mogą mnie zobaczyć.

– A tamte wpadki?

– To osoby postronne, które przypadkiem akurat wtedy przechodziły, zawiadomiły policję. Teraz jesteśmy już ostrożniejsi.

– Jeśli dobrze myślę, to mógłbyś dzisiaj znaleźć tu jakiegoś świadka na to, że byłeś w tym parku również tego wieczoru, kiedy zginęła Inger.

Robertson kiwnął głową.

Siedzieli, słuchając lekkiego pochrapywania Josepha.

– Jeszcze jedna rzecz nie całkiem się zgadza – odezwał się Harry po pewnym czasie. – Tkwiła mi gdzieś z tyłu głowy, ale nie potrafiłem jej nazwać, dopóki nie usłyszałem, że sąsiad w każdą środę wyprowadza i karmi twojego psa.

Dwóch mężczyzn minęło ich wolnym krokiem i zatrzymało się na skraju kręgu światła rzucanego przez lampę.

– Zadałem więc sobie pytanie: dlaczego karmił psa, skoro Inger miała wrócić do domu z resztkami mięsa z The Albury? Najpierw odrzuciłem tę myśl, uznając, że może się nie dogadaliście, że jedzenie było przeznaczone

na następny dzień albo coś takiego. Ale potem przypomniałem sobie coś, co powinienem skojarzyć od razu: twój pies nie je... a przynajmniej nie wolno mu jeść mięsa. W takim razie po co Inger były te resztki? W barze powiedziała, że dla psa. Dlaczego miałyby kłamać?

– Tego nie wiem – odparł Robertson.

Harry zauważył, że jego rozmówca zerknął na zegarek. Najwidoczniej pokaz miał się zacząć już niedługo.

– Ostatnia rzecz, Robertson. Co wiesz o Evansie Whicie?

Robertson odwrócił się i spojrzał na niego rozmytymi jasnoniebieskimi oczyma. Czyżby pojawił się w nich przebłysk lęku?

– Bardzo mało – odparł.

Harry się poddał. Nie posunął się daleko. Kipiał chęcią ścigania, znalezienia i pochwycenia mordercy, ale miał wrażenie, że cały czas coś wymyka mu się z rąk. Cholera, za kilka dni i tak go już tu nie będzie, ale ta myśl, o dziwo, wcale nie poprawiła mu samopoczucia.

– To, co mówiłeś o świadkach – powiedział Robertson. – Chciałbym, żebyś nie...

– Nie popsuję ci przedstawienia, Robertson. Wiem, że ci, którzy na nie przychodzą, z pewnością czerpią z tego jakąś korzyść. – Zajrzał do paczki z papierosami, wyjął jednego, a resztę wsunął do kieszeni Josephowi, zanim wstał, żeby odejść. – Ja w każdym razie bardzo wysoko ceniłem numer wdowy.

W The Albury jak zwykle panowała ożywiona atmosfera. Grano *It's Raining Men* na pełen gaz, na scenie w barze stało trzech chłopaków ubranych w długie etole i prawie nic innego, a publiczność pokrzykiwała i wtórowała. Harry przed pójściem do Birgitty zatrzymał się, żeby przez chwilę pooglądać występ.

– Dlaczego ty nie śpiewasz, przystojniaczku? – spytał znajomy głos.

Harry obrócił się. Otto tego wieczoru nie nosił damskiego przebrania, tylko obszerną różową koszulę z jedwabiu, lecz obecność tuszu na rzęsach i szminki świadczyła o tym, że mimo wszystko zadbał o swój wygląd.

– Nie mam głosu, Otto. Przykro mi.

– Phi, wy, Skandynawowie, wszyscy jesteście identyczni. Nie potraficie się rozluźnić, dopóki nie wlejecie w siebie tyle alkoholu, że mimo wszystko i tak jesteście nieprzydatni do... wiesz, o czym mówię.

Harry uśmiechnął się, patrząc na opuszczone powieki Ottona.

– Nie flirtuj ze mną, Otto, ja już przepadłem.

– Beznadziejny heteryk, tak?

Harry kiwnął głową.

– W każdym razie pozwól, że postawię ci drinka, przystojniaczku.

Co pijesz?

Zamówił sok grejpfrutowy dla Harry'ego, a dla siebie bloody mary. Stuknęli się, Otto wypił pół szklanki jednym haustem.

– Jedyna rzecz, jaka pomaga na zawód miłosny – oświadczył i dokończył drinka. Wstrząsnęło nim, zamówił kolejnego i wbił oczy w Harry'ego. – A więc nigdy nie uprawiałeś seksu z mężczyzną? Nigdy też ci się to nie śniło?

Harry obracał szklanekę w rękę.

– Pytanie, co masz na myśli, mówiąc o śnie. Ja bym raczej nazwał to koszmarem sennym.

– Ajaj, sam widzisz. – Otto pokiwał palcem wskazującym. – Sam zadałeś sobie to pytanie we śnie. Podświadomości nie zdołasz oszukać, przystojniaczku. Po twoich oczach poznaję, że śniłeś o tym. Pozostaje jedynie pytanie, kiedy sen się spełni.

– Zawsze czekałem, aż zjawi się ktoś, kto zbudzi we mnie geja – oświadczył Harry cierpko. – Przykro mi, ale ja w to nie wierzę. Takie skłonności są uwarunkowane genetycznie, od urodzenia. Albo się jest hetero, albo nie. Te gadki o środowisku i dorastaniu to jedna wielka bzdura.

– Co ty mówisz? A ja zawsze sądziłem, że winne są moja matka i siostra – zawołał Otto, teatralnym gestem uderzając się w czoło.

Harry ciągnął, nie zwracając na niego uwagi:

– Naukowcy wiedzą o tym, ponieważ w ostatnich latach mogli prowadzić szersze badania nad mózгами homoseksualistów. Dzięki AIDS skutecznie wzrósł dostęp do zwłok osób, o których z całą pewnością wiadomo, że były homoseksualne.



– Bezdyskusyjnie jedna z najbardziej pozytywnych stron tej choroby – stwierdził Otto lakonicznie i posłał rurkę.

– Stwierdzili, że istnieją fizyczne różnice między mózgiami osobników homo- i heteroseksualnych.

– Heterycy mają mniejsze mózgi. Powiedz mi raczej coś, czego jeszcze nie wiem, przystojniaczku.

– Paradoks polega na tym, że zdaniem uczonych ta mała zmarszczka czy co to tam jest, co sprawia, że niektórzy ludzie są homoseksualni, jest dziedziczna.

Otto przewrócił oczami.

– I co z tego? Myślisz, że gej nie pieprzy się z kobietami, kiedy musi? Kiedy społeczeństwo tego żąda? Kiedy nie ma innego wyjścia? – Gesty Ottona były jednoznaczne. – Jeśli kobieta może być surogatem, to dlaczego nie? To dokładnie ten sam mechanizm społeczny, który sprawia, że heteroseksualni mężczyźni w więzieniach pieprzą się ze sobą nawzajem.

– To znaczy geje pieprzą się też z kobietami? – spytał Harry.

– Ja na szczęście nigdy nie byłem zamknięty w mentalnym więzieniu, co spotyka większość gejów. Pochodzę z rodziny artystów i oświadczyłem, że jestem gejem, już kiedy miałem dziesięć lat, żeby wydawać się bardziej interesujący. Później nie znalazłem żadnego powodu, żeby to odwoływać. Równie trudno jest mi więc wyobrazić sobie, co by się musiało zdarzyć, żebym pieprzył się z kobietą, jak tobie, czego trzeba, żebyś rzucił się na chłopaka z sąsiedniej celi. Chociaż tobie byłoby chyba łatwiej...

– Przestań na chwilę! – przerwał mu Harry. – Co to właściwie za dyskusja?

– Pytasz o rzeczy, których jesteś ciekaw, przystojniaczku. – Otto nakrył dłonią rękę Harry'ego. – Być może pewnego dnia będziemy musieli coś zrobić z tą twoją ciekawością.

Harry poczuł, że zaczynają palić go uszy. Przeklął w duchu tego klauna pedała, który zdołał tak zawstydzić jego, dorosłego faceta, że siedział teraz i wyglądał jak Anglik po sześciu godzinach na plaży w Hiszpanii.

– Proponuję nieprzyzwoity, cudownie wulgarny zakład – powiedział Otto. Oczywiście błyszczały mu z rozbawienia. – Stawiam sto dolarów na to, że zanim wrócisz do Norwegii, ta twoja miękka, szczupła rączka dotknie

moich szlachetniejszych części. Masz odwagę założyć się, że będzie inaczej?

Otto złożył dłonie i aż krzyknął z zachwytu na widok purpurowoczerwonej twarzy Harry'ego.

– Jeśli upierasz się przy rozdawaniu pieniędzy, to możemy się założyć – odparł Harry. – Ale, o ile dobrze zrozumiałem, to przeżywasz właśnie zawód miłośny, Otto. Nie powinieneś raczej siedzieć w domu i myśleć o innych rzeczach niż zbawianie heteryków? – W tej samej chwili pożałował, że to powiedział. Nigdy nie umiał sobie radzić w sytuacjach, w których ktoś miał nad nim wyraźną przewagę.

Otto popatrzył na niego spojrzeniem pełnym urazy.

– Przepraszam, tak mi się tylko wyrwało. Nie chciałem ci sprawić przykrości – zapewnił Harry.

Otto wzruszył ramionami.

– Coś nowego w sprawie? – spytał.

– Nie – odparł Harry z ulgą, że zmieniają temat. – Wygląda na to, że powinniśmy szukać poza kręgiem ludzi, którymi się otaczała. A ty ją znałeś?

– Wszyscy, którzy tu zagląдают, znali Inger.

– Rozmawiałeś z nią?

– Ho, ho. Ledwie zamieniłem z nią kilka słów. Była nieco zbyt rozwiązła jak na mój gust.

– Rozwiązała?

– Zawracała w głowach wielu heteroseksualnym gościom. Ubierała się wyzywająco, słała powłóczyście spojrzenia i uśmiechała się trochę za długo, jeśli to mogło jej dać dodatkowy napiwek. Takie rzeczy bywają niebezpieczne.

– Chcesz powiedzieć, że któryś z gości mógł...?

– Chodzi mi tylko o to, że być może nie musisz wcale szukać tak daleko, konstablu.

– Co masz na myśli?

Otto rozejrzał się i dokończył drinka.

– Tak tylko gadam, przystojniaczkę. – Przygotował się do odejścia. – Zrobię teraz, tak jak mówisz. Wrócę do domu i pomyślę o innych rzeczach. Czy nie to zalecił mi pan doktor?

Kiwnął ręką na jednego z chłopaków w etoli za barem, który podszedł i podał mu papierową torbę. Odchodząc, obejrzał się i zawołał przez ramię:

– Nie zapomnij o przedstawieniu!

W The Albury było pełno. Harry usiadł dyskretnie w barze Birgitty na stołku, żeby obserwować ją przy pracy. Śledził jej ruchy, szybkie dłonie, które nalewały piwo, wydawały resztę i mieszały drinki. Obserwował sposób, w jaki porusza się jej ciało, pewne, zdecydowane obroty za barem, bo wszystkie odległości miała już we krwi. Od kraniku do lady i dalej, do kasy. Patrzył, jak włosy opadają jej na twarz, jak odgarnia je prędkim ruchem i jak spojrzenie regularnie omiata gości, by zauważyć nowe zamówienie i Harry'ego.

Piegowata twarz rozjaśniła się na jego widok, a jemu serce zabiło w piersi mocno i przyjemnie.

– Akurat przyszedł jeden z przyjaciół Andrew – powiedziała, kiedy do niego podeszła. – Odwiedził go w szpitalu i przyniósł pozdrowienia. Pytał też o ciebie. Wydaje mi się, że wciąż gdzieś tu siedzi. Tak, to on.

Wskazała na jeden ze stolików, przy którym Harry natychmiast rozpoznał pięknego ciemnoskórego mężczyznę. To był Toowoomba, bokser. Harry skierował się w jego stronę.

– Przeszkadzam? – spytał, a w odpowiedzi zobaczył szeroki uśmiech.

– Ależ skąd, siadaj! Właściwie czekałem, aż pojawi się jakiś stary znajomy.

Harry usiadł.

Robin Toowoomba o przydomku „Murri” dalej się uśmiechał. Z jakiegoś powodu zapadła chwila kłopotliwego milczenia, takiego, o którym nikt nigdy nie chce przyznać, że jest kłopotliwe, ale właśnie takie jest. Harry postanowił je przerwać.

– Rozmawiałem dzisiaj z jednym z Ludzi-Wron. Nie wiedziałem, że macie takie nazwy plemienne. Do jakiego ludu ty się zaliczasz?

Toowoomba popatrzył na niego zdziwiony.

– O co ci chodzi, Harry? Pochodzę z Queensland.

Harry zorientował się, jak idiotycznie zabrzmiało jego pytanie.

– Przepraszam, głupio gadam. Mój język ma dzisiaj tendencję do szybszego reagowania niż mózg. Nie chciałem... Mało znam waszą kulturę. Pomyślałem, że może pochodzicie z jakichś określonych plemion... czy czegoś podobnego.

Toowoomba poklepał Harry'ego po ramieniu.

– Trochę tylko z ciebie żartuję, Harry, bądź spokojny – zaśmiał się cicho, a Harry poczuł się jeszcze głupiej.

– Reagujesz jak większość białych – stwierdził Toowoomba. – Ale czego innego można się spodziewać? Jesteś pełen uprzedzeń.

– Uprzedzeń? – Harry poczuł, że zaczyna ogarniać go irytacja. – Czy powiedziałem coś...

– Nie chodzi o to, co mówisz – odparł Toowoomba. – Chodzi o rzeczy, których podświadomie ode mnie oczekujesz. Wydaje ci się, że powiedziałeś coś złego, i nie zastanawiając się nad tym, zakładasz, że zareaguję jak obrażone dziecko. Nie przyjdzie ci do głowy, że jestem dostatecznie inteligentny, by wziąć poprawkę na to, że jesteś cudzoziemcem. Chyba nie czujesz się osobiście urażony, kiedy okazuje się, że japońscy turyści w Norwegii nie wiedzą wszystkiego o twoim kraju? Na przykład tego, że król ma na imię Harald? – Toowoomba puścił oko. – To nie dotyczy tylko ciebie, Harry. Nawet biali Australijczycy wprost histerycznie uważają, żeby nie powiedzieć czegoś złego. To właśnie jest paradoksalne. Najpierw odbierają naszemu narodowi dumę, a gdy już jej nie ma, śmiertelnie się boją, że ją podepczą.

Westchnął i odwrócił do Harry'ego ogromne dłonie białym wnętrzem do góry. Jakby się odwracało flądę, pomyślał Harry.

Głęboki, przyjemny głos Toowoomby zdawał się wibrować z osobliwą częstotliwością, Aborygen nie musiał mówić głośno, by przekrzyczeć otaczający ich hałas.

– Ale opowiedz mi raczej o Norwegii, Harry. Czytałem, że podobno tam jest pięknie. Zimno.

Harry więc opowiadał. O fiordach i górach, i o ludziach, którzy osiedlali się gdzieś między nimi. O uniach, uciemieniu, o Ibsenie, Nansenie i Griegu. O mieszkającym na północy narodzie, który uważał się za prężny i przewidujący, lecz przede wszystkim przypominał republikę

bananową. Miał lasy i porty, gdy Holendrzy i Anglicy potrzebowali drewna, wodospady, kiedy odkryto elektryczność, a ponadto znalazł ropę tuż za drzwiami.

– Nigdy nie wymyśliliśmy żadnego Volvo czy Tuborga – podsumował.  
– Po prostu eksportowaliśmy naszą przyrodę, nie musieliśmy myśleć. Po prostu urodziliśmy się w czepku. – Harry nawet nie próbował szukać odpowiedniego angielskiego idiomu.

Potem opowiedział o Åndalsnes, niedużej miejscowości w Romsdalen, dolinie otoczonej wysokimi górami, gdzie było niezwykle pięknie, a jego matka zawsze powtarzała, że Bóg, stwarzając świat, zaczął właśnie w tym miejscu i tyle czasu poświęcił przyrodzie Romsdalen, że przy stwarzaniu reszty świata musiał się spieszyć, by zdążyć do niedzieli.

Mówił o wypływananiu na ryby na fiord razem z ojcem wcześniej rano w lipcu i o leżeniu na brzegu i wdychaniu zapachu morza przy wtórze krzyku mew, w otoczeniu gór wznoszących się niczym nieruchomi milczący gwardziści strzegący ich małego królestwa.

– Mój ojciec pochodzi z Lesjaskog, małej miejscowości położonej nieco dalej w dolinie. Poznali się z matką na wiejskich tańcach w Åndalsnes. Stale mówili o przeprowadzeniu się z powrotem do Romsdalen, kiedy już będą na emeryturze.

Toowoomba pokiwał głową i napił się piwa, a Harry umoczył usta w kolejnym soku grejpfrutowym. Zaczynało mu się robić kwaśno w żołądku.

– Chciałbym móc ci opowiedzieć, skąd ja pochodzę, Harry. Tyle tylko, że tacy jak ja nie mają żadnego mocnego związku z żadnym konkretnym miejscem czy plemieniem. Dorastałem w chacie przy autostradzie koło Brisbane. Nikt nie wie, z jakiego plemienia pochodził mój ojciec. Pojawił się i zniknął tak szybko, że nikt nie zdążył spytać. A mojej matki nie obchodzi, skąd jest, byle tylko zdołała uskładać dość pieniędzy na butelkę wina. Musi wystarczyć to, że jestem *murri*.

– A Andrew?

– Nie powiedział ci?

– Czego?

Toowoomba przyciągnął ręce do siebie. Między oczami zarysowała mu

się głęboka zmarszczka.

– Andrew Kensington jest pozbawiony korzeni w jeszcze większym stopniu niż ja.

Harry nie drażył tematu, ale po kolejnym piwie Toowoomba sam do tego wrócił.

– Prawdopodobnie powinienem zostawić tę opowieść jemu, ponieważ Andrew dorastał w niezwykłych okolicznościach. On bowiem należy do pozbawionego rodziny pokolenia Aborygenów.

– Co masz na myśli?

– To długa historia. Najistotniejsze w niej są wyrzuty sumienia. Już od przełomu wieków polityką wobec pradawnych mieszkańców sterowały wyrzuty sumienia władz z powodu krzywd wyrządzonych naszym ludziom. Szkoda tylko, że dobre intencje nie zawsze przynoszą dobry skutek. Jeśli chce się rządzić narodem, to trzeba ten naród rozumieć.

– A Aborygenów nie rozumiano?

– W różnych okresach prowadzono różną politykę. Ja należę do pokolenia, które siłą zurbanizowano. Po drugiej wojnie światowej władze uznały, że należy zmienić wcześniejszą politykę i starać się zasymilować pierwotnych mieszkańców, zamiast ich izolować. Próbowaly to zrobić poprzez kontrolę naszego miejsca zamieszkania, a nawet wyboru małżonka. Wielu z nas siłą przeniesiono do miast, żebyśmy dopasowali się do europejskiej kultury miejskiej. Rezultaty były katastrofalne. W krótkim czasie znaleźliśmy się w czołówce wszystkich złych statystyk, alkoholizmu, bezrobocia, rozpadu związków, prostytucji, przestępczości, przemocy i narkomanii. Aborygeni byli i pozostali społecznymi przegranymi Australii.

– A Andrew?

– Andrew urodził się przed wojną. Wtedy polityka władz polegała na „chronieniu” nas, zupełnie jakbyśmy byli jakimś zagrożonym gatunkiem. Dlatego mieliśmy na przykład ograniczony dostęp do posiadania ziemi i poszukiwania pracy. Ale najbardziej zdumiewające było to, że prawo pozwalało władzom odebrać aborygeńskiej matce dziecko, jeśli pojawiło się podejrzenie, że ojciec nie był Aborygenem. Nawet jeśli ja nie mam do opowiedzenia najprzyjemniejszej na świecie

historii o swoim dorastaniu, to przynajmniej w ogóle mam jakąś historię. Andrew nie ma nic. Nigdy nie widział swoich rodziców. Zabrano go od nich jako noworodka i umieszczono w domu dziecka. Wie jedynie, że jego matkę znaleziono martwą gdzieś na przystanku autobusowym w Bankstown, pięćdziesiąt kilometrów na północ od domu dziecka, wkrótce po tym, jak go jej odebrano, i nikt nie wiedział, w jaki sposób się tam znalazła ani na co umarła. Nazwisko białego ojca ukrywano przed Andrew do czasu, kiedy przestało go już obchodzić.

Harry próbował to wszystko zrozumieć.

– Naprawdę takie postępowanie było legalne? A co z ONZ i Deklaracją Praw Człowieka?

– To wszystko przyszło dopiero po wojnie. I pamiętaj, że cel polityki wobec Aborygenów był szczytny. Działano w dobrej wierze, chciano chronić pewną kulturę, nie zaś ją niszczyć.

– Co się później stało z Andrew?

– Stwierdzono, że jest zdolny, i wysłano go do prywatnej szkoły w Anglii.

– Myślałem, że w Australii panuje zbyt duży egalitaryzm, żeby wysyłać kogoś do prywatnych szkół.

– O wszystkim tym decydowały i za wszystko płaciły władze. Życzono sobie zapewne, żeby Andrew był niczym słoneczko w politycznym eksperymencie, który przecież wywołał tyle bólu i ludzkich tragedii. Po powrocie Andrew rozpoczął studia na uniwersytecie w Sydney, właśnie wtedy zaczęli tracić nad nim kontrolę. Wpadł w kłopoty, przypięto mu łatkę skłonnego do przemocy, oceny się pogorszyły. O ile dobrze wiem, wiązało się to z jakąś nieszczęśliwą miłością, z białą dziewczyną, która go porzuciła, ponieważ jej rodzina nie była zachwycona tym związkiem, ale Andrew nigdy nie chciał o tym dużo mówić. Tak czy owak był to czarny okres w jego życiu i z całą pewnością mogło skończyć się gorzej, niż się stało. Podczas pobytu w Anglii nauczył się boksować, twierdził, że tylko dzięki temu przetrwał w szkole z internatem. Na uniwersytecie powrócił do boksu, a kiedy zaproponowano mu miejsce w drużynie Chiversa i wyjazd na tournée, rzucił studia i na pewien czas zniknął z Sydney.

– Właśnie miałem okazję zobaczyć, jak boksuje – powiedział Harry. –

Nie wszystko zapomniał.

– Właściwie boks miał mu tylko zająć czas, zanim na nowo podejmie naukę, ale odniósł sukces u Chiversa. Zaczęła się nim interesować prasa, więc został. Kiedy przebił się do finału mistrzostw Australii, pojawiło się nawet kilku agentów zawodowych bokserów ze Stanów, żeby go obejrzyć. Ale w wieczór przed finałem w Melbourne coś się wydarzyło. Byli w restauracji i niektórzy twierdzą, że Andrew próbował podrywać dziewczynę drugiego z finalistów. Nazywał się Campbell i związał się ze ślicznotką z North Sydney, która później została miss Nowej Południowej Walii. Rozpętała się bójka w kuchni. Zdaje się, że zniszczyli wszystko, co się w niej znajdowało, Andrew, trener Campbella, agent i jeszcze jeden facet.

Andrew znaleziono w zlewie, z rozciętą wargą, raną na czole i zwichniętym nadgarstkiem. Nigdzie tego nie zgłoszono. Pewnie dlatego zrodziła się plotka o tym, że Andrew zaatakował dziewczynę Campbella. W każdym razie musiał wycofać się z finału i od tej pory z całej jego kariery jakby uszło powietrze. Pokonał wprawdzie paru dobrych bokserów na jakichś zawodach, ale prasa straciła dla niego zainteresowanie, a agenci zawodowców już nigdy więcej się nie pojawili. Z czasem przestał walczyć na zawodach. Kolejna plotka mówiła, że zaczął pić, a po pewnym tournée na zachodnim wybrzeżu poproszono, żeby wycofał się z ekipy Chiversa. Chyba dlatego, że za mocno potraktował paru amatorów. Potem Andrew zniknął. Trudno z niego wydobyć, czym się zajmował, ale w każdym razie wałęsał się przez kilka lat po Australii bez szczególnego celu, zanim wrócił na uniwersytet.

– A więc boksowanie się skończyło? – spytał Harry.

– Tak – odparł Toowoomba.

– Co było potem?

– No cóż. – Toowoomba zasygnalizował jednemu z kelnerów, że prosi o rachunek. – Andrew po powrocie na studia miał chyba większą motywację do nauki i przez pewien czas szło mu dobrze. Ale to były już wczesne lata siedemdziesiąte, epoka hippisów, czas zabawy i wolnej miłości. I możliwe, że zdarzyło mu się zażywać nielegalne substancje w nieco zbyt dużych ilościach. Te środki na dłuższą metę okazały się mało



sprzyjające nauce i wyniki egzaminów były bardzo średnie. – Zachichotał pod nosem. – W końcu pewnego dnia Andrew obudził się, wstał, przejrzał w lustrze i dokonał podsumowania. Miał ostrego kaca, śliwę na oku, nie wiadomo gdzie zarobioną, ponad trzydzieści lat, nieskończone studia i najprawdopodobniej zaczynające się uzależnienie od pewnych związków chemicznych. Za sobą miał zwichniętą karierę bokserką, a przed sobą niepewną, łagodnie mówiąc, przyszłość. Co się robi w takiej sytuacji? Idzie się do szkoły policyjnej.

Harry wybuchnął śmiechem.

– Ja tylko cytuję Andrew – powiedział Toowoomba. – To dość niewiarygodne, ale dostał się pomimo swojej przeszłości i wieku. Możliwe, że władze pragnęły widzieć więcej Aborygenów w policji. Andrew obciął więc włosy, wyjął kolczyk z ucha, skończył z niedozwolonymi substancjami, no a resztę już znasz. Oczywiście nie można go wykorzystać jako symbolu człowieka, który zrobił karierę, lecz mimo to jest uważany za jednego z najlepszych detektywów w policji w Sydney.

– To w dalszym ciągu cytujesz z Andrew?

Toowoomba roześmiał się.

– Oczywiście.

W barze w głębi miał miejsce finał wieczornego *drag-show* przy wtórce YMCA w wersji Village People, murowany sukces.

– Dużo wiesz o Andrew – stwierdził Harry.

– Właściwie mogę go uważać za ojca – odparł Toowoomba. – Kiedy przeniosłem się do Sydney, nie miałem żadnych innych planów oprócz tego, że chcę się znaleźć jak najdalej od domu. Andrew dosłownie zabrał mnie z ulicy. A potem zaczął trenować mnie i paru innych chłopaków, którzy też zbłądzili na manowce. Również Andrew namówił mnie do podjęcia studiów na uniwersytecie.

– O rany, bokser z wykształceniem uniwersyteckim?

– Angielski i historia. Moim marzeniem jest uczyć kiedyś własny naród

– Toowoomba powiedział to z dumą i przekonaniem.

– A tymczasem będziesz tłukł pijanych marynarzy i durnych wsioków?

Toowoomba uśmiechnął się.

– Trzeba mieć jakiś kapitał początkowy, żeby dawać sobie radę na tym

świecie, bo nie mam złudzeń, że dorobię się jako nauczyciel. Ale ja się nie boksuję wyłącznie z amatorami. Zgłosiłem się na tegoroczne mistrzostwa Australii.

– Żeby zdobyć tytuł, którego Andrew nie dostał?

Toowoomba podniósł kieliszek.

– Może i tak.

Po występie tłum w barze zaczął się przerzedzać. Birgitta już wcześniej powiedziała Harry’emu, że ma dla niego niespodziankę, czekał więc niecierpliwie na zamknięcie lokalu.

Toowoomba wciąż siedział przy stoliku. Zapłacił już, a teraz kręcił tylko szklanką od piwa. Harry’ego nagle ogarnęło nieokreślone uczucie, że Toowoomba czegoś chce, czegoś innego niż opowiadanie starych historii.

– Posunęliście się jakoś w tej sprawie, w związku z którą przyjechałeś, Harry?

– Nie wiem – odparł Harry zgodnie z prawdą. – Czasami człowieka ogarnia uczucie, że szuka czegoś, używając lornetki, a tymczasem rozwiązanie leży tak blisko, że widać je jedynie jako rozmazaną plamę w obiektywie.

– Albo patrzy się w niewłaściwym kierunku.

Harry spojrział na niego, dopijając resztkę soku.

– Muszę już iść, Harry, ale pozwól, że najpierw opowiem ci pewną historię, która być może naprawi odrobinę twój brak znajomości naszej kultury. Słyszałeś o *black snake*, czarnym wężu?

Harry kiwnął głową. Przed wyjazdem do Australii czytał o gadach, których należy się wystrzeżać. O ile dobrze pamiętał, *black snake* nie miał imponujących rozmiarów, ale przez to wcale nie był mniej jadowity.

– To wszystko prawda, lecz jeśli wierzyć baśniom, nie zawsze tak było. Dawno temu, w Epoce Snu, *black snake* był niegroźnym wężem. Jadowita była natomiast jaszczurka iguana, o wiele zresztą większa niż dzisiaj. Pożerała ludzi i zwierzęta, więc pewnego dnia kangur wezwał wszystkie zwierzęta na radę, żeby wymyśliły, w jaki sposób mają się pozbyć

przebiegłego mordercy Mungoongali, wielkiego wodza iguan. Ouyouboolooy – *black snake* – odważny, nieduży wąż natychmiast podjął to wyzwanie.

Toowoomba siedział swobodnie i snuł opowieść przyciszonym, spokojnym głosem, lecz spojrzenie miał przez cały czas utkwione w Harry'ego.

– Inne zwierzęta śmiały się z małego węża, twierdząc, że do walki z Mungoongali potrzeba kogoś większego i silniejszego. „Zobaczycie, co będzie” – oświadczył Ouyouboolooy i popęzł do obozu wodza jaszczurek. Tam przywitał się z olbrzymim jaszczurem i oznajmił, że jest tylko małym wężem, niezbyt smacznym, i szuka miejsca, gdzie miałby spokój od wszystkich innych zwierząt, które go dręczą i ciągle się z niego naśmiewają. Mungoongali pozwolił mu zostać. „Pamiętaj tylko, żeby nie wchodzić mi w drogę, inaczej źle się to dla ciebie skończy” – oświadczył i nie zwracał więcej uwagi na małego czarnego węża.

Następnego dnia rano Mungoongali wybrał się na łowy, a Ouyouboolooy skradał się za nim. Przy ognisku siedział podróżny. Nie zdążył nawet mrugnąć, jak Mungoongali podbiegł do niego i jednym mocnym, celnym ciosem zgruchotał mu czaszkę. Potem jaszczur zaniósł podróżnego na plecach do obozu, tam odłożył swój woreczek z jadem i zabrał się do pożerania świeżego ludzkiego mięsa. Ouyouboolooy szybkim jak błyskawica ruchem skoczył do przodu, zabrał woreczek z jadem i zniknął w krzakach. Mungoongali ruszył za nim w pościg, lecz nie zdołał odnaleźć małego węża. Inne zwierzęta wciąż siedziały na naradzie, kiedy Ouyouboolooy wrócił.

„Spójrzcie!” – krzyknął i otworzył pysk, żeby wszyscy mogli zobaczyć worek jadowy. Zwierzęta zaczęły się tłoczyć wokół niego, gratulować mu i dziękować, że ocalił je od Mungoongali. Kiedy wreszcie się rozeszły, został tylko kangur. Podszedł do Ouyouboolooy'a i oświadczył, że wąż powinien teraz wypluć truciznę do rzeki, aby w przyszłości wszyscy mogli spać spokojnie, lecz Ouyouboolooy w odpowiedzi ukąsił kangura, który sparaliżowany padł na ziemię. „Zawsze mną gardziliście, ale teraz przyszła moja kolej!” – oświadczył Ouyouboolooy umierającemu kangurowi. „Dopóki mam tę truciznę, nigdy już nie będziecie mogli się do mnie

zbliżyć. Żadne z pozostałych zwierząt nie będzie wiedziało, że wciąż mam jad. Będą uważać mnie, Ouyouboolooeya, za swego wybawiciela i obrońcę, a ja spokojnie będę mógł się mścić na wszystkich po kolei". Z tym słowami wpełznął kangura do rzeki, a potem wpełznął w krzaki i do dzisiaj tam właśnie możesz go spotkać. W krzakach.

Toowoomba wypił powietrze ze swojej pustej szklanki i wstał.

– Późno już.

Harry również się podniósł.

– Dziękuję ci za tę historię, Toowoombo. Niedługo wyjeżdżam, więc jeśli nie będę miał okazji cię spotkać, to życzę ci już teraz powodzenia w mistrzostwach i w realizacji planów.

W duchu zadał sobie pytanie, kiedy wreszcie zmańdrzeje, gdy Toowoomba chwycił jego wyciągniętą dłoń. Harry miał wrażenie, że zmieniła się po tym uścisku w miękki kotlet.

– Mam nadzieję, że dowiesz się wreszcie, co ma ci obraz widziany przez lornetkę.

Dopiero kiedy poszedł, Harry zrozumiał, o co mu chodziło.

## 10. UPIÓR Z OTCHŁANI, JAŚ FASOLA I JESZCZE JEDEN PACJENT

Strażnik wręczył Birgittcie latarkę kieszonkową.

– Wiesz, gdzie mnie znajdziesz, Birgitto. Uważaj, żeby nic was nie pożało – powiedział i ze śmiechem pokuśtykał z powrotem do stróżówki.

Birgitta i Harry ruszyli w głąb ciemności przepastnych, krętych korytarzy olbrzymiego budynku Sydney Aquarium. Była już prawie druga w nocy, ale Ben, nocny strażnik, wpuścił ich do środka.

Przypadkowe pytanie Harry'ego o to, dlaczego wszystkie światła są zgaszone, wywołało długi wykład starego strażnika:

– Oczywiście liczy się oszczędność energii, ale to wcale nie jest aż tak istotne. Najważniejsze jest to, że w ten sposób mówimy rybom, że jest noc. W każdym razie ja tak uważam. Dawniej gasiliśmy światło zwykłym wyłącznikiem i dosłownie słycać było wstrząs, kiedy po tym jednym ruchu zapadała nieprzenikniona ciemność. Przez całe oceanarium przechodził jakby szum, setki ryb jak strzała mknęły do kryjówek lub po prostu płynęły przed siebie ogarnięte ślełą paniką. – Ben dramatycznie przyciszył głos, gestami dłoni naśladowując ryby płynące zygzakiem. – Potem jeszcze przez kilka minut słycać było plusk i falowanie wody. Niektóre gatunki, na przykład makrele, kompletnie szalały, gdy światło gasło, wpadały na szkło i robiły sobie krzywdę. Dlatego wprowadziliśmy wygaszacze, które stopniowo tłumią światło na suficie, by naśladować naturę. Od tej pory ryby mniej chorują. Światło mówi ciału, kiedy jest dzień, a kiedy noc, a osobiście uważam, że ryby muszą zachować naturalny rytm dobowy, aby nie cierpiały z powodu stresu. One mają swój zegar biologiczny tak samo jak my i nie należy w nim grzebać. Wiem na przykład, że niektórzy hodowcy barramundi na Tasmanii zapewniają rybom dodatkowe światło jesienią. Oszukują je, żeby rybom wydawało się, że wciąż jest lato, i składały więcej ikry.

– Ben trochę za dużo gada, kiedy już naprowadzi się go na jakiś temat – wyjaśniła Birgitta. – Prawie tak samo lubi rozmawiać z ludźmi, jak ze swoimi rybami.

Przez dwa lata pracowała latem jako dodatkowa pomoc w oceanarium i właśnie wtedy zaprzyjaźniła się z Benem, który, jak twierdził, pracował tu od początków otwarcia obiektu.

– Nocą panuje tutaj taki niesamowity spokój – mówiła Birgitta. – Tak cicho. Zobacz! – Oświetliła szklaną ścianę, za którą żółto-czarna murena wysunęła się ze swojej jamy i obnażyła rząd drobnych ostrych zębów. Nieco dalej w korytarzu poświeciła na dwie nakrapiane raje z ogonami zakończonymi kolcem, które sunęły przez wodę za zielonym szkłem, poruszając się, jakby machały skrzydłami na zwolnionym filmie.

– Czy to nie piękne? – szepnęła Birgitta z błyszczącymi oczami. – To jak balet bez muzyki.

Harry miał uczucie, że skrada się na palcach przez sypialnię. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami był odgłos ich kroków i cichutkie, równomierne bulgotanie w akwariach.

Przy wielkiej szklanej tafli Birgitta się zatrzymała.

– Tu mamy *saltie*, Matyldę z Queensland – oznajmiła, kierując snop światła na ścianę ze szkła. Na sztucznym brzegu rzeki leżał wyschnięty kłoc drewna, a w zbiorniku wodnym pływał pień.

– Co to jest *saltie*? – spytał Harry, usiłując dostrzec w środku jakies życie. W tym samym momencie pień drzewa podniósł powieki, odsłaniając parę błyszczących zielonych oczu. W ciemności świeciły jak znaczki odbłaskowe.

– To krokodyl, który żyje w słonej wodzie. W przeciwieństwie do *freshie*. *Freshie* żywią się głównie rybami, ich więc nie trzeba się bać.

– A *saltie*?

– Absolutnie trzeba się ich wystrzegać. Wiele tak zwanych niebezpiecznych drapieżników atakuje ludzi tylko wtedy, gdy czują się zagrożone, gdy się boją lub gdy wkroczy się na ich terytorium. *Saltie* natomiast to prosta, nieskomplikowana dusza. Chodzi mu wyłącznie o twoje ciało. Na terenach bagiennych na północy co roku kilku Australijczyków zostaje zabitych przez krokodyla.

Harry oparł się o szklaną ścianę.

– Czy to nie wywołuje pewnej hm... antypatii? W niektórych rejonach Indii ludzie wytrzebili tygrysy, tłumacząc się, że porywają niemowlęta. Dlaczego ci ludożercy nie zostali wytrzebieni?

– Większość ludzi ma tutaj taki sam stosunek do krokodyli jak do wypadków drogowych, a przynajmniej podobny. Jeśli chcesz mieć drogi, musisz liczyć się z tym, że ktoś na nich zginie, prawda? No a jeśli chcesz mieć krokodyle... Te zwierzęta zwyczajnie pożerają ludzi. Tak już po prostu jest.

Harry zadrżał. Matylda znów nasunęła na oczy powieki jak pokrywy reflektorów w porsche, żadna zmarszczka na wodzie nie świadczyła o tym, że drewniany pień leżący w odległości pół metra od niego za szklaną ścianą to w rzeczywistości dwie tony mięśni, zębów i złego humoru.

– Chodźmy dalej – poprosił.

– A oto Jaś Fasola – powiedziała Birgitta, świecąc na niedużą jasnobrązową płaszczkę. – To *fiddler ray*. Tak nazywamy Alexa z baru. Tego, którego Inger nazwała Jasiem Fasolą.

– A dlaczego Fiddler Ray?

– Nie wiem. Nazywali go tak, jeszcze zanim ja zaczęłam pracować w The Albury.

– Zabawne przezwisko. Ta ryba, zdaje się, lubi leżeć nieruchomo na dnie.

– Tak, i dlatego musisz uważać podczas kąpieli. Jest jadowita i kole, kiedy na nią nastąpisz.

Zeszli na dół po kręconych schodach prowadzących do jednego z wielkich zbiorników.

– Te zbiorniki to właściwie nie są akwaria w dosłownym znaczeniu tego słowa, to po prostu odgradzona część Port Jackson – tłumaczyła Birgitta.

Z sufitu spływało słabe zielonkawe światło, poruszające się falującymi pasmami. Przesunęło się po ciele i twarzy Birgitty, a Harry odniósł wrażenie, że stoi pod kryształową kulą na dyskotece. Dopiero gdy Birgitta

poświeciła latarką do góry, spostrzegł, że ze wszystkich stron otacza ich woda. Całkiem po prostu znaleźli się w szklanym tunelu pod powierzchnią morza, a światło pochodziło z zewnątrz, przefiltrowane przez wodę. Tuż obok przesunął się wielki cień, Harry drgnął odruchowo. Birgitta roześmiała się i skierowała snop światła latarki na olbrzymią rybę z długim ogonem, która płynęła wzdłuż szklanej ściany.

– Manta – powiedziała. – Diabeł morski.

– O Boże, ależ ogromna – szepnął Harry.

Cała manta była jednym falującym ruchem, przypominała olbrzymie łożko wodne. Harry zrobił się senny od samego patrzenia na nią. W końcu zwierzę zawróciło, przechyliło się na bok, pomachało im na pożegnanie i popłynęło w ciemny wodny świat niczym olbrzymi duch owinięty w prześcieradło.

Usiedli na podłodze. Birgitta wyjęła z plecaka koc, dwa kieliszki, świeczkę i butelkę czerwonego wina bez etykiety. Wyjaśniła, że to prezent od kolegi, który pracuje w winnicy w Hunter Valley, i otworzyła ją. Potem położyli się obok siebie na kocu i patrzyli w górę na wodę.

To było jak leżenie w świetle przestawionym do góry nogami. Jak patrzenie w odwrócone niebo, po którym krążą ryby we wszystkich kolorach tęczy i przedziwne stworzenia, wymyślone przez jakiegoś faceta ze zbyt wybujałą wyobraźnią. Połyskująca niebiesko ryba ze zdziwioną księżycową gębą zatrzymała się tuż nad nimi. Cieniutkie płetwy brzuszne leciutko jej wibrowały.

– Czy to nie cudowne patrzeć, jak one się nie spieszą? Jak pozornie bezsensowne są ich poczynania? – szepnęła Birgitta. – Czujesz, jak one wstrzymują czas? – Przyłożyła zimną rękę do szyi Harry’ego i lekko nacisnęła. – Czujesz, że puls prawie przestał ci bić?

Harry przełknął ślinę.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby czas płynął teraz wolno – powiedział. – I żeby tak było przez następnych kilka dni.

Birgitta przytuliła go mocniej.

– Nie mów o tym teraz – poprosiła.



– Czasami myślę sobie: „Harry, cholera, jednak nie jesteś wcale taki głupi”. Zauważam na przykład, że Andrew zawsze mówi o Aborygenach „oni”, że mówi o własnym narodzie w trzeciej osobie. Dlatego rozumiałem wiele z jego historii, jeszcze zanim Toowoomba przekazał mi szczegóły. Zgadłem, że Andrew nie wychowywał się wśród swoich, że właściwie nie należy do żadnego miejsca, tylko unosi się gdzieś na powierzchni i ogląda wszystko z zewnątrz. Trochę tak jak my teraz. Siedzimy tu i patrzymy na świat, w który nie możemy wejść. Po rozmowie z Toowoombą rozumiałem również coś jeszcze. Andrew nie otrzymał w prezencie urodzinowym naturalnej dumy, która towarzyszy przynależności do jakiegoś narodu, i dlatego musiał wypracować coś własnego. Z początku sądziłem, że wstydzi się swoich braci, ale teraz pojąłem, że zмага się z własnym wstydem.

Birgitta coś mruknęła. Harry podjął:

– Od czasu do czasu wydaje mi się, że coś rozumiem, ale w następnej chwili znów się gubię. Nie lubię tego, źle znoszę dezorientację. Dlatego chciałbym albo nie mieć tej zdolności zwracania uwagi na szczegóły, albo też lepiej umieć poskładać je w całość, która ma jakiś sens. – Odwrócił się do Birgitty i zanurzył twarz w jej włosy. – Bóg źle postąpił, obdarzając tak małą inteligencją istotę o tak wielkiej spostrzegawczości – powiedział, starając się jednocześnie uświadomić sobie, czym pachną włosy Birgitty. Ale ten zapach widać czuł już tak dawno, że całkiem zapomniał, co to mogło być.

– A co ty widzisz? – spytała.

– Że wszyscy próbują wskazać mi coś, czego ja nie rozumiem.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Oni są jak kobiety. Opowiadają mi historie, które znaczą coś zupełnie innego. Prawdopodobnie to, co kryje się między wierszami, jest aż nadto wyraźne, ale mnie, jak już mówiłem, brakuje zdolności dostrzeżenia tego. Dlaczego wy, kobiety, nie potraficie powiedzieć wprost, o co wam chodzi? Przeceniacie męską zdolność domysłu.

– Czy teraz na mnie zrzucisz całą winę? – zawołała ze śmiechem, uderzając go lekko. Po podwodnym tunelu rozniosło się echo.

– Cicho. Nie budź upiórów z otchłani – powiedział Harry.

Upłynęło trochę czasu, nim Birgitta zauważyła, że Harry nie tknął swojego wina.

– Przecież mały kieliszek chyba nie zaszkodzi? – spytała.

– Ależ tak – odparł. – Może zaszkodzić. – Z uśmiechem przyciągnął ją do siebie. – Ale nie mówmy o tym. – Potem ją pocałował, a Birgitta westchnęła głęboko, jakby czekała na ten pocałunek przez całą wieczność.

Harry przebudził się nagle. Świeca się wypaliła, otaczała ich nieprzenikniona ciemność. Nie wiedział, skąd wcześniej pochodziło tamto zielonkawe światło, czy rzucał je księżyc nad Sydney, czy też reflektory na łodzi, lecz teraz w każdym razie zniknęło. Mimo to miał poczucie, że jest obserwowany. Odszukał latarkę. Birgitta leżała zwinięta na swojej połowie koca, naga, z zadowoloną miną. Skierował snop światła na szklaną taflę.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że widzi własne odbicie, w końcu jednak oczy przywykły do jasności, a serce stuknęło ostatnim mocnym uderzeniem i zamarło. Obok niego stał Upiór z Otchłani i przyglądał mu się zimnymi, pozbawionymi życia oczyma. Harry wypuścił oddech, szkło pokryło się mgiełką, zamazującą bladą, nasiąkniętą wodą twarz topielca, tak wielką, że zdawała się wypełniać cały zbiornik. Zęby sterczały w pysku, wyglądały jak narysowane przez dziecko, zygzakowaty rząd trójkątnych białych sztyletów, rozrzuconych przypadkowo w dwóch spragnionych krwi rzędach.

W końcu Upiór z Otchłani popłynął w górę ponad Harry'ego, przez cały czas nie odrywając od niego martwych oczu, zastygłych w nienawistnym spojrzeniu. Biały żywy trup, który przesuwiał się obok snopu światła powolnym wijącym się ruchem, jakby w ogóle nie miał końca.

– Czyli jutro wyjeżdżasz?

– No tak. – Harry siedział z filiżanką kawy na kolanach, nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić. McCormack wstał od biurka i zaczął się przechadzać przed oknem.

– Uważasz więc, że wciąż jesteśmy dalecy od rozwiązania? Sądziś, że chodzi o jakiegoś psychopatę krążącego w tłumie, mordercę bez twarzy, który zabija na głos impulsu i nie zostawia śladów? Że musimy po prostu czekać i modlić się, by następnym razem, gdy znów zaatakuje, popełnił błąd?

– Tego nie powiedziałem, *sir*. Wydaje mi się po prostu, że już nie potrafię pomóc. W dodatku dzwoniли do mnie z Oslo i powiedzieli, że jestem im tam potrzebny.

– W porządku. Przekażę, że dobrze się tu sprawowałeś, Holy. Zrozumiałem, że rozważają twój awans.

– Mnie na razie nikt o niczym takim nie wspomniął, *sir*.

– Zrób sobie wolne na resztę dnia i trochę pozwiedzaj Sydney przed wyjazdem, Holy.

– Upewnię się najpierw, czy możemy wyeliminować ze sprawy tego Alexa Tomarosa, *sir*.

McCormack wyrztał przez okno na pochmurne, ale dławiąco duszne i gorące Sydney.

– Czasami tęsknię za domem, Holy. Za piękną wyspą.

– *Sir?*

– Kiwi. Jestem kiwi, Holy. Tak tutaj nazywają przybyszów z Nowej Zelandii. Moi rodzice przyjechali tu, kiedy miałem dziesięć lat. Tam ludzie są dla siebie miłsi. W każdym razie ja tak to pamiętam.

– Otwieramy dopiero za kilka godzin – oświadczyła stojąca w drzwiach rozzłoszczona kobieta ze szczotką.

– W porządku, jestem umówiony z panem Tomarosem – powiedział Harry, zadając sobie pytanie, czy sprzątaczkę przekona norweska odznaka policyjna. Okazywanie jej nie było jednak konieczne. Kobieta uchyliła drzwi akurat na tyle, by Harry mógł wślizgnąć się do środka. Wewnątrz unosił się zapach starego piwa i mydła. The Albury puste, w dziennym świetle, wydawało się, o dziwo, dużo mniejsze.

Alexa Tomarosa alias Jasia Fasolę, alias Fiddlera Raya znalazł w biurze na tyłach baru. Przedstawił się.

– W czym mogę panu pomóc, panie Holy? – Tomaros mówił prędko, z wyraźnym akcentem, jak często się zdarza w przypadku cudzoziemców mieszkających już od jakiegoś czasu w obcym kraju i płynnie posługujących się obcym językiem.

– Dziękuję, że mógł się pan ze mną spotkać tak szybko, panie Tomaros. Wiem, że przede mną byli już inni, którzy zadawali panu mnóstwo pytań, nie zajmę więc panu dużo czasu. Ja tylko...

– To dobrze. Jak pan widzi, mam sporo rzeczy do zrobienia. Rachunki, wie pan.

– Rozumiem. Z pana zeznań wynika, że tego wieczoru, gdy zginęła Inger Holter, siedział pan tutaj i rozliczał kasę. Czy był z panem ktoś jeszcze?

– Gdyby dokładnie przeczytał pan te dokumenty, to zorientowałby się pan, że byłem sam, jestem pewien. Zawsze jestem sam...

Harry popatrzył na arogancką minę Alexa Tomarosa i mokre, pokryte śliną zęby. Wierzę w to, pomyślał.

– ...kiedy rozliczam kasę. Absolutnie sam. Tak, gdybym zechciał, mógłbym oszukać ten przybytek na kilkaset tysięcy, a nikt by niczego nie zauważył.

– A więc pod względem technicznym nie ma pan alibi na ten wieczór, kiedy zginęła panna Holter.

Tomaros zdjął okulary.

– Pod względem technicznym to o godzinie drugiej zadzwoniłem do matki, powiedziałem jej, że skończyłem i że wracam do domu.

– Pod względem technicznym mógł pan zdążyć zrobić wiele rzeczy między godziną pierwszą, kiedy zamykany jest bar, a drugą, panie Tomaros. Ale nie twierdzę, że jest pan o cokolwiek podejrzany...

Tomaros patrzył na niego bez zmrużenia powiek.

Harry przerzucił kilka pustych kartek w notesie, udając, że czegoś szuka.

– Dlaczego dzwonił pan do matki? Czy to nie dość niezwykle telefonować o drugiej w nocy jedynie po to, by przekazać taką wiadomość?

– Moja matka lubi wiedzieć, gdzie jestem. Policja rozmawiała również z nią, nie rozumiem więc, dlaczego musimy przechodzić przez to jeszcze

raz.

– Pan jest Grekiem, prawda?

– Jestem Australijczykiem. Mieszkam tu od dwudziestu lat. Moi rodzice rzeczywiście byli Grekami. Matka jest teraz obywatelką australijską. Coś jeszcze? – Dobrze nad sobą panował.

– Okazywał pan zainteresowanie Inger Holter na płaszczyźnie bardziej osobistej. W jaki sposób zareagował pan na to, że pana odrzuciła? Że wołała innych mężczyzn?

Tomaros oblizał usta i już miał coś powiedzieć, lecz się powstrzymał. Czubek języka znów wysunął się spomiędzy warg. Jak u węża, pomyślał Harry. Mały czarny wąż, którym wszyscy gardzą i którego uważają za niegroźnego.

– Rozmawiałem z panną Holter o wybraniu się na kolację, jeśli to pan ma na myśli. Nie była jedyną osobą zaproszoną przeze mnie na kolację. Może pan spytać inne dziewczyny, które tu pracują, na przykład Catherine czy Birgittę. Przywiązuję dużą wagę do dobrych stosunków z moim personelem.

– Z pana personelem?

– Cóż, pod względem technicznym jestem...

– ...kierownikiem baru. No cóż, panie kierowniku, jak pan zareagował na pojawienie się tu jej chłopaka?

Okulary Tomarosa zaczęły się pocić.

– Inger miała dobre układy z wieloma klientami, więc nie mogłem wiedzieć, że któryś z nich jest jej chłopakiem. A więc miała kogoś? To dobrze...

Harry nie musiał być psychologiem, żeby przejrzeć próby udawanej obojętności Tomarosa.

– To znaczy, że nie ma pan pojęcia, z kim Inger łączyły wyjątkowo zażyłe stosunki, panie Tomaros?

Wzruszył ramionami.

– Z klaunem oczywiście, ale jego zainteresowania kierują się raczej w inną stronę...

– Z klaunem?

– Mam na myśli Ottona Rechnagla. To stały gość. Zwykle dawała mu

jedzenie dla...

– Dla psa! – wrzasnął Harry.

Tomaros podskoczył na krześle. Harry zerwał się i zaciśniętą pięścią uderzył w drugą otwartą dłoń.

– To właśnie to! Otto dostał wczoraj w barze jakąś torebkę, to były resztki dla psa! Pamiętam teraz, mówił, że ma psa. Inger tamtego wieczoru przed wyjściem do domu powiedziała Birgitcie, że bierze resztki dla psa. Przez cały czas uważaliśmy, że chodziło o psa jej gospodarza. Ale diabeł tasmański to wegetarianin. Wie pan, co to były za resztki? Wie pan, gdzie mieszka Rechnagel?

– Dobry Boże, a skąd miałbym wiedzieć? – westchnął Tomaros przerażony. Odsunął się z krzesłem pod sam regał.

– Dobrze, niech pan mnie słucha. Proszę trzymać gębę na kłódkę na temat tej rozmowy. Nie wspominać o niej nawet swojej drogiej matce, bo inaczej wrócę i utnę panu łeb. Rozumie pan, panie Faso... panie Tomaros?

Alex Tomaros tylko pokiwał głową.

– A teraz proszę o udostępnienie mi telefonu.

Wiatrak zgrzytał żałośnie, ale nikt z obecnych w pokoju tego nie słyszał. Uwaga wszystkich skierowała się na Yonga, który położył na projektorze folię z mapą Australii. Na mapie narysował małe czerwone kropczki, a obok nich wpisał daty.

– To miejsca i daty tych gwałtów i morderstw, których sprawcą, jak podejrzewamy, jest poszukiwany przez nas człowiek – powiedział. – Wcześniej próbowaliśmy odnaleźć jakiś schemat geograficzny albo czasowy, lecz bez powodzenia. Teraz wygląda na to, że Harry go znalazł. – Yong nakrył folię kolejną z takim samym konturem mapy. Ta miała naniesione niebieskie kropki, pokrywające się z niemal wszystkimi czerwonymi.

– Co to jest? – spytał niecierpliwie Wadkins.

– Ta mapa przedstawia miejsca odwiedzane przez „The Australian Travelling Show Park”, wędrownie wesołe miasteczko podczas tournée,

i pokazuje, gdzie przebywała trupa w interesujących nas dniach.

Wiatrak kontynuował swą pełną skargi pieśń, lecz poza tym w pokoju zebranych panowała kompletna cisza.

– Na świętego Jeremiasza, mamy go! – wykrzyknął w końcu Lebie.

– Szansa, że to przypadkowy związek, statystycznie rzecz biorąc, jest jak jeden do czterech milionów – uśmiechnął się Yong.

– Chwileczkę, ale kim się interesujemy? – przerwał mu Wadkins.

– Szukamy tego człowieka. – Yong umieścił w projektorze trzecią folię. Z ekranu nad ostrożnym uśmiechem na bladej, nieco obwisłej twarzy spoglądała na nich para smutnych oczu. – Harry może nam powiedzieć, kto to jest.

Harry wstał.

– To Otto Rechnagel, zawodowy klaun, czterdzieści dwa lata, od dziesięciu lat jeździ z „The Australian Travelling Show Park”. Kiedy wesołe miasteczko nie jest w podróży, mieszka sam tutaj w Sydney i występuje jako wolny strzelec. Akurat teraz założył niedużą trupę cyrkową, która daje przedstawienia w mieście. Z tego, co wiemy, ma czystą kartotekę. Nigdy wcześniej nie znalazł się w kręgu zainteresowań policji w związku z jakąkolwiek sprawą o naruszenie obyczajowości i uważany jest za jowialnego spokojnego faceta, choć nieco ekscentrycznego. Najmocniejszym punktem jest fakt, że znał ofiarę. Był stałym gościem restauracji, w której pracowała Inger Holter, i z czasem się zaprzyjaźnili. Prawdopodobnie tego wieczoru, kiedy została zabita, szła do domu Ottona Rechnagla z jedzeniem dla jego psa.

– Z jedzeniem dla psa? – zaśmiał się Lebie. – O wpół do drugiej w nocy? Pewnie i naszemu klaunowi coś się przy okazji trafiło.

– Akurat w tym momencie dotykasz dość dziwnego punktu tej sprawy – powiedział Harry. – Otto Rechnagel od dziesiątego roku życia jest w stu procentach zadeklarowanym homoseksualistą.

Ta informacja wywołała pomruk wokół stołu. Wadkins jęknął.

– Chcesz powiedzieć, że facet, który do tego stopnia jest pedałem, mógł zabić siedem kobiet, a zgwałcić sześć razy więcej?

Do pokoju wszedł McCormack, już wcześniej poinformowany o ostatnich odkryciach.

– Gdybyś był szczęśliwym gejem i przez całe życie przyjaźnił się z samymi gejami, to może nie widziałbyś nic dziwnego w tym, że człowieka dopada lęk w dniu, gdy poczuje, że podnieca go para zgrabnie utoczonych cyków. Do diabła, mieszkamy w Sydney, jedynym mieście na świecie, w którym w szafach ukrywają się heterocy!

Grzmiący śmiech McCormacka zagłuszył popiskiwanie Yonga, który śmiał się tak, że oczy zmieniły mu się w dwie ledwie zarysowane kreski.

Wadkins jednak nie uległ całemu temu dobremu nastrojowi. Podrapał się w głowę.

– Tak czy owak, parę rzeczy tu się nie zgadza. Dlaczego ktoś, kto przez cały czas wykazywał się zimną krwią i wyrachowaniem, nagle miałby całkowicie się odsłonić? Zapraszać ofiarę do domu... Chodzi mi o to, że nie mógł wiedzieć, czy Inger nie powiedziała, dokąd idzie. Gdyby tak było, doprowadziłaby nas wprost do niego. Poza tym wygląda na to, że wszystkie pozostałe ofiary wybrane zostały najzupełniej przypadkowo. Dlaczego nagle miałby zrywać z tym schematem, wybierając znajomą dziewczynę?

– Przecież jedyną rzeczą, jaką wiedzieliśmy o tym przekętym łotrze, był brak jakiegokolwiek schematu w jego działaniu. – Lebie chuchnął na jeden ze swoich pierścionków. – Przeciwnie, wygląda na to, że on lubi pewne wariacje. Oprócz tego, że ofiary muszą być blondynkami. – Teraz czyścił pierścionek rękawem koszuli. – I że po wszystkim chętnie je dusi.

– Jeden do czterech milionów – powtórzył Yong.

Wadkins westchnął.

– Okej, poddaję się. Może po prostu nasze modlitwy zostały nareszcie wysłuchane. Może on w końcu popełnił błąd.

– Co teraz zamierzacie? – spytał McCormack.

Głos zabrał Harry:

– Ottona Rechnagla z pewnością nie ma teraz w domu. Dziś wieczorem na Bondi Beach jest premiera nowego spektaklu jego trupy cyrkowej. Proponuję, żebyśmy poszli obejrzyć występ. Zatrzymamy go tuż po przedstawieniu.

– Rozumiem, że nasz norweski kolega lubi szczyptę dramatyzmu – skomentował to McCormack.



– Jeśli trzeba będzie przerwać przedstawienie, media natychmiast rzuca się na sprawę, *sir*.

McCormack wolno skinął głową.

– Wadkins?

– Dla mnie w porządku, *sir*.

– Okej. Zwijajcie go, chłopaki!

Andrew podciągnął kołdrę pod samą brodę i wyglądał tak, jakby już leżał na *lit de parade*. Opuchlizny na policzku przybrały całą gamę interesujących odcieni, a twarz skrzywiła się z bólu, kiedy próbował uśmiechnąć się do Harry'ego.

– O rany, nawet uśmiech tak boli? – spytał Harry.

– Wszystko boli. Nawet myślenie – odparł Andrew z pochmurną miną.

Na nocnym stoliku stał bukiet kwiatów.

– Od tajemniczej wielbicielki?

– Można i tak powiedzieć. Na imię jej Otto. Jutro z wizytą przyjdzie Toowoomba, no a dzisiaj jesteś ty. Przyjemnie poczuć, że jest się kochanym.

– Ja też ci coś przyniosłem. Zrobisz sobie przyjemność, kiedy nikt nie będzie widział. – Harry wyjął olbrzymie, niemal całkiem czarne cygaro.

– Ach, *maduro*. Oczywiście. Od mojego drogiego norweskiego *amarillo*. – Andrew rozpromienił się i zaśmiał najostrożniej, jak potrafił.

– Od jak dawna już cię znam, Andrew?

Andrew pogłaskał cygaro jak kociaka.

– Ładnych parę dni, stary. Już niedługo będziemy mogli uważać się za braci.

– A ile czasu, twoim zdaniem, trzeba, żeby poznać człowieka naprawdę?

– Poznać naprawdę? – Andrew zachwycony wachał cygaro. – Cóż, Harry, na nauczenie się najbardziej wydeptanych ścieżek w wielkim mrocznym lesie nie potrzeba wcale tak dużo czasu. Niektórzy ludzie mają proste dobre drogi z latarniami i drogowskazami. Sprawiają wrażenie, że gotowi są powiedzieć ci wszystko, ale właśnie wtedy powinieneś najbardziej się wystrzegać i nic nie przyjmować za oczywistość. Bo nie

na oświetlonych ścieżkach spotkasz zwierzęta, one żyją w krzakach i zaroślach.

– A ile czasu trzeba, żeby poznać zarośla?

– To zależy od człowieka, który nimi idzie, i od lasu. Niektóre lasy są ciemniejsze niż inne.

– A jaki jest twój las? – spytał Harry.

Andrew schował cygaro do szufladki nocnego stolika.

– Ciemny. Jak *maduro*. – Popatrzył na Harry'ego. – Ale o tym wyraźnie już się przekonałeś.

– Rozmawiałem z jednym z twoich przyjaciół, który rzucił nieco więcej światła na to, kim jest Andrew Kensington.

– Wobec tego wiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię o tym, że nie wolno dać się zwieść oświetlonym drogom. Ale ty sam masz kilka mrocznych okolic, więc chyba nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy, że rozpoznaję człowieka, który z czymś skończył. Na przykład z piciem.

– Chyba każdy potrafi to zauważyć – mruknął Harry.

– Wszystko, co człowiek ma za sobą, zostawia w nim ślad, prawda? W każdym można odczytać przeżyte życie. Jeśli się umie czytać.

– A ty umiesz?

Andrew położył wielką dłoń na ramieniu Harry'ego. Zdumiewająco prędko doszedł do siebie, uznał Harry.

– Lubię cię, Harry. Jesteś moim przyjacielem. Wydaje mi się, że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, więc nie szukaj w niewłaściwych miejscach. Ja jestem tylko jedną z wielu milionów samotnych dusz, które starają się żyć na skorupie tej ziemi. Usiłują sobie z tym poradzić bez popełniania zbyt wielu fatalnych w skutkach błędów. Czasami zdarza się nawet, że wydobywam się na tyle ponad powierzchnię, by próbować zrobić coś dobrego. To wszystko. Ja tu nie jestem ważny, Harry. Poznanie mnie donikąd cię nie zaprowadzi. Cholera, nawet ja nie jestem zainteresowany tym, żeby się dowiedzieć szczególnie dużo o samym sobie.

– Dlaczego?

– Kiedy czyjś las jest tak ciemny, że człowiek sam go nie zna, czasami

mądrzej jest nie wypuszczać się na zbyt daleką wędrówkę. Łatwo można trafić na przepaść.

Harry pokiwał głową. Dalej siedział. Popatrzył teraz na kwiaty w wazonie.

– Wierzysz w zbiegi okoliczności? – spytał.

– Taa – odparł Andrew. – Życie składa się przecież z nieprzerwanych szeregów najzupełniej nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności. Kiedy kupujesz los i wyciągasz na przykład numer 822531, to szansa na wylosowanie akurat tego numeru jest jak jeden do miliona.

Harry znów pokiwał głową.

– Dręczy mnie to – odparł – że wylosowałem ten sam numer zbyt wiele razy z rzędu.

– Ach, tak? – Andrew z jękiem usiadł na łóżku. – Opowiadaj, wuju!

– Pierwsza rzecz, jaka wydarzyła się po moim przyjeździe do Sydney, to spotkanie z tobą. Właściwie w ogóle miałeś nie zajmować się tą sprawą, lecz nalegałeś, żeby przydzielono cię do wyjaśnienia morderstwa Inger Holter. A poza tym prosiłeś o to, by pracować razem ze mną, cudzoziemcem. Już wtedy powinienem zadać sobie parę pytań. Twoje następne posunięcie to przedstawienie mnie jednemu z przyjaciół pod pretekstem obejrzenia nudnawego numeru cyrkowego w celu zabicia czasu. Z czterech milionów mieszkańców Sydney już pierwszego wieczoru poznaję właśnie tego jednego faceta. Cztery miliony przeciwko jednemu! Ten sam facet pojawia się zresztą znów. Zawieramy nawet bardzo osobisty zakład o sto dolarów, lecz najistotniejszy jest fakt, że on przychodzi do tego baru, w którym pracowała Inger Holter, i okazuje się, że ją znał. Również to jest jak cztery miliony do jednego! I podczas gdy próbujemy okrążyć prawdopodobnego mordercę, a mianowicie Evansa White'a, ty nagle oświadczasz, że jeden z twoich kontaktów widział White'a. Jeden z osiemnastu milionów ludzi na tym kontynencie przypadkiem znajduje się akurat w Nimbin w wieczór, w który popełniono morderstwo!

Andrew wyglądał na głęboko zamyślnego. Harry podjął:

– Zapewne równie naturalną rzeczą jest, że dajesz mi adres do pubu, w którym banda Evansa White'a to „przypadkiem” stali goście, tak aby pod presją mogli potwierdzić tę historię, do której jakby wszyscy chcieli

mnie przekonać: że White nie jest zamieszany w to morderstwo.

Weszły dwie pielęgniarki, jedna złapała za barierkę w nogach łóżka, druga życzliwie, lecz zdecydowanie powiedziała:

– Przykro mi, ale pora odwiedzin minęła. Pan Kensington ma jechać na EEG, lekarze już czekają.

Harry pochylił się do ucha Andrew.

– Jestem w najlepszym razie średnio inteligentnym człowiekiem, Andrew. Ale rozumiem, że próbujesz mi coś powiedzieć. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możesz mówić wprost. I do czego ci jestem potrzebny? Ktoś ma na ciebie jakiegoś haka, Andrew?

Dreptał przy łóżku, gdy pielęgniarki manewrowały nim przez drzwi i wiozły je dalej korytarzem. Andrew położył głowę na poduszce i zamknął oczy.

– Harry, powiedziałeś, że biali i Aborygeni doszli do mniej więcej takiej samej historii o pierwszych ludziach na Ziemi, ponieważ wyciągaliśmy takie same wnioski co do spraw, o których nic nie wiemy, i że nasz sposób myślenia jest niemal wrodzony. Z jednej strony to prawdopodobnie najgłupsza rzecz, jaką słyszałem, ale z drugiej – mam nadzieję, że się nie mylisz. A w takim razie wystarczy tylko zamknąć oczy i patrzeć.

– Andrew! – syknął mu Harry do ucha. Zatrzymali się przed windą towarową, jedna z pielęgniarek otwierała drzwi. – Nie żartuj sobie ze mnie, Andrew, słyszysz? Czy to Otto? To Otto jest Bubburem?

Andrew szeroko otworzył oczy.

– Jak...

– Zwijamy go dzisiaj, Andrew. Po przedstawieniu.

– Nie! – Andrew uniósł się, ale pielęgniarka delikatnie, lecz zdecydowanie przycisnęła go z powrotem do łóżka.

– Lekarz kazał panu leżeć całkiem nieruchomo, panie Kensington. Proszę pamiętać, że ma pan poważny wstrząs mózgu. – Odwróciła się do Harry'ego. – Dalej nie może pan już z nami iść.

Andrew znów lekko się uniósł.

– Jeszcze nie, Harry. Dajcie mi dwa dni. Jeszcze nie. Obiecuj, że zaczekacie dwa dni. Do diabła z panią, siostrzo! – Odepchnął rękę, która próbowała go siłą położyć.

Harry stanął u wezłowania i zatrzymał łożko. Nachylił się i zaczął szybko, intensywnie szeptać, niemal wypluwać słowa:

– Na razie nikt inny nie wie, że Otto cię zna. Lecz to oczywiście tylko kwestia czasu. Zaczną się zastanawiać, jaka jest twoja rola, Andrew. Nie mogę opóźnić tego zatrzymania, jeśli nie podasz mi cholernie dobrego powodu. I to teraz.

Andrew złapał Harry'ego za kołnierzyk koszuli.

– Patrz uważnie, Harry. Używaj oczu. Zobacz, że... – zaczął, ale poddał się i opadł na poduszkę.

– Co mam zobaczyć? – próbował pytać Harry, lecz Andrew już zamknął oczy i przerwał mu machnięciem ręki. W jednej chwili wydał się Harry'emu taki stary i mały. Stary, mały i czarny w wielkim białym łożku.

Jedna z sióstr stanowczo odepchnęła Harry'ego. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim drzwi windy się zamknęły, była wielka czarna dłoń Andrew, którą wciąż machał.

## 11. EGZEKUCJA

Popołudniowe słońce nad wzgórzem za Bondi Beach przesłoniła cieniutka warstewka chmur. Plaża zaczynała pustoszeć. Płynął z niej równy strumień ludzi, których zawsze można spotkać na tej wspaniałej, słynnej plaży Australii: surferów z pomalowanymi na biało wargami i nosami, idących kołyszącym się krokiem kulturystów, dziewczyn na wrotkach w dżinsach z obciętymi nogawkami, spalonych słońcem gwiazd klasy B i nimf plażowych z wszczepionym silikonem, krótko mówiąc, *The Beautiful People* – młodych, pięknych i – przynajmniej pozornie – szczęśliwych. Campbell Parade, nadmorska promenada, na której mieszczą się modne butiki, popularne hoteliki i proste, lecz niewytłumaczalnie drogie restauracje, położone jedne przy drugich, stawała się akurat o tej porze dnia kipiącym życiem bulwarem. Sportowe kabriolety sunęły w korku, oszołomione silniki wydawały z siebie zniecierpliwiony warkot, a ich kierowcy wpatrywali się w chodniki przez ślepe lustrzanki okularów przeciwsłonecznych.

Harry pomyślał o Kristin.

Pomyślał o tym, jak razem z Kristin podczas podróży pociągiem po Europie wysiedli na dworcu w Cannes. Był wtedy szczyt sezonu turystycznego i w całym mieście nie dało się znaleźć wolnego miejsca w hotelu za rozsądną cenę. Podróżowali już tak długo, że wyskrobali dno w kasie do czysta i trudno byłoby marzyć, by ich budżet wytrzymał bodaj jedną noc w którymś z licznych luksusowych hoteli. Dowiedzieli się więc, kiedy odchodzi następny pociąg do Paryża, zostawili plecaki w skrytce na dworcu i poszli na Croisette. Spacerowali, przyglądając się ludziom i zwierzętom, wszystkim równie pięknym i bogatym. Patrzyli na niesamowite jachty, każdy z własną załogą, z umocowaną do rufy motorówką z kabiną, pełniącą funkcję szalupy, i lądowiskiem dla helikopterów na dachu – ten widok sprawił, że poprzysięgli sobie już do końca życia głosować na socjalistów.

W końcu od całego tego spacerowania się spocili i doszli do wniosku,

że muszą się wykąpać. Ręczniki i kostiumy kąpielowe zostały w plecakach, musieli więc pływać w bieliźnie. Kristin skończyły się czyste majtki, chodziła więc w męskich slipach Harry'ego. Chlapali się w Morzu Śródziemnym, wśród drogich majteczek tanga i ciężkiej złotej biżuterii, szczęśliwie chichocząc w białych trykotowych gatkach. Harry pamiętał, że później leżał na piasku na plecach, patrząc, jak Kristin, przewiązawszy luźno w pasie koszulkę trykotową, ściąga mokre majtki. Napawał się widokiem jej rozgrzanej skóry, pokrytej kropelkami wody błyszczącymi w słońcu, koszulki, która podsuwała się w górę długiego, opalonego uda ku miękkim łukom bioder, przeciągłych spojrzeń Francuzów. W pewnej chwili Kristin na niego popatrzyła, przyłapując go na gorącym uczynku. Uśmiechnęła się i przytrzymała go wzrokiem, wolnym ruchem wkładając dżinsy, wsunęła rękę pod koszulkę, jakby chciała zaciągnąć suwak, ale zostawiła ją tam, uniosła głowę, przymknęła oczy... Potem oblizała wargi różowym koniuszkiem języka, przechyliła się i z głośnym śmiechem upadła na niego.

Później poszli do stanowczo zbyt drogiej restauracji z widokiem na morze, a podczas zachodu słońca siedzieli objęci na plaży. Kristin trochę popłakiwała, ponieważ było tak pięknie. Uzgodnili, że przenocują w hotelu Carlton i uciekną stamtąd bez płacenia rachunku, ewentualnie zrezygnują z tych dwu dni, które przeznaczyci na Paryż.

Kiedy myślał o Kristin, zawsze najpierw przypominał sobie tamto lato. Było takie intensywne. Później łatwo dawało się powiedzieć, że to przez wiszące w powietrzu rozstanie, ale Harry nie przypominał sobie, żeby akurat wtedy miał tego świadomość.

Jesienią tego samego roku poszedł do wojska, a Kristin jeszcze przed Bożym Narodzeniem poznała jakiegoś muzyka, z którym wyjechała do Londynu.

Przy stoliku ustawionym na chodniku na rogu Campbell Parade i Lamrock Avenue siedzieli Harry, Lebie i Wadkins. Stolik w tak późne popołudnie stał już w cieniu, ale o tej porze ich ciemne okulary nie rzucały się jeszcze w oczy. Gorzej prezentowali się w marynarkach w taki upał, ale

alternatywę stanowiły same koszule i widoczne kabury pistoletów. Niewiele się do siebie odzywali, po prostu czekali.

W połowie drogi między plażą a Campbell Parade mieścił się St. George's Theatre, piękny żółty budynek, w którym wystąpić miał Otto Rechnagel.

– Używałeś już kiedyś browninga Hi-Power? – spytał Wadkins.

Harry pokręcił głową. Pokazano mu, jak naładować i zabezpieczyć broń, kiedy wydano mu ją z magazynu, to wszystko. Nie szkodzi, i tak nie wierzył, że Otto wyciągnie pistolet maszynowy i wszystkich skosi.

Lebie sprawdził godzinę.

– Najwyższy czas ruszać – stwierdził. Na czole miał wianuszek kropli potu.

Wadkins chrząknął.

– Okej, ostatnia powtórka: Kiedy wszyscy wyjdą na scenę kłaniać się po finale, Harry i ja wchodzimy drzwiami z boku sceny. Umówiłem się z dozorcą, że będą otwarte. Umieścił też dużą wizytówkę na drzwiach garderoby Rechnagla. Ustawimy się tam, zczekamy, aż przyjdzie, i wtedy go zatrzymamy. Trzask, prask, kajdanki. Nie wyciągamy broni, chyba że wymagać tego będzie sytuacja. Wychodzimy tylnym wyjściem, gdzie czeka na nas samochód policyjny. Lebie zostanie na sali i da nam sygnał przez walkie-talkie, kiedy Rechnagel zejdzie ze sceny. Tak samo postąpi, gdyby Rechnagel coś zwietrzył i próbował uciec przez salę głównym wejściem. No, idziemy zająć miejsca. Módlmy się, żeby w środku była klimatyzacja.

W niedużej przytulnej sali St. George's Theatre było pełno i atmosfera bardzo się ożywiła, kiedy kurtyna się podniosła, a właściwie nie tyle podniosła, co opadła. Klauni w pierwszej chwili ze zdumieniem wpatrywali się w sufit, od którego kurtyna tak nagle się oderwała, potem zaczęli dyskutować, przesadnie gestykułując, a następnie bez ładu i składu rozbiegli się po scenie, chcąc usunąć z niej zwały materiału. Potykali się przy tym o siebie i uchyleniem kapelusza przepaszali publiczność. Rozległy się śmiechy i zachęcające okrzyki. Odnosiło się wrażenie,



że na widowni jest sporo przyjaciół i znajomych aktorów. Scenę sprzątnięto, przerobiono na szafot i przy akompaniamencie powolnego monotonnego rytmu marszu pogrzebowego wygrywanego na jednym bębnie na scenę wszedł Otto.

Na widok gilotyny Harry natychmiast się zorientował, że nastąpi wariant tego samego numeru, który widział w The Powerhouse. Tego wieczoru wyzionać ducha miała najwyraźniej królowa, gdyż Otto ubrany był w czerwoną balową suknię, nosił też białą perukę z bardzo długimi włosami i twarz miał upudrowaną na biało. Kat również wystąpił w nowym kostiumie, czarnym obcisłym stroju z wielkimi uszami i „błoną” pod pachami, w którym przypominał diabła.

Albo raczej nietoperza, pomyślał Harry.

Ostrze gilotyny uniosło się, na szafocie umieszczono dynię i gilotyna opadła. Z głuchym stukiem uderzyła o szafot, jak gdyby dyni wcale tam nie było. Kat triumfalnie uniósł w górę dwie połówki wielkiego owocu, a publiczność oszalała z radości. Po kilku rozdzierających scenach, podczas których królowa z płaczem błagała o litość, na próżno starając się wyprosić łaskę u kata w czerni, pociągnięto ją na gilotynę. Spod sukni wystawały wierzgające nogi, ku wielkiemu zachwytowi publiczności.

I znów ostrze gilotyny uniosło się do góry, a na bębnie ktoś grał coraz głośniejsze i szybciej, światła na scenie przygasły.

Wadkins pochylił się do Harry’ego.

– Więc on również na scenie zabija blondynki?

Bębnienie narastało. Harry rozejrzał się dokoła, ludzie siedzieli jak na szpilkach, niektórzy wychylali się z otwartymi ustami, inni zasłaniali oczy. Kilka pokoleń od ponad stu lat przeżywało grozę podczas tego samego numeru. Wadkins jakby w odpowiedzi na myśli Harry’ego znów się nachylił.

– Przemoc jest jak coca-cola i Biblia. Należy do klasyki.

Bęben nie ustawał. Harry doszedł do wniosku, że numer się przeciąga. Kiedy go oglądał poprzednim razem, nie czekano tak długo na opadnięcie ostrza. Kat wyraźnie się zaniepokoił. Kręcił się w kółko, zerkając na szczyt gilotyny, jak gdyby coś było nie tak, a potem nagle, chociaż z pozoru nikt nic nie zrobił, nóż opadł ze świstem. Harry mimowolnie zdrętwiał. Przez

salę przeszedł szum, kiedy ostrze uderzyło w kark królowej. Bęben ucichł, a głowa z głuchym łoskotem upadła na podłogę. Nastąpiła chwila martwej ciszy, którą przerwał krzyk z jakiegoś miejsca przed Wadkinsem i Harrym. Na sali zapanował niepokój. Harry w półmroku usiłował się zorientować, co się dzieje, lecz zobaczył jedynie cofającego się kata.

– Boże – szepnął Wadkins.

Ze sceny dochodził odgłos, jakby ktoś klaskał w dłonie. I wtedy Harry to zobaczył. Z kołnierza ściętej królowej sterczał kręgosłup niczym biały wąż, który wolno kiwa łbem, a z ziejącej rany falami tryskała krew i z pluskiem lała się na podłogę.

– On wiedział, że przyjdziemy – szepnął Wadkins. – Wiedział, że się zjawimy! I nawet przebrał się za jedną z tych swoich pieprzonych ofiar. – Nachylił się tuż nad twarzą Harry’ego. – Cholera, Harry, cholera!

Harry nie wiedział, od czego tak nagle zrobiło mu się niedobrze. Czy to na widok krwi, czy od użycia przez Wadkinsa słowa „pieprzone” tuż przed „ofiary”, czy też po prostu od jego cuchnącego oddechu.

W ciągu paru chwil na scenie powstała czerwona kałuża, na której kat się poślizgnął, gdy najwyraźniej będąc w szoku, podbiegł, żeby podnieść uciętą głowę. Runął z hukiem. Na scenę wbiegli dwaj inni klauni, krzycząc jeden przez drugiego:

– Zapalić światło!

– Podnieść kurtynę!

Jeszcze dwaj aktorzy przybiegli z kurtyną i wszyscy czterej na zmianę patrzyli to na siebie, to na sufit w górze. Zza sceny dobiegł krzyk, zaiskrzyły reflektory, rozległ się głośny trzask i w sali zapadła kompletna ciemność.

– To cuchnie! Holy, chodź ze mną! – Wadkins złapał Harry’ego za ramię i wstał, chcąc przedzierać się do przodu.

– Siadaj – szepnął Harry, ściągając go na krzesło.

– O co ci chodzi?

Światło się zapaliło, a scena, zaledwie kilka sekund wcześniej stanowiąca jeden wielki chaos krwi, głów, gilotyn, klaunów i kurtyn, była pusta. Stali na niej tylko kat i Otto Rechnagel, który trzymał pod pachą jasnowłosą głowę królowej. Powitał ich wrzask rozradowanej publiczności.

W odpowiedzi ukłonili się nisko.

– Niech to cholera – szepnął Wadkins.

Podczas przerwy Wadkins pozwolił sobie na piwo.

– Ten pierwszy numer mało mnie nie zabił – oświadczył. – Jeszcze do tej pory się trzęsę. Może powinniśmy zwinąć go od razu? Denerwuje mnie całe to czekanie.

Harry wzruszył ramionami.

– A dlaczego? On przecież nigdzie się nie wybiera i niczego nie podejrzewa. Trzymajmy się planu.

Wadkins dyskretnie nacisnął guzik walkie-talkie, żeby sprawdzić, czy ma kontakt z Lebiem, który na wszelki wypadek został na sali. Samochód policyjny już był na miejscu.

Harry musiał przyznać, że nowe techniczne ulepszenia tego numeru były efektowne, lecz wciąż zastanawiał się, dlaczego Otto zmienił postać Ludwika XVI na blondynkę, której nikt nie mógł do końca zidentyfikować. Z pewnością spodziewał się, że Harry skorzystał z darmowego biletu i jest na sali. Czyżby bawił się w ten sposób z policją? Harry czytał, że nie jest wcale rzeczą niezwykłą, iż seryjni mordercy w miarę upływu czasu stają się coraz bardziej pewni siebie. A może w ten sposób błagał, żeby wreszcie ktoś go powstrzymał? Oczywiście istniała też trzecia możliwość, całkiem po prostu wprowadzili pewne drobne zmiany w numerze cyrkowym. Zadzwonił dzwonek.

– No, wracamy na swoje miejsca – powiedział Wadkins. – Mam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru już nikt nie zostanie zabity.

Nieco później w drugim akcie Otto przebrany za myśliwego wemknął się na scenę z pistoletem w ręku, zerkając na wtoczone na nią drzewa. Z koron dobiegał śpiew ptaków, które Otto starał się naśladować, jednocześnie celując między gałęzie. Rozległ się suchy trzask, z pistoletu uniósł się kłębek dymu i z drzewa spadło coś czarnego, z miękkim plaśnięciem uderzając o podłogę. Zdziwiony myśliwy podbiegł

do zdobyczy i podniósł... czarnego kota. Potem uklonił się i zszedł ze sceny. Na widowni tu i ówdzie rozległy się oklaski.

– Tego nie zrozumiałem – szepnął Wadkins.

Harry być może doceniłby przedstawienie, gdyby nie był aż tak bardzo spięty. Częściej jednak spoglądał na zegarek niż na to, co się działo na scenie. Poza tym w pokazie było sporo satyry politycznej o charakterze lokalnym, której kompletnie nie rozumiał. Publiczność jednak najwyraźniej dobrze się bawiła. W końcu rozległa się muzyka, światła zamrugały i na scenę wyszli wszyscy aktorzy.

Harry i Wadkins, co chwila kogoś przepaszając, zaczęli przeciskać się do wyjścia, ludzie musieli kolejno wstawać, żeby ich przepuścić. Jak najszybciej skierowali się ku drzwiom znajdującym się z boku sceny. Były, zgodnie z umową, otwarte. Dotarli do korytarza, który półkolem okrężał scenę.

W głębi znaleźli drzwi z napisem „Otto Rechnagel, klaun” i ustawili się przy nich. Od muzyki, oklasków i tupania trzęsły się ściany. Nagle w walkie-talkie Wadkinsa zaszumiało. Wyjął je.

– Już? – spytał. – Przecież muzyka ciągle gra. *Over.*

Szeroko otworzył oczy.

– Co? Powtórz! *Over.*

Harry zrozumiał, że coś jest nie tak.

– Siedź i nie spuszczaaj z oka drzwi na scenę. *Over* i bez odbioru.

Wadkins schował krótkofalówkę do wewnętrznej kieszonki i z kabury pod pachą wyjął pistolet.

– Lebie nie widzi Rechnagla na scenie!

– Może go nie poznaje. Oni się przecież tak mocno malują, kiedy...

– Tego drania nie ma na scenie! – powtórzył Wadkins i nacisnął klamkę drzwi garderoby. Okazały się jednak zamknięte na klucz.

– Cholera, Holy, czuję, że nie jest dobrze, cholera!

Korytarz był wąski, Wadkins oparł się więc plecami o ścianę i kopnął w zamek. Po trzech kopniakach drzwi poszły w drzazgi. Wpadli do garderoby pełnej kłębów pary. Podłoga była mokra, woda i para buchały zza półotwartych drzwi, prowadzących najwyraźniej do łazienki. Ustawili się po ich obu stronach. Harry również wyciągnął pistolet,

po omacku usiłując odnaleźć zabezpieczenie.

– Rechnagel! – zawołał Wadkins. – Rechnagel!

Nie było odpowiedzi.

– Nie podoba mi się to – szepnął z naciskiem.

Harry naoglądał się zbyt dużo filmów kryminalnych, aby i jemu się to podobało. Na ogół sceny, w których woda leje się z prysznicza, a nikt się nie odzywa, nie zapowiadały nic przyjemnego.

Wadkins palcem wskazującym wycelował w Harry'ego, a kciukiem w prysznic. Harry miał ochotę w odpowiedzi wysunąć środkowy palec, zrozumiał jednak, że to mu nic nie da. Otworzył nogą drzwi, zrobił dwa kroki w rozpaloną mgłę i poczuł, że w jednej chwili robi się mokry. Z trudem dostrzegł zasłonę prysznicową. Trzymając pistolet przed sobą, jednym ruchem odsunął ją na bok.

Pusto.

Oparzył się w rękę, gdy zakręcał wodę, głośno przeklinając przy tym po norwesku. W butach mu chlupało, kiedy przesunął się w miejsce, w którym para nie była tak gęsta.

– Nic tu nie ma! – zawołał.

– Skąd tu tyle tej cholernej wody?

– Coś zatkało odpływ. Chwileczkę.

Wsadził rękę do wody w miejscu, gdzie jego zdaniem powinien znajdować się otwór odpływowy, poruszał nią, aż w końcu natrafił na coś miękkiego, co nie dawało się wyjąć. Złapał i wyciągnął. Mdłości, które odczuwał wcześniej, podskoczyły do gardła. Próbował oddychać głęboko, lecz para, którą wdychał, jakby chciała go udusić.

– Co się dzieje? – spytał Wadkins. Stał w drzwiach i patrzył na Harry'ego, kucającego w prysznicu.

– Wydaje mi się, że przegrałem zakład. Że jestem winien sto dolarów Ottonowi Rechnaglowi – odparł cicho Harry. – A w każdym razie temu, co z niego zostało.

Później Harry przypominał sobie wydarzenia w St. George's Theatre jak przez mgłę, jak gdyby para unosząca się z prysznicza Ottona rozpełzła

się dookoła i dotarła na korytarz, zamazując sylwetkę dozorczy, który usiłował otworzyć drzwi do rekwizytorni, jakby przedostała się przez dziurkę od klucza, spowijając czerwonym filtrem ociekającą krwią gilotynę, którą tam ujrzeli, jakby wpełzła do uszu, tłumiąc odgłos krzyków, które rozległy się, gdy nie udało im się powstrzymać kolegów Ottona Rechnagla przed wejściem do środka, gdzie jego szczątki porzucano po całym pomieszczeniu.

Kończyny leżały w kątach jak ręce i nogi lalki. Ściany i podłoga spryskane były prawdziwą lepką krwią, która za pewien czas miała zakrzepnąć i szernieć. Na ławie gilotyny pozostał okaleczony tułów, tors z krwi i kości, głowa z szeroko otwartymi oczami, nosem klauna i szminką rozmazaną na wargach i policzkach.

Wilgoć lepiła się Harry'emu do skóry, do ust i przetyku. Niczym na zwolnionym filmie patrzył, jak z mgły wyłania się Lebie, jak podchodzi do niego i szepcze mu do ucha:

– Andrew zniknął ze szpitala.

Wadkins wciąż stał koło gilotyny jak przykuty. Harry jakby z daleka usłyszał jego głos:

– Cóż za cholerna arogancja!

To przecież oczywiste, pomyślał Harry.

Na głowę Ottona morderca naciągnął białą perukę.

Ktoś musiał naoliwić wentylator, bo obracał się równo, niemal bezszelestnie.

– Jediną osobą wychodzącą tylnymi drzwiami, którą zauważyli policjanci w samochodzie, był ten ubrany na czarno kat. Czy dobrze rozumiem?

McCormack wezwał wszystkich do biura.

Wadkins skinął głową.

– Tak jest, *sir*. Przekonamy się, co zauważyli aktorzy i strażnicy. Są teraz przesłuchiwani. Morderca albo siedział na sali i wszedł otwartymi drzwiami na scenę, albo też dostał się tylnym wejściem jeszcze przed przyjazdem policyjnego samochodu. – Westchnął. – Dozorca twierdzi,

że tylne drzwi były podczas przedstawienia zamknięte, więc morderca albo miał klucz, albo został wpuszczony, albo też wszedł niezauważony razem z aktorami i gdzieś się ukrył. Następnie po numerze z kotem zapukał do garderoby, gdzie Otto szykował się do finału. Najprawdopodobniej go uśpił, chłopcy z technicznego znaleźli ślady eteru. A przynajmniej miejmy nadzieję, że tak to się odbyło – dodał Wadkins. – Stało się to albo w garderobie, albo po tym, jak przeszli do rekwizytorni. Tak czy owak, ten facet to naprawdę zimny drań. Po rozczłonkowaniu zwłok zabrał odcięte genitalia, wrócił do garderoby i odkręcił kran, by osoba, która ewentualnie szukałaby Ottona, usłyszała lejącą się wodę i uznała, że Otto bierze prysznic.

McCormack chrząknął.

– A co z tą gilotyną? Istnieją prostsze sposoby na zabicie człowieka...

– Cóż, *sir*, przypuszczam, że morderca zadziałał pod wpływem impulsu. Raczej nie mógł wiedzieć, że gilotyna zostanie podczas przerwy przestawiona do rekwizytorni.

– To chory, bardzo chory człowiek – oświadczył Lebie swoim paznokciom.

– A co z drzwiami? Przecież wszystkie były zamknięte. W jaki sposób dostali się do rekwizytorni?

– Rozmawiałem już z dozorcą – powiedział Harry. – Otto jako szef trupy miał u siebie jeden z zestawów kluczy. Te klucze zniknęły.

– A co z tym... diabelskim kostiumem?

– Leżał w skrzyni na głowę przy gilotynie, razem z głową i peruką, *sir*. Morderca włożył go po zabójstwie i użył jako przebrania. To również było sprytne posunięcie i raczej niezaplanowane z góry.

McCormack ciężko oparł głowę na rękach.

– Co ty na to powiesz, Yong?

Podczas całej tej rozmowy Yong stukał w klawiaturę komputera.

– Zapomnijmy na chwilę o tym czarnym diable – zaproponował. – Cała logika przemawia za tym, że mordercą jest ktoś z trupy.

Wadkins prychnął głośno.

– Proszę pozwolić mi dokończyć, *sir* – powiedział Yong. – Szukamy człowieka, który zna przedstawienie. Takiego, który wiedział, że Otto

po numerze z kotem nie będzie już występował i dlatego nie zabraknie go na scenie przez następnych dwadzieścia minut aż do finału. Członek trupy nie musiał się też zakradać, a wątpię, by komuś innemu udało się wśliznąć niezauważenie. Prawdopodobnie przynajmniej jeden z nas dostrzegłby mordercę, gdyby przedostał się drzwiami z boku sceny.

Pozostali mogli jedynie twierdząco pokiwać głowami.

– Poza tym sprawdziłem, że trzech innych członków trupy występowało również w „The Australian Travelling Show Park”. Oznacza to, że trzy inne osoby obecne w teatrze dziś wieczorem przebywały w miejscach, w których popełniono tamte przestępstwa w interesujących nas dniach. Być może Otto był po prostu niewinnym człowiekiem, który zwyczajnie za dużo wiedział. Zacznijmy szukać tam, gdzie mamy możliwość coś znaleźć. Proponuję, żebyśmy zaczęli od trupy, zamiast od upiora w operze, który już dawno zniknął za siedmioma górami.

Wadkins pokręcił głową.

– Nie możemy nie zwracać uwagi na to, co oczywiste. Na nieznaną osobę, która opuszcza miejsce zbrodni w przebraniu przechowywanym tuż obok narzędzia zbrodni. Niemożliwe, żeby ten ktoś w ogóle nie miał żadnego związku z morderstwem.

Harry zgodził się z nim.

– Wydaje mi się, że możemy zapomnieć o pozostałych członkach trupy. Po pierwsze, nic nie zmienia faktu, że Otto miał możliwość zgwałcenia i zabicia wszystkich tych dziewczyn. Istnieje wiele przyczyn, dla których ktoś chciałby pozbawić życia seryjnego mordercę. Ta osoba może być w jakiś sposób na przykład w to zamieszana. Może ten człowiek wiedział, że Otto ma zostać zatrzymany przez policję, i nie chciał ryzykować, że się przyzna i pociągnie go za sobą. Po drugie, nie jest pewne, że morderca z góry wiedział, ile ma czasu. Mógł zmusić Ottona, żeby powiedział mu, kiedy ma wrócić na scenę. A po trzecie, zastanówcie się... – Zamknął oczy.

– Przecież wy już to czujecie, prawda? Mordercą jest człowiek-nietoperz. Narahdam!

– O co chodzi? – mruknął Wadkins.

McCormack roześmiał się.

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel z Norwegii zajął puste miejsce



po naszym drogim detektywie Kensingtonie – stwierdził.

– Narahdarn – powtórzył Yong. – Aborygeński symbol śmierci. Człowiek-nietoperz.

– Jeszcze inna sprawa trochę mnie niepokoi – podjął McCormack. – Facet może niezauważenie wyjść tylnymi drzwiami podczas przedstawienia i ma dziesięć kroków do jednej z najruchliwszych ulic w Sydney, na której z całą pewnością zdołałby zniknąć w ciągu paru sekund. A mimo to wkłada kostium, którym z pewnością ściągnął na siebie uwagę. Ale przez to nie mamy też żadnego jego rysopisu. Właściwie można odnieść wrażenie, że wiedział o radiowozie pilnującym tylnych drzwi. A jak to możliwe?

Zapadła cisza.

– Jak się czuje Kensington w szpitalu? – McCormack włożył do ust cukierka, którego zaczął ssać.

Teraz było już całkiem cicho. Tylko wentylator obracał się bezszelestnie.

– Już go tam nie ma – odparł w końcu Lebie.

– O rany, to bardzo krótka rekonwalescencja! – stwierdził McCormack.

– Cóż, może i lepiej. Potrzebujemy teraz wszystkich ludzi, i to jak najszybciej, bo jedno mogę wam powiedzieć z całą pewnością: porąbany klaun oznacza większe nagłówki niż zgwałcona dziewczyna. I jak już wcześniej wam mówiłem, chłopcy, ci, którzy sądzą, że możemy nie przejmować się gazetami, po prostu się mylą. Media w tym kraju już nie raz doprowadzały do dymisji szefów policji i zatrudniały nowych. Jeśli więc nie chcecie, żeby mnie stąd wywieziono na taczkach, to wiecie, co macie robić. Ale najpierw idźcie do domu trochę się przespać. Słucham, Harry?

– Nic takiego, *sir*.

– Okej, dobranoc.

Tym razem było inaczej. Zasłony w hotelowym pokoju nie zostały zasunięte i Birgitta rozbierała się przed nim w blasku neonów na King's Cross.

Harry leżał w łóżku, a ona na środku pokoju zrzucała kolejne części garderoby, przytrzymując jego oczy poważnym, niemal smutnym spojrzeniem. Miała długie kończyny, szczupłe i białe. W bladym świetle białe jak śnieg. Zza uchylonego okna dochodził szum odgłosów intensywnego nocnego życia. Samochody, motocykle, automaty do gry, wydające dźwięki jak katarynka, i rytm muzyki disco. A w tle tego wszystkiego jak nieustający terkot cykad głośne dyskusje, urażone okrzyki i nieopanowany śmiech.

Birgitta rozpięła bluzkę, nie przedłużając tego celowo, bez udawanej zmysłowości, lecz powoli. Po prostu się rozbierała.

Dla mnie, pomyślał Harry.

Już wcześniej widział ją naga, lecz akurat tego wieczoru wszystko wydawało się inne. Była tak piękna, że ścisnęło go w gardle. Wcześniej nie rozumiał jej skromności, nie wiedział, dlaczego zdejmuje koszulkę i majtki dopiero pod kołdrą i dlaczego okrywa się ręcznikiem, przechodząc z łóżka do łazienki. Z czasem jednak pojął, że nie chodzi o zażenowanie czy też o wstyd własnego ciała, lecz o niechęć do obnażania się, że liczy się budowanie uczuć, stworzenie gniazdka z poczucia bezpieczeństwa, że tylko to daje mu jakieś prawo. Dlatego tej nocy wszystko było inne. Jej gest rozebrania się miał w sobie coś z rytuału, jakby swoją nagością chciała pokazać, jak bardzo jest delikatna. Że odważyła się na to, ponieważ mu zaufała.

Harry czuł, jak mocno bije mu serce, poniekąd dlatego, że był dumny i cieszył się, że ta silna, piękna kobieta okazała mu tyle zaufania, a po części ze strachu, że nie okaże się tego godzien. Przede wszystkim jednak miał wrażenie, że wszystkie jego myśli i uczucia są widoczne, wystawione na widok publiczny w blasku reklamy, czerwonej, potem niebieskiej, a potem zielonkawej. Że Birgitta, rozbierając się, rozbiera również jego.

Kiedy już była naga, stanęła, a jej biała skóra zdawała się rozjaśniać cały pokój.

– Chodź – powiedział głosem grubszym niż zwykle i odsunął na bok okrycie, ale Birgitta nie ruszała się z miejsca.

– Patrz – szepnęła. – Patrz.

## 12. TŁUSTA KOBIETA I PATOLOG

Była godzina ósma rano i Dżyngis-chan spał, gdy pielęgniarka po ostrych negocjacjach zgodziła się wpuścić Harry'ego do sali chorego. Dżyngis-chan otworzył oczy, kiedy Harry zaszurał krzesłem przysuwanym do łóżka.

– Dzień dobry – powiedział Harry. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Przypominasz mnie sobie? Tego na stole z trudnościami w oddychaniu?

Dżyngis-chan jęknął. Głowę miał owiniętą szerokim białym bandażem i wyglądał o wiele mniej groźnie niż wtedy, gdy pochylał się nad Harrym w The Cricket.

Harry wyciągnął z kieszeni piłkę do krykieta.

– Właśnie rozmawiałem z twoim adwokatem. Powiedział, że nie złożysz doniesienia na mojego kolegę. – Przerzucił piłeczkę z prawej ręki do lewej. – Mając na uwadze fakt, że mało brakowało, a pozbawiłbyś mnie życia, oczywiście poczułbym się głęboko urażony, gdybyś złożył doniesienie na faceta, który mnie uratował. Ale ten twój adwokat wyraźnie uważa, że wygralbyś sprawę. Po pierwsze, twierdzi, że wcale mnie nie zaatakował, tylko po prostu odsunął mnie od swojego kolegi, któremu właśnie zadawałem ciężkie obrażenia. Po drugie, obstaje przy tym, że to wyłącznie przypadek, iż wyszedłeś z tego jedynie z pękniętą czaszką, zamiast zginąć od tej piłeczki. – Rzucił piłkę w powietrze i złapał ją tuż przed nosem bladego wojowniczego księcia. – I wiesz co? Zgadzam się. Takie uderzenie prosto w czoło z odległości czterech metrów... To rzeczywiście dziwne, że przeżyłeś. Twój adwokat zadzwonił dzisiaj do mnie do pracy. Chciał poznać dokładny przebieg wydarzeń. Uważa, że są podstawy do wystąpienia ze sprawą o odszkodowanie. W każdym razie, jeśli uraz okaże się trwały. Ten rodzaj adwokatów należy jak wiadomo do rodziny sępów, odliczają sobie jedną trzecią kwoty odszkodowania, ale o tym ci chyba wspominał? Spytałem go, dlaczego nie udało mu się skłonić cię do oskarżenia mnie przed sądem. Uważał to jedynie za kwestię czasu. Ciekaw więc jestem, czy to rzeczywiście

wyłącznie kwestia czasu, Dżyngis-chanie?

Dżyngis-chan ostrożnie pokręcił głową.

– Nie. Proszę, idź stąd – wybełkotał cicho.

– Ale dlaczego nie? Co masz do stracenia? Jeśli zostaniesz inwalidą, możesz na takiej sprawie zarobić duże pieniądze. Pamiętaj, że nie podajesz do sądu nieszczęsnej ubogiej osoby prywatnej, tylko państwo. Sprawdzalem, że udało ci się nawet zachować w miarę czystą kartotekę. Kto wie, może ława przysięgłych przychyliłaby się do twojego wniosku i zrobiła z ciebie milionera? A tymczasem ty nawet nie chcesz próbować?

Dżyngis-chan nie odpowiedział. Patrzył tylko na Harry'ego skośnymi smutnymi oczyma spod białego bandaża.

– Zaczynam mieć dość przesiadywania w szpitalu, Dżyngis. Będę więc mówił krótko: wynikiem twojego ataku na mnie były dwa złamane żebra i przebite płuco. Ponieważ nie byłem w mundurze, nie okazałem identyfikatora ani też nie wykonywałem zadania zgodnie z rozkazem, a poza tym Australia leży kawałek od jurysdykcji, której podlegam, więc prokuratura doszła do wniosku, że w rozumieniu prawa występowałem jako osoba prywatna, a nie funkcjonariusz. Oznacza to, że sam mogę zdecydować, czy podam cię do sądu o rozbój, czy nie. Co znów sprowadza nas do twojej prawie czystej kartoteki. A ty masz w zawieszeniu wyrok sześciu miesięcy za uszkodzenie ciała, zgadza się? Gdy dodamy kolejnych sześć miesięcy za tę sprawę, mamy już rok. Rok w zamian za powiedzenie mi... – Nachylił się do ucha sterczącego zza zabandażowanej głowy jak czerwony grzyb i zawołał: – ...CO TU SIĘ, DO CHOLERY, DZIEJE? – Wrócił na swoje krzesło. – I co ty na to?

McCormack stał przy oknie obrócony do Harry'ego plecami. Ręce miał założone na piersi, a dłoń na wysokości twarzy. Na zewnątrz gęsta mgła zatarała kolory i zamroziła ruchy. Widok przypominał poruszone czarno-białe zdjęcie miasta. Ciszę przerwał dudniący odgłos. Harry dopiero po pewnym czasie zorientował się, że to McCormack bębni paznokciami o zęby w górnej szczęce.

– A więc Kensington znał Ottona Rechnagla. I ty wiedziałeś o tym

przez cały czas.

Harry wzruszył ramionami.

– Wiem, że powinienem powiedzieć o tym wcześniej, *sir*, ale uważałem, że...

– ...że to nie twoja sprawa mówić, kogo Andrew Kensington zna, a kogo nie zna. W porządku. Ale teraz Kensington uciekł ze szpitala, nikt nie wie, gdzie jest, a ty zaczynasz się bać, że coś się stało?

Harry twierdząco pokiwał głową plecami szefa. McCormack spojrział na jego odbicie w lustrze. Potem wykonał pół piruetu i stanął twarzą do Harry'ego.

– Wydajesz mi się odrobinę... – dokończył piruet i znów stanął obrócony plecami – ...niespokojny, Holy. Coś cię dręczy? Masz mi do powiedzenia coś jeszcze?

Harry pokręcił głową.

Mieszkanie Ottona Rechnagla znajdowało się w Surrey Hills, w istocie po drodze między The Albury a mieszkaniem Inger Holter w Glebe. Kiedy dotarli na miejsce, całe wejście na klatkę zagrodziła im kobieta o bardzo obfitych kształtach.

– Widziałam samochód. Jesteście z policji? – spytała wysokim, przenikliwym głosem i ciągnęła, nie czekając na odpowiedź: – Sami słyszycie tego psa. To się zaczęło już dzisiaj rano.

Zza drzwi z numerem Ottona Rechnagla dochodziło ochryple szczekanie.

– Bardzo przykre jest to, co spotkało pana Rechnagla, to prawda. Ale teraz musicie zabrać tego psa. Szczeka bez najmniejszej przerwy i doprowadza wszystkich na klatce do obłędu. Trzymanie psów tutaj powinno być zakazane. Jeżeli wy nic nie zrobicie, będziemy musieli... No, dobrze wicie, co mam na myśli.

Przewróciła oczami i wyrzuciła w przód obie tłuste ręce. Natychmiast rozniósł się zapach kwaśnego potu i mających go złagodzić perfum.

Harry już serdecznie nie znosił tego babska.

– Psy wiedzą. – Lebie dwoma palcami przeciągnął po poręczy schodów

i z naganą w oczach spojrział na palec wskazujący, jakby przyszedł tutaj sprawdzić, czy schody należycie umyło.

– Co przez to rozumiesz, młody człowieku? – spytała góra mięsa, ujmując się pod boki. Najwyraźniej nie miała zamiaru się przesunąć.

– Pies wie, że jego pan nie żyje – odparł Harry. – Psy posiadają szósty zmysł, jeśli chodzi o takie rzeczy. On szczeka z żalu.

– Z żalu? – Kobieta popatrzyła na nich podejrzliwie. – Pies? Co za bzdura!

– A co by pani zrobiła, gdyby pani właścicielowi ktoś obciął ręce i nogi? – Lebie popatrzył na kobietę. Stała z szeroko otwartymi ustami.

– I fiuta – dodał Harry. Zakładał, że *dick* jest odpowiednim określeniem również w Australii.

– Jeśli w ogóle ma pani jakiegoś właściciela. – Lebie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Góra mięsa przepuściła ich w końcu. Wyjęli rozmaite klucze z pęku, który znaleźli w kieszeniach spodni Ottona w garderobie. Ujądanie zmieniło się w warczenie. Pies Rechnagla usłyszał, że przyszli obcy.

Gdy drzwi się otworzyły, bulterier stał na szeroko rozstawionych łapach, gotowy do walki. Lebie i Harry zatrzymali się, patrząc na białego komicznego psa, jak gdyby chcieli mu pokazać, że zagrywka należy do niego. Warczenie zmieniło się po chwili w bezsilne poszczekiwanie, aż w końcu pies zrezygnowany powłókł się do salonu. Harry poszedł za nim.

Dzienne światło wpadało przez duże okno do pokoju, który w stosunku do prostoty budynku był umeblowany z przesadnym zbytkiem. Stała tam czerwona kanapa, pełna wielkich kolorowych poduszek, na ścianach wisiały olbrzymie obrazy, a na środku tkwił monumentalny stół z zielonego szkła. W rogu stały dwa porcelanowe lamparty.

Na stole leżał abażur, którego nie powinno tam być.

Pies zatrzymał się z nosem przy mokrej plamie na środku pokoju. Nad plamą wisiały w powietrzu dwa męskie buty. Czuć było ekskrementami. Harry powiódł wzrokiem wzdłuż wystającej z buta skarpetki, dostrzegł pasek czarnej skóry między skarpetką a nogawką spodni. Spojrział dalej

wzdłuż spodni, zobaczył zwisające bezwładnie wielkie dłonie i całą siłą woli zmusił się, by przenieść wzrok na białą koszulę. Nie dlatego, że nigdy wcześniej nie widział wisielca. Po prostu poznał te buty.

Głowa przechylała się na jedno ramię. Na piersi zwisał przewód, zakończony szarą żarówką. Umocowany był na grubym haku w suficie, możliwe, że kiedyś wisiał tam ciężki żyrandol. Przewód trzykrotnie owijał się wokół szyi Andrew, którego głowa niemal dotykała sufitu. Wpatrywał się przed siebie rozmarzonym martwym wzrokiem, a z ust wystawał mu czarny język, jak gdyby wykrzywił się do śmierci. Albo do życia. Przy stole leżało przewrócone krzesło.

– Niech cię cholera – szepnął Harry. – Cholera. Cholera, cholera!

Bezsilnie opadł na krzesło. Lebiemu po wejściu wyrwał się z ust cichy okrzyk.

– Znajdź jakiś nóż – powiedział Harry. – I zadzwoń po karetkę czy po co tam zwykle dzwonicie.

Światło dzienne padało na plecy Andrew i Harry'emu z miejsca, w którym siedział, wiszące ciało na tle jasnego okna wydawało się tylko obcą czarną sylwetką. Zanim wstał, poprosił w duchu Stwórcę, by na końcu przewodu umieścił kogoś innego. Przysiągł, że nikomu nie wspomni o takim cudzie. To była tylko propozycja, nie modlitwa, skoro modlitwa i tak nie pomaga.

Usłyszał kroki w korytarzu i Lebiego, który nagle wrzasnął z kuchni:

– Wynoś się stąd, ty tłusta krowo!

Po pogrzebie matki Harry nie czuł nic oprócz tego, że powinien coś czuć. Opowiadano mu, że u mężczyzn, którzy przez całe życie starali się zapanować nad własnymi uczuciami, żal może nadejść z opóźnieniem. Dlatego teraz się zdziwił, gdy usiadł wśród poduszek na kanapie i poczuł, że oczy wypełniają się łzami, a płacz przepycha się do gardła.

Rzecz nie w tym, że nigdy wcześniej nie płakał. Pamiętał tę kulę w gardle, kiedy siedział sam w koszarowym pokoju w Bardufoss i czytał list od Kristin, która pisała, że „...to najlepsze, co mi się przydarzyło w całym moim życiu...”. Z treści nie wynikało, czy miała na myśli jego, czy

też tego angielskiego muzyka, z którym zamierzała wyjechać. Harry wiedział jedynie, że dla niego była to rzecz w życiu najgorsza. A mimo to płacz utknął tam, w gardle. To było trochę tak jak mieć mdłości i „prawie się wyrzygać”.

Wstał i popatrzył w górę. Andrew na nikogo nie zamieniono. Harry chciał zrobić kilka kroków po podłodze i przysunąć krzesło, żeby mieć na czym stanąć, kiedy będą go odcinać, ale nie dał rady się ruszyć. Dopiero kiedy Lebie dziwnie na niego spojrział, Harry poczuł, że gorące łzy płyną mu po policzku.

O rany, to nie jest takie straszne, pomyślał zdziwiony.

Odcięli Andrew bez słowa. Ułożyli go na podłodze i przeszukali kieszenie. Miał przy sobie dwa pęki kluczy, jeden duży, drugi mały, i pojedynczy klucz, który, jak Lebie natychmiast sprawdził, pasował do zamka w drzwiach wejściowych.

– Żadnych oznak przemocy z zewnątrz – oznajmił Lebie po pospiesznych oględzinach.

Harry rozpiął Andrew koszulę, zobaczył wytatuowanego na piersi krokodyla. Podciągnął też nogawki spodni i sprawdził łydki.

– Nic – powiedział. – Nawet najmniejszego śladu.

– Zobaczymy, co powie lekarz.

Harry poczuł, że płacz znów nadchodzi, i zdołał jedynie wzruszyć ramionami.

Przebijali się przez przedpołudniowy ruch uliczny w powrotnej drodze do biura.

– *Merde!* – wrzasnął Lebie, naciskając na klakson.

Harry sięgnął po „The Australian”. Całą pierwszą stronę gazety zajmowało morderstwo klauna. „Poćwiartowany we własnej śmiercionośnej maszynie”, głosił nagłówek nad zdjęciem zakrwawionej gilotyny, do którego dołączone było zdjęcie Ottona Reichtagla w przebraniu klauna, wycięte z programu.

Reportaż utrzymany był w lekkim, niemal humorystycznym tonie, prawdopodobnie przez niesamowity charakter sprawy. „Nie wiadomo,



z jakiego powodu morderca zostawił klaunowi głowę”, pisał reporter, a podsumowując, stwierdził, że morderstwo nie wyrażało chyba opinii publiczności. „Aż tak złe to przedstawienie nie było...” Nieco kwaśno pochwalił policję za błyskawiczne pojawienie się na miejscu zbrodni. „A mimo to szef wydziału kryminalnego policji w Sydney Wadkins nie ma do powiedzenia nic oprócz tego, że znaleziono narzędzie zbrodni...”

Harry przeczytał to na głos.

– Bardzo zabawne – burknął Lebie, zatrąbił i pokazał palec jednemu z taksówkarzy, który wcisnął się przed nich z pasa obok. – Ty sukinsynu...

– Ten numer, w którym facet poluje na ptaka...

Zdanie zawisło w powietrzu między dwoma skrzyżowaniami.

– Mówiłeś coś... – przypomniał w końcu Lebie.

– Nic ważnego. Po prostu zastanawiałem się nad tym numerem. On jakby nie miał żadnej puenty. Myśliwy, któremu wydaje się, że poluje na ptaka, i nagle odkrywa, że upolował kota, który też polował na ptaka. No dobrze, i co z tego?

Lebie nie słyszał go, bo wisiał do połowy za oknem.

– Pocałuj mnie w dupę, cholerny pieprzony sukinsynu...

Harry po raz pierwszy widział go takiego rozmownego.

Jak Harry przewidywał, w biurze zapanowała gorączkowa aktywność.

– Jest już Reuter – oznajmił Yong. – AP wysłało fotografa. Dzwonili też z urzędu burmistrza i powiedzieli, że NBC przyśle samolotem ekipę telewizyjną, żeby zrobić z tego reportaż.

Wadkins pokręcił głową.

– W powodzi w Indiach ginie sześć tysięcy osób i wzmiankuje się o nich jedynie krótką notatką, a jednemu klaunowi pedałowi obcinają członki i mamy sensację na skalę światową.

Harry poprosił wszystkich o przyjęcie do pokoju zebrań. Zamknął drzwi.

– Andrew Kensington nie żyje – oznajmił.

Wadkins i Yong popatrzyli na niego z niedowierzaniem. Harry bez owijania w bawełnę opowiedział zwięźle o tym, jak znaleźli Andrew

zwisającego z sufitu w mieszkaniu Ottona Rechnagla.

Patrzył im prosto w oczy, głos mu nie drżał.

– Nie zawiadomiliśmy was przez telefon, żeby mieć pewność, że nie będzie żadnego przecieku. Możliwe, że będziemy musieli jakoś to tymczasowo wyciszyć.

Uświadomił sobie, że łatwiej mu przychodzi mówienie o śmierci Andrew jako o sprawie policyjnej. To był konkret, który znał. Zwłoki, przyczyna śmierci, przebieg zdarzeń, który należało ustalić. To przynajmniej na pewien czas odpychało śmierć, ten obcy element, do którego nie wiadomo jak się odnieść.

– Okej. – Wadkins wciąż nie krył zaskoczenia. – Tylko spokojnie. Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. – Otarł pot z górnej wargi. – Sprowadzę McCormacka. Cholera! Coś ty zrobił, Kensington? Jak prasa coś zwęszy... – Zniknął w drzwiach.

Pozostali trzej wsłuchiwali się w żalną melodię wentylatora.

– Od czasu do czasu pracował trochę w wydziale zabójstw – powiedział Lebie. – Pod tym względem nie był do końca jednym z nas, ale mimo wszystko...

– To był dobry człowiek – oświadczył Yong ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Dobry człowiek. Pomagał mi, kiedy byłem tutaj nowy. Był... był dobrym człowiekiem.

McCormack zaordynował gęby na kłódkę. Wyraźnie stracił pewność siebie, robił swoje dwa kroki w jedną i dwa w drugą stronę ciężiej niż zwykle, a krzaczaste brwi zebrały mu się u nasady nosa jak chmury gradowe.

Po odprawie Harry usiadł na miejscu Andrew i przejrzał jego notatki. Niewiele się tu znalazło. Zaledwie kilka adresów, parę numerów telefonicznych, jak się okazało, do dwóch warsztatów samochodowych, i jakieś nieczytelne gryzmoły na kartce. Szuflady były prawie puste, leżały w nich jedynie przybory biurowe. Następnie przyjrzał się dwóm pękom kluczy, które znaleźli przy Andrew. Na jednym były inicjały Andrew wytłoczone w skórze. Stwierdził więc, że to jego prywatne klucze.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Birgitty do domu. Wstrząśnięta zadała mu kilka pytań, zaraz jednak pozwoliła, by się wygadał.

– Nie rozumiem tego, że kiedy umiera facet, którego znam nieco ponad tydzień, to płacę jak dziecko, a po śmierci matki nie udało mi się wydusić z siebie ani jednej łzy. Po śmierci matki, najwspanialszej kobiety na świecie. No a ten facet... Nie wiem nawet, na ile zdołaliśmy się poznać. Gdzie tu logika?

– Logika? – odparła Birgitta. – To nie ma żadnego związku z logiką. W dodatku logice nie można ufać tak, jak ludzie sobie tego życzą.

– No cóż, chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. Zachowaj to dla siebie. Mogę liczyć na odwiedziny, kiedy skończysz pracę?

Birgitta była niezdecydowana. Spodziewała się nocą telefonu ze Szwecji, od rodziców.

– Dziś są moje urodziny – powiedziała.

– Wszystkiego najlepszego.

Odłożył słuchawkę. Czuł, że stary wróg zaczyna warczeć w brzuchu.

Po półgodzinnej jeździe Lebie i Harry dotarli pod adres Andrew Kensingtona na Sydney Road w Chatwick, na przytulną uliczkę w miłej dzielnicy podmiejskiej.

– O rany, dobrze trafiliśmy? – zdziwił się Harry, kiedy doszli do domu oznaczonego numerem, który podano im w dziale personalnym. Była to duża murowana willa z podwójnym garażem i dobrze utrzymanym trawnikiem z fontanną. Wysypana żwirem ścieżka prowadziła do imponujących mahoniowych drzwi. Zadzwonili, otworzył im chłopiec. Z powagą kiwnął głową, gdy spytali o Andrew. Potem wskazał na siebie i zakrył dłonią usta; zrozumieli, że jest niemy. Następnie zaprowadził ich na tyły i wskazał na nieduży, niski murowany domek po drugiej stronie rozległego ogrodu. Gdyby była to angielska posiadłość, można by ten budynek nazwać domkiem ogrodnika.

– Zamierzamy wejść do środka – powiedział Harry, czując, że wymawia słowa z przesadną dokładnością, jak gdyby również z uszami chłopca było coś nie w porządku. – Jesteśmy... Byliśmy kolegami Andrew.

Andrew nie żyje.

Wyjął pęk kluczy Andrew na skórzanej zawieszce. Chłopiec, przez moment zdezorientowany, patrzył na klucze, oddychając z trudem.

– Zmarł nagle dzisiejszej nocy – dodał Harry.

Chłopiec stał przed nimi ze zwieszonymi rękami, a jego oczy zaczęły robić się błyszczące. Harry zrozumiał, że ci dwaj musieli się dobrze znać. Już wcześniej dowiedział się, że Andrew mieszkał pod tym adresem od blisko dwudziestu lat. Nagle uświadomił sobie, że chłopiec najprawdopodobniej dorastał w tym wielkim domu. Chociaż wcale tego nie chciał, to nagle wyobraził sobie, jak mały chłopiec i czarnoskóry mężczyzna bawią się i grają w piłkę w ogrodzie, jak chłopiec się przewraca, jak mężczyzna go pociesza i daje mu pieniądze, żeby pobiegł po lody i po piwo. Być może mały otrzymał też od policjanta z domku ogrodnika porcję średnio dobrych rad i półprawdziwych historii. A kiedy by odpowiednio podrośł, dowiedziałby się, jak traktować dziewczyny i jak posłać lewy prosty bez opuszczania gardy.

– Poza tym źle powiedziałem. Byliśmy kimś więcej niż tylko kolegami z pracy. Byliśmy przyjaciółmi. My też – dodał Harry. – Zgadzasz się, żebyśmy tam weszli?

Chłopiec zamrugał, zacisnął usta i kiwnął głową.

Harry przeklinał w duchu. Weź się w garść, Hole, powtarzał. Niedługo będziesz mówił jak aktorzyna z amerykańskiego wyciskacza łez.

Po wejściu do niewielkiego kawalerskiego mieszkanca uderzyła ich przede wszystkim panująca w nim czystość i porządek. W skromnie umeblowanym salonie nie było gazet walających się na stoliku przed przenośnym odbiornikiem telewizyjnym, a w kuchni nie czekały niepozmywane naczynia. W korytarzu buty stały ustawione w karnym szeregu, z porządnie zawiązanymi sznurówkami. Surowy porządek z czymś się Harry'emu kojarzył.

W sypialni łóżko zaopatrzone było w nienagannie naciągnięte białe prześcieradła, upchnięte po obu stronach pod materac tak, że trzeba by wręcz akrobatycznych wysiłków, aby wsunąć się w szparę między nimi

i wejść pod „koldrę”. Harry od początku pobytu w Australii przeklinał to komiczne posłanie w swoim pokoju w hotelu.

Zajrzał do łazienki. Na półce pod lustrem stała maszynka do golenia i krem, ustawione równiutko obok wody po goleniu, pasty do zębów, szczotki i szamponu. To wszystko. Żadnej toaletowej ekstrawagancji, stwierdził Harry, i nagle uświadomił sobie, co mu przypomina ta pedanteria: jego własne mieszkanie, kiedy przestał pić.

Nowe życie Harry’ego faktycznie od tego się zaczęło. Od prostego ćwiczenia dyscypliny, polegającego na tym, że wszystko ma swoje miejsce, swoją półkę czy szufladę, do której ma wrócić natychmiast po użyciu. Nawet jeden długopis nie leżał rzucony gdzieś przypadkiem, a w szafce nie pałętał się żaden zbędny bezpiecznik. Było to praktyczne, ale miało też rzecz jasna znaczenie symboliczne – słusznie, czy nie, ale wskaźnik poziomu chaosu w mieszkaniu był dla Harry’ego miernikiem stanu panującego ogólnie w życiu.

Poprosił Lebiego o przejrzanie szafy i komody w sypialni i do jego wyjścia wstrzymał się z otwarciem szafki toaletowej, wiszącej przy lustrze. Leżały starannie ułożone na dwóch górnych półkach i wskazywały wprost na niego niczym magazyn miniaturowych głowic: kilka tuzinów jednorazowych strzykawek.

Andrew Kensington mógł oczywiście cierpieć na cukrzycę i robić sobie zastrzyki z insuliny, lecz Harry wiedział, że tak nie jest. Gdyby zrujnowali pół domu, z pewnością zdołaliby odnaleźć skrytkę z narkotykami, proszkiem i innym sprzętem, ale to nie miało sensu. Harry już wiedział to, co chciał wiedzieć.

Dżyngis-chan nie kłamał, mówiąc, że Andrew to ćpun. Harry nie miał co do tego wątpliwości już wtedy, gdy znaleźli go w mieszkaniu Ottona. Zdawał sobie sprawę, że w klimacie, w którym najczęściej nosi się koszule i koszulki z krótkimi rękawami, policjant nie może pokazywać przedramion pełnych śladów po nakłuciach. Dlatego robi sobie zastrzyki w miejscach, gdzie ślady nie tak łatwo zauważyć, na przykład z tyłu łydek. A na łydkach i w zgięciach pod kolanami Andrew było ich pełno.

Andrew był klientem faceta o głosie Roda Stewarta, odkąd Dżyngis-chan pamiętał. Jego zdaniem Andrew to typ, który mógł zażywać heroinę, a jednocześnie dalej niemal normalnie funkcjonować zawodowo i społecznie.

– To akurat nie jest wcale tak niezwykle, jak wielu osobom się wydaje – stwierdził Dżyngis-chan. – Kiedy Speedy okrężną drogą dowiedział się, że ten facet to policjant, wpadł w paranoję i chciał go zastrzelić, myślał, że gość go śledzi. Ale jakoś mu to przetłumaczyliśmy. Facet był przecież od wielu lat jednym z jego najlepszych klientów. Nigdy się nie targował, zawsze miał gotówkę, dotrzymywał umów, nic nie gadał, żadnych awantur. Nigdy nie spotkałem Aborygena, który by tak dobrze sobie radził z narkotykami. Cholera, nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tak je tolerował!

Nigdy też nie widział, ani nie słyszał o tym, żeby Andrew rozmawiał z Evansem White'em.

– White nie ma nic wspólnego z tutejszymi klientami. To hurtownik i kropka. Ale słyszałem, że przez jakiś czas trochę handlował na ulicy gdzieś na King's Cross. Nie mam pojęcia dlaczego. Przecież i tak nieźle zarabia. Ale najwyraźniej skończył z tym. Podobno miał jakieś kłopoty z dziewczynkami.

Dżyngis mówił otwarcie. Bardziej otwarcie niżby musiał, żeby ratować własną skórę. Mogłoby się wręcz wydawać, że to go nawet bawi. Musiał liczyć się z tym, że ze strony Harry'ego nic wielkiego mu nie grozi, dopóki mieli przynajmniej jednego z jego kolegów na liście klientów.

– Pozdrów go i powiedz, że chętnie znów go zobaczymy. Nie żywimy długo urazy – zakończył Dżyngis-chan z uśmiechem. – Oni zawsze wracają. Bez względu na to, kim są. Zawsze.

Harry wszedł do sypialni, w której Lebie bez widocznego entuzjazmu przerzucał bieliznę i jakieś papiery w szufladach.

– Znalazłeś coś ciekawego? – spytał Harry.

– Nie, nic szczególnego. A ty?

– Nie.

Popatrzyli na siebie.

– Chodźmy stąd.

Dozorca z St. George's Theatre był w jadalni. Zapamiętał Harry'ego z poprzedniego wieczoru. Powitał go niemal z ulgą.

– Na-areszcie ktoś, kto nie będzie się wypytywał, jak to wszystko wyglądało. Przez ca-ały dzień kręcili się tu dziennikarze. No i technicy od was. Ale oni mają swoją robotę. Na-as nie dręcą.

– No, rzeczywiście mają tu co robić.

– Uff, tak. W nocy mało spałem, w końcu żona musiała mi dać swoją tabletkę. Człowiek nie powinien oglądać takich rzeczy. Ale wy chyba do tego przywykliście...

– No, to było trochę mocniejsze od spraw, z którymi mamy do czynienia na co dzień.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam jeszcze wejść do tego pomieszczenia.

– O, to minie.

– Ale niech pan tylko posłucha, nie potrafię nawet powiedzieć „re-ekwizytornia”, mówię „po-omieszczenie”. – Dozorca, zrozpaczony, kręcił głową.

– Tylko czas tu pomoże – stwierdził Harry. – Proszę mi wierzyć, wiem coś o tym.

– Mam nadzieję, że pan ma rację, konstablu.

– Proszę mi mówić Harry.

– Kawy, Harry?

Harry zgodził się na kawę i położył na stole pęk kluczy.

– No proszę – powiedział dozorca. – To klucze, które Rechnagel po-ożyczył. Bałem się, że się nie znajdują i trzeba będzie wymieniać wszystkie za-amki. Gdzie je znaleźliście?

– W domu Ottona Rechnagla.

– Co? Przecież on ich używał wczoraj wieczorem. Drzwi do jego garderoby...

– Nie myśl o tym. Ciekaw jestem, czy wczoraj za kulisami był ktoś

jeszcze oprócz aktorów.

– Zobaczmy. Technik oświetleniowy, dwaj a-asystenci sceniczni i dźwiękowiec. Nie było garderobianych ani charakteryzatorów, to nie jest wielka produkcja. Tak, to chy-yba wszyscy. Podczas samego przedstawienia byli tylko asystenci i inni aktorzy. No i ja.

– I nikogo innego nie widziałeś?

– Nie – odparł dozorca z przekonaniem.

– A czy ktoś mógł wejść jakąś inną drogą niż tylnymi drzwiami albo tymi drzwiami z boku sceny?

– Jest jeszcze boczny korytarz na ba-alkonie. Wczoraj balkon był zamknięty, ale drzwi otwarte, bo oświetleniowiec tam siedzi. Porozmawiaj z nim.

Oświetleniowiec miał wytrzeszcz i wyglądał jak ryba głębinowa wyciągnięta przed chwilą na powierzchnię.

– Zaraz, zaraz! Przed przerwą siedział tam jakiś facet. Sprzedajemy bilety tylko na parter, jeśli widzimy, że nie będzie pełno, ale nie było nic dziwnego w tym, że tam siedział, bo balkonu się nie zamyka, nawet jeśli bilety sprzedawane są tylko na dół. Siedział całkiem sam w ostatnim rzędzie. Pamiętam, zdziwiłem się, że chce siedzieć tak daleko od sceny. Wprawdzie było dość ciemno, ale tak, widziałem go. Kiedy wróciłem po przerwie, to, jak mówiłem, już go nie było.

– Czy mógł wejść za kulisy tymi samymi drzwiami co ty?

– Hm... – Oświetleniowiec podrapał się w głowę. – Przypuszczam, że tak. Jeśli poszedł prosto do rekwizytorni, to mógł w zasadzie przejść niezauważony przez nikogo. Teraz, po zastanowieniu, mogę też powiedzieć, że facet nie wyglądał najfajniej. Taa... Czuję teraz, że coś w nim było. Coś, co cały czas mam w głowie, co mi się jakoś nie zgadza...

– Posłuchaj – powiedział Harry. – Wszystko dobrze, ale teraz pokażę ci zdjęcie...

– W tym facecie było coś jeszcze...

– ...ale najpierw – przerwał mu Harry – chciałbym, żebyś spróbował wyobrazić sobie tego człowieka, którego widziałeś wczoraj. A kiedy



zobaczysz zdjęcie, masz się nie zastanawiać, tylko powiedz pierwszą rzecz, jaka ci przyjdzie do głowy. Potem damy ci więcej czasu i ewentualnie będziesz mógł zmienić zdanie, ale teraz chodzi mi o twoją pierwszą reakcję. Jasne?

– Jasne. – Oświetleniowiec jeszcze bardziej wytrzeszczył wyłupiaste oczy i teraz wyglądał już jak żaba. – Jestem gotowy.

Harry wyjął zdjęcie.

– To on! – krzyknął technik natychmiast.

– Zastanów się przez chwilę i powiedz mi, co myślisz.

– Nie mam żadnych wątpliwości. Właśnie to próbowałem powiedzieć, konstablu. Że ten człowiek to czarnuch... Aborygen. To on.

Harry był zmęczony. Już miał za sobą ciężki dzień i próbował nie myśleć o jego dalszym ciągu. Kiedy asystent wpuścił go na salę, gdzie wykonywano sekcje, niewysoka, okrągła postać doktora Engelsohna pochylała się nad wielkim, tłustym ciałem kobiety leżącej na czymś w rodzaju stołu operacyjnego, nad którym wisiały duże lampy. Harry'emu wydawało się, że nie zniesie już tego dnia więcej tłustych kobiet. Poprosił asystenta o poinformowanie doktora, że przyszedł Holy, ten, który dzwonił wcześniej.

Engelsohn ze swoją kwaśną miną wyglądał jak wzór profesora szaleńca. Resztki włosów sterczały mu na wszystkie strony, a jasne kępkę brody porozrzucane były na czerwonej świńskiej twarzy jakby przypadkiem.

– Słucham?

Harry zrozumiał, że profesor nie pamięta rozmowy telefonicznej, która miała miejsce dwie godziny wcześniej.

– Nazywam się Harry Holy. Dzwoniłem do pana z prośbą o pierwsze wyniki sekcji Andrew Kensingtona.

Wprawdzie w pomieszczeniu unosiło się mnóstwo zapachów nieznanymi roztworów, lecz Harry wyczuł też, nie do pomylenia z niczym, zapach ginu.

– A tak, oczywiście. Kensington. Przykra historia. Rozmawiałem z nim

wiele razy. Oczywiście jeszcze za życia. Teraz leży w szufladzie niemy jak ostryga. – Engelsohn wskazał kciukiem za siebie.

– Nie wątpię, doktorze. Co pan znalazł?

– Niech pan posłucha, panie... jak to było... Holy, tak. Mamy tu kolejkę trupów i wszyscy marudzą, że każdy ma być pierwszy. To znaczy nie trupy marudzą, tylko śledczy. Ale każdy musi grzecznie czekać na swoją kolej. Takie są tu reguły. Żadnych oszustw, jasne? Kiedy więc rano zadzwonił do mnie wielki wódz McCormack we własnej osobie i oznajmił, że mamy w pierwszej kolejności zająć się jakimś samobójstwem, no to zacząłem się zastanawiać. Nie zdążyłem spytać McCormacka, ale może pan, panie Hogan, może mi wyjaśnić, dlaczego, na miłość boską, ten Kensington jest taki wyjątkowy?

Pogardliwie poruszył głową i zionął na Harry'ego kolejną porcją powietrza przesyconego ginem.

– No cóż, mamy nadzieję, że na to pan nam odpowie, doktorze. Czy on jest wyjątkowy?

– Wyjątkowy? Co pan rozumie przez wyjątkowy? Czy ma trzy nogi, cztery płuca albo sutki na plecach?

Harry był zmęczony. W tej chwili najmniej było mu potrzeba zapijaczonego patologa, który robił trudności, bo miał wrażenie, że depta mu się po piętach. Ludzie z dyplomami uniwersyteckimi często miewają wrażliwsze pięty niż inni.

– Czy znalazł pan coś niezwykłego? – Harry próbował sformułować myśl inaczej.

Engelsohn spojrział na niego lekko zamglonym wzrokiem.

– Nie – odparł. – Nie było nic niezwykłego. Nic ani trochę niezwykłego.

Doktor dalej patrzył na niego, lekko kołyszając głową, i Harry zrozumiał, że jeszcze nie skończył mówić. Zrobił tylko artystyczną pauzę, która jego zamroczonemu alkoholem umysłowi z pewnością nie wydawała się równie rozwlekła jak Harry'emu.

– U nas nie jest rzeczą niezwykłą – podjął w końcu doktor – że zwłoki są przesiąknięte narkotykami. Heroiną, tak było w tym przypadku. Niezwykłe było to, że to policjant. Ale ponieważ rzadko nam się zdarza mieć na stole pańskich kolegów po fachu, to nie jestem w stanie stwierdzić,

do jakiego stopnia to niezwykle.

– Co było przyczyną zgonu?

– Nie mówił pan, że to pan go znalazł? Jak się panu wydaje, na co się umiera, kiedy się zwisa z sufitu z szyją okręconą przewodem? Na koklusz?

W Harrym powoli zaczynało się gotować. Na razie jednak trzymał fason.

– To znaczy, że on umarł od braku tlenu, nie z przedawkowania?

– Bingo, Hogan.

– Okej. Następne pytanie dotyczy czasu zgonu.

– Powiedzmy, że nastąpił między północą a drugą w nocy.

– Bardziej dokładnie nie potrafi pan określić?

– A będzie pan szczęśliwszy, jeśli powiem, że cztery po pierwszej? – Już i tak czerwona twarz doktora poczerwieniała jeszcze bardziej. – Jeśli tak, to niech będzie cztery po pierwszej.

Harry kilka razy głęboko odetchnął.

– Przepraszam, jeśli wyrażam się... jeśli mogę wydać się bezczelny, doktorze, ale mój angielski nie zawsze jest całkiem taki...

– ...jak powinien być – dokończył za niego doktor Engelsohn.

– No właśnie. Pan jest bez wątplenia bardzo zajęтым człowiekiem, doktorze, nie będę więc panu dłużej przeszkadzał, tylko upewnię się, że pan zrozumiał, co mówił McCormack o tym, że wyniki z tej sekcji mają nie iść zwykłą drogą służbową, tylko trafić bezpośrednio do niego.

– Tak się nie da. Akurat co do tego instrukcje są jasne, Hogan. Może pan pozdrowić ode mnie McCormacka i mu to przekazać.

Mały szalony profesorek stanął na szeroko rozstawionych nogach, pewny siebie, z rękami założonymi na piersiach. Oczy zabłyśły mu żądzą walki.

– Instrukcje? Nie wiem, jaki status mają instrukcje policji w Sydney, ale tam, skąd jestem, instrukcje są po to, żeby ludzie wiedzieli, co mają robić, kiedy szef im tego nie mówi – oświadczył Harry.

– Niech pan o tym zapomni, Horgan. Najwyraźniej etyka zawodowa nie jest mocną stroną w waszym biurze. Wątpię więc, żeby dyskusja z panem na ten temat mogła być w jakimkolwiek stopniu owocna. Skończmy na tym i pożegnajmy się, panie Horgan.

Harry nie ruszał się z miejsca.

– Co pan o tym myśli? – spytał doktor Engelsohn zniecierpliwiony.

Harry patrzył na człowieka, któremu wydawało się, że nie ma już nic do stracenia. Alkoholik w średnim wieku i o średnich kwalifikacjach, pozbawiony jakichkolwiek widoków na awans czy karierę, nie bał się już nikogo ani niczego. Bo co właściwie mogli mu zrobić? Ale dla Harry'ego był to najdłuższy i najgorszy dzień w życiu, miał już wszystkiego dość. Złapał doktorka za kołnierz białego fartucha i podniósł do góry.

Trzasnęły szwy.

– Co ja o tym myślę? Myślę, że najpierw należałoby panu pobrać krew, a dopiero później rozmawiać o etyce zawodowej, doktorze Engelsohn. Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym, ile osób może zaświadczyć, że był pan pijany podczas wykonywania sekcji Inger Holter. Uważam, że powinniśmy porozmawiać z kimś, kto pracuje w miejscu, gdzie etyka zawodowa jest mocną stroną. Z kimś, kto może pana wyłać, nie tylko stąd, lecz z każdej innej pracy, w której wymagana jest licencja lekarza. Co pan na to, doktorze Engelsohn? Co pan teraz sądzi o moim angielskim?

Doktor Engelsohn uznał, że angielski Harry'ego jest najzupełniej w porządku, i po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że tym razem wyjątkowo jego raport nie musi przejść drogą służbową.

### 13. BASEN W PARKU FROGNER I PRZEBUDZENIE STAREGO

#### WROGA

McCormack siedział obrócony do Harry'ego plecami i wyglądał przez okno. Na dworze słońce już zachodziło, lecz wciąż jeszcze między drapaczami chmur i żywą zielenią Królewskich Ogrodów Botanicznych dawało się dostrzec pasek kuszącego błękitnego morza. Harry miał sucho w ustach i czuł nadciągający ból głowy. Przez ponad trzy kwadranse wygłaszał ciągły, niemal niczym nieprzerwany monolog. Opowiadał o Ottonie Rechnaglu, Andrew Kensingtonie, heroinie, The Cricket, oświetleniowcu, Engelsohnie, krótko mówiąc, o wszystkim, co się wydarzyło.

McCormack złożył razem koniuszki palców obu dłoni. Od dłuższego czasu milczał.

– Wiedziałeś, że daleko stąd, w Nowej Zelandii, mieszka najgłupszy naród na świecie? – odezwał się teraz. – Nowozelandczycy żyją sami na wyspie, nie mając dookoła żadnych sąsiadów, którzy z jakiegoś powodu mogliby ich dręczyć. Otacza ich tylko mnóstwo wody. A mimo to ludzie z tej wyspy uczestniczyli we wszystkich większych wojnach w tym stuleciu. Żaden inny kraj, nawet Rosja sowiecka podczas drugiej wojny światowej, nie stracił tylu młodych mężczyzn na wojnie w stosunku do liczby ludności. Nadmiar kobiet w Nowej Zelandii stał się legendą. A skąd u Nowozelandczyków ta ich wojowniczość? Z chęci niesienia pomocy, stawania za innych. Ci dobroduszni naiwniacy nie walczyli nawet na własnym polu bitwy, tylko wsiadali na statki, do samolotów, żeby umrzeć jak najdalej od domu. Pomagali aliantom w walkach przeciwko Niemcom i Włochom, Koreańczykom z Południa przeciwko Koreańczykom z Północy i Amerykanom przeciwko Japończykom i Wietnamczykom. Jednym z tych idiotów był mój ojciec. – McCormack odwrócił się od okna, siedział teraz twarzą w twarz z Harrym. – Ojciec opowiedział mi pewną historię o artylerzystach z jego statku podczas bitwy z Japończykami pod

Okinawą w czterdziestym piątym. Japończycy zaczęli wypuszczać kamikadze, a ci atakowali formacją, która miała własną taktykę. Nazywali ją „spadanie na wodę jak płatek maku”. I tak właśnie robili. Najpierw nadlatywał jeden samolot, a jeśli został zestrzelony, za nim przylatywały dwa inne. Następnie cztery i tak dalej, i tak dalej w pozornie niemającej końca piramidzie nurkujących samolotów. Wszyscy na pokładzie statku mojego ojca byli śmiertelnie przerażeni. To przecież było czyste szaleństwo, ci piloci, którzy zgadzali się na śmierć, byle tylko mieć pewność, że ładunek bomb trafi w miejsce przeznaczenia. Jedynym sposobem na ich zatrzymanie była artyleria przeciwlotnicza i jak najgęstsza ściana pocisków. Najmniejsza dziura w takiej ścianie i Japończycy już lecieli nad nimi. Obliczano, że jeśli jakiegoś samolotu nie uda się zestrzelić w ciągu dwudziestu sekund od momentu, gdy wszedł w zasięg strzałów, to już za późno, najprawdopodobniej zdoła wpaść na statek. Artylerzyści wiedzieli, że muszą trafiać za każdym razem, a naloty czasami trwały cały dzień. Ojciec opisywał regularny huk dział i wysoki, narastający świst nadciągających samolotów. Mówił mi, że słyszał je co noc do końca życia.

Ostatniego dnia walki stał na mostku i patrzył, jak jeden z samolotów, przedarłszy się przez zabezpieczającą linię ognia, skierował się wprost na ich statek. Armaty waliły, lecz samolot nieubłaganie się zbliżał. Wyglądało to tak, jakby stał na niebie i powiększał się z sekundy na sekundę. W końcu mogli wyraźnie dostrzec kokpit i zarys sylwetki siedzącego w środku pilota. Granaty z samolotu zaczęły uderzać o pokład statku. W tej samej chwili celne pociski artylerii przeciwlotniczej rozerwały skrzydła i kadłub samolotu. Odpadł ogon, a potem jak na zwolnionym filmie samolot rozsypał się na cząstki. A na koniec mały kawałeczek z turbiną uderzył w pokład, ciągnąc za sobą warkocz ognia i czarnego dymu. Inni artylerzyści już ustawiali się na nowe cele, gdy jeden z facetów na wieżyczce tuż pod mostkiem, młody kapral, którego ojciec znał, gdyż obaj pochodzili z Wellington, z uśmiechem opuścił stanowisko, pomachał ojcu i powiedział: „Gorąco dzisiaj”. Potem wyskoczył za burtę i zniknął.

Być może sprawiło to światło, lecz McCormack nagle wydał się Harry'emu stary.

– Gorąco dzisiaj – powtórzył McCormack.

– Ludzka natura to wielki ciemny las, *sir*.

McCormack kiwnął głową.

– Słyszałem to już wcześniej, Holy, i być może to prawda. Zrozumiałem, że zdążyliście się dobrze poznać z Kensingtonem. Słyszałem również, że w opinii niektórych należałoby zbadać rolę Andrew Kensingtona w tej sprawie. A co ty o tym myślisz, Holy?

Harry spojrział na swoje ciemne spodnie. Wygniotły się od długiego leżenia w walizce i miały krzywo zaprasowany kant.

– Nie wiem, co o tym myślę, *sir*.

McCormack wstał i zaczął swoją zwykłą rundę pod oknem, którą Harry już znał.

– Przez całe swoje życie byłem policjantem, Holy. Ale wciąż patrzę na kolegów wokół mnie i zastanawiam się, co sprawia, że ludzie decydują się walczyć na cudzej wojnie. Co ich napędza? Kto godzi się na stykanie się z takim cierpieniem, byle tylko inni osiągnęli coś, co uważają za sprawiedliwość? Głupcy, Holy. Czyli my. Jesteśmy pobłogosławieni tak wielką głupotą, że wydaje nam się, że możemy coś osiągnąć. Rozszarpują nas na strzępy, niszczą, aż wreszcie pewnego dnia wskakujemy do morza, ale aż do tej chwili w naszej bezgranicznej głupocie wierzymy, że ktoś nas potrzebuje. A jeśli w końcu odkryjesz, że to iluzja, i tak będzie za późno, bo już zostałeś policjantem, już stoisz w okopie i nie masz żadnej możliwości odwrotu. Możemy się jedynie zastanawiać, co też, u diabła, się stało akurat w chwili, kiedy dokonaliśmy złego wyboru. Jesteśmy skazani na to, aby przez resztę życia uszczęśliwiać innych na siłę, skazani na niepowodzenie. Ale prawda jest na szczęście bardzo względną rzeczą, i zmienną. Naginamy ją tak, aby znalazło się na nią miejsce w naszym życiu, a przynajmniej na jakąś jej część. Czasami, żeby zyskać trochę spokoju ducha, wystarczy złapać jednego bandytę. Ale wszyscy wiedzą, że niezdrowo jest zbyt długo zajmować się niszczeniem szkodników. Można posmakować własnej trucizny.

Jaki jest więc sens, Holy? Tamten człowiek przez całe swoje życie obsługiwał działą, a teraz nie żyje. Co więcej jest do powiedzenia? Prawda jest względna. Ludziom, którzy sami tego nie przeżyli, niełatwo zrozumieć, co mogą zrobić z człowiekiem ekstremalnie przeżycia. Mamy psychiatrów

sądowych, którzy usiłują ustawić w jednej linii chorych i kryminalistów, i naginają prawdę tak, aby pomieściła się w ich teoretycznym modelowym świecie. Mamy system sądowy, co do którego możemy mieć w najlepszym razie nadzieję, że usunie jednego czy drugiego destrukcyjnego człowieka z ulicy, i dziennikarzy, którzy pragną być postrzegani jako idealisci, ponieważ pełzną w górę, ujawniając łamanie przez innych zasad gry, w przekonaniu, że w ten sposób chronią coś w rodzaju sprawiedliwości. Ale prawda? – powiedział z naciskiem McCormack. – Prawda jest taka, że nikt nie utrzyma się z prawdy i dlatego nikogo ona nie interesuje. Prawda, którą tworzymy, jest po prostu sumą tego, co służy ludziom, w zależności od tego, jaką posiadają władzę.

Wbił wzrok w Harry'ego.

– Kto więc jest zainteresowany prawdą o Andrew Kensingtonie? Komu posłuży to, że wyrzeźbimy brzydką, powykręcaną prawdę z ostrymi, niebezpiecznymi zadrami, która nigdzie się nie pomieści? Na pewno nie szefowi policji. Na pewno nie politykom z zarządu miasta. Nie tym, którzy walczą o prawa Aborygenów. Nie związkowi zawodowemu policjantów. Nie naszym ambasadam. Nikomu. A co ty na to?

Harry miał ochotę odpowiedzieć: krewnym Inger Holter, ale ugryzł się w język. McCormack zatrzymał się przy portrecie młodej królowej Elżbiety II.

– Wolałbym, żeby to, co mi opowiedziałeś, pozostało między nami, Holy. Rozumiesz chyba, że tak będzie najlepiej?

Harry zdjął z nogawki długi rudy włos.

– Rozmawiałem już z biurem burmistrza – ciągnął McCormack. – Żeby nikomu nie wydało się to dziwne, sprawa Inger Holter jeszcze przez pewien czas będzie miała priorytet. Jeśli nie znajdziemy nic więcej, ludzie po pewnym czasie przyjmą do wiadomości, że młodą Norweżkę zabił klaun. Kto zabił klauna, może być trudne do stwierdzenia, wiele jednak wskazuje na *crime passionel*, zabójstwo z zazdrości. Może w grę wchodził tajemniczy zdradzony kochanek, kto wie? W takich wypadkach ludzie godzą się, by zbrodnia uszła winnemu na sucho. Wprawdzie nic nigdy nie zostanie potwierdzone, lecz poszlaki są wyraźne, a po kilku latach cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Postać seryjnego mordercy to była jedynie



teoria, nad którą policja przez jakiś czas pracowała, lecz w końcu ją odrzuciła.

Harry szykował się do odejścia. McCormack chrząknął.

– Piszę to zaświadczenie, Holy. Prześlę je komendantowi policji w Oslo po twoim wyjeździe. Wyjeżdżasz jutro, prawda?

Harry skinął mu głową i wyszedł.

Lekka wieczorna bryza nie łagodziła bólu głowy, a spokojna ciemność nie czyniła wcale obrazu przyjemniejszym. Harry bez celu błąkał się ulicami. W Hyde Park jakies nieduże zwierzątko przebiegło przez ścieżkę. W pierwszej chwili wziął je za szczura, ale potem wyraźniej zobaczył otulonego futerkiem łobuza, przyglądającego mu się ślepkami, w których odbijały się światła parkowych latarni. Nigdy wcześniej nie widział takiego zwierzęcia, uznał, że to musi być opos. Zwierzak wyraźnie się go nie bał. Węszył raczej z zaciekawieniem, wydając z siebie przy tym dziwaczne, pełne skargi odgłosy.

Harry przykucnął przy nim.

– Ty też się zastanawiasz nad tym, co właściwie robisz w środku tego wielkiego miasta? – spytał.

Zwierzak w odpowiedzi przechylił łeppek.

– Jak myślisz, spadamy jutro do domu? Ty do swojego lasu, a ja do swojego?

Opos uciekł. Nie dał się namówić na żaden wspólny wypad. On mieszkał dokładnie tutaj, w parku, wśród samochodów, ludzi i śmietników.

Harry dotarł do Woolloomooloo. Dzwonili z ambasady, miał oddzwonić. Co myśli Birgitta? Niewiele mówiła. A on nie pytał. Nie uprzedziła go o urodzinach, może uważała, że mógłby wymyślić coś głupiego, nacisnąć zbyt mocno, podarować jej zbyt drogi prezent albo powiedzieć coś niepotrzebnego, tylko dlatego, że to miał być ich ostatni wieczór, a nim powodowałyby wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu. Pomyślała być może: „Jaki to ma sens?”.

Tak jak Kristin po powrocie z Anglii do Oslo.

Spotkali się w restauracji na powietrzu na Frogner. Kristin powiedziała mu, że zostaje w domu przez dwa miesiące. Była opalona, wesółą i uśmiechała się nad szklanką piwa swoim dawnym uśmiechem, a on wiedział dokładnie, co ma mówić i robić. To było jak granie na pianinie starej piosenki, którą, jak ci się wydawało, zapomniałeś. W głowie panowała pustka, ale palce odnajdywały dźwięki. Dużo wypili, ale to było jeszcze zanim Harry'emu chodziło wyłącznie o upicie się, więc pamiętał również dalszy ciąg. Pojechali tramwajem do miasta, a Kristin swoim uśmiechem wepchnęła ich oboje do kolejki do klubu Sardines. Nocą, spoceni od tańca, znów pojechali taksówką na Frogner, przeszli przez płot ogradzający baseny kąpielowe i na szczycie dziesięciometrowej wieży, górującej nad pustym parkiem, wypili butelkę wina, którą Kristin miała w torbie. Patrzyli na miasto i opowiadali sobie, kim będą. Jak zwykle przyszłość miała wyglądać inaczej niż ostatnio. Potem ujęli się za ręce i z rozbiegu skoczyli. Harry, spadając, przez cały czas miał w uszach przenikliwy krzyk Kristin, niczym cudowny wymykający się spod kontroli alarm przeciwpożarowy. Śmiał się głośno na brzegu basenu, kiedy wynurzyła się z wody i przyszła do niego w sukience klejącej się do ciała.

Następnego dnia rano obudzili się stuleni w jego łóżku, spoceni, skacowani i podnieceni. Harry otworzył drzwi na balkon i wrócił do łóżka z niepohamowaną erekcją, którą Kristin przyjęła z radością. Kochał się z nią bezrozumnie, mądrze i gorąco, a głosy dzieci bawiących się na podwórzu zamilkły, kiedy dźwięk alarmu przeciwpożarowego rozległ się znów.

Dopiero później Kristin zadała tamto niepojęte pytanie:

– Jaki to ma sens?

Jaki to miało sens, skoro i tak między nimi nic już nie mogło być? Skoro ona miała wrócić do Anglii, skoro on był takim egoistą, skoro tak bardzo różnili się od siebie i mieli się nigdy nie pobrać, nie splodzić dzieci i nie zbudować razem domu? Skoro to donikąd nie prowadziło?

– Czy te ostatnie dwadzieścia cztery godziny same w sobie nie są odpowiednim powodem? – spytał Harry. – A jeśli jutro znajdą ci guz w piersi, to jaki będzie wtedy sens? A jeśli będziesz siedzieć we własnym domu z dziećmi z podsinionym okiem i nadzieją, że twój mąż zasnął, zanim pójdziesz do łóżka, to jaki to będzie miało sens? Naprawdę jesteś

pewna, że zdołasz schwytać szczęście za pomocą swojego misternego planu?

Powiedziała wtedy, że jest niemoralnym, płytkim hedonistą i że jej w życiu chodzi o coś więcej niż samo pieprzenie.

– Rozumiem, że pragniesz całej tej reszty – odparł Harry – ale czy naprawdę wszystko, co robisz, musi być krokiem na drodze prowadzącej do nirwany w różowym domowym zaciszu? Kiedy pójdziesz do domu starców, to nie będziesz pamiętać koloru serwisu, który dostałaś w prezencie ślubnym, ale założę się, że zapamiętasz ten skok z wieży i to, że kochaliśmy się później na brzegu basenu.

Właściwie to ona z nich dwojga zaliczała się do cyganerii, miała być niekonwencjonalna i używać życia, a tymczasem zanim wyszła, trzaskając drzwiami, na koniec oświadczyła, że on nic nie rozumie i że najwyższa pora, aby wreszcie dorósł.

– Jaki to ma sens? – zawołał Harry, aż odwróciła się jakaś para, mijająca go na Harmer Street.

Czy Birgitta również nie dostrzegała tego sensu? Bała się zbyt mocno zaangażować, ponieważ on miał już jutro wyjechać? Czy dlatego wołała uczcić swoje urodziny telefonem ze Szwecji? Oczywiście, powinien był spytać ją o to wprost, lecz – tak, jaki to ma sens?

Czuł się straszliwie zmęczony i wiedział, że nie zaśnie. Zawrócił więc i wszedł do baru. W lampach na suficie leżały martwe owady, a pod ścianami stały automaty do gry. Znalazł stolik przy oknie i postanowił, że nic nie zamówi, dopóki kelner sam go nie zauważy. Chciał po prostu trochę tu posiedzieć.

Kelner jednak przyszedł i spytał, czego sobie życzy, a Harry długo wpatrywał się w kartę napojów, aż wreszcie zamówił colę. Prosił Birgitte, żeby poszła na pogrzeb Andrew. Powiedziała, że oczywiście, pójdzie.

W szybie widział swoje podwójne odbicie i pomyślał, że Andrew powinien tu teraz być. Miałby wtedy z kim porozmawiać. Gdyby to był kryminal w telewizji, być może pokazywaliby napisy, Harry i ojciec patrzyliby na nie, a matka, która nic nie rozumiała, zadawałaby idiotyczne

pytania. Ale to nie był kryminal i to Harry nic nie zrozumiał.

Czy Andrew próbował mu powiedzieć, że to Otto Rechnagel zamordował Inger Holter? A jeśli tak, to dlaczego? Czy istnieje coś tak absurdalnie komicznego jak tłumione skłonności heteroseksualne? I czy może się z nich zrodzić seryjny morderca, który mści się na jasnowłosych dziewczynach? Dlaczego Harry nie zrozumiał tego, co Andrew chciał mu pokazać? To wprowadzenie, dziwaczne uwagi, oczywiste kłamstwo o świadku z Nimbin, który widział White'a. Czyż to wszystko nie miało służyć odciążeniu go od White'a i nakłonieniu do uważniejszego obserwowania?

Andrew sam zadbał o włączenie go do sprawy razem z cudzoziemcem, którego, jak sądził, będzie mógł kontrolować. Dlaczego jednak sam nie zatrzymał Ottona Rechnagla? Jakie związki ich łączyły, że chciał wykorzystać Harry'ego jako pośrednika? Czyżby Otto i Andrew byli kochankami? Czy to dlatego? Czy to Andrew złamał serce Ottonowi? Jeśli tak, to dlaczego miałyby zabić Ottona akurat wtedy, kiedy planowali jego zatrzymanie? Dlatego że Andrew miał inny plan? Że chciał powstrzymać Ottona, ale w taki sposób, by nie ujawniać swojej roli kochanka? Chciał na przykład, by to Harry wskazał Ottona, a później, podczas błyskawicznie zorganizowanego zatrzymania albo „podczas ucieczki” zabiłby Ottona „w obronie własnej”? Może coś takiego. Harry smakował takie rozwiązanie, ale uznał, że ma podły smak. Gdyby to było prawdą, Otto przez cały czas byłby skazany na śmierć. Ponieważ jednak Andrew leżał w szpitalu, gdy rozwiązali zagadkę, wszystko potoczyło się zbyt prędko i pierwotnego planu nie dało się zrealizować. „Daj mi dwa dni”, powiedział Andrew.

Harry odprawił chwiejącą się na nogach pijaną kobietę, która chciała się przysiąść do jego stolika.

No dobrze, ale dlaczego Andrew po morderstwie popełnił samobójstwo? Przecież mogło mu ujść na sucho. Ale czy na pewno? Oświeceniowiec go widział, Harry wiedział o jego przyjaźni z Ottonem i Andrew pewnie nie miał żadnego alibi na chwilę, w której dokonano zbrodni.

Czyli że jednak przyszedł czas na napisy końcowe? Cholera, chyba nie!

Chwileczkę.

Harry mógł ostatecznie pojąć, że Andrew wymyśliłby zaaranżowanie na przykład takiej sytuacji, w której Otto zostałby zastrzelony podczas nieudanej próby jego aresztowania. Aresztowanie, które Otto by przeżył, łączyłoby się z głośną sprawą, na którą rzuciłyby się media. Andrew ryzykowałby, że wszystko wyszłoby na jaw. Po nagłówkach „Czarny śledczy ekskochankiem seryjnego mordercy” życie nie mogłoby już być takie jak dawniej. Poza tym możliwe, że Andrew dręczyło poczucie winy, czuł się osobiście odpowiedzialny za to, że wcześniej sam nie powstrzymał Ottona. Dlatego skazał go na karę, jakiej sądy w Australii nie mogą nałożyć. Na śmierć.

Możliwości zaaranżowania fikcyjnej strzelaniny bez świadków absolutnie istniały. Czym innym było wykręcenie się od regularnego morderstwa.

Harry poczuł powarkiwanie w brzuchu.

Andrew podjął szalone ryzyko, żeby rozprawić się z Ottonem, zanim Harry i reszta pochwyca go w swoje szpony. A poza tym, czy to ma jakikolwiek sens, że ktoś ćwiartuje byłego kochanka po to, by ukryć swoje seksualne skłonności w mieście, w którym w zasadzie każdego uważa się za odmieńca, dopóki nie udowodni, że jest inaczej? I czy ma sens to, że sam sobie później odebrał życie?

Ból głowy narastał stopniowo, a teraz Harry miał uczucie, że ktoś używa jej jako tarana. W deszczu iskier wybuchającym gdzieś za oczami starał się trzymać jednej myśli naraz, nieustannie jednak napływała jakaś nowa, która odpychała tę poprzednią. Może McCormack miał rację, może to po prostu zbyt upalny dzień dla wstrząśniętej duszy. Harry nie miał siły myśleć, że może być inaczej, że kryje się za tym coś więcej, że Andrew Kensington miał jeszcze gorsze tajemnice, jeszcze więcej powodów do ucieczki, aniżeli obejrzenie się od czasu do czasu za męskim tyłkiem.

Padł na niego jakiś cień. Podniósł wzrok. Głowa kelnera przesłaniała światło i widać było tylko zarys jego postaci. Harry'emu wydało się, że z ust wystaje mu sinoczarny język Andrew.

– Coś jeszcze, *sir*?

– Widzę, że macie tu drinka, który nazywa się black snake.

– Jim Beam i cola.

W żołądku rozlegało się teraz dzikie ujadanie.

– Świetnie, proszę o podwójny black snake bez coli.

Harry zabłądził. Przed nim znajdowały się schody, za nimi woda i jeszcze więcej schodów. Poziom chaosu wzrastał, czubki masztów w zatoce przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę. Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się na tych schodach. Postanowił, że pójdzie do góry. „W górę jest lepiej”, powtarzał zawsze jego ojciec.

Nie obyło się bez problemów, lecz przytrzymując się ścian domów, zdołał dostać się na górę. Na tabliczce zobaczył napis „Challis Avenue”, ale nic mu to nie powiedziało, ruszył więc dalej prosto. Próbował spojrzeć na zegarek, lecz go nie znalazł. Było ciemno, a ulice były prawie wyludnione. Harry uznał więc, że jest późno. Po pokonaniu kolejnych schodów postanowił, że dość już sportu, i skręcił w prawo w Macleay Street. Musiał iść już długo, bo piekły go podeszwy stóp. A może biegł? Rozdarcie na lewym kolanie spodni mówiło, że być może się przewrócił. Minał kilka barów i restauracji, wszystkie były zamknięte. Ale w kilkumilionowym mieście, takim jak Sydney, można chyba dostać coś do picia nawet o tak późnej porze? Wyszedł na ulicę, kiwnął ręką na żółtą taksówkę ze światelkiem na dachu. Samochód zahamował, ale kierowca zmienił zdanie i pojechał dalej.

Cholera, czyżbym tak strasznie wyglądał? – pomyślał Harry i zaśmiał się serdecznie.

Nieco dalej na ulicy zaczął spotykać ludzi. Dochodził do niego rosnący hałas głosów, samochodów i muzyki, a gdy okrążył róg, nagle zorientował się, gdzie jest. Można mówić o szczęściu, dotarł do Królewskiego Skrzyżowania! Przed nim rozciągała się mrugająca światłami, hałaśliwa Darlinghurst Road. Teraz wszelkie możliwości stanęły przed nim otworem.

W pierwszym barze, do którego próbował wejść, odmówiono mu wstępu, ale do niewielkiej chińskiej knajpki już go wpuszczono. Podano mu whisky w dużym plastikowym kubku. W środku było ciasno i ciemno, panował nieznośny hałas automatów do gry, więc wlawszy w siebie całą

zawartość kubka, szybko wrócił na ulicę. Przytrzymując się słupa, przyglądał się samochodom sunącym obok i próbował odepchnąć mgliste wspomnienie o tym, jak wcześniej tego wieczoru w jakimś barze zwiłtował na podłogę.

Kiedy tak stał, poczuł nagle stukanie w plecy. Odwrócił się i zobaczył wielkie czerwone usta, a gdy się rozchyliły, brak jednego zęba, kła.

– Słyszałam o Andrew. Bardzo mi go żal – odezwała się właścicielka ust i dalej żuła gumę. To była Sandra.

Harry próbował powiedzieć parę rzeczy, lecz najwyraźniej musiał mieć jakieś kłopoty z dykcją, bo Sandra popatrzyła na niego zdziwiona.

– Jesteś wolna? – spytał w końcu.

Sandra roześmiała się.

– Owszem, ale ty się chyba do tego nie nadajesz.

– A taki jest warunek? – spytał Harry po długim wysiłku.

Sandra rozejrzała się dokoła. Harry'emu wydało się, że dostrzega wśród cieni kawałek gładkiego garnituru. Teddy Mongabi z pewnością nie mógł być daleko.

– Posłuchaj, jestem teraz w pracy. Może powinieneś wrócić do domu i trochę się przespać? Porozmawiać możemy jutro.

– Zapłacę. – Harry zaczął wyciągać portfel.

– Schowaj to. – Sandra wepchnęła mu go z powrotem do kieszeni. – Pójdę z tobą i będziesz musiał mi trochę zapłacić, ale nie tutaj, okej?

– Chodźmy do mojego hotelu. Jest tuż za rogiem. To Crescent Hotel – powiedział Harry.

Sandra wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz.

Po drodze zajrzeli jeszcze do sklepu z alkoholem, gdzie Harry kupił dwie butelki Jima Beama.

Kiedy weszli do recepcji, nocny portier w Crescent zmierzył Sandrę wzrokiem od stóp do głów. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale Harry go uprzedził.

– Nie widziałeś nigdy policjantki w przebraniu?

Portier, młody Azjata w garniturze, uśmiechnął się niepewnie.

– No to zapomnij, że w ogóle ją widziałeś, i daj mi klucz. Czeka nas

robota do wykonania.

Harry miał wątpliwości, czy portier kupił jego bełkotliwe wyjaśnienia, ale w każdym razie bez protestów wydał mu klucze.

W pokoju Harry otworzył minibar i wyjął z niego wszystko, co tylko zawierało alkohol.

– To dla mnie – powiedział, wybierając miniaturową butelkę Jima Beama. – A resztę możesz sobie wziąć.

– Naprawdę musisz lubić whisky – stwierdziła Sandra i otworzyła piwo.

Harry popatrzył na nią lekko zdziwiony.

– Muszę lubić? – spytał.

– Większość ludzi wybiera raczej różne rodzaje trucizny. Dla pewnej odmiany, prawda?

– Ach, tak? A ty pijesz?

– Właściwie nie – odpowiedziała nie od razu Sandra. – Próbuje przestać. Jestem na kuracji.

– Właściwie nie – powtórzył Harry. – A więc nie wiesz, o czym mówisz. Widziałas *Zostawić Las Vegas* z Nicolasem Cage'em?

– Co?

– Nieważne. To w zasadzie miała być opowieść o alkoholiku, który postanowił zapić się na śmierć. Akurat w to mogłem uwierzyć. Problem polegał na tym, że facet pił wszystko, co mu wpadło w ręce. Gin, wódkę, whisky, bourbona, brandy, wszystko. To w porządku, jeśli nie masz innego wyboru. Ale ten gość miał najlepiej zaopatrzoną budę z alkoholem w Las Vegas, mnóstwo kasy i żadnych preferencji. Żadnych pieprzonych preferencji! Nigdy nie spotkałem alkoholika, któremu wszystko jedno, co pije. Jak już raz znalazłaś swoją truciznę, to się jej trzymasz, prawda? A on dostał nawet nominację do Oscara.

Harry odchylił głowę, opróżnił miniaturową butelkę i otworzył drzwi na balkon.

– I jak to się skończyło? – spytała Sandra.

– Zapił się na śmierć.

– Chodzi mi o to, czy zdobył Oscara.

– Weź jedną butelkę i przyjdź tutaj. Chcę, żebyś posiedziała na balkonie



i popatrzyła na miasto. Akurat przeżyłem *déjà vu*.

Sandra wzięła dwa kieliszki i butelkę i usiadła przy Harrym, opierając się plecami o ścianę.

– Zapomnijmy na moment o tym, co ten diabeł zrobił za życia. Wypijmy za Andrew Kensingtona! – Harry nalał do kieliszków.

Wypili w milczeniu i Harry zaczął się śmiać.

– Weź na przykład tego faceta z The Band, Richarda Manuela. Miał poważne problemy nie tylko z pićciem, lecz z... no, z życiem. W końcu nic mu się już dłużej nie chciało i powiesił się w hotelowym pokoju. W domu znaleziono dwa tysiące butelek jednej i tej samej marki: Grand Marnier. Tylko to, pojmujesz? Pieprzony likier pomarańczowy! To był człowiek, który znalazł swoją truciznę. Nicolas Cage – phi! Naprawdę w dziwnym świecie żyjemy...

Wskazał ręką na pogodne niebo nad Sydney, wypili znów. Harry zamrugał gwałtownie, gdy Sandra dotknęła ręką jego policzka.

– Posłuchaj, Harry, muszę wracać do pracy. Wydaje mi się, że jesteś już gotowy, żeby iść do łóżka.

– A ile kosztuje cała noc? – Harry nalał sobie jeszcze whisky.

– Wydaje mi się, że...

– Zostań. Wypijemy, a potem to zrobimy. Obiecuję, że będę się spręzał – zachichotał.

– Nie, Harry, ja już idę. – Sandra stanęła z rękami założonymi na piersi.

Harry wstał, ale stracił równowagę i zrobił dwa kroki w tył w stronę poręczy balkonu, zanim Sandra go złapała. Objął jej kruche plecy, ciężko się na niej oparł i szepnął:

– Nie możesz mnie trochę popilnować, Sandro? Tylko dzisiaj. Dla Andrew. Co ja gadam? Zrób to dla mnie.

– Teddy zacznie się niepokoić, co się ze mną...

– Teddy dostanie swoje pieniądze i będzie trzymał gębę na kłódkę.

Proszę cię.

Sandra zawahała się, ale w końcu westchnęła:

– No dobrze, ale najpierw rozbierz się z tych szmat, panie Holy.

Przeprowadziła go do łóżka, zdjęła mu buty i spodnie, koszulę w cudowny sposób zdołał rozpiąć sam. Czarna minispódniczka Sandry

zniknęła ściągnięta jednym ruchem przez głowę. Bez ubrania dziewczyna była jeszcze szczuplejsza, łopatki i biodra jej sterczały, a obciągnięte skórą żebra pod drobnymi piersiami przypominały tarę. Kiedy wstała, żeby zgasić górne światło, Harry dostrzegł na jej plecach i tylnej stronie ud sińce. Położyła się przy nim i pogładziła go po nagiej klatce piersiowej i po brzuchu.

Pachniała lekko miodem i czosnkiem. Harry zapatrzył się w sufit. Zdumiewało go, że w obecnym stanie potrafi w ogóle poczuć jakiś zapach.

– Ten zapach – spytał – to twój własny czy innych mężczyzn, których miałaś tej nocy?

– Przypuszczam, że jedno i drugie – odparła Sandra. – Przeszkadza ci?

– Nie – odparł, chociaż nie wiedział, czy miała na myśli zapach, czy innych mężczyzn.

– Jesteś strasznie pijany, Harry. Nie musimy...

– Zobacz! – Harry ujął jej wilgotną, ciepłą dłoń i wsunął sobie między nogi.

Sandra roześmiała się.

– Ho, ho! A matka mnie uczyła, że mężczyźni, którzy piją, są mocni tylko w gębie.

– Ze mną jest odwrotnie – powiedział Harry. – Alkohol paraliżuje mi język, za to pompuje fiuta. Naprawdę. Nie wiem dlaczego, ale zawsze tak było.

Sandra usiadła na nim, odsunęła na bok cienkie majtki i wprowadziła go w siebie bez zbędnych komentarzy.

Patrzył na nią, gdy przesuwiała się w górę i w dół. Napotkała jego spojrzenie, posłała mu krótki uśmiech i odwróciła oczy. Taki uśmiech można zobaczyć u kogoś w tramwaju, gdy nagle bez ostrzeżenia czyjeś spojrzenia spotkają się odrobinę zbyt długo.

Harry zamknął oczy i wsłuchując się w rytmiczne skrzypienie łóżka, pomyślał, że nie do końca mówił prawdę. Alkohol paraliżował; wrażenie, że będzie mógł szybko skończyć, jak obiecał, minęło. Sandra dzielnie pracowała dalej, a myśli Harry'ego uciekały spod kołdry, z łóżka i dalej przez okno. Szybował pod odwróconym niebem, nad morzem, aż wreszcie dotarł nad ląd, zakończony białym paskiem.

Kiedy się zniżył, spostrzegł, że to piaszczysta plaża, o którą rozbijają się fale, a patrząc z jeszcze mniejszej odległości, zorientował się, że to miasto, w którym był już wcześniej, a na plaży leży znajoma dziewczyna. Spała. Wylądował przy niej ostrożnie, żeby jej nie zbudzić. Potem sam się położył i zamknął oczy. Gdy się ocknął, słońce zachodziło, a on był sam. Po nadmorskiej promenadzie spacerowali ludzie, którzy wydawali mu się znajomi. Czyżby pamiętał ich z filmów? Niektórzy nosili ciemne okulary i prowadzili na smyczy małe wychudzone pieski, spacerowali wzdłuż hoteli wznoszących się po drugiej stronie ulicy.

Harry zszedł nad wodę i już miał się zanurzyć, gdy spostrzegł, że roi się w niej od meduz. Unosiły się na powierzchni i wyciągały długie czerwone parzydełka, a w ich miękkich galaretowatych odwłokach dostrzegał kontury twarzy. Nadpłynęła jakaś łódź. Kołysała się, cały czas się zbliżając. I nagle Harry się obudził. To Sandra nim potrząsała.

– Ktoś tu jest – szepnęła.

Harry usłyszał, że ktoś stuka w drzwi.

– Przeklęty recepcjonista!

Poderwał się z łóżka, poduszką zasłonił podbrzusze i otworzył drzwi.

Stała w nich Birgitta.

– Cześć – powiedziała, ale jej uśmiech zamarł, gdy zobaczyła udręczoną minę Harry'ego. – Coś się stało? Coś jest nie tak, Harry?

– Owszem – odparł. – Coś jest nie tak.

W głowie mu dudniło, przy każdym uderzeniu pulsu rozlewała się po niej biel.

– Dlaczego tu jesteś?

– Nie zadzwonili. Czekałam i czekałam, aż w końcu sama zadzwoniłam do domu, ale nikt nie odebrał. Musieli źle zrozumieć i telefonowali, kiedy byłam w pracy. Czas letni i w ogóle. Na pewno pomylili się przy obliczaniu różnicy czasu. To typowe dla taty.

Mówiła prędko, w oczywisty sposób próbowała udawać, że nie ma absolutnie nic dziwnego w tym, że w środku nocy stoi na korytarzu w hotelu i rozmawia o najzupełniej codziennych sprawach z facetem, który wyraźnie nie zamierza wpuścić jej do środka.

Stali, patrząc na siebie.

– Jest ktoś u ciebie? – spytała.

– Tak – odparł Harry.

Kiedy go uderzyła, zabrzmiało to jak odgłos łamiącej się suchej gałązki.

– Jesteś pijany – powiedziała. W oczach miała łzy.

– Posłuchaj, Birgitto...

Pchnęła go tak mocno, że zatoczył się w tył, i weszła za nim. Sandra już zdążyła naciągnąć minispódniczkę, siedziała na łóżku i próbowała włożyć buty. Birgitta zgięła się wpół, jakby nagle dostała bóleści.

– Ty dziwko! – wrzasnęła.

– Dobrze zgadłaś – odparła Sandra cierpko. Podchodziła do tej sceny ze znacznie większym spokojem niż dwie pozostałe osoby, lecz i tak zdecydowała się na prędkie wyjście.

– Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się stąd! – krzyknęła Birgitta zduszonym od płaczu głosem i rzuciła w Sandrę jej torebką leżącą na krześle. Torebka upadła na łóżko i cała zawartość wysypała się ze środka.

Harry stał nagi, kołysząc się lekko, i nagle ku swemu zdumieniu zobaczył, że na łóżku siedzi pies, pekińczyk. Obok włochatego jasnego stworka leżała szczotka do włosów, papierosy, klucze, kawałek połyskującego na zielono kryptonitu i największy wybór kondomów, jaki kiedykolwiek w życiu widział. Sandra zrezygnowana przewróciła oczami, złapała pekińczyka za kark i wepchnęła go z powrotem do torebki.

– Jeszcze forsa, przystojniaku! – przypomniała.

Harry nie ruszył się, więc Sandra sama sięgnęła po jego spodnie i wyjęła portfel. Birgitta osunęła się na krzesło i przez chwilę słychać było jedynie ciche, skupione liczenie Sandry i zduszony szloch Birgitty.

– Wychodzę – oświadczyła Sandra, gdy uznała, że dosyć, i zniknęła w drzwiach.

– Zaczekaj! – zawołał Harry, ale było za późno. Drzwi się zatrzasnęły.

– Zaczekaj?! – krzyknęła Birgitta. – Powiedziałeś „zaczekaj”?! – krzyknęła głośniej, podrywając się z krzesła. – Ty cholerny dziwkarzu! Przeklęty pijaku! Nie masz prawa...

Harry próbował ją objąć, ale mu się nie udało. Stali naprzeciwko siebie niczym dwaj zapaśnicy. Birgitta wyglądała, jakby była w transie. Oczy

miała błyszczące, zaślepione nienawiścią, a usta drżały jej z gniewu. Harry pomyślał, że gdyby mogła go zabić, zrobiłaby to bez wahania.

– Birgitto, ja...

– Zapij się na śmierć i wynoś się z mojego życia! – Odwróciła się na pięcie i wybiegła. Cały pokój aż zadrżał, kiedy trzasnęła drzwiami.

Zadzwoił telefon. To była recepcja.

– Co tam się dzieje, panie Holy? Pani z sąsiedniego pokoju dzwoni...

Harry odłożył słuchawkę. Ogarnęła go gwałtowna i dzika wściekłość. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby zniszczyć. Złapał w końcu butelkę whisky ze stołu, żeby rzucić nią o ścianę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Trwający cały życie trening w panowaniu nad sobą, pomyślał, otworzył butelkę i przyłożył ją do ust.

Zadzwoiły klucze, Harry'ego obudził odgłos otwieranych drzwi.

– Tylko nie *room service*! Proszę przyjść później! – krzyknął w poduszkę.

– Panie Holy, reprezentuję dyrekcję hotelu.

Harry obrócił się. Do pokoju weszli dwaj mężczyźni w garniturach. Zatrzymali się w odpowiedniej odległości od łóżka, lecz mimo wszystko wyglądali na bardzo zdecydowanych. W jednym Harry rozpoznał recepcjonistę dyżurującego ubiegłej nocy.

Drugi z mężczyzn ciągnął:

– Złamał pan regulamin naszego hotelu. Przykro mi, ale musimy prosić, aby pan jak najszybciej uregulował rachunek i opuścił hotel, panie Holy.

– Regulamin hotelu? – Harry czuł, że musi się wyrzygać.

Garnitur chrząknął.

– Przyprowadził pan do pokoju kobietę, która, jak podejrzewamy, jest... hm... prostytutką. Poza tym hałasami obudził pan większość gości na piętrze. Jesteśmy szanowanym hotelem i musimy bronić się przed takimi awanturami, jak z pewnością pan rozumie, panie Holy.

Harry burknął coś w odpowiedzi i obrócił się plecami.

– W porządku, panowie przedstawiciele kierownictwa hotelu. I tak

dzisiaj wyjeżdżam. Dajcie mi się wyspać w spokoju, dopóki się nie wymelduję.

– Pan już dawno powinien się wymeldować, panie Holy – oświadczył recepcjonista.

Harry zmrużył oczy i popatrzył na zegarek. Był kwadrans po drugiej.

– Próbowaliśmy pana budzić.

– Mój samolot... – Harry spróbował spuścić nogi z łóżka. Po dwóch próbach poczuł wreszcie stały grunt pod nogami. Zapomniał, że jest nagi, recepcjonista i ten drugi cofnęli się przerażeni. Sufit nad głową Harry'ego zrobił dwa okrążenia, świat zawirował i Harry musiał przysiąc na łóżku. W końcu zwymiotował.

# BUBBUR

## 14. RECEPCJONISTA, DWAJ BRAMKARZE I FACET NAZYWANY SPEEDY

Kelner w Bourbon & Beef zabrał nietknięte jajka sadzone na grzance i ze współczuciem popatrzył na gościa, który od tygodnia przychodził tu co rano, czytał gazetę i jadł śniadanie. W niektóre dni wyglądał co prawda na zmęczonego, ale nigdy nie był w takim stanie jak dzisiaj. W dodatku zjawił się dopiero prawie wpół do trzeciej.

– Ciężka noc, *sir*?

Gość siedział z walizką przy stoliku, nieogolony, i zaczerwienionymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

– Tak, to była ciężka noc. Zrobiłem... dużo.

– To dobrze. Po to jest King's Cross. Coś jeszcze, *sir*?

– Dziękuję, ale muszę zdążyć na samolot...

Kelner westchnął w duchu. Polubił już tego spokojnego Norwega, który sprawiał wrażenie nieco samotnego, ale był życzliwie usposobiony i hojnie dawał napiwki.

– Tak, widziałem walizkę. Jeśli to oznacza, że nie zobaczymy pana przez dłuższy czas, poproszę, żeby dziś nie wystawiono panu rachunku. Jest pan pewien, że nie mogę zaproponować bourbona, Jacka Danielsa? Rozchodniaczka, *sir*.

Norweg popatrzył na niego zdziwiony, jak gdyby kelner właśnie

zapropował coś, na co on sam nie wpadł, a co przez cały czas właściwie było oczywiste.

– Podwójnego, bardzo proszę.

Właściciel Springfield Lodge miał na imię Joe i był sympatycznym facetem z nadwagą. Od blisko dwudziestu lat starannie i mądrze prowadził swój niewielki, nieco zniszczony przybytek na King's Cross. Nie był to ani lepszy, ani gorszy hotel z dolnego końca skali cen w okolicy i mało kto, jeśli ktoś w ogóle, się skarżył. Po pierwsze, dlatego że, jak już wspomniano, Joe był sympatycznym facetem, po drugie, zawsze nalegał, żeby goście najpierw obejrzeni pokój, i opuszczał cenę o pięć dolarów, jeżeli ktoś zatrzymywał się na dłużej niż jedną noc. Po trzecie – i być może najważniejsze – udawało mu się w miarę możliwości nie wpuszczać włóczęgów, pijaków, narkomanów i prostytuttek.

Nawet niechciani goście lubili Joego. W Springfield Lodge nikt nie natykał się na badawcze spojrzenia ani na ostre słowa nakazujące się wynosić, tylko na przepraszający uśmiech i wiadomość, że niestety, wszystkie pokoje są zajęte, ale może w przyszłym tygodniu ktoś odwoła rezerwację i wtedy zapraszamy. Dzięki niezłej znajomości ludzi, a także prędkiej i pewnej klasyfikacji osób poszukujących dachu nad głową, Joe decydował się bez chwili wahania, nie uciekając wzrokiem, dlatego raczej nie miewał kłopotów z awanturniczymi typami. Rzadko nie trafiał z oceną człowieka, który stał przed nim, a pomyłki zawsze gorzko żałował.

Parę podobnych sytuacji przejrzał w pamięci, gdy pospiesznie usiłował podsumować wrażenie, jakie zrobił na nim ten jasnowłosy wysoki mężczyzna. Nosił proste, dobrej jakości ubranie, co oznaczało, że ma pieniądze, lecz że nie musi ich koniecznie wydawać. Fakt, że to cudzoziemiec, stanowił duży plus, gdyż problemy stwarzali na ogół Australijczycy. *Backpackers*, włóczędzy z plecakami, oznaczali na ogół dzikie imprezowanie i skradzione ręczniki, ale ten człowiek miał walizkę, która wyglądała w dodatku na dobrze zapakowaną i na tyle mało zniszczoną, że nie należała raczej do osoby stale podróżującej. Wprawdzie mężczyzna był nieogolony, ale fryzura świadczyła o tym, że niedawno



musiał być u fryzjera, paznokcie miał czyste i krótko obcięte, a źrenice w miarę normalnej wielkości.

Suma tego wszystkiego oraz fakt, że mężczyzna położył przed nim na ladzie kartę Visa i wylegitymował się jako policjant z Norwegii, sprawiły, że zwykle tak prędkie „niestety, ale...” jakoś utknęło.

Nie było bowiem najmniejszych wątpliwości, że ten człowiek jest pijany, właściwie kompletnie pijany.

– Wiem, pan widzi, że wypilem kilka drinków – poświadczył gość bełkotliwym, lecz zaskakująco dobrym angielskim, kiedy wyczuł wahanie Joego. – Załóżmy, że zacznę szaleć w pokoju. Wyjdźmy od tego. Zniszczę telewizor i lustro w łazience, narzygam na dywan. Takie rzeczy już się zdarzały. Czy depozyt w wysokości tysiąca dolarów pokryje większość strat? Poza tym mam zamiar pozostać tak pijany, że nie będę w stanie hałasować. Nie będę dokuczał innym gościom ani pokazywał się za często na korytarzu i w recepcji.

– Niestety, ale w tym tygodniu mamy pełne obłożenie. Być może...

– Greg z Bourbon & Beef polecił mi to miejsce i prosił, żebym pozdrowił Joego. To pan?

Joe długo patrzył na gościa.

– Obym tego nie żałował – powiedział w końcu i dał mu klucz do pokoju 73.

– Halo?

– Cześć, Birgitto, mówi Harry. Ja...

– Mam teraz gościa, Harry, nie mogę z tobą rozmawiać.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że nie chciałem...

– Posłuchaj, Harry. Nie jestem zła i nic się nie stało. Na szczęście facet, którego zna się zaledwie tydzień, nie może zranić aż tak bardzo głęboko, ale wolałabym, żebyś się ze mną nie kontaktował, w porządku?

– No, nie, właściwie nie...

– Mówiłam już, że mam gościa, więc życzę ci przyjemnego pobytu i szczęśliwej podróży do Norwegii. Cześć.

– Cześć.

Teddy'emu Mongabi nie podobało się, że Sandra zniknęła na całą noc z tym skandynawskim policjantem. Uważał, że to na odległość cuchnie kłopotami. Gdy ujrzał tego człowieka nadchodzącego Darlinghurst Road na uginających się nogach z opuszczonymi rękami, jego pierwszym odruchem było zrobić dwa kroki w tył i zniknąć w tłumie. Ciekawość jednak zwyciężyła, założył więc ręce na piersi i zastąpił drogę zataczającemu się policjantowi. Mężczyzna próbował go obejść, lecz Teddy złapał go za ramię i obrócił w swoją stronę.

– Nie witasz się z przyjaciółmi, stary?

Stary popatrzył na niego zamglonym wzrokiem.

– Alfons – powiedział obojętnie.

– Mam nadzieję, że Sandra sprostала oczekiwaniom, konstablu.

– Sandra? Zaraz, zaraz... była świetna. Gdzie ona jest?

– Ma dzisiaj wolne. Ale może skusiłbym konstabla czym innym?

Policjant zrobił krok, żeby nie upaść.

– Oczywiście, oczywiście, słucham.

Teddy roześmiał się.

– Tędy, konstablu. – Podtrzymał pijanego Norwega na schodach prowadzących do klubu i usadził go naprzeciwko siebie przy stoliku z widokiem na scenę. Strzelił palcami i natychmiast pojawiła się skąpo ubrana kobieta.

– Daj nam dwa piwa, Amy. I poproś Claudię, żeby dla nas zatańczyła.

– Następny występ zaczyna się dopiero o ósmej, panie Mongabi.

– Możesz to nazwać dodatkowym pokazem. Idź już, Amy.

– Dobrze, panie Mongabi.

Policjant zaczął się idiotycznie uśmiechać.

– Wiem, kto przyjdzie – powiedział. – Morderca. To morderca przyjdzie.

– Kto?

– Nick Cave.

– Jaki Nick?

– I ta blondynka, piosenkarka. Ona pewnie też nosi perukę. Posłuchaj...

Dudnienie w rytmie disco wyłączono i policjant podniósł w górę dwa palce wskazujące, jakby miał zamiar dyrygować orkiestrą symfoniczną, ale

na dalszą muzykę trzeba było poczekać.

– Słyszałem o Andrew – powiedział Teddy. – To straszne. Naprawdę okropne. Zrozumiałem, że się powiesił. Możesz mi wytłumaczyć, co, na miłość boską, sprawia, że taki wesoły, cieszący się życiem człowiek...

– Sandra nosi perukę – przerwał mu policjant. – Wypadła jej z torebki. To dlatego jej nie poznałem, kiedy ją tu spotkałem. Właśnie tutaj. Andrew i ja siedzieliśmy przy tamtym stoliku. Widziałem ją kilka razy na Darlinghurst w pierwszych dniach po przyjeździe, ale wtedy miała perukę. Jasną perukę. Dlaczego już jej nie nosi?

– Aha, konstabl woli blondynki. Wobec tego mam chyba coś odpowiedniego...

– Dlaczego?

Teddy wzruszył ramionami.

– Sandra? Nie wiem. Kilka dni temu pewien facet za mocno nią potrząsnął. Sandra twierdziła, że to ma jakiś związek z peruką, i postanowiła na jakiś czas z niej zrezygnować. Na wypadek gdyby on znów się pojawił.

– Kto?

– Nie wiem, konstablu. A nawet gdybym wiedział, i tak bym nie powiedział. W naszym fachu dyskrecja jest cnotą. Sądzę, że i ty cenisz ją wysoko. Mam słabą pamięć do imion, ale czy ty nie nazywasz się Ronny?

– Harry. Muszę porozmawiać z Sandrą. – Harry usiłował stanąć na nogi, o mało nie wytrącił przy tym tacy z rąk Amy, która przyniosła piwo. Ciężko pochylił się nad stołem. – Gdzie ona mieszka? Masz numer telefonu, alfonsie?

Teddy dał Amy znak, żeby odeszła.

– Z zasady nie podajemy klientom adresów ani numerów telefonów do dziewczyn. Chodzi o bezpieczeństwo, rozumiesz? Na pewno rozumiesz. – Teddy żałował, że nie posłuchał impulsu i nie schował się przed tym pijanym upartym Norwegiem.

– Rozumiem. Daj mi ten numer.

Teddy uśmiechnął się.

– Mówiłem już, że nie dajemy...

– Dawaj! – Harry złapał za kołnierz gładkiej szarej marynarki,

dmuchnął Teddy'emu w twarz mieszaniną odoru whisky i wymiocin. Z głośników popłynęła słodka muzyka smyczków.

– Liczę do trzech, konstablu. Jeśli mnie nie puścisz, wezwę Ivana i Geoffa. To oznacza spacerek tylnymi drzwiami. A za tylnymi drzwiami są schody, strome, dwadzieścia stopni z cementu.

Harry uśmiechnął się i ścisnął go mocniej.

– To by mnie miało przestraszyć, cholerny alfonsie? Spójrz na mnie. Jestem tak pijany, że nic nie czuję. Cholera, jestem niezniszczalny, człowieku! Geoff! Ivan!

W cieniach za barem coś się poruszyło. Kiedy Harry odwrócił głowę, żeby to zobaczyć, Teddy szarpnął się i wyzwolił z jego uścisku. Pchnął Harry'ego, który się przewrócił, pociągając za sobą swoje krzesło i stół. Potem zamiast wstać, wybuchnął śmiechem na widok Geoffa i Ivana, którzy pojawili się i pytająco spojrzeli na Teddy'ego.

– Wyprowadźcie go tylnymi drzwiami – rozkazał Teddy, a czarna góra mięśni w smokingu podniosła Harry'ego z podłogi i przerzuciła sobie przez ramię jak szmacianą lalkę. – Nie rozumiem, co dziś ludzi nachodzi – oświadczył Teddy, poprawiając marynarkę, na której nie było ani jednej zmarszczki.

Ivan poszedł przodem i otworzył drzwi.

– Czego ten gość się nażarł? – spytał Geoff. – Cały się trzęsie ze śmiechu.

– Zobaczymy, jak długo będzie się tak śmiał – odparł Ivan. – Postaw go tutaj!

Geoff ostrożnie postawił Harry'ego, który zaczął się lekko chwiać.

– Potrafi pan dotrzymać tajemnicy? – spytał Ivan z uśmiechem zawstydzenia i ze spuszczoneym wzrokiem. – Wiem, że to banał powtarzany przez superłotrów, ale nienawidzę przemocy.

Geoff prychnął.

– Przestań, Geoff, naprawdę tak jest. Możesz spytać ludzi, którzy mnie znają. Powiedzą ci: „On tego nie znosi, nie może spać i wpada przez to w depresję”. Świat to i tak dostatecznie twarde miejsce dla nieszczęśnika, dlatego nie należy mu utrudniać życia łamaniem rąk i nóg. Zgadzasz się? Dlatego wróć do domu i kończymy awanturę, zgoda?

Harry pokiwał głową, szukając czegoś w kieszeniach.

– Chociaż dzisiaj to ty okazałeś się łajdakiem – powiedział Ivan. – Ty. – Pchnął Harry'ego palcem w pierś. – Ty – powtórzył i pchnął go jeszcze mocniej.

Jasnowłosy policjant niebezpiecznie się zachwiał.

–Ty!

Harry zakołysał się na piętach, wywijając rękami. Nie odwrócił się wcześniej, żeby zobaczyć, co ma za sobą, ale prawdopodobnie i tak to rozumiał. Kiedy napotkał wzrok Ivana, uśmiechnął się szeroko. Upadł do tyłu i jęknął, gdy plecami i karkiem uderzył o pierwsze stopnie. Przez resztę drogi nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Joe usłyszał skrobanie do drzwi wejściowych, a kiedy przez szybę zobaczył nowego gościa zgiętego w pół, wiedział już, że popełnił jeden ze swoich rzadkich błędów. Gdy otworzył drzwi, gość poleciał prosto na niego. Gdyby nie to, że Joe miał środek ciężkości położony dość nisko, upadliby obaj. Joe zarzucił sobie rękę gościa na ramię i podtrzymując go, poprowadził do krzesła w recepcji, gdzie uważnie mu się przyjrzał. Wprawdzie jasnowłosy pijaczyna nie przedstawiał sobą pięknego widoku, gdy się wprowadzał, ale teraz wyglądał naprawdę źle. Z jednego łokcia zdarł kawał skóry, widać było żywe mięso. Policzek był spuchnięty, a z nosa na brudne spodnie kapąła krew. Koszulę miał podartą, a w piersiach paskudnie mu grało, kiedy oddychał. Ale przynajmniej udawało mu się zaczerpnąć oddechu.

– Co się stało? – spytał Joe.

– Spadłem ze schodów. Nic złego sobie nie zrobiłem, muszę tylko trochę poleżeć.

Joe nie był lekarzem, lecz po odgłosach przy oddychaniu uznał, że gość musi mieć złamane jedno albo i dwa żebra. Znalazł maść odkażającą i plaster, wyłatał gościa w najgorszych miejscach i wepchnął mu do dziurki w nosie tampon z waty. Kiedy chciał mu dać coś przeciwbólowego, gość pokręcił głową.

– Mam środek przeciwbólowy w pokoju – powiedział.

- Tobie potrzeba doktora – stwierdził Joe. – Pójdę...
- Tylko bez doktora. Za parę godzin wszystko będzie w normie.
- Ten oddech nie jest najlepszy.
- Nigdy nie był dobry. Mam astmę. Pozwól mi spędzić dwie godziny w łóżku, to się wyniosę.

Joe westchnął. Zdawał sobie sprawę z tego, że popełnia błąd numer dwa.

- O tym możesz zapomnieć. Potrzeba ci więcej niż dwóch godzin. W dodatku to nie twoja wina, że tu, w Sydney, schody są tak piekielnie strome. Zajrzę do ciebie rano.

Pomógł gościowi dostać się do pokoju, położył go do łóżka i ściągnął mu buty. Na stole stały dwie puste i dwie nieotwarte butelki whisky Jim Beam. Joe był abstynentem, ale żył już dostatecznie długo, by wiedzieć, że z alkoholem nie można dyskutować. Otworzył jedną butelkę i postawił mu na nocnym stoliku. Facet i tak będzie cierpiał, kiedy się obudzi.

- Kryształowy Zamek, słucham?
- Halo, czy mogę mówić z Margaret Dawson?
- Przy telefonie.
- Mogę pomóc pani synowi, jeśli powie mi pani, że on zabił Inger Holter.
- Co? Kto mówi?
- Przyjaciel. Musi mi pani zaufać, pani Dawson, jeśli nie chce pani, żeby syn zginął. Rozumie pani? Czy on zabił Inger Holter?
- Co to ma znaczyć? Jakiś żart? Kto to jest Inger Holter?
- Pani jest matką Evansa, pani Dawson. Inger Holter też miała matkę. Pani i ja jesteśmy jedynymi osobami, które mogą pomóc pani synowi. Proszę powiedzieć, że on zabił Inger Holter, słyszy pani?
- Słyszę, że pan jest pijany. Dzwonię na policję.
- Niech pani to powie.
- Odkładam słuchawkę.
- Niech pani... Przekłęta suka!

Alex Tomaros założył ręce za głowę i odchylił się na krześle, kiedy Birgitta weszła do jego biura.

– Siadaj, Birgitto.

Usiadła przed skromnym biurkiem Tomarosa, a Alex wykorzystał okazję, by uważniej jej się przyjrzeć. Wyglądała na zmęczoną. Oczy miała podkrążone. Była smutna i jeszcze bledsza niż zwykle.

– Kilka dni temu przesłuchiwał mnie policjant, Birgitto. Pewien pan o nazwisku Holy, cudzoziemiec. Z rozmowy wynikało, że rozmawiał z kilkoma osobami z personelu i otrzymał informacje... niedyskretnej natury. Oczywiście wszyscy jesteśmy zainteresowani złapaniem mordercy Inger, ale chciałbym ci zwrócić uwagę na to, że podobne wypowiedzi mogą w przyszłości zostać potraktowane jako... brak lojalności. I nie muszę ci chyba tłumaczyć, że w branży jest teraz na tyle ciężko, że nie stać nas na płacenie ludziom, do których nie możemy mieć zaufania.

Birgitta nic nie powiedziała.

– Dzwonił tu dzisiaj pewien człowiek i przypadkiem to ja odebrałem telefon. Próbował wprawdzie zmienić głos, ale rozpoznałem ten akcent. To znów był pan Holy i pytał o ciebie, Birgitto.

Głowa Birgitty poderwała się gwałtownie.

– Harry? Dzisiaj?

Alex zdjął okulary.

– Wiesz, że mi się podobasz, Birgitto. I traktuję ten... hm... przeciek nieco osobiście. Sądziłem, że z czasem będziemy mogli zostać naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Nie bądź więc głupia i nie psuj wszystkiego.

– Dzwonił z Norwegii?

– Żałuję, że nie mogę tego potwierdzić, ale, niestety, brzmiało to jak lokalne połączenie. Dobrze wiesz, że nie mam nic do ukrycia, Birgitto, a przynajmniej nic, co miałoby jakieś znaczenie dla tej sprawy. A przecież oni właśnie tego szukają, prawda? Nie pomożesz Inger, gadając o wszystkim innym. Czy mogę ci więc ufać, kochana Birgitto?

– Czym jest to wszystko inne, Alex?

Tomaros zrobił zdumioną minę.

– Myślałem, że może Inger ci opowiadała? O przejażdżce.

– O jakiej przejażdżce?

– Po pracy. Uważałem Inger za bardzo otwartą dziewczynę i trochę straciłem kontrolę. Miałem ją tylko odwiedzić do domu, nie chciałem jej przestraszyć, ale obawiam się, że ona przyjęła mój żarcik nieco zbyt dosłownie.

– Nie wiem, o czym ty pleciesz, Alex, i chyba nie chcę tego wiedzieć. Czy Harry mówił, gdzie jest? Powiedział, że jeszcze zadzwoni?

– Chwileczkę. Jesteś po imieniu z tym facetem i czerwienisz się, gdy tylko wspomnę jego nazwisko. Co tu się właściwie dzieje? Czy coś was łączy?

Birgitta zrozpaczona rozcierała dłonie. Alex wychylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę, żeby pogładzić ją po włosach, ale odepchnęła ją zirytowanym gestem.

– Przestań, Alex! Jesteś głupkiem, mówiłam ci to już wcześniej. Kiedy Harry zadzwoni następnym razem, nie zachowuj się jak dureń, tylko spytaj, gdzie go znaję, okej?

Wstała i wyszła.

Speedy po wejściu do The Cricket nie mógł uwierzyć własnym oczom. Burroughs za barem wzruszył ramionami.

– Siedzi tu od dwóch godzin. Jest nieźle pijany.

W samym rogu przy ich stałym stoliku siedział mężczyzna, który pośrednio przyczynił się do tego, że dwaj kumple Speedy'ego trafili do szpitala. Speedy sprawdził, czy ma swój niedawno kupiony HK45 ACP w kaburze na łydce, i podszedł do stolika. Facetowi broda opadła na pierś, wyglądał, jakby spał. Na stoliku przed nim stała opróżniona w połowie butelka whisky.

– Hej! – zawołał Speedy.

Facet uniósł głowę i powitał go debilnym uśmiechem.

– Czekałem na ciebie – wybełkotał.

– Pomyliłeś stoliki. – Speedy nie ruszał się z miejsca. Miał przed sobą ciężki wieczór i nie mógł ryzykować opóźnienia przez tego idiotę. W każdej chwili spodziewał się wizyty paru klientów.

– Chcę, żebyś najpierw coś mi powiedział.



– A dlaczego miałbym ci coś mówić? – Speedy czuł nacisk pistoletu na nodze.

– Ponieważ właśnie tu prowadzisz interesy i właśnie teraz wszedłeś, więc to najlepszy moment w ciągu dnia: jesteś najbardziej wrażliwy, bo masz towar przy sobie. I nie zechcesz, żebym cię przeszukiwał przy tylu świadkach. Nie siadaj.

Dopiero teraz Speedy dostrzegł lufę Hi-Power, który facet trzymał na kolanach i którym z pozoru nonszalanckim gestem celował w niego.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak często Andrew Kensington kupował u ciebie i kiedy przyszedł ostatnio?

Speedy usiłował myśleć. Nienawidził broni palnej skierowanej w siebie.

– Masz przy sobie magnetofon, gliniarzu?

Gliniarz się uśmiechnął.

– Uspokój się. Zeznanie pod lufą pistoletu się nie liczy. Najgorsza rzecz, jaka może cię spotkać, to to, że cię zastrzele.

– Okej, okej.

Speedy poczuł, że zaczyna się pocić. Próbował zmierzyć odległość do własnej kabury.

– Jeśli to, co słyszałem, nie mijalo się z prawdą, to on nie żyje. W niczym więc chyba nie zaszkodzę. On był ostrożny. Nie chciał mieć przy sobie za dużo. Kupował dwa razy w tygodniu. Za każdym razem jedną torebkę. Stałe zlecenie.

– Ile czasu upłynęło między ostatnim zakupem a dniem, kiedy przyszedł tu pograć w krykieta?

– Trzy dni. Miał się zjawić następnego dnia.

– Zdarzało się, żeby kupował u innych?

– Nigdy. Wiem to na pewno. Takie historie to rzecz bardzo osobista. Można powiedzieć, kwestia zaufania. W dodatku był policjantem i nie mógł się przesadnie afiszować.

– To znaczy, że kiedy tu przyszedł, prawie już nie miał towaru. A kilka dni później mimo wszystko ma dosyć na przedawkowanie, które prawdopodobnie by go zabiło, gdyby nie udusił go przewód. Jak ci się to wszystko układa?

– Przecież poszedł do szpitala. Na pewno głód kazał mu stamtąd uciec. Kto wie, może miał coś w rezerwie?

Gliniarz westchnął zmęczony.

– Masz rację – powiedział. Schował pistolet pod marynarkę i sięgnął po stojącą przed nim szklanekę. – Wszystko na tym świecie jest zadzumione tymi wszystkimi „może”. Dlaczego nikt tego nie przetnie i nie powie, że tak po prostu jest, basta, dwa i dwa to tyle i tyle. Ułatwiłoby to życie mnóstwu ludzi, uwierz mi.

Speedy zaczął już podciągać nogawkę, ale zrezygnował.

– A gdzie się podziała strzykawka? – mruknął gliniarz właściwie do siebie.

– Co? – zdziwił się Speedy.

– Nigdzie nie znaleźliśmy strzykawki. Może wrzucił ją do kibla. Sam mówiłeś, że był ostrożny. Nawet tuż przed śmiercią.

– Może szarpniesz się na szklaneczkę? – Speedy usiadł.

– Sam decydujesz o swojej wątrobie – odparł gliniarz i przysunął mu butelkę.

## 15. ERIK MYKLAND, SKOKI ZE SPADOCHRONEM

### I ROKOKOWA SOFA

Harry poprzez dym wbiegł w zaułek. Zespół grał tak głośno, że wszystko wokół niego wibrowało. Unosił się kwaśny zapach siarki, a chmury wisiały tak nisko, że zaczepiał o nie głową. Przez ścianę hałasu przedarł się mimo wszystko jeden dźwięk, intensywny zgrzyt, który znalazł dla siebie wolną częstotliwość. Było to zgrzytanie zębów i smyczy ciągniętych po asfalcie. Pędziła za nim wataha psów.

Zaułek robił się coraz węższy, aż w końcu Harry musiał biec z rękami wyciągniętymi przed siebie, żeby nie utknąć między wysokimi czerwonymi murami. Podniósł głowę. Z okien wysoko w murze wystawały małe główki. Powiewały niebieskozielonymi flagami i do wtóru ogłuszającej muzyki śpiewały:

– Szczęśliwy kraj, szczęśliwy kraj, żyjemy w szczęśliwym kraju!

Harry słyszał za plecami mokre ujadanie. Krzyknął i upadł. Ku jego wielkiemu zdziwieniu wokół niego zrobiło się ciemno. Zamiast nieprzyjemnie spotkać się z asfaltem, dalej leciał w dół. Musiał wpaść w jakąś dziurę w ziemi i albo spadał bardzo wolno, albo też dziura była bardzo głęboka, bo cały czas opadał. Muzyka coraz bardziej cichła w oddali, a kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył, że boki tej jamy mają okna, przez które mógł zajrzeć do cudzych domów.

O rany, czyżbym przeleciał przez całą ziemię? – pomyślał.

– Pan jest Szwedem – rozległ się kobiecy głos.

Harry rozejrzał się, a wtedy powróciło światło i muzyka. Znajdował się na otwartym placu, była noc, a na estradzie za jego plecami grał jakiś zespół. On sam stał zwrócony w stronę wystawy sklepowej, a konkretnie sklepu z telewizorami, na której każdy z tuzina odbiorników pokazywał program innego kanału.

– Pan też wyszedł uczcić Australian Day? – spytał inny głos, tym razem męski, ale w znajomym języku.

Harry odwrócił się. Przed nim stała jakaś uśmiechnięta para. Nakazał kącikom ust odwzajemnić uśmiech, lecz mógł tylko mieć nadzieję, że go usłuchają. Pewne napięcie w twarzy wskazywało jednak, że wciąż choć trochę panuje nad mimiką, z innych reakcji musiał zrezygnować. Podświadomość się bowiem zbuntowała, akurat w tej chwili trwała walka zmysłu wzroku ze słuchem. Mózg na pełnych obrotach usiłował stwierdzić, co się dzieje, a to nie było wcale proste, gdyż przez cały czas bombardowany był zniekształconymi i po części absurdalnymi informacjami.

– Jesteśmy Duńczykami. Mam na imię Poul. A to moja żona Gina.

– Dlaczego uważacie mnie za Szweda? – Harry usłyszał teraz swój własny głos.

Duńczycy popatrzyli na siebie.

– Mówił pan do siebie, nie zdawał pan sobie z tego sprawy? Oglądał pan telewizję i pytał, czy Alicja przeleci na drugą stronę ziemi. I przeleciała! Cha, cha!

– Ach, o to chodzi? – Harry nie miał pojęcia, o czym mówią.

– To zupełnie coś innego niż nasza noc świętojańska, prawda? Kupa śmiechu. Słysząc huk fajerwerków, ale nic nie widać przez tę mgłę. Z tego, co wiemy, sztuczne ognie podpaliły kilka drapaczy chmur. Cha, cha! Czujecie pan zapach prochu? To wilgoć sprawia, że snuje się tuż przy ziemi. Pan też jest turystą?

Harry zastanowił się. Musiał zastanawiać się bardzo dokładnie, bo kiedy był gotów do odpowiedzi, Duńczycy już odeszli.

Znów skierował uwagę na ekrany telewizorów. Na jednym widać było płonące wzgórza, na innym tenis. To były doroczne wydarzenia w Melbourne. Pożar buszu i Australian Open. Nastolatek w bieli stawał się milionerem, a jednocześnie kilka kilometrów dalej jakaś rodzina traciła dom. Na innym ekranie pokazywano panią premier Norwegii Gro Harlem Brundtland, a po niej norweskie łodzie rybackie i granatowoczarne cielska wielorybów, zanurzające się i wynurzające z wody. Jakby tego nie było dość, na czwartym zobaczył najwyraźniej norweską drużynę piłki nożnej w akcji przeciwko jakiemuś zespołowi w białych strojach. Harry'emu przypomniło się, że w „Sydney Morning Herald” pisano coś o meczach

między Australią i Nową Zelandią a Norwegią. Nagle na zbliżeniu ukazał się piłkarz, Erik „Myggen” Mykland, i Harry głośno się roześmiał.

– Ty też tu jesteś, Myggen? – szepnął do chłodnej szyby. – Czy tylko ja mam halucynacje? Co powiesz na kawałek kwasu, Myggen?

– Oszalałeś? Jestem idolem młodzieży – odparł Myggen. – Hendrix bierze, Bjørneboe bierze, Harry Hole bierze.

– Kwas rozjaśnia wzrok, Myggen, a nawet więcej – sprawia, że dostrzegasz związki, które w istocie nie istnieją – roześmiał się Harry.

Myggen nie wcelował w mur.

– Możesz nawet rozmawiać przez szybę z telewizorem i słuchać odpowiedzi. Znasz Roda Stewarta? Zafundował mi ten mały papierek. Teraz mój mózg odbiera jednocześnie sześć programów telewizyjnych, dwoje Duńczyków i zespół. Tę substancję powinni zalegalizować już dawno, Myggen, co ty na to?

W wiadomościach telewizyjnych pokazywali zdjęcia windsurferów, zapłakaną kobietę i kawałki żółtego kombinezonu z pianki z wielkimi śladami zębów.

– To Upiór z Otchłani wybrał się na spacer z oceanarium, Myggen. Śniadanie na trawie, cha, cha!

Na sąsiednim ekranie powiewały na wietrze pomarańczowe policyjne taśmy, a umundurowani policjanci krążyli z jakimiś torbami. Potem ekran wypełniła duża blada twarz. Było to złe, upozowane zdjęcie jasnowłosej nieładnej dziewczyny. Miała w oczach smutek, jak gdyby było jej przykro, że nie jest ładniejsza.

– Uroda to dziwna rzecz – mruknął Harry. – Wiedziałeś, że...

Przed kamerą za plecami policjanta, z którym przeprowadzano wywiad, przeszedł Lebie.

– Cholera! – krzyknął Harry. – Niech to piekło pochłonie! – Płaską dłonią uderzył w szybę. – Podkręćcie głos! Pogłośnijcie, wy tam w środku! Ktoś...

Obraz zmienił się w mapę pogody wschodniego wybrzeża Australii. Harry przycisnął nos do szyby, a na wyłączonym ekranie zobaczył odbicie twarzy Johna Belushi.

– Czy ja sobie po prostu coś wmówiłem, Myggen? Pamiętaj, że jestem

teraz pod wpływem bardzo silnego halucynogenu.

Myggen spróbował dryblingu, lecz odebrano mu piłkę.

– Popraw się! Do cholery, musisz się poprawić!

– Wpuście mnie! Muszę z nią porozmawiać!

– Idź do domu i się wyśpij! Pijanych... Hej!

– Wpuście mnie! Przecież wam tłumaczę, że jestem przyjacielem Birgitty. Ona pracuje w barze.

– Wiemy, ale nasza robota polega na niewpuszczaniu takich ludzi jak ty, pojmujesz to, blondasku?

– Au!

– Bądź cicho, bo inaczej będę musiał złamać ci rękę. Au, Bob, Bob!

– Przepraszam, ale mam już dosyć obmacywania. Dziękuję za miły wieczór.

– Co się stało, Nickie? To ten, tam?

– Jasny gwint! Zostaw go, niech biegnie. Wyrwał się i uderzył mnie w żołądek. Podaj mi rękę.

– Cholera, to miasto kompletnie wariuje. Oglądałeś wiadomości? Jeszcze jedna zgwałcona i uduszona dziewczyna. Znaleźli ją po południu w Centennial Park. Chyba, do cholery, przeniosę się z powrotem do Melbourne.

Harry obudził się z dudniącym bólem głowy. Światło kłuło go w oczy i ledwie zdążył zarejestrować, że leży pod wełnianym kocem, zanim musiał obrócić się na bok. Wymiotne skurcze następowały jeden po drugim, a treść żołądkowa chlustała na kamienną podłogę. W końcu osunął się z powrotem na ławkę, czując, jak żółć piecze w przewodach nosowych, i zadał sobie klasyczne pytanie: gdzie ja, na miłość boską, jestem?

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było to, że wchodził do Green Park i że bocian patrzył na niego z wyrzutem. Teraz wyglądało na to, że leży w okrągłym pomieszczeniu, w którym pod ścianami stoją ławki, a na środku kilka drewnianych stołów. Na ścianach wisiały narzędzia, łopaty, grabie i wąż do podlewania, a pośrodku podłogi był odpływ

do wody. Przez brudne okienka dookoła sączyło się światło, a kręcone żelazne schody prowadziły piętro wyżej. Pod schodami stało coś, co wyglądało na elektryczną kosiarkę do trawy. Nagle schody zaczęły się trząść i śpiewać, zszedł po nich jakiś człowiek.

– Dzień dobry, biały bracie – rozległ się głęboki głos, który wydał się Harry’emu znajomy. – Bardzo biały bracie – dodał mężczyzna, podchodząc bliżej. – Nie ruszaj się, leż!

To był Joseph, szary Aborygen. Człowiek z Ludzi-Wron. Odkręcił kran umocowany na ścianie, zdjął gumowy wąż i spłukał wymiociny.

– Gdzie ja jestem? – spytał Harry, żeby od czegoś zacząć.

– W Green Park.

– Ale...

– W altanie. Zasnąłeś na trawie, a zanosiło się na deszcz, więc zaciągnąłem cię tutaj.

– Ale...

– Spokojnie. Mam klucze. To mój drugi dom. – Wyjrzał przez okienko. – Ładny dziś dzień.

Harry spojrzał na Josepha, który wyglądał niezwykle rześko jak na menela.

– Znamy się z dozorcą już od pewnego czasu i mamy coś w rodzaju szczególnej umowy – wyjaśnił Joseph. – Zdarza mu się niekiedy wziąć sobie wolny dzień bez informowania o tym dyrekcji parku, a wtedy ja zajmuję się wszystkim, co trzeba zrobić. Trochę zbieram śmieci, opróżniam śmietniki, koszę trawę. W zamian za to mogę się tu czasami przechować. Zdarza się, że znajduję też coś do jedzenia, ale obawiam się, że nie dzisiaj.

Harry próbował wymyślić coś innego niż „ale”, lecz zrezygnował. Joseph natomiast był wyjątkowo rozmowny.

– Szczerze powiedziawszy, najbardziej mi się podoba taki układ, że od czasu do czasu mam co robić. To wypełnia dni i każe myśleć o czym innym. Chwilami wydaje mi się nawet, że mogę się do czegoś przydać.

Joseph uśmiechnął się szeroko i zakolysał głową. Harry nie mógł pojąć, że to ta sama osoba, która nie tak dawno trwała w stanie przypominającym śpiączkę i z którą na próżno usiłował nawiązać jakiś kontakt.

– Nie mogłem pojąć, co widzę, kiedy cię wczoraj zobaczyłem – ciągnął

Joseph. – Że jesteś tą samą osobą, która siedziała taka gładka i wyprostowana. No i dawałeś od siebie wyłudzać papierosy, i to zaledwie kilka dni wcześniej. A wczoraj nie można było z tobą nawiązać kontaktu. Cha, cha!

– Właśnie! – powiedział Harry.

Joseph wyszedł i wrócił z torbą frytek i kubkiem coli. Patrzył, jak Harry ostrożnie spożywa proste, lecz niezwykle efektywnie dodające sił śniadanie.

– Poprzedniczkę coca-coli wynalazł pewien amerykański aptekarz, który chciał zrobić środek na kaca – wyjaśnił Joseph. – Uznał jednak, że mu się nie powiodło, i sprzedał przepis za osiem dolarów. Ale moim zdaniem dotychczas nie wymyślono nic lepszego.

– A Jim Beam? – wymamrotał Harry między jednym kęsem a drugim.

– Tak, oprócz Jima Beama. No i Jacka i Johnny’ego, i jeszcze paru innych facetów. Cha, cha, jak się czujesz?

– Lepiej.

Joseph postawił na stole dwie butelki.

– Najtańsze wino z Hunter Valley – roześmiał się. – Czy blada twarz się ze mną napije?

– Bardzo dziękuję, Joseph, ale czerwone wino to nie moja... Nie masz nic innego? Na przykład czegoś brązowego?

– Myślisz, że prowadzę sklep?

Joseph sprawiał wrażenie odrobinę urażonego odmową.

Harry z wysiłkiem usiadł. Usiłował zrekonstruować dziurę w pamięci, rozciągając się od momentu, gdy wymachiwał przed Rodem Stewartem pistoletem, do chwili, gdy dosłownie padli sobie nawzajem w objęcia i podzielili się porcją kwasu. Nie zdołał sobie przypomnieć, co mogło prowadzić do takiej niezmaconej radości i wzajemnej sympatii, oprócz tego, co oczywiste, Jima Beama. Pamiętał natomiast, że pobił bramkarza w The Albury.

– Harry Hole, jesteś żalonym pijaczkiem – mruknął.

Usiedli w trawie przed altaną, słońce piekło w oczy, a od alkoholu



wypitego poprzedniego dnia swędziała skóra, lecz oprócz tego nie było najgorzej. Wiał lekki wietrzyk, położyli się na plecach i wpatrywali w białe kłęбки chmur, sunące wolno po niebie.

– Dobra pogoda na skoki – stwierdził Joseph.

– Ja nie mam zamiaru skakać – powiedział Harry. – Będę siedział nieruchomo, a w najgorszym razie się skradał.

Joseph mrużył oczy od światła.

– Nie miałem na myśli zwykłego skakania. Myślałem o skakaniu z nieba. Ze spadochronem.

– O rany, skaczesz ze spadochronem?

Joseph kiwnął głową.

Harry przesłonił ręką oczy i popatrzył w niebo.

– A co z tymi chmurami? Nie przeszkadzają?

– Żaden problem, to cirrusy. Chmury pierzaste. Znajdują się na wysokości ponad piętnastu tysięcy stóp.

– Zdziwiasz mnie, Joseph. Nie wiem, jak powinien wyglądać skoczek, lecz nie wyobrażałem sobie, że może być...

– Pijakiem?

– Na przykład.

– Cha, cha, to właściwie jedno i to samo.

– Naprawdę?

– Czy kiedykolwiek byłeś sam w powietrzu, Harry? Latałeś? Skakałeś z wielkiej wysokości i czułeś, jak powietrze próbuje cię utrzymać, jak przyjmuje i pieści twoje ciało?

Joseph zajrzał już dość głęboko do pierwszej butelki wina i jego głos nabrał cieplejszej barwy. Z błyszczącymi oczyma opowiadał Harry'emu o urokach swobodnego opadania.

– To otwiera wszystkie zmysły. Całe twoje ciało aż krzyczy, że nie możesz latać. Woła do ciebie: „Przecież ja nie mam skrzydeł!” i próbuje przekrzyczeć powietrze, które szumi w uszach. Ciało jest przekonane, że zginie, i włącza pełny alarm. Otwiera wszystkie zmysły na oścież, żeby sprawdzić, czy któryś z nich nie znajdzie jakiegoś rozwiązania. Twój mózg zmienia się w największy komputer świata, rejestruje wszystko. Skóra czuje wzrost temperatury w miarę spadania, uszy rejestrują wzrost ciśnienia,

zwracasz uwagę na każdą zmarszczkę i każdy odcień koloru na mapie, którą masz pod sobą. Możesz wręcz wyczuć zapach zbliżającej się ziemi. A jeśli na moment udaje ci się odepchnąć strach przed śmiercią gdzieś na tyły, Harry, to na moment stajesz się swoim własnym aniołem. W ciągu czterdziestu sekund przeżywasz całe życie.

– A jeśli nie uda ci się odepchnąć tego strachu?

– Nie chodzi o wyrzucenie go, tylko zepchnięcie gdzieś na bok. On musi tam być, niczym ostry wyraźny ton, jak dotyk zimnej wody na skórze. Bo to nie spadanie, tylko strach przed śmiercią otwiera zmysły. Zaczyna się jak pchnięcie, gwałtowna fala płynąca przez żyły w chwili, kiedy opuszczasz samolot. To jest jak zastrzyk. A potem strach miesza się z krwią i czyni cię szczęśliwym i silnym. Jeśli zamkniesz oczy, zobaczysz go pod postacią pięknego jadowitego węża, który spogląda na ciebie swoim wężowym wzrokiem.

– To przypomina narkotyk, Joseph.

– Bo to jest narkotyk. – Aborygen gestykułował teraz z ożywieniem. – Właśnie tak. Chcesz, żeby to spadanie trwało wiecznie, a jeśli skaczesz już od pewnego czasu, to zauważysz, że z coraz większym trudem przychodzi ci pociągnięcie za sznurek zwalniający spadochron. W końcu zaczynasz się bać, że pewnego dnia przedawkujesz i w ogóle nie pociągniesz. Przystajesz więc skakać. I właśnie wtedy czujesz, że się uzależniłeś. Abstynencja cię szarpie i niszczy. Życie wydaje się bezsensowne i trywialne, aż w końcu budzisz się wciśnięty za pilota w starej cессnie, której potrzeba całych wieków na wzniesienie się na dziesięć tysięcy stóp, a która mimo wszystko zżera wszystkie pieniądze, jakie udało ci się zaoszczędzić.

Joseph wciągnął powietrze i zamknął oczy.

– Krótko mówiąc, Harry, picie i skakanie niczym się od siebie nie różnią. Życie bez skakania staje się piekłem, lecz alternatywa jest jeszcze gorsza. Cha, cha.

Joseph uniósł się na łokciu i wypił łyk wina.

– Jestem ptakiem, który nie może już fruwać. Wiesz, co to emu, Harry?

– Struś australijski.

– Mądry chłopiec.

Kiedy Harry zamknął oczy, usłyszał głos Andrew, bo oczywiście to

Andrew leżał obok niego na trawie i rozprawiał o rzeczach ważnych i nieważnych.

– Słyszałeś historię o tym, dlaczego emu nie potrafi fruwać?

Harry pokręcił głową.

– Okej, no to posłuchaj, Harry. W Epoce Snu emu miał skrzydła i umiał latać. Razem z żoną mieszkał nad jeziorem, a ich córka poślubiła Jabiru, bociana. Pewnego dnia Jabiru wraz z żoną wybrali się na ryby. Złowili dużo i zjedli prawie wszystko. W pośpiechu zapomnieli zostawić najlepsze kąski dla teściów, jak to mieli w zwyczaju. Kiedy córka przyszła do rodziców z rybami, które zostały, jej ojciec, emu, wpadł we wściekłość. „Czyż ja nie oddaję wam tego, co najlepsze, kiedy wracam z polowania?” – spytał, a potem wziął pałkę i włócznię i wzleciał ponad Jabiru, żeby spuścić mu porządne lanie. Jabiru nie zamierzał jednak pozwolić się bić, złapał za wielką gałąź i wytrącił emu pałkę. Potem uderzył teścia najpierw w lewy, potem w prawy bok, łamiąc mu skrzydła. Emu opadł na ziemię, ale zdołał stanąć na nogi i rzucił w zięcia włócznią. Włócznia przeszła grzbiet Jabiru i wyszła mu ustami. Bocian oszalały z bólu poleciał na mokradła, gdzie, jak się później okazało, włócznia bardzo mu się przydała przy łapaniu ryb. Emu natomiast przeniósł się na suche równiny, gdzie do dzisiaj możesz go spotkać z krótkimi połamanymi skrzydłami, niezdolnymi, by unieść go w powietrze.

Joseph przystawił butelkę do ust, ale wypłynęło z niej zaledwie kilka kropli. Popatrzył na nią z urazą i z powrotem zakorkował. Otworzył drugą.

– Czy mniej więcej taka sama jest również historia o tobie, Joseph?

W butelce zabulgotało, w końcu był gotowy do opowieści.

– Przez osiem lat pracowałem jako instruktor skoków ze spadochronem w Cessnok. Tworzyliśmy bardzo zgraną grupę. Nikt się nie wzbogacił, ani my, ani właściciele klubu, prowadzonego wyłącznie z entuzjazmu. Pieniądze, które my, instruktorzy, zarobiliśmy, wydawaliśmy na własne skoki. Byłem dobrym instruktorem, niektórzy uważali, że najlepszym. A mimo to odebrano mi licencję z powodu pewnego nieszczęśliwego zdarzenia. Twierdzili, że byłem pijany podczas skoku z kursantem. Tak jakbym mógł zepsuć skok piciem.

– A co się stało?

– O co ci chodzi? Chcesz znać szczegóły?

– A co, spieszy ci się?

– Cha, cha, to dopiero!

Butelka błysnęła w słońcu.

– Okej, było tak: to był nieprawdopodobny zbieg nieszczęśliwych okoliczności, a nie mały drink na poprawę samopoczucia. Po pierwsze, pogoda. Kiedy wystartowaliśmy, warstwa chmur leżała na wysokości około ośmiu tysięcy stóp. Tak wysokie chmury nie stanowią problemu, bo za sznurek pociąga się dopiero na wysokości czterech tysięcy stóp. Ważne jest, żeby uczeń widział ziemię, kiedy spadochron się rozwinie, żeby nie poleciał po cholere gdzieś do Newcastle, tylko widział sygnały z ziemi, mówiące, jak ma sterować w zależności od wiatru i terenu, żeby bezpiecznie wylądować w strefie lądowania, prawda? Kiedy startowaliśmy, napływały także inne chmury, ale wyglądało na to, że są jeszcze daleko. Problem tkwił w tym, że klub miał starą cessnę, która trzymała się kupy wyłącznie dzięki mocnej taśmie samoprzylepnej, wieczornym modlitwom i dobrej woli. Potrzebowała ponad dwudziestu minut, żeby się wznieść na wysokość dziesięciu tysięcy stóp, z której mieliśmy skakać. Po starcie zaczęło wiać i kiedy już wznieśliśmy się ponad chmury na ośmiu tysiącach, przywiało pod nie drugą warstwę chmur, a my tego nie widzieliśmy, rozumiesz?

– Nie mieliście kontaktu radiowego z ziemią? Nie mogli wam powiedzieć o tych niskich chmurach?

– Radio? Cha, cha! Ten fakt również później wyciszono, ale pilot zawsze puszczał Stonesów na full w kokpicie, kiedy zbliżaliśmy się do dziesięciu tysięcy stóp, żeby trochę podniecić kursantów, wzbudzić w nich nieco agresji w miejsce cholernego strachu, więc nawet jeśli mówili coś przez radio, to my w każdym razie tego nie usłyszeliśmy.

– Nie porozumieliście się z ludźmi na ziemi nawet tuż przed skokiem?

– Harry, nie utrudniaj mi tej historii jeszcze bardziej, okej?

– Okej.

– Druga rzecz, która źle poszła, to bałagan z wysokościomierzem. Należy go wyzerować przed startem w taki sposób, żeby wskazywał względną wysokość nad ziemią. Tuż przed skokiem zorientowałem się,

że zapomniałem swojego wysokościomierza, ale pilot zawsze zabiera ze sobą pełne wyposażenie, więc pożyczyłem od niego. On, tak samo jak my, bał się, że pewnego dnia samolot rozpadnie się na kawałki. Byliśmy już na dziesięciu tysiącach stóp, pilot przyciszył Stonesów i zorientował się, że przez radio mówią, że niskie chmury napływają, a nie, że napłynęły. Dlatego zaczęło nam się spieszyć, musiałem czym prędzej wyjść na skrzydło i nie zdążyłem porównać swojego wysokościomierza z wysokościomierzem kursanta, który oczywiście przed startem sprawdziłem i wyzerowałem. Liczyłem, że wysokościomierz pilota mniej więcej się zgadza, chociaż on nie zawsze go zerował, ale za bardzo się nie denerwowałem. Kiedy się ma za sobą pięć tysięcy skoków jak ja, i tak można ocenić wysokość dość dokładnie na oko, patrząc na ziemię.

Staliśmy na skrzydle, kursant miał już za sobą trzy dobre skoki, więc nie miałem powodów do niepokoju. Nie było żadnych problemów z wyskokiem, wyszliśmy w pozycji X, kursant szybował stabilnie i ładnie, kiedy sunęliśmy przez pierwszą warstwę chmur. Trochę się przestraszyłem na widok nowej warstwy pod nami, ale pomyślałem, że wykonamy po prostu te ćwiczenia, które powinniśmy, i zobaczymy, jak wysoko jesteśmy, gdy będziemy się zbliżać. Student zrobił kilka prawidłowych obrotów pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i przemieszczeń horyzontalnych, zanim znów wróciliśmy do zwykłej pozycji X. Mój wysokościomierz wskazywał sześć tysięcy stóp, kiedy kursant zaczął sięgać po sznurek zwalniający spadochron. Zasygnalizowałem mu więc, że ma poczekać. Spojrzał na mnie, ale trudno jest odczytać minę faceta, któremu policzki i wargi fruują wokół uszu jak pranie rozwieszane na sznurze podczas szalejącego sztormu.

Joseph urwał i zadowolony pokiwał głową.

– Tak jak pranie rozwieszane na sznurze podczas szalejącego sztormu – powtórzył. – Cholera, nieźle powiedziane! Zdrowie!

Butelka odwróciła się dnem do góry.

– Kiedy dotarliśmy do warstwy chmur, mój wysokościomierz wskazywał pięć tysięcy stóp – podjął Joseph, odzyskawszy oddech. – Jeszcze tysiąc stóp do pociągnięcia za sznurek. Trzymałem kursanta, obserwowałem wysokościomierz na wypadek, gdyby warstwa chmur

okazała się gruba i gdybyśmy musieli otwierać spadochrony pośród nich, ale niemal od razu z nich wyszliśmy. Serce mi zamarło, gdy zobaczyłem, że ziemia zbliża się do nas w galopującym pędzie. Drzewa, trawa, asfalt. To było jak zoom w kamerze. Natychmiast pociągnąłem oba sznurki. Gdyby któryś z nas miał jakiś problem z głównym spadochronem, nigdy w życiu nie zdążyłby otworzyć rezerwowego. Okazało się bowiem, że te niskie chmury wisiały na dwóch tysiącach. Ludzie na ziemi zbledli, widząc, że wylaniamy się z nich bez spadochronów. Ten kursant na dodatek wpadł w panikę, gdy spadochron się rozwinął, i udało mu się wylądować na drzewie. Nic mu się nie stało, zawisł cztery metry nad ziemią, ale zamiast czekać na pomoc, odciął się od spadochronu, spadł i złamał nogę. Złożył skargę, że czuć było ode mnie alkoholem, i sprawa trafiła do zarządu klubu. Zostałem zawieszony do końca życia.

Joseph dokończył butelkę numer dwa.

– I co było później, Joseph?

Odrzucił butelkę.

– To. Zasiłek, złe towarzystwo i wino – zaczynał już bełkotać. – Oni mi złamali skrzydła, Harry. Pochodzę z rodu Ludzi-Wron i nie potrafię żyć jak emu.

Cienie w parku już wcześniej się skuliły, ale teraz zaczęły się znów prostować. Harry zbudził się, bo Joseph stał nad nim.

– Idę do domu, Harry. Może chcesz parę rzeczy z altany, zanim pójdę?

– O, cholera, pistolet! I kurtka.

Harry wstał. Był już najwyższy czas na drinka. Kiedy Joseph znów zamknął altanę, stanął, przestępując z nogi na nogę i ssąc zęby.

– Sądziś więc, że niedługo wrócisz do Norwegii? – spytał Joseph.

– Tak, jutro, pojutrze.

– Mam nadzieję, że następnym razem zdążysz na samolot.

– Myślałem, żeby dziś po południu zadzwonić do linii lotniczych i do pracy. Pewnie zachodzą w głowę, co się ze mną stało.

– Cholera! – Joseph uderzył się ręką w czoło i znów wyjął klucze. – Chyba w tym moim czerwonym winie jest za dużo garbników. Zżerają

komórki mózgowy. Nigdy nie pamiętam, czy zgasilem światło. A dozorca się wścieka, kiedy zostawię zapalone.

Otworzył drzwi do altany, światło było zgaszone.

– Cha, cha. Wiesz, jak to jest: kiedy zna się jakieś miejsce na pamięć, to światło gasi się odruchowo. Człowiek się nie zastanawia nad tym, co robi, a potem nie pamięta, czy zrobiło się to, czy nie. Coś się stało, Harry?

Harry zeszywniał i wpatrywał się w Josepha ze zdumieniem.

– Światło – powiedział tylko. – Światło było zgaszone.

Dozorca w St. George's Theatre, w zdumieniu kręcąc głową, nalał Harry'emu jeszcze kawy.

– Nigdy nie widziałem czegoś po-odobnego. Co wieczór jest pełno. Jak pokazują ten numer z gilotyną, ludzie wpadają w amok, wrzeszczą i tupią. Nawet na plakatach jest na-apis: „Gilotyna śmierci – znana z telewizji i gazet – zabijała już wcześniej”. Stała się, niech to cholera, gwiazdą. Dziwne rzeczy.

– Dziwne. To znaczy, że znaleźli kogoś, kto zastępuje Ottona Rechnagla, i przedstawienie się nie zmieniło?

– Mniej więcej. Nigdy wcześniej nie było takiego su-ukcesu.

– A co z tym numerem z zastrzelonym kotem?

– Wycięli. Jakoś nie pasował.

Harry wiercił się na krześle, czuł pot płynący pod koszulą.

– Ja też nie mogłem do końca pojąć, po co był ten numer.

– To był pomysł Rechnagla. Sam w młodości próbowałem swoich sił jako klaun, więc lubię wiedzieć, co się dzieje na scenie, kiedy występują cyrkowcy, i pamiętam, że ten numer wszedł do przedstawienia dopiero na próbach dzień wcześniej.

– Tak myślałem, że to pomysł Ottona. – Harry podrapał się po świeżo ogolonej brodzie. – Są pewne rzeczy, które nie dają mi spokoju. I może ty mi pomożesz. Możliwe, że kompletnie się mylę, ale posłuchaj mojej teorii i powiedz, co o niej myślisz: Otto jest pewien, że siedzę na sali, wie coś, czego ja nie wiem, i chce, żebym to zrozumiał, ale nie może wystąpić z tym otwarciem z mnóstwa różnych powodów. Może dlatego, że sam jest w to

zamieszany. Ten numer jest więc przeznaczony dla mnie. Chce mi powiedzieć, że ten, na którego poluję, sam jest myśliwym, że to ktoś taki jak ja. Kolega po fachu. Wiem, że to brzmi trochę mętnie, ale wiesz przecież, jak ekscentryczny potrafił być Otto. Co o tym myślisz? Czy to w jego stylu?

Dozorca długo przyglądał się Harry'emu.

– Konstablu, uważam, że powinienes napić się jeszcze trochę ka-awy. Ten numer nie miał w sobie nic szczególnego. To klasyczny numer Jandy Jandaschewsky'ego. Każdy cyrkowiec ci to powie. Nic więcej w tym nie ma. Przepraszam, jeśli coś ci po-opsułem, ale...

– Wprost przeciwnie – odparł Harry z ulgą. – Właściwie miałem nadzieję na takie rozwiązanie. Wobec tego mogę spokojnie skreślić tę teorię. Mówiłeś, że jest jeszcze kawa?

Poprosił o pokazanie mu gilotyny, więc przeszli do rekwizytorni.

– Ciągle czuję ciarki na plecach, kiedy tu wchodzę. Ale przynajmniej mogę już za-asnąć – powiedział dozorca, otwierając drzwi. – Szorowaliśmy to pomieszczenie przez dwa dni.

Kiedy drzwi się otworzyły, ze środka powiało chłodem.

– Wkładać łachy! – zawołał dozorca i zapalił światło.

Gilotyna królowała na środku, nakryta prześcieradłem jak odpoczywająca diwa.

– Wkładać łachy?

– O, to taki miejscowy żarcik. W St. George's wołamy tak, kiedy wchodzimy do ciemnego pokoju.

– Dlaczego? – Harry uniósł prześcieradło i dotknął ostrza noża.

– To stara a-anegdota, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Szefem teatru był wtedy Belg, Albert Mosceau, człowiek pełen temperamentu, ale my, którzy z nim pracowaliśmy, bardzo go lu-ubiliśmy. To był prawdziwy człowiek teatru, świeć, Panie, nad jego duszą. Mówi się, że ludzie teatru to podrywacze i libertyni, no i być może to prawda. W każdym razie w tamtym czasie mieliśmy w zespole znanego przystojnego aktora. Nazwiska nie wymienię, ale to był stary kozioł. Kobiety usychały z miłości na jego widok, a mężczyźni przeklinali go z za-azdrości. Przyjmowaliśmy wtedy czasami wycieczki, które chciały obejrzeć teatr, i pewnego dnia



przewodnik przyprowadził grupę uczniów do re-ekwizytorni. Zapalił światło, a tam nasz kozioł na rokokowej sofie, której używaliśmy w *Szklanej menażerii* Tennessee Williamsa, zabawiał się z jedną z ke-elnerek ze stołówki. Przewodnik mógł, rzecz jasna, uratować sytuację, ten słynny aktor, nie wymieniamy jego nazwiska, leżał odwrócony plecami, ale przewodnikiem był mło-ody chłopak, który miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie aktorem, i jak większość ludzi teatru był okropnie próżny. Dlatego nie nosił o-okularów, chociaż był krótkowidzem. Krótko mówiąc, nie zauważył, co się dzieje na sofie, i uznał, że nagły tłok w drzwiach powstał dlatego, że tak świetnie opowiada i każdy chce go u-usłyszeć. Dalej mówił o Tennessee Williamsie, a wtedy stary kozioł głośno zaklął, chociaż cały czas pilnował się, żeby nie pokazywać twarzy, tylko owłosiony tyłek. Ale przewodnik rozpoznał go po gło-osie i zawołał: „Siedzi pan tutaj, Bruce Lieslingtor?”.

Dozorca ugryzł się w język.

– Ojej!

Harry roześmiał się głośno i podniósł ręce do góry.

– W porządku, już zapomniałem to nazwisko.

– To dobrze. Następnego dnia Mosceau zwołał wszystkich na zebranie. Krótko wyjaśnił, co się stało, i powiedział, że to bardzo poważna sprawa. „Nie stać nas na taką reklamę – oświadczył – dlatego niestety jestem zmuszony wprowadzić natychmiastowy zakaz tego typu wycieczek”.

Śmiech dozorca gruchnął między ścianami rekwizytorni. Harry też się uśmiechnął, tylko odpoczywająca diwa z drewna i stali pozostała równie milcząca i niezdożyta.

– Rozumiem teraz, dlaczego wołacie „wkładać łachy”. A co się stało z tym nieszczęsnym przewodnikiem? Został w końcu aktorem?

– Niestety dla niego i na szczęście dla teatru, nie. Ale dalej działał w bra-anzy i jest dzisiaj oświetleniowcem tu, w St. George’s. Zapomniałem, przecież go poznałeś...

Harry odetchnął powoli. Znów poczuł warczenie w brzuchu. Cholera, ale tu gorąco!

– Tak, rzeczywiście. Chyba teraz nosi szkła kontaktowe, prawda?

– Nie. Twierdzi, że lepiej pracuje, kiedy widzi scenę trochę niewyraźnie. Dzięki temu skupia się na całości, zamiast czepiać się detali. To naprawdę dziwak.

– Dziwak – powtórzył Harry.

## 16. MARTWE KANGURY, PERUKA I POGRZEB

Kilka lat później Kristin wróciła do Oslo. Harry od znajomych dowiedział się, że przywiozła dwuletnią córeczkę, lecz Anglika zostawiła w Londynie. Pewnego wieczoru zobaczył ją w Sardines. Kiedy podszedł bliżej, spostrzegł, jak bardzo się zmieniła. Skórę miała bladą, a włosy wisiały bez życia. Gdy go dostrzegła, twarz jej pękła w przerażonym uśmiechu. Przywitał się z Kjartanem, „przyjacielem muzykiem”, który wydał mu się znajomy. Kristin mówiła szybko i nerwowo o nieistotnych rzeczach, nie pozwalając Harry’emu zadać żadnych pytań, których się spodziewała. Opowiadała o planach na przyszłość, ale w oczach nie zapalały jej się iskry, a entuzjastyczna gestykulacja tamtej Kristin, którą pamiętał, zmieniała się w apatyczne ruchy.

W pewnym momencie Harry’emu wydawało się, że płakała, lecz wtedy był już tak pijany, że nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością.

Kjartan gdzieś poszedł, potem wrócił, mruknął jej coś do ucha i wyzwolił się z jej objęć, uśmiechając się z wyższością do Harry’ego. Potem wszyscy wyszli, Harry i Kristin zostali sami w opustoszałym lokalu, wśród pustych paczek po papierosach i odłamków szkła, dopóki ich nie wyrzucono. Trudno powiedzieć, kto komu pomagał iść i kto zaproponował hotel, ale w każdym razie trafili do Savoyu, gdzie prędko rozprawili się z minibarem i poszli do łóżka. Harry z obowiązku podjął nieudaną próbę penetracji, ale było już za późno. Oczywiście, było za późno. Kristin leżała z głową zakopaną w poduszkę i nie przestawała płakać. Obudziwszy się, Harry wymknął się z pokoju i taksówką pojechał do Kawiarni Pocztovej, którą otwierano godzinę przed innymi knajpami. Siedział tam, czując, jak bardzo jest już za późno.

– Słucham?

– Przepraszam, że dzwonię o tej porze, Lebie. Mówi Harry Holy.

– Holy? O rany! Która godzina jest teraz w Norwegii?

– Nie wiem. Posłuchaj, nie jestem w Norwegii. Nastąpił pewien bałagan z samolotem.

– Jaki bałagan?

– Powiedzmy, że wyleciał za wcześnie. A trudno było o miejsce w innym. Potrzebuję pomocy.

– Mów.

– Musisz się ze mną spotkać w mieszkaniu Ottona Rechnagla. Weź ze sobą łom, jeśli nie umiesz obchodzić się z wytrychem.

– Okej. Teraz, od razu?

– Dobrze by było. Będę ci bardzo wdzięczny, stary.

– I tak źle spałem.

– Halo?

– Doktor Engelsohn? Chodzi mi o pewne zwłoki. Nazywam się...

– Nie obchodzi mnie, jak się pan nazywa. Jest trzecia w nocy, może pan spytać doktora Hanssona, który ma dyżur. Dobranoc.

– Źle pan słyszy? Mówiłem do...

– Mówi Holy, proszę nie odkładać słuchawki.

– Ten Holy?

– Cieszę się, że nareszcie przypomina pan sobie moje nazwisko, doktorze. Odkryłem coś ciekawego w mieszkaniu, gdzie znaleziono Andrew Kensingtona. Muszę go zobaczyć. A raczej muszę zobaczyć ubranie, które miał na sobie w chwili śmierci. Wciąż je macie, prawda?

– Tak, ale...

– Spotkajmy się przy kostnicy za pół godziny.

– Miły panie Holy, naprawdę nie rozumiem...

– Niech mnie pan nie zmusza do powtarzania, doktorze. Wykluczenie ze związku lekarzy, sprawa o odszkodowanie wytoczona przez krewnych, gazety... Chce pan, żebym mówił dalej?

– W ciągu pół godziny nie zdążę.

– O tej porze doby ruch jest niewielki, doktorze. Czuję, że mimo wszystko pan zdąży.

McCormack wszedł do biura, zamknął drzwi za sobą i stanął przy oknie. Zmienna letnia pogoda Sydney nie dawała o sobie zapomnieć. Przez całą noc padał deszcz. McCormack miał już ponad sześćdziesiąt lat, przekroczył próg wieku emerytalnego dla policjantów i zaczął jak emeryt w samotności mówić do siebie.

Głównie komentował drobne codzienne obserwacje, których, jak sądził, nikt inny oprócz niego nie potrafi ocenić, na przykład: „Wygląda chyba na to, że dzisiaj też się przejaśni”. Teraz stał, kołysząc się na palcach i piętach, wpatrzony w swoje miasto, i mówił: „Znów dziś przyszedłem pierwszy, tak, tak”.

Dopiero gdy odwiesił kurtkę do szafy za biurkiem, zwrócił uwagę na odgłosy dochodzące z kanapy. Jakiś mężczyzna usiłował podnieść się z pozycji leżącej do siedzącej.

– Holy? – zdumiał się McCormack.

– Przepraszam, *sir*. Mam nadzieję, że nic nie szkodzi, że pozwoliłem sobie skorzystać z kanapy...

– W jaki sposób się tu dostałeś?

– Nie zdążyłem oddać znaczka upoważniającego do wejścia i nocny portier mnie wpuścił. Drzwi do pańskiego biura były otwarte, a ponieważ to z panem chcę rozmawiać, więc się tu usadowiłem.

– Powinieneś być w Norwegii. Dzwoniła twoja szefowa. Wyglądasz okropnie, Holy.

– Co pan odpowiedział, *sir*?

– Że być może zdecydowałeś się zostać do pogrzebu Kensingtona jako przedstawiciel Norwegii.

– Ale skąd pan wiedział..

– Podałeś nasz numer liniom lotniczym, więc kiedy zadzwonili na pół godziny przed odlotem samolotu, ponieważ jeszcze się nie pojawiłeś, zrozumiałem, w czym rzecz. Resztę wyjaśnił jeden telefon do Crescent Hotel i poufna rozmowa z dyrektorem. Na próżno próbowaliśmy cię odszukać. Wiem, jak jest, Holy, i proponuję, żebyśmy nie robili większej awantury na ten temat. Wszyscy rozumieją, że to zwykła reakcja po takiej sprawie. Teraz najważniejsze, żebyś się pozbierał, i to tak, byśmy mogli cię wsadzić do samolotu.

– Bardzo dziękuję, *sir*.

– Nie ma za co. Poproszę sekretarkę, żeby porozumiała się z towarzystwem lotniczym.

– Jeszcze parę drobiazgów, zanim pan to zrobi, *sir*. Popracowaliśmy trochę dzisiejszej nocy i ostateczne wyniki uzyskamy, dopiero jak chłopaki z technicznego przyjdą do pracy i wszystko sprawdzą. Ale i bez tego jestem pewny, jakie będą, *sir*.

Stary wentylator pomimo ciągłego smarowania w końcu całkiem się załamał i wymieniono go na nowy, większy i prawie bezszelestny. Harry stwierdził, że nawet podczas jego nieobecności świat posuwa się naprzód.

Z obecnych jedynie Wadkins i Yong nie znali jeszcze szczegółów, ale Harry postanowił zacząć od samego początku.

– Nie zastanawialiśmy się nad tym, kiedy znaleźliśmy Andrew, ponieważ był wtedy jasny dzień. Nie zwróciłem na to uwagi również, kiedy poznałem czas zgonu. Dopiero później uświadomiłem sobie, że kiedy przyszliśmy do mieszkania Rechnagla, światło było zgaszone. Gdyby to wszystko miało się odbyć tak, jak do tej pory zakładaliśmy, to wyglądałoby następująco: Andrew zgasił światło wyłącznikiem na ścianie przy drzwiach, po omacku, w oszołomieniu heroinowym, dotarł do krzesła w pokoju, w którym o drugiej w nocy jest ciemno jak w grobie, wdrapał się na rozchwiane krzesło i założył sobie pętlę na szyję.

W ciszy, która nastąpiła, jasne się stało, że nawet przy dostępie do nowoczesnej technologii trudno jest stworzyć wentylator, którego odgłos nie byłby bardzo irytujący, nawet jeśli jest bardzo cichy.

– To rzeczywiście brzmi dość dziwnie – przyznał Wadkins. – Ale może wcale nie było ciemno jak w grobie, może z zewnątrz wpadało światło latarni albo jakieś inne?

– Lebie i ja poszliśmy tam dziś w nocy o drugiej, żeby to sprawdzić. W tym pokoju było ciemno jak w grobie.

– A może światło jednak było zapalone, kiedy tam przyszliście, tylko nie zwróciliście na to uwagi? – spytał Yong. – Był przecież jasny dzień. Któryś z policjantów mógł je zgasić później.

– Odcinaliśmy Andrew nożem – odparł Lebie. – Nie chciałem się narażać na kopnięcie prądem i sprawdziłem, czy światło jest zgaszone.

– Okej – powiedział Wadkins. – Załóżmy, że wolał wieszać się po ciemku. Kensington był dziwakiem. To nic nowego.

– Ale on się nie powiesił po ciemku – oświadczył Harry.

McCormack chrząknął z tyłu.

– Oto, co znaleźliśmy w mieszkaniu Rechnagla – obwieścił Harry, podnosząc do góry żarówkę. – Widzicie tę brązową plamę? To przypalony sztuczny jedwab. – Teraz podniósł do góry białą koszulę. – A to koszula, którą Andrew miał na sobie, kiedy go znaleźliśmy. Non-iron, sześćdziesiąt procent sztucznego jedwabiu. A sztuczny jedwab topi się przy dwustu sześćdziesięciu stopniach Celsjusza, natomiast na powierzchni żarówki jest około czterystu pięćdziesięciu stopni. Widzicie tę brązową plamę nad kieszonką na piersi? W tym miejscu żarówka miała kontakt z koszulą, kiedy go znaleźliśmy.

– Imponująca znajomość fizyki, Holy – pokręcił głową Wadkins. – Powiedz, co twoim zdaniem się wydarzyło.

– Jedno z dwojga – odparł Harry. – Ktoś mógł przyjść tam przed nami, zobaczyć Andrew wiszącego, zgasić światło i wyjść. Problem w tym, że jedyne dwie pary kluczy do mieszkania znaleziono przy Ottonie i Andrew.

– W mieszkaniu jest zamek zatrzaszkowy, prawda? – spytał Wadkins. – Ta osoba mogła otworzyć sobie drzwi kluczem, a potem włożyć go do kieszeni An... No nie, wtedy Andrew by nie wszedł. – Wadkins leciutko się zarumienił.

– Mimo wszystko coś w tym może być – powiedział Harry. – Według mojej teorii Andrew wcale nie miał klucza do tego mieszkania, lecz został wpuszczony przez kogoś, kto już tam był albo przyszedł razem z nim. To ten człowiek miał drugi klucz. I ten człowiek był obecny przy śmierci Andrew. Później wsunął mu klucz do kieszeni, żeby wyglądało na to, że Andrew dostał się tam na własną rękę. Wskazuje na to fakt, że klucz nie wisiał w pęku razem z pozostałymi kluczami. Potem ten człowiek zgasił światło i wychodząc, zatrzasnął drzwi za sobą.

Zapadła cisza.

– Chcesz powiedzieć, że Andrew Kensington został zamordowany? – spytał Wadkins. – Jeśli tak, to w jaki sposób?

– Sądzę, że Andrew najpierw został zmuszony do zrobienia sobie zastrzyku z heroiny, do przedawkowania, prawdopodobnie pod wpływem wymierzonego w niego pistoletu.

– Dlaczego nie mógł go zrobić z własnej woli, zanim tam przyszedł?

– Po pierwsze, nie wierzę, żeby tak dobrze kontrolujący się narkoman, z tak wypracowaną rutyną jak Andrew, pewnego dnia przypadkiem przedawkował. Po drugie, Andrew nie miał dostatecznej ilości narkotyków na przedawkowanie.

– To po co było go wieszać?

– Przedawkowanie to nie jest żadna ścisła wiedza. Trudno przewidzieć, jak zareaguje zahartowany organizm. Może zdołałby przeżyć dostatecznie długo, by ktoś go znalazł. Chodziło raczej o zamroczenie go, żeby nie stawiał oporu przy umieszczaniu go na krześle i zarzucaniu pętli na szyję. À propos tego przewodu, Lebie?

Lebie po trudnych wyczynach gimnastycznych języka i warg zdołał przesunąć wykałaczkę w kącik ust.

– Poprosiliśmy chłopców z technicznego o sprawdzenie przewodu. Przewody wystające z sufitu rzadko się czyści, uznaliśmy więc, że łatwo będzie znaleźć odciski palców. Ale ten przewód był czysty jak... Hm... – Lebie machnął ręką.

– Jak coś bardzo czystego – podsunął Yong.

– No właśnie. Jedyne odciski, jakie znaleźliśmy, należały do nas.

– Czyli że albo Andrew wytarł ten przewód, zanim się powiesił – myślał głośno Wadkins – i wsunął głowę w pętlę bez użycia palców, albo ktoś inny mu w tym pomógł? Czy to właśnie próbujecie powiedzieć?

– Na to wygląda, szefie.

– Ale jeśli ten facet jest taki bystry, jak go opisujecie, to dlaczego wychodząc, gasi światło? – Wadkins rozłożył ręce i rozejrzał się wokół stołu.

– Ponieważ działa odruchowo, bez zastanowienia – odparł Harry. – Tak jak zachowują się ludzie, wychodząc z własnego mieszkania albo z mieszkania, do którego mają klucze i z którego mogą korzystać, kiedy



chcą.

Harry oparł się na krzesło. Pocił się jak świnia i nie wiedział, jak długo jeszcze będzie mógł wytrzymać w oczekiwaniu na drinka.

– Wydaje mi się, że facet, którego szukamy, to tajemniczy kochanek Ottona Rechnagla.

W windzie Lebie stanął obok Harry'ego.

– Idziesz na lunch? – spytał.

– O tym myślałem.

– Masz coś przeciwko temu, żebym się przyłączył?

– Ależ skąd!

Lebie był dobrym towarzystwem dla osoby, której nie chciało się za dużo gadać.

Znaleźli stolik w Southern na Market Street. Kiedy Harry zamówił Jima Beama, Lebie podniósł głowę znad karty.

– Poprosimy o dwie sałatki z barramundi, czarną kawę i świeże smaczne pieczywo.

Harry popatrzył na niego zaskoczony.

– Dziękuję, ale myślę, że ja na razie nie będę nic jadł – powiedział do kelnera.

– Proszę przynieść to, o co prosiłem – odparł Lebie z uśmiechem. – Kolega zmieni zdanie, jak spróbuje barramundi.

Kelner zniknął, a Harry spojrzał na Lebiego. Ten położył na stole obie dłonie z rozstawionymi palcami i przenosił wzrok z jednej na drugą, jak gdyby próbował znaleźć różnicę.

– Kiedy byłem młody, wybrałem się autostopem wzdłuż wybrzeża do Cairns w obrębie Wielkiej Rafy Koralowej – oznajmił swoim gładkim dłoniom. – W pensjonacie dla trampów poznałem dwie Niemki, które wyruszyły na wyprawę dookoła świata. Przyjechały wynajętym samochodem aż z Sydney i opowiedziały dokładnie o wszystkich miejscach, w których były, ile czasu tam spędziły i dlaczego, i jaki miały plan na dalszą podróż. Wyraźnie było widać, że naprawdę niewiele pozostawiły przypadkowi. Może to tkwi w naturze Niemców. Kiedy więc

spytałem, czy widziały po drodze kangury, roześmiały się z wyższością, zapewniając mnie, że oczywiście, a w domyśle, że kangury znalazły się na ich listach „byłyśmy tam i widziałyśmy”. „Zatrzymywałyście się, żeby je karmić?” – spytałem, a wtedy zdziwione popatrzyły najpierw na siebie, a potem na mnie. „Ależ nie”. „Dlaczego, są bardzo zabawne”. „Bo były martwe”.

Harry był tak zdumiony długim monologiem Lebiego, że zapomniał się śmiać. Kangury wybiegające na drogę to duży problem w Australii i każdy, kto wyjechał gdzieś poza miasto, zetknął się z trupami kangurów leżącymi przy drodze.

Kelner postawił drinka przed Harrym. Lebie popatrzył na szklanę.

– Przedwczoraj widziałem dziewczynę, która była tak śliczna, że miałem ochotę pogłodzić ją po policzku i powiedzieć jej coś miłego. Miała dwadzieścia parę lat, była ubrana w niebieską sukienkę i bosa. Ale była martwa. Jak wiesz, była blondynką, została zgwałcona i miała sine ślady na szyi po duszeniu. A dzisiaj w nocy śniło mi się, że zwłoki tych bezsensownie młodych i bezcelowo pięknych dziewczyn wypełniają rowy przydrożne w całej Australii od Sydney po Cairns, od Adelaide po Perth, od Darwin po Melbourne. I to z jednego tylko powodu: że zamknęliśmy oczy, ponieważ nie mogliśmy znieść prawdy. Że nie zrobiliśmy dość. Że pozwoliliśmy sobie na słabość i ludzkie odruchy.

Harry zrozumiał, do czego Lebie zmierza. Kelner przyniósł ryby.

– Ty najbardziej zbliżyłeś się do tego człowieka, Harry. To ty leżałeś z uchem przyłożonym do ziemi i być może rozpoznasz wibracje powstałe od jego kroków, jeśli znów będzie się zbliżał. Zawsze znajdzie się sto dobrych powodów na to, żeby się upić, ale jeśli będziesz leżał i rzygał w jakimś pokoju hotelowym, to nikomu już nie pomożesz. On nie jest ludzki, więc my też nie możemy być ludzcy. Musimy wytrzymać wszystko, oprzeć się wszystkim.

Lebie rozłożył serwetkę.

– Ale musimy jeść.

Harry przyłożył szklanę z whisky do ust i patrząc na Lebiego, wolno ją opróżnił. Potem pustą odstawił na stolik, skrzywił się i sięgnął po nóż i widelec. Dalszy ciąg posiłku upłynął w milczeniu.

Harry nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy usłyszał, że Wadkins wysłał Yonga, by przesłuchał tłustą sąsiadkę Ottona Rechnagla.

– Miejmy nadzieję, że na nim nie usiądzie – powiedział Lebie.

Harry i Lebie pojechali na King's Cross i tam Harry wyskoczył.

– Dziękuję, Sergej. Tak jak mówiłem, myślę, że najlepiej będzie, jeżeli dalej pójdę już sam.

Lebie pozdrowił go palcami uniesionymi do czoła i zniknął.

Sandra stała na swoim zwykłym miejscu, poznała go dopiero, gdy podszedł tuż do niej.

– Dziękuję za ostatnie spotkanie – powiedziała, spojrzenie miała dalekie, źrenice małeńkie.

Poszli do Bourbon & Beef, gdzie natychmiast przypędził kelner i odsunął dla Sandry krzesło.

Harry spytał ją, na co ma ochotę. Zamówiła colę i dużą whisky.

– O rany, myślałam, że mnie wyrzuci – powiedziała z ulgą.

– Jestem tu kimś w rodzaju stałego gościa – wyjaśnił Harry.

– A co z twoją przyjaciółką?

– Z Birgittą? – Harry zwlekał z odpowiedzią. – Nie wiem. Nie chce ze mną gadać. Mam nadzieję, że czuje się okropnie.

– Dlaczego masz nadzieję, że jej jest okropnie?

– Bo mam nadzieję, że mnie kocha.

Sandra roześmiała się chrapliwie.

– A jak ty się miewasz, Harry Holy?

– Okropnie. – Harry uśmiechnął się ze smutkiem. – Ale możliwe, że poczuje się lepiej, jeśli uda mi się złapać mordercę.

– I sądzisz, że ja mogę ci w tym pomóc? – Zapaliła papierosa. Jej twarz, jeśli to możliwe, wydawała się jeszcze bledsza i bardziej ściągnięta niż ostatnio. Oczy miały czerwone obwódki.

– Jesteśmy do siebie podobni – stwierdził Harry, wskazując na ich odbicia w przyciemnianej szybie przy stoliku.

Sandra nic nie powiedziała.

– Pamiętam, chociaż cokolwiek niewyraźnie, że Birgitta rzuciła twoją

torebkę na łóżko i wszystko się z niej wysypało. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nosisz w torebce pekińczyka. – Harry urwał na chwilę. – Powiedz mi, na co ci właściwie blond peruka?

Sandra wyrzała przez okno. A może raczej patrzyła w okno, na ich odbicia.

– Pewien klient mi ją kupił. Chce, żebym ją wkładała, kiedy jest ze mną.

– Kto to...

Sandra pokręciła głową.

– Zapomnij o tym, Harry, nie powiem. W moim zawodzie nie obowiązuje zbyt wiele reguł, ale trzymanie języka za zębami na temat klientów to jedna z nich. I to dobra reguła.

Harry westchnął.

– Ty się boisz – stwierdził.

Z oczu Sandry strzeliły błyskawice.

– Nie wysilaj się, Harry. Nic ze mnie nie wyciągniesz, okej?

– Nie musisz mi mówić, kto to jest, Sandro. Ja i tak wiem. Chciałem tylko najpierw sprawdzić, czy będziesz się bała o tym rozmawiać.

– „Ja i tak wiem” – przedrzeźniła go Sandra, wyraźnie wkurzona. – A niby skąd wiesz?

– Widziałem kamień, który wypadł ci z torebki, Sandro. Zielony kryształ. Poznałem go przez namalowany na nim znak zodiaku. On ci go dał. To kamień ze sklepu jego matki. Z Kryształowego Zamku.

Sandra patrzyła na niego wielkimi czarnymi oczyma. Czerwone usta zastygły w brzydkim grymasie. Harry delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

– Dlaczego tak się boisz Evansa White’a, Sandro? Dlaczego nie chcesz nam go wydać?

Sandra przyciągnęła rękę do siebie. Znów odwróciła się do okna, Harry czekał. Kiedy zaczęła pociągać nosem, podał jej chusteczkę, która z niepojętych przyczyn znalazła się w jego kieszeni.

– Nie tylko tobie jest okropnie, wiesz? – szepnęła po chwili. Kiedy się do niego obróciła, oczy miała jeszcze czerwiejsze. – Wiesz, co to jest? – Podciągnęła rękaw sukienki, odsłaniając białe przedramię, pokryte czerwonymi zaognionymi plamkami, na niektórych były strupki.

– Heroina? – spytał Harry.

– Morfina – odparła Sandra. – Mało kto w Sydney ma ją w asortymencie, bo większość klientów i tak kończy na heroinie. Ale ja mam alergię na heroinę, mój organizm jej nie toleruje. Próbowałam raz i o mało nie umarłam. Moja trucizna to morfina. A w ostatnim roku tylko jeden człowiek na King's Cross był w stanie ją zdobyć w odpowiedniej ilości. Płacę mu, zgadzając się na odgrywanie pewnych ról. Maluję się i wkładam białą perukę. Dla mnie to w porządku, głównie mnie obchodzi, jakiego kopa on z tego ma, bylebym tylko ja miała swojego. W dodatku są ludzie bardziej chorzy od tych, którzy chcą, żebym się przebierała za ich matkę.

– Za matkę? – zdziwił się Harry.

– Wydaje mi się, że on nienawidzi swojej matki. Albo kocha ją trochę inaczej niż wszyscy. Albo albo, nie jestem pewna. On nie chce o tym rozmawiać, a bogowie jedni wiedzą, jak bardzo ja nie mam na to ochoty. – Roześmiała się głucho.

– Jak sądzisz, dlaczego on jej nienawidzi?

– Ostatnio kilka razy był twardszy niż zwykle – powiedziała Sandra. – Zostawił mi kilka siniaków.

– Próbował cię dusić? – spytał Harry.

Sandra kiwnęła głową.

– Raz. Było to tego dnia, kiedy w gazecie napisali o tej zamordowanej Norweżce. O tym, że została uduszona. Objął mnie rękami za szyję, kazał leżeć spokojnie i nie bać się. Później już o tym nie myślałam.

– Dlaczego?

Sandra wzruszyła ramionami.

– Ludzie ulegają temu, co czytają i widzą. Czerpią z tego inspirację. Weź na przykład *Dziewięć i pół tygodnia*. Kiedy film szedł w kinach, nagle całe mnóstwo klientów chciało, żebyśmy czołgały się nagie po podłodze, a oni siedzieli na krześle i patrzyli.

– Gówniany film – stwierdził Harry. – I jak to się skończyło?

– Położył mi ręce na szyi i zaczął kciukami wodzić po grdyce. Nie było w tym przemocy, ale ja ściągnęłam perukę i oświadczyłam, że nie chcę się w to bawić. On oprzytomniał i powiedział, że w porządku, że tak go tylko

naszło. Że nie ma żadnego znaczenia.

– A ty mu uwierzyłaś?

Sandra wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz, jak nawet niewielkie uzależnienie może wpłynąć na twój sposób patrzenia na świat – oświadczyła i dokończyła swoją whisky.

– Nie wiem? – Harry z niechęcią popatrzył na butelkę coli, która wciąż stała przed nim nietknięta.

McCormack niecierpliwie bębnił palcami. Harry pocił się, chociaż wentylator pracował na pełnych obrotach. Tłusta sąsiadka Ottona Rechnagla miała mnóstwo do powiedzenia, właściwie aż za dużo. Niestety, nic z tego nie było interesujące. Yong najwyraźniej miał problemy z udawaniem dobrego słuchacza w jej nieprzyjemnym towarzystwie.

– Tłusta krowa – odparł z uśmiechem na pytanie Wadkinsa o wrażenie, jakie na nim zrobiła.

– Coś nowego na temat tej dziewczyny z Centennial Park? – spytał McCormack.

– Niewiele – odparł Lebie. – Ale przynajmniej stwierdziliśmy, że nie była najgrzeczniejszą dziewczynką. Brała amfetaminę i akurat zaczęła pracować w knajpie ze striptizem na King's Cross. Zamordowano ją w drodze do domu. Mamy dwóch świadków, którzy uważają, że widzieli, jak wchodzi do parku.

– Coś więcej?

– Na razie nie, *sir*.

– Harry. – McCormack otarł pot. – Przedstaw nam swoją teorię.

– Tę najnowszą z nich – mruknął Wadkins dostatecznie głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– No dobrze – zaczął Harry. – Nigdy nie znaleźliśmy tego świadka, o którym mówił Andrew. Tego, który miał widzieć Evansa White'a w Nimbin w dniu zabójstwa Inger Holter. Teraz wiemy, że White jest bardziej niż normalnie zainteresowany blondynkami, że miał trudne dzieciństwo i że ciekawe byłoby poznanie jego związków z matką. Nigdy nie miał stałej pracy ani stałego miejsca zamieszkania i dlatego trudno było

śledzić jego ruchy. Nie jest wcale wykluczone, że mógł się potajemnie związać z Ottonem Rechnaglem, nie jest też niemożliwe, że towarzyszył Ottonowi podczas tournée. Może nocował w hotelach i wyszukiwał ofiary tam, gdzie występowali. Ale to jednak tylko teoria.

– A może seryjnym mordercą jest Otto Rechnagel? – powiedział Wadkins. – Może Rechnagla i Kensingtona zabił ktoś inny, kto nie ma nic wspólnego z pozostałymi morderstwami?

– Centennial Park – zamyślił się Lebie. – To był nasz seryjny morderca. Założę się o wszystko, co mam. Wprawdzie nie mam zbyt wiele do stracenia...

– Lebie ma rację – powiedział Harry. – On wciąż gdzieś krąży.

– Okej – westchnął McCormack. – Zauważyłem, że nasz przyjaciel Holy zaczął używać wyrażeń „nie jest niemożliwe” i „nie jest wykluczone”, gdy lansuje swoje teorie, co może okazać się mądre. Kurczowe trzymanie się jednego wątku w niczym nam nie pomoże. Poza tym dla wszystkich powinno już być jasne, że mamy do czynienia z bardzo inteligentnym i obdarzonym wielkim tupetem człowiekiem. Spreparował dla nas odpowiedzi, których szukaliśmy, podał nam mordercę na talerzu i zapewne liczy, że to nam wystarczy, że uznamy sprawę za wyjaśnioną, skoro winny zginął z własnej ręki. Kiedy wskazał na Kensingtona, to oczywiście miał świadomość, że będziemy chcieli wyciszyć sprawę, i rzeczywiście, to był bardzo dobry pomysł.

McCormack patrzył teraz na Harry’ego.

– A wyciszając sprawę, musielibyśmy również uciąć dalsze śledztwo. Teraz nasza przewaga polega na tym, że jemu wydaje się, że jest bezpieczny. A ludzie, którzy czują się bezpieczni, często postępują nieostrożnie. Najwyższy czas, żebyśmy jednak zdecydowali, w jaki sposób działamy dalej. Mamy nowego podejrzanego i nie stać nas na kolejne spudłowanie. Problem w tym, że jeśli wabiąc grubą rybę, narobimy za dużo plusku w wodzie, to możemy ją spłoszyć. Musimy zachować zimną krew i stać najzupełniej nieruchomo, dopóki nie zobaczymy tej ryby jasno i wyraźnie, tak wyraźnie, że się nie pomylimy, i tak blisko, że nie spudłujemy. Dopiero wtedy możemy rzucić harpun.

Rozejrzał się dokoła. Wszyscy, kiwając głowami, pochwalili zdrowy

rozsądek szefa.

– Aby to osiągnąć, wymagana jest praca w defensywie. Cicha i systematyczna – dodał McCormack.

– Nie zgadzam się – zaprotestował Harry.

Wszyscy obrócili się do niego.

– Jest inny sposób na złapanie ryby, zamiast robienia plusku w wodzie – powiedział. – Wystarczy żyłka i haczyk z przynętą, na którą ryba da się złapać.

Wiatr pchał przed sobą chmury kurzu, które wirowały wzdłuż zwirowej drogi, przeskakiwały przez niskie kamienne ogrodzenie cmentarza i wpadały na nieliczne zgromadzonych ludzi. Harry musiał zacisnąć oczy, żeby nie sypało w nie piaskiem. Wicher szarpał spódnicami i klapami płaszczy, z daleka wyglądało to tak, jakby zebrani tańczyli na grobie Andrew Kensingtona.

– Wiatr z piekła rodem – szepnął Wadkins podczas modlitwy pastora.

Harry zastanowił się nad jego słowami. Miał nadzieję, że Wadkins się myli. Oczywiście trudno stwierdzić, skąd wieje wiatr, ale wyraźnie mu się spieszyło. Czy zjawił się tu, żeby porwać duszę Andrew? Jeśli tak, nikt nie mógł mu zarzucić, że się leni. Szeleściły kartki psałterza i zielony brezent, na którym usypano ziemię wykopaną z grobu. A ci, którzy nie mieli kapeluszy do przytrzymywania, musieli pogodzić się ze zniszczeniem pożyczek i innych wymyślnych zabiegów fryzjerskich.

Harry nie słuchał pastora, zmrużonymi oczami obserwował drugą stronę drogi. Włosy Birgitty zwiane do tyłu przypominały ogromny czerwony płomień. Napotkała jego spojrzenie i nie zareagowała. Jakaś siwa trzęsąca się staruszka siedziała na krzeselku z laską na kolanach. Skórę miała pożółkłą i nawet wiek nie zdołał ukryć jej wyraźnie angielskich końskich rysów twarzy. Wiatr lekko przekrzywił jej kapelusz. Harry po pewnym czasie zrozumiał, że to przybrana matka Andrew, była jednak tak stara i słaba, że chyba nie zarejestrowała kondolencji, które złożył jej pod kościołem. Kiwnęła tylko głową, mamrocząc jakieś niezrozumiałe zdanie. Za nią stała drobna, czarna, prawie niewidzialna kobieta z dwiema



dziewczynkami, które trzymała za ręce.

Pastor rzucił ziemię na grób zgodnie z luterańskim obyczajem. Harry już wcześniej dowiedział się, że Andrew należał do Kościoła anglikańskiego, jednego z największych w Australii obok Kościoła katolickiego, lecz Harry, który w dorosłym życiu był tylko na dwóch pogrzebach, nie zauważył, żeby ten różnił się od ceremonii odprawianych w Norwegii. Nawet pogoda była podobna. Kiedy chowali jego matkę, ponure sinoniebieskie chmury pędziły ponad Cmentarzem Zachodnim, ale na szczęście zanadto się spieszyły, by lunąć deszczem na żałobników. W dniu pogrzebu Ronny'ego świeciło słońce, ale wtedy Harry leżał w szpitalu za zaciągniętymi zasłonami, bo światło przyprawiało go o ból głowy. Tak samo jak dzisiaj policjanci z pewnością stanowili większość na tym pogrzebie, może nawet na koniec odśpiewali ten sam psalm: *Bliżej, mój Boże, do Ciebie!*

Zgromadzenie się rozsypało. Ludzie zaczęli kierować się do samochodów, a Harry znalazł się tuż za Birgittą. Przystanąła na moment, żeby mógł się z nią zrównać.

– Wyglądasz na chorego – powiedziała, nie podnosząc oczu.

– Nie wiesz, jak wyglądam, kiedy jestem chory – odparł.

– A nie wyglądasz na chorego, kiedy jesteś chory? – spytała. – Tak czy owak, mówię tylko, że wyglądasz na chorego. Jesteś chory?

Gwałtowny podmuch wiatru zakrył twarz Harry'ego krawatem.

– Może trochę – powiedział. – Ale nie bardzo. A ty wyglądasz jak meduza, z tymi włosami powiewającymi... mi w twarz.

Harry wyjął z ust rudy włos. Birgitta uśmiechnęła się.

– Ciesz się, że nie jestem *jelly box-fish*.

– *Jelly* co? – zdziwił się Harry.

– *Jelly box-fish* – powtórzyła Birgitta. – To meduza, których sporo tutaj w Australii. Można powiedzieć, że jest o stopień gorsza od zwykłej meduzy...

– *Jelly box-fish*? – Harry usłyszał za plecami znajomy głos. Odwrócił się. To był Toowoomba. – Jak się macie?

Harry po angielsku wyjaśnił, że to włosy Birgitty, które wiatr zwał mu na twarz, nasunęły skojarzenie.

– No, gdyby to była *jelly box-fish*, na twarzy zaczęłyby ci już występować czerwone pręgi i wrzeszczałbyś jak człowiek ćwiczony batem – odparł Toowoomba. – Za kilka sekund byś się przewrócił, jad sparaliżowałby ci narządy oddechowe, zacząłbyś się dusić, a bez natychmiastowej pomocy umarłbyś bardzo bolesną śmiercią.

Harry podniósł ręce w geście obrony.

– Bardzo dziękuję, ale dość mam śmierci na dzisiaj, Toowoombo.

Aborygen pokiwał głową. Ubrany był w czarny jedwabny smoking z muszką. Zauważył spojrzenie Harry'ego.

– To jedyna rzecz w mojej szafie, która przypomina garnitur. W dodatku odziedzyczyłem go po nim. – Wskazał głową na grób. – Oczywiście nie teraz, tylko kilka lat temu – dodał. – Andrew powiedział, że z niego wyrósł. To oczywiście bzdura. Nie chciał się przyznać, ale kupił go swego czasu z przeznaczeniem na bankiet po mistrzostwach Australii. Miał pewnie nadzieję, że ten smoking przeżyje ze mną coś, czego nie przeżył z nim.

Szli wysypaną żwirem alejką. Obok nich wolno sunęły samochody.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie, Toowoombo? – spytał Harry.

– Chyba tak.

– Jak myślisz, dokąd trafi Andrew?

– O co ci chodzi?

– Myślisz, że jego dusza pójdzie do nieba czy do piekła?

Toowoomba popatrzył na niego z powagą.

– Jestem prostym człowiekiem, Harry. Mało wiem o takich sprawach i mało wiem o duszach, ale sporo wiem o Andrew Kensingtonie i jeśli tam, w górze, ktoś siedzi i pragnie mieć wokół siebie piękne dusze, to właśnie tam jest miejsce jego duszy. – Twarz Toowoombby się rozjaśniła. – Ale jeśli jest ktoś na dole, to myślę, że sam Andrew wolałby trafić właśnie tam. Nienawidził nudnych miejsc.

Roześmiali się cicho.

– Ale ponieważ to osobiste pytanie, Harry, to dam ci osobistą odpowiedź. Wydaje mi się, że przodkowie moi i Andrew mieli rację. Dość trzeźwo podchodzili do śmierci. Co prawda, w wielu plemionach wierzono w życie po śmierci albo w reinkarnację, w wędrówkę duszy od jednego

człowieka do innego, a inni uważali, że dusze mogą objawiać się pod postacią duchów. W niektórych plemionach wierzano, że dusze zmarłych ukazują się na niebie pod postacią gwiazd. Wspólne jednak dla nich wszystkich było to, że człowiek prędzej czy później po wszystkich tych stadiach umiera naprawdę. Ostateczną definitywną śmiercią. Następuje koniec. Człowiek zmienia się w pył i po prostu znika. Od takiej perspektywy wieczności może się zrobić słabo, prawda?

– Wygląda na to, że Andrew pozostawił ci w spadku coś więcej niż tylko smoking – stwierdził Harry.

– To tak łatwo usłyszeć? – roześmiał się Toowoomba.

– Przemawia przez ciebie głos twego mistrza – powiedział Harry. – Facet powinien być zostać pastorem.

Zatrzymali się przy zakurzonej niedużym samochodzie, najwyraźniej należącym do Toowoombi.

– Posłuchaj, Toowoomba – powiedział nagle Harry wiedziony impulsem. – Może się zdarzyć, że będę potrzebował kogoś, kto dobrze znał Andrew i sposób jego myślenia, rozumiał, dlaczego postępował tak, a nie inaczej. – Wyprostował się, ich spojrzenia się spotkały. – Wydaje mi się, że ktoś zabił Andrew.

– Bzdura! – zirytował się Toowoomba. – Tobie się nie wydaje, ty to wiesz. Wszyscy, którzy znali Andrew, wiedzą, że on nigdy dobrowolnie nie opuścił imprezy. A dla niego życie było największą imprezą. Nie znam nikogo, kto kochałby je bardziej niż on. Bez względu na to, co ono z nim zrobiło. Gdyby był gotów do odejścia, to miał mnóstwo innych okazji i powodów do tego już wcześniej.

– To znaczy, że jesteśmy zgodni – powiedział Harry.

– Prawie zawsze zastaniesz mnie pod tym numerem. – Toowoomba naskrobał coś na pudełku od zapalek. – To numer komórki.

Odjechał na północ swoim starym białym holdenem. Harry zaproponował Birgicie, że poprosi któregoś z kolegów o podrzucenie do miasta. Wyglądało jednak na to, że większość już pojechała. Nagle jednak zatrzymał się przed nimi stary elegancki buick. Kierowca opuścił szybę i wystawił czerwoną twarz z przyciągającym uwagę nosem. Przypominał kartofel, w którym rosło kilka innych kartofli, a był przy tym

jeszcze czerwieniszy niż reszta twarzy i pokryty delikatną siateczką żyłek.

– Jedziecie do miasta? – spytał i zaprosił ich do samochodu. – Nazywam się Jim Connolly. To moja żona, Claudia – powiedział, kiedy usadowili się już na szerokim tylnym siedzeniu. Drobniutka ciemna twarz z promiennym uśmiechem odwróciła się do nich z przedniego siedzenia. Kobieta wyglądała na Indiankę i była tak maleńka, że głowa ledwie wystawała jej ponad oparcie.

Jim przyjrzał się Harry'emu i Birgitcie w lusterku.

– Przyjaciele Andrew? Koledzy z pracy? – Ostrożnie prowadził limuzynę żwirową alejką, a Harry wyjaśniał, jak się sprawy mają.

– Aha, a więc jesteście z Norwegii i ze Szwecji. To daleko stąd. Ale prawie wszyscy w tym kraju pochodzą z jakiegoś dalekiego miejsca. Weźcie na przykład Claudię. Jest z Wenezueli. Z tego kraju, skąd są wszystkie miss. Ile tytułów Miss Universum macie, Claudio? Łącznie z twoimi, cha, cha, cha! – śmiał się tak, że oczy zniknęły mu wśród zmarszczek, a Claudia mu wtórowała.

– Jestem Australijczykiem – ciągnął Jim. – Mój prapradziadek przybył tu z Irlandii. Był mordercą i złodziejem, cha, cha, cha! Wiedzieliście, że kiedyś ludzie nie chcieli się przyznawać do pochodzenia od skazańców, chociaż przestępstwo popełniono ponad dwieście lat temu? Ale ja zawsze byłem z tego dumny. To oni z grupką marynarzy i żołnierzy zbudowali ten kraj. Mówimy, że to kraj szczęściarzy. Tak, tak, świat się zmienia. Słyszałem, że ostatnio wyszukiwanie skazańców wśród przodków jest w modzie. Okropne to, co się stało z Andrew, prawda?

Jim był rogiem obfitości słów. Harry'emu i Birgitcie udawało się wtrącić niewiele zdań, a im więcej mówił, tym wolniej jechał. Jak David Bowie na starym magnetofonie na baterie, który Harry dostał kiedyś od ojca. Kiedy podkreśliło się dźwięk, taśma przesuwała się wolniej.

– Andrew i ja boksowaliśmy razem podczas tournée Jima Chiversa. Wiedzieliście, że Andrew nigdy nie miał złamanego nosa? Tak, tak, tej satysfakcji nikt mu nie odebrał. Aborygeni z natury mają płaskie nosy, więc pewnie nikt się nad tym nie zastanawiał, ale Andrew był w środku wspinałym człowiekiem. Chłop z kośćcami i sercem na właściwym miejscu. Jeśli oczywiście serce może zostać na swoim miejscu u kogoś, kogo

władze porwały od rodziców jako noworodka. A z całą pewnością serce mu pękło po tej awanturze w związku z mistrzostwami Australii w Melbourne, chyba o tym słyszeliście? Cholera, tyle wtedy stracił! – Jechali teraz mniej niż czterdzieści na godzinę. – Ta dziewczyna mistrza, Campbella, gotowa była czołgać się przed Andrew, ale pewnie przez całe życie była taka piękna, że nigdy nie nauczyła się, jak znieść odmowę. Gdyby tak było, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale kiedy tamtego wieczoru zapukała do drzwi pokoju Andrew w hotelu, a on uprzejmie kazał jej się wynosić, nie wytrzymała tego, tylko poszła prosto do swojego chłopaka i oświadczyła, że Andrew ją napastował. Zadzwonili do niego na górę i kazali mu zejść do kuchni. Wciąż krążą legendy o tamtej bitwie. Po tym życie Andrew skrzyło na boczny tor, ale jego nosa nigdy nie dostali. Cha, cha, cha! Jesteście parą?

– Nie całkiem. – Harry przemógł się, by to powiedzieć.

– A tak wyglądacie. – Jim popatrzył na nich w lusterku. – Może sami o tym nie wiecie, ale chociaż jesteście trochę przybici powagą chwili, to macie w sobie ten żar. Mogę się mylić, ale wyglądacie jak Claudia i ja, gdy byliśmy w sobie świeżo zakochani w pierwszych dwudziestu, trzydziestu latach. Cha, cha, cha! Teraz po prostu się kochamy, cha, cha, cha!

Claudia popatrzyła na męża błyszczącymi oczami.

– Poznałem Claudię podczas jednego z tournée. Była kobietą-wężem. Do dzisiaj potrafi się złożyć jak papierowa koperta, więc nie bardzo rozumiem, po co mi ten wielki buick, cha, cha, cha! Zalecałem się do niej codziennie przez cały rok, zanim pozwoliła mi się choćby pocałować. A potem powiedziała mi, że zakochała się we mnie od pierwszego wejrzenia. Już samo to było sensacją, zważywszy, że mój nos już wtedy dostał większe lanie niż nos Andrew przez całe życie. Ale żeby odgrywała cnotkę przez cały długi okropny rok? Kobiety czasami przyprawiają mnie o obłądny strach. Co ty na to, Harry?

– No tak, rozumiem, o co ci chodzi.

Popatrzył na Birgittę. Uśmiechała się leciutko.

Po trzech kwadransach na trasie, która zwykle zajmuje dwadzieścia minut, skręcili pod ratusz, gdzie Harry i Birgitta podziękowali za podwiezienie i wysiedli. Wiatr dotarł również do miasta. Stanęli wśród

jego porywów, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Bardzo niezwykła para – stwierdził wreszcie Harry.

– To prawda – przyznała Birgitta. – Są szczęśliwi.

Wściekły podmuch szarpnął drzewem w parku, Harry'emu wydało się, że widzi włochaty cień szukający schronienia.

– Co teraz robimy? – spytał.

– Pójdiesz ze mną do domu.

– Dobrze.

## 17. MARTWE MUCHY, SPLATA DŁUGU I PRZYŃĘTA

Birgitta wsunęła Harry'emu papierosa do ust i zapaliła.

– Zasłużyłeś – powiedziała.

Harry sprawdził. Rzeczywiście nie czuł się najgorzej. Naciągnął na siebie prześcieradło.

– Wstydzisz się? – zaśmiała się Birgitta.

– Nie podoba mi się to twoje pożądlive spojrzenie – odparował Harry.

– Może nie wierzysz, ale ja nie jestem maszyną.

– Nie? – Birgitta ukąsiła go w dolną wargę. – Mógłbyś mnie oszukać. Ten stempel...

– Już dobrze, dobrze. Nie musisz być wulgarna akurat w chwili, kiedy życie jest piękne jak z obrazka.

Przytuliła się do niego i położyła mu głowę na piersi.

– Obiecałeś mi dalszy ciąg historii – szepnęła.

– No tak. – Harry zaciągnął się dymem. – Jak to było? Opowiem ci o początku. Kiedy chodziłem do ósmej klasy, do równoległej klasy przyszła nowa dziewczyna. Miała na imię Kristin. Wystarczyły trzy tygodnie, żeby ona i mój najlepszy kumpel, Terje, który miał najbielsze zęby w szkole i grał w zespole na gitarze, zostali oficjalną autoryzowaną parą. Problem polegał tylko na tym, że to była dziewczyna, na którą czekałem całe życie.

Urwał.

– I co zrobiłeś? – dopytywała się Birgitta.

– Nic. Czekałem dalej. Powoli stałem się tym kumplem Terjego, z którym tak świetnie jej się o wszystkim gadało i któremu mogła się zwierzyć, kiedy coś między nimi się psuło. Nie miała przy tym świadomości, jak bardzo go to cieszy, i że on tylko czeka na moment, kiedy będzie mógł zaatakować. – Roześmiał się. – Boże, jak ja siebie nienawidziłem!

– Jestem głęboko wstrząśnięta – mruknęła Birgitta, czule gładząc go po włosach.

– Pewien kumpel zaprosił całe towarzystwo do opuszczonej zagrody

dziadków w ten sam weekend, kiedy zespół Terjego miał występ. Piliśmy wino domowej roboty, a my z Kristin do późnej nocy siedzieliśmy na kanapie i rozmawialiśmy. Po jakimś czasie postanowiliśmy spenetrować ten wielki dom i poszliśmy na strych. Były tam zamknięte drzwi, ale Kristin znalazła klucz, który wisiał na gwoździu, i otworzyła. Położyliśmy się obok siebie na kołdrze w krótkim łóżku z podsufitką. W zagłębieniach kołdry leżała warstwa czegoś czarnego, przeraziłem się, kiedy zobaczyłem, że to zdechłe muchy. Musiały ich być tysiące. Widziałem jej twarz tuż przy swojej na białej poduszce w obramowaniu z martwych much, spowitą niebieskobiałym światłem księżyca w pełni, które wpadało przez okno. Jej skóra wydawała się w nim przezroczysta.

– Buu! – zawołała Birgitta, rzucając się na niego.

Długo na nią patrzył.

– Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Leżeliśmy nieruchomo i niczego nie słuchaliśmy. W ciągu nocy kilka razy drogą przejechał samochód. Światła reflektorów omiotły sufit, a przez pokój przebiegły dziwaczne cienie. Dwa dni później Kristin zerwała z Terjem.

Harry obrócił się na bok, plecami do Birgitty. Wtuliła się w niego.

– Co było dalej, Valentino?

– Kristin i ja zaczęliśmy się spotykać w tajemnicy. Do czasu, aż nie dało się tego dłużej ukrywać.

– A jak przyjął to Terje?

– No cóż, czasami ludzie reagują tak jak w podręczniku. Terje kazał kumplom wybierać, on albo ja. I zgadnij, jaki był wynik tych wyborów. Oczywiście na korzyść tego z najbielszymi zębami w całej szkole.

– To musiało być okropne. Czuleś się samotny?

– Nie wiem, co było gorsze. I kogo bardziej było mi żal, Terjego czy siebie.

– Ty i Kristin mieliście przynajmniej siebie nawzajem.

– Tak, ale w pewnym sensie cała magia gdzieś przepadła. Kobieta idealna umarła.

– Co masz na myśli?

– Miałem dziewczynę, która porzuciła faceta dla jego najlepszego przyjaciela.



– A dla niej byłeś facetem, który bez skrępowań wykorzystał przyjaciela, żeby ją zdobyć.

– No właśnie. I to już na zawsze miało tkwić między nami. Wprawdzie skryte nieco pod powierzchnią, lecz przez cały czas żarzyło się niewypowiedzianą wzajemną pogardą, jakbyśmy byli współsprawcami brudnego mordy.

– No dobrze, musiałeś zadowolić się związkim, w którym nie wszystko było doskonałe. Witamy w rzeczywistości.

– Nie zrozum mnie źle. Wydaje mi się, że nasze wspólne grzechy pod wieloma względami mocniej związały nas ze sobą. I myślę, że przez pewien czas naprawdę mocno się kochaliśmy. W niektóre dni byliśmy... doskonali. Jak dwie krople wody. Jak piękny obraz.

– Lubię, kiedy opowiadasz, Harry – roześmiała się Birgitta. – Oczy ci błyszczą, gdy mówisz takie rzeczy. Jak gdybyś znów tam był. Tęsknisz za tymi czasami?

– Za Kristin? – zastanowił się Harry. – Czasami tęsknię za czasem, który wspólnie przeżywaliśmy. Ale za Kristin? Ludzie się zmieniają. Osoba, za którą się tęskni, być może już nie istnieje. Cholera, człowiek sam też się zmienia! Kiedy już się coś przeżyło, to jest za późno, już nigdy nie będzie się tego przeżywać po raz pierwszy. To smutne, ale tak jest.

– Na przykład pierwszej miłości? – spytała Birgitta cicho.

– Na przykład pierwszej miłości – powtórzył Harry i pogładził ją po policzku. Potem znów nabrał powietrza. – Muszę cię o coś prosić, Birgitto. O pewną przysługę.

Muzyka ogłuszała i Harry musiał nachylać się do Teddy'ego, żeby słyszeć, co mówi. Teddy opowiadał o swojej nowej gwiazdce o imieniu Melissa, dziewiętnastolatce, która rzuciła na kolana cały lokal. Harry przyznawał, że nie ma w tym przesady.

– Sława. To jest najważniejsze, wiesz – stwierdził Teddy. – Możesz się ogłaszać i reklamować, ile tylko chcesz, ale koniec końców, sprzedaje się tylko jedna rzecz: sława.

A sława najwyraźniej się rozniosła, bo po raz pierwszy od dawna

w klubie było prawie pełno. Po kowbojskim numerze Melissy z lassem mężczyźni stawali na krzesłach i nawet damska mniejszość uprzejmie ją oklaskiwała.

– Spójrz – powiedział Teddy. – To wcale nie dlatego, że to nie jest klasyczny striptiz, bo przecież widać, że jest, wiesz. Mieliśmy tuzin dziewczyn, wykonujących dokładnie ten sam numer, a publiczność nawet nie mrugnęła. Powody, dla których ten występ się różni, są dwa: niewinność i zaangażowanie.

Z doświadczenia jednak Teddy wiedział, że takie fale popularności to z reguły stadium przemijające. Po pierwsze, publiczność stale szuka czegoś nowego, po drugie, branża wykazuje tendencję do pożerania swoich własnych dzieci.

– Dobry striptiz wymaga entuzjazmu, wiesz. – Teddy przekrzykiwał rytm muzyki disco. – Mało która z tych dziewczyn potrafi utrzymać entuzjazm przy tak ciężkiej pracy. Cztery występy każdego pieprzonego dnia, wiesz. Zaczynają się nudzić i zapominają o publiczności. Widziałem to już za dużo razy. Bez względu na to, jak są popularne, wytrenowane oko bez trudu dostrzeże, kiedy jakaś gwiazda jest już skończona.

– Jak to widać?

– No cóż, to tancerki, prawda? Muszą słuchać muzyki, wczuwać się w nią, wiesz. Kiedy zaczynają być zbyt pewne siebie i odrobinę wyprzedzają rytm, to nie jest, jak mogłoby się wydawać, oznaka nadgorliwości, przeciwnie, to znak, że są znudzone i wkrótce będą skończone. W dodatku podświadomie skracają ruchy, raczej je zapowiadając niż wykonując. Trochę tak jak ludzie, którzy opowiadają ten sam dowcip zbyt wiele razy. Zaczynają opuszczać drobne, ale ważne szczegóły, dzięki którym śmiejesz się przy puencie. Z takimi rzeczami trudno jest coś zrobić. Trudno jest kłamać mową ciała i to się przenosi na publiczność, wiesz. Dziewczyna dostrzega problem i żeby trochę poprawić występ, żeby się rozluźnić, wypija przed wyjściem na scenę kilka drinków. Czasami za dużo. A potem... – Teddy przyłożył palec do dziurki od nosa i wciągnął powietrze.

Harry pokiwał głową. Historia brzmiała znajomo.

– Odkrywa proszek, który, w przeciwieństwie do alkoholu, ją ożywia,

i który ponadto, jak słyszała, działa odchudzająco. Po pewnym czasie musi brać więcej, żeby poczuć ożywienie niezbędne, by dać z siebie wszystko każdego wieczoru. Po pewnym czasie musi brać, żeby w ogóle wyjść na scenę, i z czasem skutki stają się widoczne. Czuje, że traci zdolność koncentracji, i zaczyna nienawidzić wrzasków pijanej publiczności. A pewnego dnia po prostu schodzi ze sceny, wściekła i zapłakana. Kłóci się z menedżerem, bierze tydzień urlopu i wraca. Ale nie jest już w stanie wczuć się w atmosferę tak jak kiedyś. Nie potrafi karmić wewnętrznej świadomości, która pomagała jej odpowiednio wymierzyć ruchy. W sali robi się coraz puściej i w końcu przychodzi pora na ulicę i nowy rodzaj pracy.

Tak, Teddy rzeczywiście się na tym znał. Ale to wszystko na razie należało do przyszłości. Teraz chodziło o jak najdokładniejsze wydojenie krowy, która stała dzisiaj na scenie z wielkimi krowimi oczyma, pełnymi wymionami i była prawdopodobnie, zważywszy na wszystko, bardzo szczęśliwą krową.

– Nie uwierzysz, kto tu przychodzi podrywać nasze nowe talenty – zarechotał Teddy, otrzepując kłapy marynarki. – Niektórzy są z twojej branży, i to wcale nie posterunkowi.

– Mały striptiz nikomu nie zaszkodzi.

– No cóż – powiedział Teddy z namysłem. – Dopóki są w stanie pokryć później szkody, to drobne zadrapania się zagoją.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic takiego – odparł Teddy. – Ale dość już o tym. Co cię znów sprowadza w te okolice, konstablu?

– Dwie rzeczy. Dziewczyna, którą znaleziono w Centennial Park, okazała się mniej niewinna, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Badania krwi wykazały obecność amfetaminy, a bliższe sprawdzenie przyprowadziło nas tutaj. Stwierdziliśmy, że występowała tu na scenie tego wieczoru, w którym zaginęła.

– Tak, Barbara. Tragiczna historia, prawda? – Teddy próbował zrobić smutną minę. – Fajna dziewczyna, chociaż nie była utalentowaną striptizerką. Znaleźliście coś?

– Mieliliśmy nadzieję, że może ty będziesz mógł nam pomóc, Mongabi.

Teddy nerwowo przeciągnął dłonią przez czarną falę włosów.

– Przykro mi, konstablu, ona nie była z mojej stajni. Pogadaj z Sammym, on na pewno zjawi się później.

Na moment rozdzieliła ich para ogromnych, obciążonych satyną cycków. Kiedy zniknęły, przed Harrym stał kolorowy drink.

– Powiedziałeś, że przyszedłeś tu z dwóch powodów, konstablu. Jaki jest ten drugi?

– A, to najzupełniej prywatna sprawa, Mongabi. Ciekaw jestem, czy widziałeś już kiedyś mojego kumpla, który tam stoi. – Harry wskazał na bar. Wysoka czarna postać w smokingu pomachała do nich. Teddy pokręcił głową.

– Jesteś całkiem pewien, Mongabi? On jest dość sławny. Wkrótce zostanie mistrzem Australii w boksie.

Zapadła cisza. Teddy Mongabi uciekł wzrokiem.

– Co ty mi próbujesz...

– Oczywiście w wadze ciężkiej. – Harry wśród parasolek i plasterków cytryny w drinku z soku owocowego odnalazł słomkę i pociągnął łyk.

Teddy uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Posłuchaj, konstablu, o ile się nie mylę, to właśnie ucieliśmy sobie przyjemną pogawędkę.

– Oczywiście, że tak – uśmiechnął się Harry. – Ale nie można żyć samymi tylko przyjemnościami, prawda? A przyjemności właśnie się skończyły.

– Posłuchaj, konstablu Holy. Nie uważam tego, co wydarzyło się ostatnio, za przyjemniejsze niż ty. Bardzo mi z tego powodu przykro. Ale musisz przyjąć na siebie część winy, dobrze wiesz. Kiedy wszedłeś tu dziś wieczorem i usiadłeś, myślałem, że tak jak ja wychodzisz z założenia, że tamto było, minęło. Wydawało mi się, że możemy być zgodni co do wielu rzeczy. Wiesz, obaj mówimy tym samym językiem.

Muzyka disco nagle się urwała, na sekundę zapadła cisza. Teddy zamilkł. Rozległ się odgłos głośnego siorbnięcia, kiedy Harry wessał przez słomkę resztki soku owocowego ze szklanki.

Teddy przełknął ślinę.

– Wiem na przykład, że Melissa nie ma żadnych szczególnych planów

na resztę wieczoru – spojrzał błagalnie na Harry'ego.

– Dziękuję, Mongabi. Doceniam troskę. Ale akurat w tej chwili nie mam czasu. Najpierw muszę się uporać z tym, a później stąd wyjść. – Wyciągnął spod marynarki wielką policyjną pałkę gumową z rączką. – Tak nam się cholernie spieszy, że nie wiem, czy zdążę cię porządnie zlać.

– Co, u diab...

Harry wstał.

– Mam nadzieję, że Geoff i Ivan są dziś wieczorem na dyżurze. Mój kumpel miał wielką ochotę się z nimi spotkać. Wiesz.

Teddy próbował podnieść się z krzesła.

– Zamknij oczy – powiedział Harry i uderzył.

– Tak?

– Halo, czy to Evans?

– Być może. Kto pyta?

– Cześć, mówi Birgitta. Szwedka, koleżanka Inger, no wiesz. Widzieliśmy się kilka razy w The Albury. Mam długie jasne rudawe włosy. Przypominasz sobie?

– Oczywiście, że cię pamiętam. Birgitta, tak? Jak się masz? Skąd zdobyłaś ten numer?

– U mnie wszystko w porządku. Raz lepiej, raz gorzej, wiesz. Trochę mi smutno z powodu tego, co się stało z Inger. Ale ty o tym wszystkim sam wiesz, nie będę cię dręczyć. Numer dostałam od Inger, na wypadek gdybyśmy szukali jej w Nimbin.

– Aha.

– Tak się składa, że wiem, że masz coś, czego potrzebuje, Evans.

– Tak?

– Pewnej rzeczy.

– Rozumiem. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale raczej nie mam tego, czego szukasz. Posłuchaj... hm... Birgitto...

– Ty nie rozumiesz. Muszę się z tobą zobaczyć!

– Spokojnie. To, czego potrzebujesz, może ci załatwić setka innych ludzi. Pamiętaj, że rozmawiamy przez telefon. Uważaj, żebyś nie

powiedziała czegoś, czego nie powinnaś. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc.

– To, czego potrzebuję, zaczyna się na „m”, a nie na „h”. I tylko ty to masz.

– Bzdura!

– Wiem, że są jacyś inni, ale ja nikomu nie ufam. Kupuję nie tylko dla siebie, potrzeba mi dużo i dobrze zapłacę.

– Jestem teraz trochę zajęty, Birgitto. Bardzo proszę, nie dzwoń do mnie więcej tutaj.

– Chwileczkę! Mogę... Wiem parę rzeczy. Wiem, co lubisz.

– Co lubię?

– Co lubisz naprawdę. Co cię podnieca.

– Zaczekaj chwilę... Przepraszam, musiałem tylko kogoś stąd wyprowadzić. Ciągłe marudzenie. Co więc, twoim zdaniem, lubię, Birgitto?

– Nie mogę o tym mówić przez telefon, ale... ale mam jasne włosy i... ja też to lubię.

– Mój Boże, przyjaciółki! Nigdy nie przestaniecie mnie dziwić. Naprawdę sądziłem, że Inger potrafi milczeć na taki temat.

– Kiedy mogę się z tobą spotkać, Evans? Spiesz mi się.

– Przyjeżdżam do Sydney pojutrze, ale może złapałbym jakiś wcześniejszy samolot...

– Tak.

– Hm...

– Kiedy możemy...

– Cicho, Birgitto, myślę. No dobrze, słuchaj uważnie. Jutro wieczorem, o ósmej. Idź na Darlinghurst Road. Zatrzymaj się przy Hungry Johnie po lewej i rozejrzyj za czarnym holdenem z przydymionymi szybami. Jeśli go tam nie będzie do wpół do dziewiątej, możesz wracać do domu. Tylko pamiętaj o tym, żeby pokazać mi swoje włosy.

– Ostatni raz? Cóż, Kristin zadzwoniła do mnie nagle pewnej nocy. Chyba była trochę pijana. Skrzyczała mnie, nie pamiętam już za co. Pewnie

za to, że zniszczyłem jej życie. Często twierdziła, że bliscy jej ludzie popsuli coś, co tak wspaniale zaplanowała.

– Tak bywa z dziewczynkami, które w dzieciństwie za dużo same bawiły się lalkami – przerwała mu Birgitta.

– Może. Ale jak już mówiłem, nie pamiętam, o co chodziło. Sam nie byłem trzeźwy.

Harry uniósł się na łokciach na piasku i popatrzył na morze. Fale napływały, bielily się na szczytach i piana na moment zawisała w powietrzu, a potem, połyskując w słońcu jak potłuczone szkło, opadała na skały przy Bondi Beach.

– Ale później raz się z nią widziałem. Odwiedziła mnie w szpitalu po wypadku. W pierwszej chwili wydawało mi się, że śnię, kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem, że siedzi przy łóżku. Błada, prawie przezroczysta. Była tak samo piękna jak wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Birgitta uszczypnęła go w fałdkę tłuszczu na boku.

– Przesadzam? – spytał Harry.

– Nie, mów dalej. – Leżała na brzuchu i się śmiała.

– Co to ma znaczyć? Oczekuję od ciebie bodaj odrobiny zazdrości, kiedy opowiadam ci w taki sposób o swojej dawnej dziewczynie. Nie rozumiesz? A ty co? Z im większymi szczegółami przedstawiam ci swoją romantyczną przeszłość, tym bardziej ci się to podoba.

Birgitta popatrzyła na niego zmrużonymi oczami znad ciemnych okularów.

– Z przyjemnością odkrywam, że mój gliniarz macho miał jakieś życie uczuciowe, chociaż ten etap ma już za sobą.

– Za sobą? A jak nazwiesz to, co jest teraz?

Roześmiała się.

– To dojrzały, przemyślany wakacyjny romans, z zachowaniem odpowiedniego dystansu i z odpowiednią ilością seksu, żeby wart był zachodu.

Harry pokręcił głową.

– To nieprawda, Birgitto, dobrze o tym wiesz.

– Wiem, wiem, ale to w porządku, Harry. Teraz już w porządku. Przez

krótką chwilę miałam tylko trudniejszy okres. Opowiadaj dalej! Jak się zanadto roznamiętnisz w szczegółach, dam ci znać. W dodatku odwdzięczę ci się opowieścią o swoim byłym chłopaku. – Z zadowoloną miną obróciła się na ciepłym piasku. – To znaczy o byłych chłopakach.

Harry otrzepał jej z piasku białe plecy.

– Pewna jesteś, że się nie spalisz? To słońce i twoja skóra...

– To pan mnie smarował, panie Hole.

– Nie wiem tylko, czy faktor słoneczny jest dostatecznie wysoki. No dobrze, zapomnijmy o tym. Po prostu nie chcę, żebyś się spaliła.

Harry popatrzył na jej wrażliwą na słońce skórę. Kiedy poprosił ją o przysługę, zgodziła się natychmiast, bez chwili wahania.

– Daj już sobie spokój, tatuśku, i opowiadaj!

Wentylator nie działał.

– Cholera, przecież jest nowy! – Wadkins walił w tył urządzenia, na zmianę włączając je i wyłączając. Bez skutku. Wentylator był teraz niemym kawałkiem aluminium i martwej elektroniki.

– Zostaw to, Larry! – burknął w końcu McCormack. – Poproś Laureę, żeby załatwiła jakiś nowy. Jest D-day i mamy na głowie ważniejsze rzeczy. Larry?

Wadkins zirytowany odstawił wiatrak.

– Wszystko gotowe, *sir*. Będziemy mieć w okolicy trzy samochody. Panna Enquist zostanie wyposażona w nadajnik radiowy, żebyśmy w każdej chwili wiedzieli, gdzie się znajduje, i w mikrofon, żebyśmy mogli ocenić sytuację. Plan jest taki, że zabierze White'a do siebie do domu, gdzie będziemy już czekali we trzech, Holy, Lebie i ja, odpowiednio w szafie w sypialni, na balkonie i w korytarzu przy mieszkaniu. Jeżeli coś się stanie w aucie albo pojedą gdzie indziej, ruszą za nimi trzy samochody.

– A taktyka?

Yong poprawił okulary.

– Jej zadanie to skłonienie go do powiedzenia czegoś o morderstwach, *sir*. Zaszantażuje go, mówiąc, że pójdzie na policję z tym, co o jego zwyczajach erotycznych opowiedziała jej Inger Holter. Kiedy



White poczuje, że ona się nie ugnie, może się na coś zdecydować.

– Jak długo czekamy z wejściem?

– Dopóki nie będziemy mieć konkretnych dowodów na taśmie, a w najgorszym razie do chwili, gdy ją zaatakują.

– Ryzyko?

– Akcja oczywiście nie jest pozbawiona ryzyka, ale uduszenie człowieka wymaga czasu. Przez cały czas będą nas od niego dzielić sekundy.

– A jeśli on ma broń?

Yong wzruszył ramionami.

– O ile wiemy, byłoby to bardzo nietypowe zachowanie, *sir*.

McCormack wstał i zaczął swoją wędrówkę po niewielkim pomieszczeniu. Przypominał Harry'emu starego tłustego lamparta, którego jako dziecko widział w zoo. Zwierzę miało tak małą klatkę, że przednia połowa ciała musiała skręcać, zanim tylna zakończyła poprzedni zakręt. W przód i w tył, w przód i w tył.

– A jeśli będzie domagał się seksu, zanim coś powie? Albo zanim coś się stanie?

– Ona odmówi. Powie, że zmieniła zdanie. Że tak tylko mówiła, aby go nakłonić do załatwienia jej morfiny.

– A potem pozwolimy mu odejść?

– Nie będziemy robić plusku, dopóki nie będziemy mieli pewności, że możemy go zwinąć.

McCormack nakrył górną wargę dolną.

– Dlaczego ona się zgodziła?

Zapadła cisza.

– Ponieważ nie lubi gwałcicieli i morderców – powiedział wreszcie Harry po dłuższej przerwie. – Zwłaszcza gdy zabijają ludzi, których zna.

– A poza tym?

Tym razem przerwa była jeszcze dłuższa.

– Ponieważ ja ją o to poprosiłem – oświadczył w końcu Harry.

– Mogę ci przeszkodzić, Yong?

Yong Sue z uśmiechem uniósł głowę znad komputera.

– Jasne, stary.

Harry opadł na krzesło. Pracowity Chińczyk dalej stukał w klawiaturę, jednym okiem patrząc na ekran, a drugim na niego.

– Dobrze by było, gdyby to mogło zostać między nami, Yong, ale straciłem wiarę.

Yong przestał stukać.

– Uważam, że Evans White to ślepy tor – ciągnął Harry.

– Dlaczego?

– Trochę trudno to wyjaśnić, ale o paru rzeczach nie potrafię przestać myśleć. Andrew próbował mi coś powiedzieć w szpitalu. I wcześniej też.

Harry urwał, więc Yong skinieniem głowy zachęcił go do dalszego mówienia.

– Próbował dać mi do zrozumienia, że rozwiązanie leży bliżej, niż mi się wydaje. Mam wrażenie, że sprawcą jest osoba, której Andrew z jakiegoś powodu nie mógł zwinąć sam. Że potrzebował do tego kogoś z zewnątrz. Na przykład mnie. Norwega, który wpada tylko na chwilę i wraca następnym samolotem. Tak właśnie myślałem, kiedy uznałem, że mordercą jest Otto Rechnagel i że Andrew chciałby, aby zatrzymał go ktoś inny, ponieważ był jego bliskim przyjacielem. W głębi ducha jednak uważałem, że coś tu się nie zgadza. Teraz już rozumiem, że Andrew nie chodziło o niego, tylko o kogoś innego.

Yong chrząknął.

– Wcześniej o tym nie wspominałem, Harry, ale zareagowałem, kiedy Andrew przyszedł z tą rewelacją o świadku, który ponoć widział Evansa White'a w Nimbin w dniu, kiedy popełniono morderstwo. Teraz przyszło mi do głowy, że Andrew mógł mieć inny powód, by odciągnąć uwagę od White'a, a mianowicie to, że White miał na niego haka. Wiedział, że Andrew jest heroinistą. Mógł go wykopać z policji i wsadzić do więzienia. Nie podoba mi się ta myśl, ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że Andrew i White mogli w tej sprawie się umówić?

– To się zaczyna komplikować, Yong, ale... Tak, rzeczywiście rozważałem taką możliwość. I odrzuciłem ją. Pamiętaj, że to Andrew z własnej woli postarał się, abyśmy zidentyfikowali i odnaleźli Evansa

White'a na podstawie tego zdjęcia.

– Hm? – Yong podrapał się w tył głowy ołówkiem. – Pewnie poradzilibyśmy sobie bez niego, ale dłużej by to potrwało. Wiesz, ile jest procent szansy na to, że mordercą jest druga strona w związku? Pięćdziesiąt osiem. Andrew wiedział, że zaangażujemy wielkie siły do odszukania tajemniczego chłopaka Inger Holter po tym, jak przetłumaczyłeś ten list. Jeśli więc naprawdę chciał chronić White'a, a jednocześnie to ukrywać, równie dobrze mógł nam pomóc. Dla zachowania pozorów. Nie zdziwiło cię na przykład to, że bez najmniejszego trudu rozpoznał kilka ścian domów z miejsca, w którym przebywał otepiiony marihuaną sto lat temu?

– Może masz rację, Yong, nie wiem. Tak czy owak, uważam, że nie ma sensu zasiewać wątpliwości teraz, kiedy chłopcy wiedzą, co mają robić. Może mimo wszystko Evans White jest człowiekiem, którego szukamy. Ale gdybym naprawdę tak myślał, to nigdy w życiu nie poprosiłbym Birgitty, żeby próbowała się z nim spotkać.

– Więc jak sądzisz, kto jest mordercą?

– Kto jest nim tym razem, to chcesz powiedzieć?

Yong uśmiechnął się.

– Mniej więcej.

Harry potarł brodę.

– Już dwa razy dzwoniłem na alarm. Po dwóch fałszywych alarmach na trzeci już nikt nie reaguje, prawda? Dlatego tym razem muszę mieć całkowitą pewność.

– Dlaczego przychodzisz do mnie, Harry? Dlaczego nie do któregoś z szefów?

– Ponieważ ty możesz zrobić dla mnie parę rzeczy. Dyskretnie coś sprawdzić i znaleźć potrzebne mi dane w taki sposób, żeby nikt inny tutaj się o tym nie dowiedział.

– Nikt ma o tym nie wiedzieć?

– Wiem, że to może się wydać śmieszne, i wiem, że masz więcej do stracenia niż inni. Ale jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc, Yong. I co ty na to?

Yong długo patrzył na Harry'ego.

- Czy to ci pomoże znaleźć mordercę, Harry? – spytał wreszcie.
- Mam nadzieję, że tak.

## 18. AKCJA

– *Bravo*, odezwij się!

W radiu zatrzeszczało.

– Radio działa jak trzeba! – krzyknął Lebie. – Jak tam w środku?

– W porządku – odparł Harry.

Siedział na zaścienionym łóżku i patrzył na zdjęcie Birgitty na nocnym stoliku. Była to fotografia z konfirmacji. Birgitta z włosami w lokach i bez piegów, gdyż na prześwietlonym zdjęciu nie były widoczne, wyglądała młodo, poważnie i obco. Nieładnie. Mówiła mu, że trzyma to zdjęcie jako pociechę na złe dni. Stanowiło dowód na to, że mimo wszystko sprawy posunęły się naprzód.

– Jak wygląda plan czasowo? – zawołał Lebie z kuchni.

– Birgitta wychodzi z pracy za piętnaście minut. Chłopcy są teraz w The Albury i mocują na niej mikrofon i nadajnik.

– Odwiozą ją na Darlington Road?

– Nie. Nie wiemy, gdzie jest White. Może przypadkiem zobaczyć, jak Birgitta wysiada z samochodu, i zacząć coś podejrzewać. Ona pójdzie z The Albury piechotą.

Wadkins wszedł z korytarza.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku. Mogę stać za rogiem przy bramie, tak by mnie nie zauważyli, i iść za nimi na górę. Przez cały czas będziemy mieć wzrokowy kontakt z twoją dziewczyną, Holy. Gdzie jesteś, Holy?

– Tu, w środku, *sir*. Słyszałem, dobrze słyhać, *sir*.

– A radio, Lebie?

– Jest kontakt, *sir*. Wszystko na swoim miejscu. Można zaczynać.

Harry raz po raz powtarzał wszystko w myślach, w jedną i w drugą stronę. Przedstawiał sobie kolejne argumenty, starał się obejrzeć wszystko pod każdym kątem i w końcu zdecydował, że nie obchodzi go, że ona

przyjmie to jako beznadziejny banał, dziecinadę albo łatwe wyjście. Rozpakował kupioną wcześniej czerwoną dziką różę i wstawił ją do szklanki z wodą, która stała obok zdjęcia na nocnym stoliku.

Zawahał się przez moment. Może kwiat ją zdenerwuje? Może Evans White zacznie wypytywać, widząc różę przy łóżku? Delikatnie musnął palcem jeden z cierni. Nie, Birgitta zrozumie, że to pocięcha. Ta róża doda jej sił.

Spojrzał na zegarek. Była ósma.

– No, miejmy to już za sobą! – zawołał.

Coś poszło nie tak. Harry nie słyszał, co mówią, ale dochodziły go trzaski z radia w pokoju. Za dużo ich było. Każdy z góry wiedział, co ma robić, gdyby więc wszystko szło zgodnie z planem, nie trzeba by było tyle rozmawiać przez radio.

– Jasna cholera! – zaklął Wadkins.

Lebie zdjął słuchawki i obrócił się do Harry'ego.

– Ona się nie zjawiała – powiedział.

– Co ty mówisz?

– Wyszła z The Albury dokładnie za piętnaście ósma, dojdzie stamtąd do King's Cross nie zabiera więcej niż dziesięć minut. A to było już dwadzieścia pięć minut temu.

– Mówiliście, że przez cały czas będzie na oku.

– Od momentu, kiedy pojawi się na miejscu spotkania. Dlaczego ktoś miałby...

– A co z mikrofonem? Przecież wychodząc, miała łączność?

– Stracili kontakt. Mieli go i nagle się urwał. Żadnego dźwięku.

– Mamy mapę? Którędy ona szła? – Harry mówił cicho i szybko. Lebie wyjął z torby atlas i podał go Harry'emu, który gorączkowo zaczął szukać planu Paddington i King's Cross.

– Którędy miała tam dojść? – spytał Lebie przez radio.

– Najprostsza drogą. Victoria Street.

– To tutaj. Skręt z Oxford Street na Victoria Street obok Saint Vincent Hospital i Green Park, do skrzyżowania, przy którym zaczyna się

Darlinghurst Road, i dwieście metrów dalej do Hungry Johna. Prościej już być nie może, cholera!

Wadkins sięgnął po mikrofon.

– Smith, wyślij dwa samochody na Victoria Street, niech poszukają dziewczyny. Powiadom ludzi z The Albury, żeby pomogli. Jeden samochód ma zostać przy Hungry Johnie, na wypadek gdyby się pojawiła. Pospieszcie się, ale róbcie jak najmniej hałasu! I zgłoście się natychmiast, jak tylko będziecie coś wiedzieć! – Rzucił mikrofonem. – Jasna cholera! Co tu się, u diabła, dzieje? Wpadła pod samochód? Ktoś ją obrabował? Zgwałcił? Cholera!

Lebie i Harry popatrzyli na siebie.

– Może White przypadkiem jechał Victoria Street, zobaczył ją i stamtąd zabrał? – podsunął Lebie. – Przecież już wcześniej spotkał ją w The Albury. Mógł ją rozpoznać.

– Nadajnik radiowy! – zawołał Harry. – On wciąż musi działać.

– *Bravo, Bravo*, tu Wadkins. Macie sygnał z radionadajnika? Tak? Od strony The Albury? To znaczy, że nie może być daleko. Szybko, szybko! W porządku. Bez odbioru.

Trzej mężczyźni siedzieli w milczeniu. Lebie zerkał na Harry'ego.

– Spytaj, czy widzieli samochód Evansa White'a – poprosił Harry.

– *Bravo*, tu Lebie. Co z tym czarnym holdenem? Ktoś go widział?

– Nie.

Wadkins zerwał się z miejsca i zaczął krążyć po pokoju, przeklinając cicho. Harry, odkąd wszedł tutaj, kuczał, dopiero teraz poczuł, jak drżą mu mięśnie ud. W radiu znów zatrzeszczało.

– *Charlie*, tu *Bravo*, odezwij się.

Lebie wcisnął guzik głośnika.

– *Bravo*, tu *Charlie*. Odbiór.

– Mówi Stolz. Znaleźli torebkę z radionadajnikiem i mikrofonem w Green Park. Dziewczyna zniknęła.

– Torebkę? – zdumiał się Harry. – Nie przylepili go jej do ciała?

Wadkins się skrzywił.

– Zapomniałem ci powiedzieć, ale dyskutowaliśmy o tym, co by się stało, gdyby on za bardzo się do niej przystawiał... No, zaczął jej dotykać,

trochę na rozgrzewkę. Panna Enquist przyznała, że lepiej, żeby sprzęt był w torebce.

Harry już włożył marynarkę.

– Dokąd ty idziesz? – spytał Wadkins.

– On na nią czekał – powiedział Harry. – Pewnie szedł za nią od The Albury. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Założę się, że użył szmatki z eterem. Takiej samej, jaką zastosował na Ottonie Rechnaglu.

– Na ulicy? – spytał z powątpiewaniem Lebie.

– Nie, w parku. Idę tam. Znam tam kogoś.

Joseph mrugał i mrugał. Był tak pijany, że Harry miał ochotę się rozplakać.

– Myślałem, że stoją i się całują, Harry.

– Powtarzasz mi to już czwarty raz, Joseph. Jak on wyglądał? Dokąd poszli? Miał samochód?

– Kiedy przechodzili obok, Mikke i ja skomentowaliśmy, że ona jest bardziej pijana niż my. Wydaje mi się, że akurat tego Mikke jej zazdrościł. Chi, chi, poznaj Mikkego. Przyjechał z Finlandii.

Mikke leżał na sąsiedniej ławce i już dawno zasnął.

– Spójrz na mnie, Joseph! Spójrz na mnie! Muszę ich znaleźć! Rozumiesz? Ten facet jest prawdopodobnie mordercą!

– Próbuję, Harry. Naprawdę próbuję. Cholera, tak bym ci chciał pomóc! Joseph zacisnął oczy i jęcząc, pięścią uderzył się w czoło.

– W tym przeklętym parku jest tak ciemno, że mało co widziałem. Wydaje mi się, że on był dość duży.

– Gruby? Wysoki? Jasny? Ciemny? Kulawy? Okulary? Broda? Kapelusz?

Joseph w odpowiedzi przewrócił oczami.

– Masz fajkę, stary? Od papierosa rozjaśni mi się w głowie.

Ale żaden papieros świata nie zdołałby rozwiać alkoholowej mgły spowijającej mózg Josepha. Harry dał mu całą resztę rozpoczętej paczki i poprosił, żeby spytał Mikkego, co zapamiętał, kiedy się obudzi. Nie wierzył jednak, by to coś dało.



Kiedy Harry wrócił do mieszkania Birgitty, była już druga w nocy. Lebie siedział przy radiu i spojrzał na niego ze współczuciem. Powiedział coś, z czego Harry nie zrozumiał ani słowa, ale pokiwał twierdząco głową i odpowiedział:

– Nic. – Osunął się na krzesło.

– Jaka atmosfera w komendzie? – spytał Lebie.

Harry zaczął szukać papierosów i dopiero po chwili przypomniał sobie, że oddał je Josephowi.

– Moment przed chaosem. Wadkins kompletnie traci panowanie. Jeżdżą samochodami z syrenami na full, jak bezgłowe kury, przez pół Sydney. Wiedzą o Whicie jedynie to, że wyjechał z farmy w Nimbin dzisiaj i samolotem o czwartej poleciał do Sydney. Od tej pory już nikt go nie widział.

Poprosił Lebiego o papierosa. Palili w milczeniu.

– Idź do domu, prześpij się parę godzin, Sergej. Ja tu zostanę na noc, na wypadek gdyby Birgitta się pojawiła. Radio zostaw włączone, żebym wiedział, co się dzieje.

– Mogę się przespać tutaj, Harry.

Harry pokręcił głową.

– Wracaj do domu. Zadzwoń i obudzę cię, jak coś się będzie działo.

Lebie nasadził czapkę ze znaczkiem drużyny Bearsów na błyszczącą czaszkę. Jeszcze chwilę zwlekał w drzwiach.

– Znajdziemy ją, Harry. Czuję po sobie. Trzymaj się, stary.

Harry spojrzał na niego. Trudno było stwierdzić, czy Lebie wierzy w to, co mówi.

Gdy tylko Harry został sam, otworzył okno i wyjrzał na dachy domów. Zrobiło się chłodniej, ale powietrze wciąż było łagodne, przesycone zapachem miasta, ludzi i jedzenia ze wszystkich zakątków świata. Była to jedna z najpiękniejszych letnich nocy w jednym z najpiękniejszych miast na ziemi. Popatrzył na gwiazdziste niebo, pokryte nieskończonością drobnych świecących punkcików, które zdawały się pulsować i żyć, gdy popatrzyło się na nie dostatecznie długo. Całe to bezsensowne piękno.

Ostrożnie usiłował wysondować własne uczucia. Ostrożnie, bo nie miał siły, by całkiem dać im się ponieść. Na razie jeszcze nie. Najpierw te dobre.

Tylko trochę. Nie wiedział, czy robi się od nich silniejszy, czy też słabszy. Twarz Birgitty w jego dłoniach, resztki śmiechu wciąż tkwiącego w oczach. I złe uczucia, które musiał teraz trzymać z daleka. Ale sprawdzał je. Jak gdyby chciał wiedzieć, jaką mają siłę.

Miał wrażenie, że siedzi w łodzi podwodnej na dnie zbyt głębokiego morza rozpacz i beznadziejności. Morze napierało, chciało wdrzeć się do środka. Dokoła już zaczęło trzeszczeć i pękać. Pozostawała jedynie nadzieja, że kadłub wytrzyma, że trwający całe życie trening w panowaniu nad sobą wreszcie się na coś przyda. Harry pomyślał o duszach, które po śmierci człowieka zamieniają się w gwiazdy. Ale nie wypatrywał tej jednej konkretnej.

## 19. DWIE ROZMOWY Z MORDERCĄ, KUKABURA I FAZA REM

Po wypadku Harry wielokrotnie zadawał sobie pytanie, czy zamieniłby się, gdyby mógł, i to on był tym, który skasował słupek w płocie przy Sørkedalsveien, miał ceremonialny pogrzeb z umundurowanymi oddziałami policji i rozpaczającymi rodzicami, zdjęcie w korytarzu komendy na Grønland i z czasem stał się wyblakłym, choć drogim sercu wspomnieniem dla kolegów i krewnych. Czy nie była to kusząca alternatywa dla kłamstwa, z którym musiał żyć, pod wieloma względami jeszcze bardziej upokarzającego niż wina i wstyd?

Z pozoru było to bezsensowne, masochistyczne pytanie. Harry jednak czuł, że odpowiedź, do której dojdzie, da mu pewność, niezbędną, by zacząć wszystko od nowa. Bo on by się jednak nie zamienił. Cieszył się, że przeżył.

Każdego ranka budził się w szpitalu, otumaniony tabletkami, pozbawiony myśli, z uczuciem, że stało się coś strasznie złego. Z reguły potrzeba było paru sekund, by jego zaspana pamięć zareagowała, powiedziała mu, kim jest i gdzie się znajduje, i z nieubłaganym okrucieństwem zrekonstruowała całą jego sytuację. Następną myślą jednak było to, że żyje. Że wciąż jest na boisku, że gra się jeszcze nie skończyła. Być może to niewiele, ale Harry'emu akurat wtedy wystarczało.

Po wypisaniu ze szpitala miał wizytę u psychiatry.

„Właściwie przychodzisz nieco zbyt późno” – stwierdził lekarz. „Twoja podświadomość prawdopodobnie już zdążyła wybrać, jak przyjmie to, co się stało, więc na pierwszy wybór nie możemy mieć wpływu. Mogła na przykład zdecydować się na wyparcie wydarzeń. Lecz jeśli zdecydowała się na tak zły wybór, możemy próbować wpłynąć na jej decyzję”.

Harry wiedział jedynie, że podświadomość mówi mu, że dobrze jest żyć, i że nie będzie ryzykował, aby jakiś psychiatra próbował zmienić tę decyzję. Była to więc jego pierwsza, a zarazem ostatnia wizyta w tym gabinecie.

Z czasem przekonał się również, że walka jednocześnie ze wszystkim, co czuł, jest złą taktyką. Po pierwsze, nie wiedział, co czuje, a w każdym razie nie miał pełnego obrazu tych uczuć, więc było to jak drażnienie potwora, którego nawet nie widział. Po drugie, miał lepsze szanse na wygraną, dzieląc wojnę na pomniejszych bitwy, w których mógł mieć pewną kontrolę nad wrogiem, znaleźć jego słabe punkty i z czasem go złamać. To było jak wkładanie papieru do niszczarki. Kiedy się włoży za dużo, maszyna wpada w panikę, zaczyna się krztusić i z suchym trzaskiem umiera. I znowu trzeba zaczynać od początku.

Przyjaciel kolegi z pracy, poznany przez Harry'ego na jednym z rzadkich uroczystych obiadów, na które go zapraszano, był psychologiem zatrudnionym przez gminę. Dziwnie patrzył na Harry'ego, kiedy ten wyłożył mu swoją teorię radzenia sobie z uczuciami. „Wojna?” – spytał. „Niszczarka do papieru?”

Sprawiał wrażenie naprawdę zatroskanego.

Harry otworzył oczy. Przez zasłone sęczyło się pierwsze światło dnia. Spojrzał na zegarek, była szósta. Radio trzeszczało.

– Tu *Delta, Charlie*, odezwij się.

Harry poderwał się z sofy i sięgnął po mikrofon.

– *Delta*, tu *Holy*, co się dzieje?

– Mamy *Evansa White'a*. Dostaliśmy anonimowy cynk od pewnej kobiety, która zauważyła go na *King's Cross*, więc posłaliśmy trzy samochody i zwinęliśmy go. Jest teraz przesłuchiwany.

– I co mówi?

– Wypierał się, dopóki nie puściliśmy mu taśmy z rozmowy z panną *Enquist*. Powiedział, że trzy razy przejechał obok *Hungry Johna* po ósmej białą hondą. Ale zrezygnował, ponieważ jej nie zauważył, i wrócił do mieszkania, z którego korzysta. Później poszedł do nocnego klubu i tam właśnie go znaleźliśmy. Ta dziewczyna, która dała nam cynk, pytała zresztą o ciebie.

– Tak myślałem. Ma na imię *Sandra*. Sprawdziliście jego mieszkanie?

– Jasne. *Nada*. *Nic*. *A Smith* mówi, że widział tę białą hondę, jak

przejeżdżała trzy razy pod Hungry Johnem.

– Dlaczego nie jechał czarnym holdenem, tak jak się umówił?

– Twierdził, że okłamał pannę Enquist na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał go oszukać, wciągnąć w pułapkę. Żeby mógł, nie zwracając na siebie uwagi, zrobić najpierw kilka rundek i przekonać się, czy droga wolna.

– W porządku. Zaraz u was będę. Zadzwoń i obudź innych.

– Oni dopiero dwie godziny temu pojechali do domu. Nie spali całą noc i Wadkins prosił...

– Gównu mnie obchodzi, co mówił Wadkins. Obudź ich!

Wstawiono z powrotem stary wentylator. Trudno było stwierdzić, czy przerwa dobrze mu zrobiła, w każdym razie głośno protestował przeciwko przywróceniu go z emerytury.

Odprawa się skończyła, ale Harry nie ruszał się z pokoju. Na koszuli pod pachami rysowały mu się mokre plamy potu, a przed nim na stole stał telefon.

Zamknął oczy i mruknął do siebie kilka zdań. W końcu podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Halo?

– Mówi Harry Holy.

– Harry? Cieszę się, że tak wczesnie wstałeś, chociaż jest niedziela. Dobry zwyczaj. Czekałem, aż zadzwonisz, Harry. Jesteś sam?

– Tak, jestem sam.

Po obu stronach rozległy się ciężkie oddechy.

– Domyśliłeś się, stary?

– Tak, już jakiś czas temu zrozumiałem, że to ty.

– Dobra robota, Harry. A teraz dzwonicz, ponieważ mam coś, co chciałbyś odzyskać. Tak?

– Tak.

Harry otarł pot.

– Rozumiesz, że musiałem ją zabrać, Harry?

– Nie, tego nie rozumiem.

– Przestań, Harry, nie jesteś głupi. Kiedy usłyszałem, że ktoś zaczyna

coś sprawdzać, wiedziałem, że to ty. Dla twego dobra mam tylko nadzieję, że byłeś na tyle mądry, żeby nie wygadać się przed innymi. Wygadałeś się, Harry?

– Nie wygadałem się.

– No to wciąż masz szansę na odzyskanie swojej rudowłosej przyjaciółki.

– Jak to zrobiłeś? Jak ją dopadłeś?

– Wiedziałem, o której kończy pracę, więc czekałem pod The Albury w samochodzie i pojechałem za nią. Kiedy weszła do parku, pomyślałem, że ktoś powinien jej powiedzieć, że nie należy tamtędy chodzić wieczorem. Wyskoczyłem więc z samochodu i pobiegłem za nią. Dałem jej do powąchania szmatkę, którą miałem przy sobie, a potem musiałem jej pomóc wsiąść do wozu.

Harry zrozumiał, że jego rozmówca nie zauważył nadajnika w torebce.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Sprawiasz wrażenie zdenerwowanego, Harry. Rozluźnij się. Nie zamierzam prosić o wiele. Twoja praca polega na łapaniu morderców i właśnie o to chciałbym cię prosić. Pracuj dalej! Birgitta powiedziała mi, że głównym podejrzanym jest pewien diler narkotyków, pan Evans White. Bez względu na to, czy jest winny, czy nie, każdego roku on i jemu podobni zabijają więcej ludzi niż ja przez całe swoje życie. A to naprawdę znaczy niemało. Cha, cha! Chyba nie muszę tłumaczyć ci tego ze szczegółami. Chcę jedynie, żebyś doprowadził do skazania Evansa White'a za jego zbrodnie oraz za parę moich. Może decydującym dowodem będą ślady krwi i fragmenty skóry Inger Holter znalezione w mieszkaniu White'a? Jeśli znasz patologa, mógłby ci załatwić próbki niezbędnego materiału dowodowego, które umieściłbyś na miejscu zbrodni. Cha, cha, żartuję, Harry. Ale może ja mógłbym ci je załatwić? Może mam krew, fragmenty skóry i jakiś włos różnych ofiar w posortowanych torebkach plastikowych, tak na wszelki wypadek, bo przecież nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się trochę namieszać? Cha, cha!

Harry ścisnął mocniej mokrą słuchawkę. Próbował myśleć. Ten człowiek najwyraźniej nie miał pojęcia, że policja wie o uprowadzeniu Birgitty i zrewidowała swoją opinię na temat osoby mordercy. Mogło to

jedynie oznaczać, że Birgitta nie powiedziała mu, że szła na spotkanie z White'em pod obstawą policji. Uprowadził ją przed nosem tuzina policjantów i wcale o tym nie wiedział!

Głos w słuchawce wyrwał go z zamyślenia.

– Zaskakująca możliwość, prawda, Harry? To, że morderca pomaga ci zapuszkować wroga społeczeństwa. No cóż, bądźmy w kontakcie. Masz... powiedzmy, czterdzieści osiem godzin na postawienie mu zarzutów. Spodziewam się dobrych wiadomości w wieczornym dzienniku we wtorek. Do tej pory przyrzekam traktować rudowłosą z szacunkiem, jakiego możesz oczekiwać od dżentelmena. Jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli, obawiam się, że ona nie dożyje środy. Za to mogę jej obiecać fantastyczny wtorkowy wieczór.

Harry odłożył słuchawkę. Wentylator paskudnie przenikliwie zgrzytał. Spojrzał na swoje ręce. Trzęsły się tylko trochę.

– Co pan na to, *sir*? – spytał Harry.

Szerokie plecy, które przez cały czas tkwiły nieruchomo przed tablicą, teraz drgnęły.

– Musimy złapać tego drania – oświadczył McCormack. – Zanim reszta wróci, Harry, powiedz mi, kiedy zrozumiałeś, że to on.

– Szczerze mówiąc, nie miało to wiele wspólnego ze zrozumieniem, *sir*. To była tylko jedna z teorii, która nagle wpadła mi do głowy i w którą w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć. Po pogrzebie Andrew podwiózł mnie Jim Connolly, jego dawny kolega bokser. Towarzyszyła mu żona, która, jak powiedział, była artystką cyrkową, kiedy się poznali. Jim wyznał, że zalecał się do niej codziennie przez rok, zanim coś mu z tego wyszło. Początkowo się nad tym nie zastanawiałem i nagle olśniło mnie, że on mógł mówić dosłownie. Innymi słowy, że tych dwoje miało możliwość spotykania się codziennie przez cały rok. Nagle uświadomiłem sobie, że kiedy Andrew i ja oglądaliśmy bokserów Jima Chiversa w Lithgow, walczyli w wielkim namiocie, a tuż obok było również wesołe miasteczko. Poprosiłem więc Yonga, żeby zadzwonił do agenta Jima Chiversa, i wszystko się zgodziło. Kiedy zespół Jima Chiversa wyjeżdża na tournée,

niemal zawsze towarzyszy wędrownemu cyrkowi albo wesołemu miasteczku. Yong dostał rano faksem trasy tournée i okazało się, że wesołe miasteczko, z którym jeździł Jim Chivers w ostatnich latach, do niedawna miało w swoim składzie również trupę cyrkową. Trupę Ottona Rechnagla.

– Ach, tak. A więc w miejscach zbrodni w dane dni znajdowali się również bokserzy Jima Chiversa. Ale w jego zespole jest chyba wielu bokserów, którzy znali Andrew.

– Andrew przedstawił mnie tylko jednemu. Powinienem też był zrozumieć, że nie zaciągnął mnie do Lithgow jedynie po to, żebyśmy przyjrzeni się gwałtowi, który nie ma związku z naszą sprawą. Andrew traktował go jak syna. Mieli tak wiele podobnych doświadczeń i łączyły ich tak silne więzy, że być może był jedynym człowiekiem, z którym podrzutek Andrew Kensington naprawdę czuł się spokrewniony. Chociaż Andrew nigdy by nie przyznał, jak silne uczucia żywił dla swego narodu, to myślę, że Toowoombę kochał ponad wszystko. Właśnie dlatego, że wywodzili się z tego samego narodu. Sam więc nie mógł go aresztować. Cały jego zestaw wyuczonych, a być może wrodzonych pojęć moralności, zderzył się z lojalnością wobec własnego narodu i z miłością do Toowoomby. Nie wiem, czy ktoś potrafi sobie wyobrazić, jak potworny konflikt przeżywał. Musiał znaleźć jakiś sposób, by go powstrzymać, nie popełniając przy tym synobójstwa. Dlatego potrzebował mnie, osoby postronnej, którą mógł naprowadzić na cel.

– Na Toowoombę?

– Na Toowoombę. Andrew odkrył, że to on popełnił wszystkie morderstwa. Być może zrozpaczony kochanek, Otto Rechnagel, powiedział Andrew o wszystkim, kiedy Toowoomba go porzucił. Może Andrew nakłonił Ottona do przysięgi, że nie pójdzie na policję, a w zamian obiecał mu takie rozwiązanie sprawy, w które oni dwaj nie zostaną wmieszani. Sądzę jednak, że Otto już pękał. Słusznie zaczął obawiać się o własne życie, kiedy zrozumiał, że Toowoomba zechce pozbyć się ekskochanka, który mógłby go zdradzić. Toowoomba wiedział, że Otto kontaktował się ze mną i że gra już niedługo się skończy, dlatego zaplanował zamordowanie Ottona podczas przedstawienia. Ponieważ jeździli razem z niemal identycznym programem, Toowoomba doskonale



wiedział, w którym momencie przedstawienia może uderzyć.

– Dlaczego nie zrobił tego w mieszkaniu Ottona? Miał przecież klucze.

– Sam sobie zadawałem to pytanie. – Harry wykręcał się od odpowiedzi.

McCormack machnął ręką.

– Harry, to, co mi powiedziałeś do tej pory, to i tak okropnie dużo do przełknięcia nawet dla starego policjanta. Kolejna teoria mniej czy więcej naprawdę nie ma już znaczenia.

– Czynniki koguta.

– Koguta?

– Toowoomba jest nie tylko psychopatą, lecz również kogutem. A próżności koguta nie wolno nie doceniać. Popełniane przez niego morderstwa na tle seksualnym trzymają się schematu przypominającego natręctwa, natomiast „zabójstwo klauna” to zupełnie coś innego, a mianowicie zbrodnia nakazana przez rozsądek. Przed dokonaniem tego morderstwa po raz pierwszy miał pełną swobodę. Nie ograniczały go psychozy określające przebieg wydarzeń w innych zbrodniach. Nagle miał możliwość zrobić coś naprawdę spektakularnego, ukoronować dzieło swego życia, i można powiedzieć, rzeczywiście mu się to udało. „Zabójstwo klauna” będzie się pamiętało jeszcze długo po tym, jak zamordowane dziewczyny odejdą w zapomnienie.

– No dobrze. I Andrew uciekł ze szpitala, żeby powstrzymać policję, gdy zrozumiał, że chcemy aresztować Ottona?

– Domyślałem się, że poszedł prosto do mieszkania Ottona, by z nim porozmawiać, przygotować go na aresztowanie i wbić mu do głowy, jak ważne jest milczenie o Toowoombie, aby nie mieszać ich dwóch jeszcze bardziej. Może chciał go uspokoić, mówiąc, że Toowoomba zostanie złapany zgodnie z planem, że sprawa wymaga tylko trochę czasu. Że mnie potrzeba trochę czasu. Ale coś poszło nie tak. Co, nie mam pojęcia. Nie wątpię jednak, że to Toowoomba jest zabójcą Andrew Kensingtona.

– Skąd ta pewność?

– Intuicja. Zdrowy rozsądek. Oraz pewien drobny szczegół.

– Jaki?

– Kiedy odwiedziłem Andrew w szpitalu, powiedział mi,

że Toowoomba ma przyjść z wizytą następnego dnia.

– I?

– W szpitalu St. Etienne wszystkich odwiedzających rejestruje się przed wejściem do recepcji. Poprosiłem Yonga, żeby zadzwonił do szpitala, i okazało się, że po mojej wizycie nie zanotowano żadnych gości ani żadnych telefonów do Andrew.

– Nie rozumiem cię, Harry.

– Gdyby Toowoombie coś przeszkodziło w wizycie, można chyba założyć, że zadzwoniłby do Andrew i uprzedził, że nie przyjdzie. A ponieważ tego nie zrobił, nie mógł wiedzieć, że Andrew nie ma już w szpitalu, dopóki nie stanąłby w recepcji. Po tym, jak zostałby już wpisany do dziennika odwiedzin. Chyba że...

– Chyba że zabił go dzień wcześniej.

Harry rozłożył ręce.

– Nie idzie się w odwiedziny do kogoś, kogo, jak wiadomo, już nie ma, *sir*.

Zapowiadał się długi i ciężki dzień. Cholera, już jest długi, pomyślał Harry. Siedzieli z podwiniętymi rękawami koszul w pokoju odpraw i próbowali być geniuszami.

– Więc zadzwoniłeś do niego na telefon komórkowy – powtarzał Wadkins. – I uważasz, że nie był w swoim mieszkaniu?

Harry pokręcił głową.

– On jest ostrożny. Przetrzymuje Birgittę gdzie indziej.

– Może znajdziemy u niego coś, co da nam wskazówkę, gdzie jej szukać? – podsunął Lebie.

– Nie – sprzeciwił się Harry. – Jeśli on się dowie, że byliśmy u niego w domu, to zrozumie, że doniosłem, i Birgitta będzie skończona.

– Żeby tak było, musi najpierw przyjść do domu, a my możemy tam na niego czekać.

– A jeśli wymyślił coś, co może zabić Birgittę nawet bez jego obecności? – zdenerwował się Harry. – Jeśli siedzi gdzieś związana, a Toowoomba nie powie nam gdzie? – Rozejrzał się dokoła. – Jeśli na przykład siedzi

na bombie zegarowej, którą trzeba wyłączyć przed upływem określonego czasu?

– Przestań! – Wadkins uderzył dłonią w stół. – Przenosimy się w świat z komiksów. Dlaczego, cholera, facet miałby nagle okazać się ekspertem od środków wybuchowych jedynie dlatego, że zabił kilka dziewczyn? Czas płynie, a my nie możemy dłużej siedzieć na dupie i tylko czekać. Uważam, że to dobry pomysł zajrzeć do domu Toowoombi. I zapewniam, jesteśmy w stanie przygotować pułapkę, która się zatrzaśnie, jeśli tylko on się tam zbliży.

– Ten facet nie jest głupi – zaprotestował Harry. – Narażamy życie Birgitty, nie rozumiecie tego?

Wadkins pokręcił głową.

– Przykro mi, że muszę to powiedzieć, Holy, ale związek z porwaną osłabia twoją zdolność racjonalnej oceny sytuacji. Zrobimy tak, jak mówię.

Popołudniowe słońce świeciło między drzewami na Victoria Street. Niewielki ptaszek, kukabura, stał na oparciu długiej pustej ławki i rozgrzewał głos na wieczorny koncert.

– Z pewnością dziwi cię, że ludzie potrafią się dzisiaj uśmiechać – powiedział Joseph. – Że w tej chwili, wracając z plaży, z ogrodu zoologicznego czy od babci w Wollongong, myślą jedynie o niedzielnym obiedzie. Z pewnością przyjmujesz za osobistą urazę fakt, że słońce prześwieca przez liście w chwili, w której najchętniej widziałbyś świat strącony w przepaść nieszczęścia, zalany łzami. Co ci mogę powiedzieć, Harry, przyjacielu? Tak po prostu jest. Niedzielny stek czeka i tak już musi być.

Harry zmrużył oczy od słońca.

– Może jest głodna, może coś ją boli. Ale najgorsza jest świadomość, jak strasznie musi się bać.

– Będzie dobrą żoną dla ciebie, jeśli przetrwa tę próbę – stwierdził Joseph i gwizdnął do kukabury.

Harry popatrzył na niego zdziwiony. Joseph twierdził, że niedziela to jego dzień odpoczynku, i rzeczywiście był trzeźwy.

– Dawniej aborygeńska kobieta musiała przejść potrójną próbę, zanim mogła zostać wydana za mąż – wyjaśnił Joseph. – Pierwszą próbą była umiejętność panowania nad głodem. Musiała wędrować albo polować przez dwa dni bez jedzenia. Potem nagle zostawiano ją samą przy ognisku, gdzie czekała już przyrządzona pyszna pieczeń z kangura lub jakiś inny delikates. Próba polegała na zapanowaniu nad sobą, nad własnym łakomstwem i zjedzeniu tylko odrobiny, tak by i dla innych zostało dość pożywienia.

– Gdy byłem mały, mieliśmy coś podobnego – powiedział Harry. – Nazywało się to zachowaniem dobrych manier przy stole. Wydaje mi się, że już nie istnieje.

– Druga próba polegała na wytrzymaniu bólu. – Joseph gwałtownie gestykulował, demonstrując. – Młodej dziewczynie przebijano igłą policzki i nos, robiono znaki na ciele.

– I co z tego? Dzisiaj dziewczyny za to płacą – wzruszył ramionami Harry.

– Cicho bądź! Na koniec, kiedy ogień już zgasł, musiała położyć się na węglach, oddzielona od nich tylko kilkoma gałęziami. Ale najtrudniejsza była trzecia próba.

– Strach?

– Zgadłeś. Po zachodzie słońca członkowie plemienia zbierali się wokół ogniska i starszycy na zmianę opowiadali dziewczynie przerażające historie, od których włos się jeżył na głowie. O duchach i *muldarpe*, diable diabłów. Niektóre były naprawdę straszne. Później wysyłano ją w jakieś odludne miejsce lub w pobliże grobów przodków, gdzie miała spędzić noc. Pod osłoną ciemności starszycy plemienia przypelzali do niej z twarzami pomalowanymi białą gliną albo w maskach z kory...

– Czy to nie było trochę przesadzone?

– ...wydając z siebie paskudne odgłosy. Przykro mi, że to powiem, ale jesteś marnym słuchaczem, Harry.

Joseph wyglądał na urażonego.

Harry potarł twarz.

– Wiem o tym – powiedział po chwili. – Przepraszam, Joseph. Po prostu przyszedłem tutaj, żeby pomyśleć trochę na głos i sprawdzić, czy on nie

zostawił żadnych śladów, które pomogłyby mi namierzyć miejsce, do którego ją zabrał. Wygląda jednak na to, że nic tu nie znajdę, i jesteś jedyną osobą, na której mogę się wyżyć. Na pewno uważasz mnie za cynicznego i nieczułego drania.

– Mówisz jak ktoś, kto uważa, że musi walczyć z całym światem – powiedział Joseph. – Lecz jeśli od czasu do czasu nie opuścisz gardy, będziesz miał ręce zbyt zmęczone na to, żeby uderzyć.

Harry nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Jesteś całkiem pewien, że nie miałeś starszego brata?

Joseph roześmiał się.

– Mówiłem ci już, że za późno, by pytać o to moją matkę, ale wydaje mi się, że wspomniałaby mi o tajemniczym bracie.

– Po prostu mówisz tak jak on.

– Powtarzasz to już któryś raz, Harry. Może powinieneś spróbować się przespać.

Joe rozjaśnił się, kiedy Harry stanął w drzwiach Springfield Lodge.

– Piękne popołudnie, prawda, panie Holy? Doskonale pan też dzisiaj wygląda. Mam dla pana paczkę.

Wyjął pakunek owinięty w szary papier z nazwiskiem Harry'ego wypisanym wielkimi literami.

– Od kogo ta paczka? – spytał Harry zdziwiony.

– Nie wiem. Taksówkarz dostarczył ją parę godzin temu.

W swoim pokoju Harry położył paczkę na łóżku, odwinął papier i otworzył pudełko leżące w środku. Zaczął się już domyślać, kto jest nadawcą przesyłki, a zawartość rozwiła resztki wątpliwości. W środku znajdowało się sześć małych plastikowych pojemniczków w kształcie rurki, opatrzonych białymi naklejkami. Wyjął jeden, przeczytał datę, w której natychmiast rozpoznał dzień zamordowania Inger Holter, i napis: „Włos łonowy”. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by odgadnąć, że pozostałe pojemniczki zawierają krew, włosy i włókna z ubrania. I tak też było.

Pół godziny później obudził go telefon.

– Dostałeś rzeczy, które ci wysłałem, Harry? Pomyślałem, że chciałbyś je mieć jak najprędzej.

– Toowoomba!

– Do usług, cha, cha!

– Dostałem. Zakładam, że należały do Inger Holter. Bardzo jestem ciekaw, Toowoomba, jak ją zamordowałeś.

– To nie było nic trudnego – odparł Toowoomba. – Niemal aż za proste. Byłem w mieszkaniu przyjaciółki, gdy zadzwoniła do drzwi późnym wieczorem.

Więc Otto był przyjaciółką, chciał spytać Harry, ale się powstrzymał.

– Inger miała jedzenie dla psa właścicielki, a raczej byłej właścicielki mieszkania. Cały wieczór siedziałem tam sam, bo moja przyjaciółka wyszła na miasto. Jak zwykle.

Harry usłyszał ostrzejszy ton w jego głosie.

– Nie ryzykowałeś za bardzo? – spytał Harry. – Ktoś mógł przecież wiedzieć, że Inger idzie do mieszkania... hm... tej przyjaciółki.

– Spytałem ją o to – powiedział Toowoomba.

– Spytałeś? – powtórzył z niedowierzaniem Harry.

– Wprost niebywałe, jak naiwni potrafią być czasami ludzie. Odpowiadają bez zastanowienia, ponieważ czują się bezpieczni, i uważają, że nie muszą myśleć. Ona była właśnie taką słodką niewinną dziewczyną. „Nie, nikt nie wie, że tu jestem, a dlaczego?” – spytała. Cha, cha, czułem się jak wilk z bajki o Czerwonym Kapturku. Wyjaśniłem więc, że przyszła w bardzo odpowiedniej chwili. A może powinienem raczej powiedzieć w „bardzo nieodpowiedniej”? Cha, cha, chcesz usłyszeć resztę?

Harry bardzo chciał. A najbardziej chciał wiedzieć wszystko aż po najdrobniejsze szczegóły. Jaki był Toowoomba jako dziecko? Kiedy zabił po raz pierwszy? Jaki był jego stały rytuał? Dlaczego czasami tylko gwałcił kobiety? Jak się czuł po morderstwie? Czy po ekstazie wpadał w depresję, jak często się dzieje w wypadku seryjnych morderców, ponieważ również tym razem okazywali się nie tak doskonali, jak to sobie wymarzyli i zaplanowali? Chciał wiedzieć ile, kiedy i gdzie. Poznać metody i narzędzia. I chciał zrozumieć emocje, namiętność. Siłę napędową tego szaleństwa.

Ale nie miał na to siły. Nie teraz. Akurat w tej chwili nie obchodziło go, czy Inger została zgwałcona przed czy po śmierci, czy morderstwo było karą za to, że Otto zostawił go samego, czy później ją umył, czy zabił ją w mieszkaniu czy w samochodzie. Nie chciał wiedzieć, czy go błagała, płakała, czy wpatrywała się w zabójcę, gdy przekraczała próg życia ze świadomością, że umiera. Nie chciał tego wiedzieć, gdyż nie umiałby się powstrzymać przed zamianą twarzy Inger na twarz Birgitty. A to bardzo by go osłabiło.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – spytał właściwie po to, by podtrzymać tę rozmowę.

– Ależ Harry! Zaczynasz być zmęczony? Przecież sam mi o tym mówiłeś, kiedy ostatnio się spotkaliśmy. A tak w ogóle to dziękuję za miły wieczór, zapomniałem ci wcześniej o tym powiedzieć.

– Posłuchaj, Toowoomba...

– Właściwie trochę się zastanawiałem, dlaczego tamtego wieczoru zadzwoniłeś z prośbą o pomoc, Harry. Oprócz tego, że chciałeś, żebym trochę poszturczał tych dwóch anaboliaków w smokingach. To było w zasadzie dość zabawne, ale czy naprawdę pragnąłeś jedynie odwdziżyć się temu alfonsowi za poprzednie spotkanie? Nie jestem może zbyt wielkim znawcą ludzi, Harry, ale coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało. Zajmujesz się sprawą morderstwa, a poświęcasz tyle czasu i sił na jakieś osobiste rozgrywki wyłącznie dlatego, że trochę nieuprzejmie potraktowano cię w jakimś nocnym klubie?

– No cóż...

– Co, Harry?

– Nie tylko. Ta dziewczyna, którą znaleźliśmy w Centennial Park, przypadkiem pracowała właśnie tam. Miałem więc pewną teorię, że być może jej morderca był tam tego wieczoru, czekał przy wyjściu ze sceny i poszedł za nią, kiedy wracała do domu. Chciałem zobaczyć twoją reakcję na wieść o tym, dokąd idziemy. W dodatku twój wygląd rzuca się w oczy. Chciałem cię pokazać Mongabiemu, żeby sprawdzić, czy cię wtedy widział.

– Bez powodzenia?

– Domyślam się, że cię tam nie było.

Toowoomba roześmiał się.

– Nie wiedziałem nawet, że ona była striptizerką – oświadczył. – Zobaczyłem, jak wchodzi do parku, i pomyślałem, że ktoś powinien jej powiedzieć, że nocą jest tam niebezpiecznie. I zademonstrowałem, co się może stać.

– No, w każdym razie ta sprawa jest rozwiązana – powiedział Harry cierpko.

– Szkoda, że nikt oprócz ciebie się z tego nie ucieszy – odparł Toowoomba.

Harry postanowił zaryzykować.

– Ponieważ nikt inny nie ucieszy się z niczego, to może opowiesz mi też, co spotkało Andrew w mieszkaniu Ottona Rechnagla. Bo to Otto był tą twoją przyjaciółką, prawda?

Na drugiej stronie linii zapanowała cisza.

– Nie wolałbyś się raczej dowiedzieć, jak się czuje Birgitta?

– Nie – powiedział Harry, nie za szybko i nie za głośno. – Mówiłeś, że będziesz ją traktował jak dżentelmen. Ufam ci.

– Mam nadzieję, że nie próbujesz wzbudzić we mnie wyrzutów sumienia, Harry. To i tak nieskuteczne. Jestem psychopatą. Wiedziałeś, że mam tego świadomość? – zaśmiał się cicho. – To przerażające, prawda? My, psychopaci, mamy nie zdawać sobie sprawy z naszego obłądzenia, ale ja wiedziałem o tym od zawsze. Otto też. Otto wiedział, że od czasu do czasu muszę je ukarać. Ale nie potrafił dłużej utrzymać języka za zębami. Wygadał wszystko Andrew i był bliski załamania. Musiałem więc działać. Tego samego popołudnia, gdy Otto miał występować w St. George's, przyszedłem do niego do mieszkania po jego wyjściu, żeby usunąć wszystkie ślady, mające związek ze mną. Zdjęcia, prezenty, listy, takie rzeczy. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Uchyliłem lekko okno w sypialni i wyjrzałem. Ze zdumieniem zobaczyłem Andrew. W pierwszym odruchu nie chciałem mu otwierać, uświadomiłem sobie jednak, że mój pierwotny plan się psuje. Zamierzałem bowiem odwiedzić Andrew w szpitalu następnego dnia i dyskretnie podsunąć mu łyżeczkę, zapalniczkę, strzykawkę jednorazową i torebkę wytęsknionego proszku z dodatkiem mojej własnej mieszanki.

– Śmiertelny koktajl.



– Tak, można tak powiedzieć.

– Skąd mogłeś mieć pewność, że on to zażyje? Przecież wiedział, że jesteś mordercą.

– Ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że ja wiem, że on o wszystkim wie. Rozumiesz, Harry? Nie wiedział, że Otto się zdradził. W dodatku ćpun na rozpoczynającym się głodzie jest skłonny do pewnego ryzyka, na przykład do zaufania człowiekowi, który w jego mniemaniu traktuje go jak ojca. Ale nad tym nie ma się co zastanawiać. Uciekł ze szpitala i stanął przed drzwiami domu.

– Więc postanowiłeś go wpuścić?

– Wiesz, jak prędko potrafi pracować ludzki mózg, Harry? Wiesz, że te sny z długimi skomplikowanymi historiami, na które, jak nam się zdaje, poświęciliśmy całą noc, w rzeczywistości rozgrywają się w ciągu kilku sekund gorączkowej aktywności mózgu? Mniej więcej tak samo zrodził się we mnie plan. Zrozumiałem, że mogę urządzić się tak, by wyglądało, że wszystkiemu winien jest Andrew Kensington. Przysięgam, wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nacisnąłem więc guzik domofonu i czekałem, aż wejdzie na górę. Stałem za drzwiami ze swoją cudowną ściereczką w pogotowiu.

– Z eterem.

– A potem przywiązałem Andrew do krzesła, wyciągnąłem sprzęt i resztkę narkotyku, która mu jeszcze została. I zaaplikowałem mu wszystko, żeby mieć pewność, że zachowa spokój do czasu mojego powrotu z teatru. W powrotnej drodze kupiłem więcej narkotyków i urządziliśmy sobie z Andrew prawdziwą imprezę. Pod koniec wymknęła się trochę spod kontroli i kiedy wychodziłem, wisiał na lampie.

I znów ten cichy śmiech. Harry skoncentrował się na tym, by oddychać głęboko i spokojnie. Bał się tak, jak nie bał się jeszcze nigdy w życiu.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że musisz je ukarać?

– Co?

– Wspomniałeś, że muszą zostać ukarane.

– Ach, to? Jak z pewnością wiesz, psychopaci często cierpią na paranoję. Albo na jakieś urojenia. W moim przypadku jest to przekonanie o tym, że moim życiowym zadaniem jest pomścić mój naród.

– Gwałcąc białe kobiety?

– Bezdzietne białe kobiety.

– Bezdzietne? – powtórzył osłupiały Harry. Rzeczywiście była to cecha wspólna ofiar, na którą nie zwrócili uwagi w śledztwie. Ale właściwie dlaczego miałoby ją zauważyć? Przecież nie było nic niezwykłego w tym, że tak młode kobiety nie miały dzieci.

– No tak. Naprawdę tego nie zrozumiałeś? *Terra nullius*, Harry. Kiedy tu przybyliście, uznaliście, że nie jesteśmy właścicielami tej ziemi, gdyż jej nie obsiewaliśmy. Zabraliście nam nasz kraj. Zgwałciliście go i zabiliście na naszych oczach.

Toowoomba nie musiał podnosić głosu. Słowa były dostatecznie wyraźne.

– Wasze bezdzietne kobiety to teraz moja *terra nullius*, Harry. Nikt ich nie zapłodnił, więc nikt nie jest ich właścicielem. Ja tylko postępuję zgodnie z logiką białego człowieka i robię to, co on.

– Ale ty sam nazywasz to urojeniem, Toowoombo. Sam rozumiesz, że to chore.

– Oczywiście, że chore. Ale choroba jest rzeczą normalną, Harry. To brak choroby jest groźny, bo wtedy organizm przestaje walczyć i rozsypuje się na kawałki. Ale urojeń, Harry, nie wolno nie doceniać. Są ważne dla każdej kultury. Weź na przykład swoją. W chrześcijaństwie otwarcie przecież mówi się o tym, jak trudno jest wierzyć, jak wątpliwości dręczą nawet najmądrzejszego i najpobożniejszego księdza. A czyż właśnie przyznanie się do wątpliwości nie jest jednocześnie przyznaniem się do tego, że wiara, według której się żyje, jest urojeniem? Wyobrażeniem, któremu sprzeciwia się rozum? Nie wolno bez zastanowienia rezygnować ze swoich urojeń, Harry. Na drugim końcu tęczy czeka cię być może zapłata.

Harry położył się na łóżku. Starał się nie myśleć o Birgicie, o tym, że nie ma dzieci.

– Skąd wiedziałeś, że są bezdzietne? – usłyszał swój własny chrapliwy głos.

– Pytałem.

– Jak...?

– Niektóre z nich twierdziły, że mają dzieci, gdyż uważały, że je oszczędzę, jeśli powiedzą, że wychowują gromadkę malców. Dawałem im trzydzieści sekund na udowodnienie tego. Matka, która nie nosi przy sobie zdjęcia dziecka, to moim zdaniem żadna matka.

Harry przełknął ślinę.

– Dlaczego blondynki?

– *To* nie jest nadrzędna zasada. Po prostu minimalizuje szanse na to, że mogą mieć w żyłach krew mojego ludu.

Harry starał się nie myśleć o mlecznobiałej skórze Birgitty. Toowoomba zaśmiał się cicho.

– Rozumiem, że wielu rzeczy chciałbyś się dowiedzieć, Harry, ale rozmowy przez komórkę drogo kosztują, a idealisci tacy jak ja nie są bogaczami. Wiesz, co masz robić, a czego nie robić.

Rozłączył się. W ciągu tej rozmowy prędko zapadający zmierzch pograżył pokój w szarej ciemności. Ze szpary w drzwiach sterczały dwa ruchliwe czułki karalucha, sprawdzające, czy droga wolna. Harry nakrył się prześcieradłem i skulił na łóżku. Na dachu za oknem samotna kukabura rozpoczęła wieczorny koncert. King's Cross szykowało się do kolejnej długiej nocy.

Harry'emu śniła się Kristin. Możliwe, że sen trwał zaledwie parę sekund w fazie REM, ale dotyczył połowy życia, możliwe więc, że zajęło to nieco więcej czasu. Kristin ubrana była w jego zielony szlafrok, gładziła go po włosach i prosiła, żeby poszedł razem z nią tam, dokąd się wybierała. Spytał ją dokąd, ale wtedy stanęła w otwartych drzwiach na balkon między powiewającymi zasłonami, a dzieci na podwórzu tak hałasowały, że nie usłyszał odpowiedzi. Momentami słońce go oślepiało i postać Kristin całkowicie zniknęła mu sprzed oczu.

Wstał z łóżka i podszedł bliżej, żeby ją lepiej słyszeć, ale ona tylko roześmiała się głośno, wybiegła na balkon, wspięła się na balustradę i uniosła w powietrze jak zielony balonik.

Wolno frunęła nad dachami domów, wołając: „Wszyscy idą, wszyscy idą!”. Później w tym śnie Harry biegał po znajomych z pytaniem, gdzie

będzie ta impreza, lecz oni albo nie wiedzieli, albo już poszli. Postanowił więc iść na basen do parku Frogner, ale nie miał pieniędzy na bilet i musiał przełazić przez płot.

Kiedy przedostał się na drugą stronę, zauważył, że się skaleczył. Krew kapiała, znacząc czerwoną ścieżkę na trawie, na kafelkach i na wszystkich schodkach na dziesięciometrowkę. Na wieży nie było nikogo innego, położył się więc na plecach i patrzył w niebo, słuchając delikatnego plusku kropli krwi, uderzających o krawędź basenu w dole. Wydawało mu się, że wysoko na tle słońca dostrzeżga unoszącą się w powietrzu zieloną postać. Przyłożył dłonie do oczu jak lornetkę i wtedy ujrzał ją wyraźnie: była piękna i prawie przezroczysta.

Raz obudził go jakiś huk, który mógł być wystrzałem z pistoletu. Leżał i wsłuchiwał się w deszcz i w szum dochodzący z King's Cross. Po jakimś czasie znów zasnął. I przez resztę nocy śnił o Kristin. Tylko momentami miała rude włosy i mówiła po szwedzku.

## 20. KOMPUTER, ZATOKA DAM I ZASADA DZIAŁANIA TELEFONU KOMÓRKOWEGO

### Godzina dziewiąta

Lebie oparł się czołem o drzwi i zamknął oczy. Towarzyszyli mu dwaj policjanci w czarnych kuloodpornych kamizelkach, którzy bacznie wszystko obserwowali. Broń trzymali w pogotowiu. Za nimi na schodach czekali Wadkins, Yong i Harry.

– Jest! – powiedział Lebie i ostrożnie wyciągnął wytrych.

– Pamiętajcie, żeby niczego nie ruszać, jeśli mieszkanie jest puste – szepnął Wadkins funkcjonariuszom.

Lebie stanął z boku i otworzył drzwi policjantom, którzy weszli do mieszkania, trzymając pistolety przepisowym oburęcznym chwytem.

– Macie pewność, że tu nie ma żadnego alarmu? – spytał szeptem Harry.

– Sprawdziliśmy we wszystkich agencjach ochrony w mieście, żadna nie miała tego mieszkania w rejestrze – odparł Wadkins.

– Pst! Co to za dźwięk? – spytał Yong.

Pozostali nadstawili uszu, lecz nie wychwycili niczego godnego uwagi.

– Teoria o specjaliście od bomb się rozsypała – zauważył cierpko Wadkins.

Jeden z policjantów wyszedł.

– Droga wolna – oświadczył.

Odetchnęli z ulgą. Lebie spróbował zapalić światło w przedpokoju, ale nie działało.

– Dziwne – mruknął i spróbował wyłącznik w niedużym, ale porządnym, czystym saloniku, lecz on również nie działał. – Bezpiecznik musiał się przepalić.

– Nie szkodzi – stwierdził Wadkins. – I tak jest dostatecznie jasno

na przeszukanie. Harry, ty się zajmij kuchnią, Lebie weźmie łazienkę. Yong?

Yong stał przed komputerem na biurku pod oknem w salonie.

– Mam wrażenie... – zaczął. – Lebie, weź latarkę i sprawdź szafkę z bezpiecznikami na korytarzu.

Lebie wyszedł i wkrótce potem zapaliło się światło w korytarzu, a komputer ożył.

– Cholera! – zaklął Lebie, wróciwszy do salonu. – Bezpiecznik owinięty był nitką, musiałem ją najpierw zdjąć. Prowadziła wzdłuż ściany do drzwi.

– W drzwiach jest zamek elektroniczny, prawda? Bezpiecznik był połączony z zamkiem w taki sposób, że kiedy otworzyliśmy drzwi, prąd przestał płynąć. A ten odgłos, który słyszeliśmy, to wiatrak w komputerze, który się wyłączył. – Yong nacisnął klawisze na klawiaturze. – Ten komputer ma *rapid resume*, możemy więc zobaczyć, jakie programy były aktywne, zanim się wyłączył.

Na ekranie ukazało się niebieskie zdjęcie ziemskiego globu, a z głośników popłynął wesoły sygnał.

– Tak myślałem – powiedział Yong. – Sprytny drań. Widzicie? – Wskazał ikonkę na ekranie.

– Yong, na miłość boską, nie traćmy teraz na to czasu!

– *Sir*, czy mogę na moment pożyczyć pana komórkę? – Mały Chińczyk sięgnął po nokię Wadkinsa, nie czekając na odpowiedź. – Jaki jest tutaj numer?

Harry odczytał numer z telefonu, stojącego przy komputerze. Yong wstukał go w komórkę i nacisnął guzik łączący rozmowy. W momencie gdy telefon zadzwonił, komputer zaburczał, a ikonka wyskoczyła na ekran w pełnym rozmiarze.

– Pst! – powiedział Yong. Po kilku sekundach rozległo się krótkie piknięcie. Yong prędko wyłączył komórkę.

Wadkinsowi między brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka.

– Co ty, na miłość boską, wyprawiasz, Yong?

– *Sir*, obawiam się, że Toowoomba mimo wszystko zainstalował alarm. I ten alarm się uruchomił.

– Wyjaśnij! – Cierpliwość Wadkinsa miała wyraźne granice.

– Widzicie ten program, który się włączył? To zwykła automatyczna sekretarka, połączona z telefonem przez modem. Toowoomba przed wyjściem nagrywa powitanie na komputer przez ten mikrofon. Kiedy ktoś dzwoni, program się uruchamia, odtwarza wiadomość Toowoomby, a po tym krótkim piknięciu, które słyszeliście, można zostawić wiadomość nagrywaną bezpośrednio na komputer.

– Yong, wiem, czym jest automatyczna sekretarka. O co tu chodzi?

– *Sir*, czy słyszał pan jakieś powitanie przed piknięciem, kiedy teraz zadzwoniłem?

– Nie...

– Dlatego, że powitanie nie zostało zapisane na stałe.

Wadkinsowi rozjaśniło się w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy prąd przestał płynąć i komputer się wyłączył, powitanie przepadło?

– Właśnie, *sir*. – Reakcje Yonga bywały niekiedy dość niezwykle, tak jak teraz. Cały rozjaśnił się w uśmiechu. – I dzięki temu alarm się włączył, *sir*.

Ale Harry się nie uśmiechał, gdy dotarł do niego rozmiar katastrofy.

– Wystarczy więc, że Toowoomba tu zadzwoni, zorientuje się, że nie ma powitania, i będzie wiedział, że ktoś się włamał do jego mieszkania? A wie, że ten ktoś to my.

Zapadła cisza.

– On nigdy tu nie wejdzie, dopóki nie zadzwoni – stwierdził Lebie.

– Jasna cholera! – westchnął Wadkins.

– Może zadzwonić w każdej chwili – stwierdził Harry. – Musimy zyskać na czasie. Jakież propozycje?

– Hm... – zamyślił się Yong. – Możemy porozmawiać z firmą telekomunikacyjną, poprosić o zablokowanie numeru i uruchomienie informacji o usterce.

– A jeśli on zadzwoni do nich?

– Uszkodzony kabel w okolicy z powodu... wykopów.

– To wygląda podejrzanie. Będzie mógł sprawdzić, czy numer sąsiada działa – stwierdził Lebie.

– Musimy odciąć telefony w całej okolicy – oświadczył Harry. – Wadkins, da pan radę to zrobić?

Wadkins podrapał się za uchem.

– Przeklęty chaos! Dlaczego, u diabła...

– Trzeba się spieszyć, *sir!*

– Cholera! Daj mi telefon, Yong! Niech się tym zajmie McCormack. Tak czy owak, nie zdołamy utrzymać odciętych telefonów w całej dzielnicy zbyt długo, Holy. Musimy zacząć myśleć o następnym ruchu. Jasna cholera!

### *Wpół do dwunastej*

– Nic – oznajmił Wadkins z rezygnacją. – Absolutnie, kompletnie nic.

– Cóż, nie mogliśmy wymagać, żeby zostawił karteczkę z informacją, gdzie ją przetrzymuje – powiedział Harry.

Z sypialni wyszedł Lebie, on też pokręcił głową. Yong, który przeszukał piwnicę i strych, również nie miał nic interesującego do powiedzenia. Usiedli w pokoju dziennym.

– To właściwie trochę dziwne – zastanowił się Harry. – Gdybyśmy przeszukiwali swoje własne mieszkania, zawsze coś by się znalazło. Jakiś interesujący list, gazetka porno, zdjęcie byłej kochanki, plama na prześcieradle, cokolwiek. A ten facet jest seryjnym mordercą i nie znajdujemy absolutnie niczego, co by świadczyło o tym, że ma jakieś życie.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego normalnego mieszkania samotnego mężczyzny – przyznał Lebie.

– Jest za bardzo normalne – stwierdził Yong. – Właściwie to aż trochę straszne.

– Musieliśmy coś ominąć – Harry zapatrzył się w sufit.

– Zaglądaliśmy wszędzie – odparł Wadkins. – Jeśli istnieje jakiś ślad, to nie tutaj. Tutaj ten facet tylko je, śpi, ogląda telewizję i zostawia wiadomości na komputerze.

– Masz rację – przerwał mu Harry. – Morderca Toowoomba mieszka nie tutaj. Tu mieszka nienormalnie normalny facet, który nie musi się bać, że ktoś coś wywęszy. Ale co z tym drugim? Ma jakieś inne miejsce? Inne mieszkanie? Letni domek?

– W każdym razie nie ma nic zarejestrowanego na własne nazwisko –



odparł Yong. – Sprawdziłem to jeszcze przed wyjściem.

Zadzwoiła komórka. To McCormack. Rozmawiał ze spółką telekomunikacyjną. Na argument, że chodzi o ludzkie życie, odpowiedzieli, że może chodzić o ludzkie życie, gdy ktoś z okolicy będzie próbował zadzwonić po karetkę. Ale McCormackowi z pewną pomocą z urzędu burmistrza udało się zablokować telefony do siódmej wieczorem.

– No to teraz możemy równie dobrze tutaj zapalić – stwierdził Lebie, wyjmując cieniutką cygaretkę. – Sypać popiół na dywan i zostawiać mokre ślady stóp w przedpokoju. Ma ktoś ogień?

Harry wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek i przypalił mu. Potem z coraz większym zainteresowaniem zaczął wpatrywać się w zapalki.

– Wiecie, jaka jest zaleta tych zapalek? – spytał.

Pozostali obojętnie pokręcili głowami.

– Napisano na nich, że są wodoodporne. „Dla tych, którzy chodzą po górach lub pływają po morzu”. Czy któryś z was nosi przy sobie wodoodporne pudełko z zapalkami?

Kolejne zaprzeczenia.

– Czy jestem w błędzie, sądząc, że aby je kupić, trzeba iść do specjalnego sklepu i że zapewne kosztują więcej niż zwykłe zapalki?

Koledzy wzruszyli ramionami.

– W każdym razie nie są zwyczajne. Nigdy wcześniej takich nie widziałem – przyznał Lebie.

Wadkins przyjrzał się pudełku uważniej.

– Wydaje mi się, że mój szwagier miał takie zapalki na pokładzie swojej łódki.

– To pudełko dostałem od Toowoombi – oznajmił Harry. – Na pogrzebie Andrew.

Zapadła cisza, w końcu Yong chrząknął i powiedział z wahaniem:

– W przedpokoju wisi zdjęcie żagłówki.

### *Godzina pierwsza*

– Bardzo dziękuję za pomoc, Liz. – Yong odłożył komórkę. – Mamy ją. Cumuje w marinie przy Lady Bay i jest zarejestrowana na jakiegoś Gerta

van Hoosa.

– Okej. Yong, ty zostaniesz tutaj z tymi dwoma funkcjonariuszami na wypadek, gdyby Toowoomba się zjawił – zarządził Wadkins. – Lebie, Harry i ja bierzemy samochód i natychmiast tam jedziemy.

Ruch był niewielki i nowa toyota Lebiego z lekkim pomrukiem gnała sto dwadzieścia na godzinę po New South Head Road.

– Nie potrzeba im wsparcia, *sir*? – spytał Lebie.

– Gdyby przyszedł, trzech ludzi wystarczy – stwierdził Wadkins. – Zdaniem Yonga nie zarejestrowano żadnego zezwolenia na broń na jego nazwisko, a poza tym mam wrażenie, że to nie jest typ, które zacznie wymachiwać nam przed nosem pistoletem.

Harry nie zdołał się opanować.

– A jakie to wrażenie, *sir*? To samo, które podpowiedziało panu, że włamanie się do mieszkania to dobry pomysł? To samo, które mówiło, że Birgitta powinna mieć radionadajnik w torebce?

– Holy, ja...

– Ja tylko pytam, *sir*. Jeśli mamy wykorzystywać pańskie wrażenia jako wskazówki, to w świetle tego, co wydarzyło się dotychczas, powinniśmy przyjąć, że on właśnie będzie próbował do nas strzelać, nie że...

Harry zorientował się, że podniósł głos, i zamknął gębę. Nie teraz, powiedział sobie w duchu. Jeszcze nie. Ściszym głosem dokończył zdanie:

– ...nie, żebym miał coś przeciwko temu, bo to oznacza, że mógłbym naładować go ołowiem.

Wadkins postanowił nie odpowiadać, tylko obrażony wyglądał przez okno. Jechali dalej w kompletnej ciszy, Harry w lusterku widział jedynie delikatny, niezgłębiony uśmiech Lebiego.

Wpół do drugiej

– Lady Bay Beach. – Lebie pokazał palcem. – Odpowiednia nazwa. To główna gejowska plaża w Sydney.

Zdecydowali, że zaparkują samochód za ogrodzeniem terenu mariny, i wałem porośniętym trawą przeszli do małego portu, w którym po obu

stronach wąskich pływających pomostów tłoczyły się jeden przy drugim maszty. W porcie siedział senny strażnik w wyblakłej od słońca niebieskiej mundurowej koszuli. Ożywił się, kiedy Wadkins pokazał mu odznakę policyjną, i wyjaśnił, gdzie cumuje łódź Gerta van Hoosa.

– Czy ktoś jest na pokładzie? – spytał Harry.

– Nic o tym nie wiem – odparł strażnik. – Latem trudno się zorientować, ale wydaje mi się, że od paru dni nikt tą łodzią nie wypływał.

– A ktoś w ostatnich dniach tu zaglądał?

– O ile się nie mylę, to pan van Hoos zjawiał się późnym wieczorem w sobotę. Zwykle parkuje nad samą wodą. Odjechał później tej samej nocy.

– I od tej pory nikt nie wchodził na łódź? – dopytywał się Wadkins.

– Na moich zmianach nie. Ale na szczęście jest nas kilku.

– Był sam?

– O ile pamiętam, tak.

– Niósł coś na łódź?

– Z całą pewnością, ale nie pamiętam. Większość ludzi coś niesie.

– Czy mógłby pan nam w kilku słowach opisać pana van Hoosa? – spytał Harry.

Strażnik podrapał się w głowę.

– Nie, chyba jednak nie.

– A to dlaczego? – zdumiał się Wadkins.

Strażnik lekko się zawstydział.

– Bo, szczerze mówiąc, wszyscy Aborygeni wydają mi się identyczni.

Słońce odbijało się w gładkiej wodzie basenu portowego, ale tuż poza jego obszarem fale przetaczały się wielkie i ciężkie. Gdy ruszyli pływającym pomostem, Harry poczuł, że wieje mocniej. Rozpoznał łódkę o nazwie Adelaide z numerem rejestracyjnym namalowanym z boku. Nie była to jedna z największych łodzi w marinie, lecz wyglądała na dobrze utrzymaną. Yong wyjaśnił im, że w zasadzie tylko żaglówki z silnikiem przekraczającym pewną pojemność muszą zostać zarejestrowane, właściwie mieli więc dużo szczęścia. Na tyle dużo, że Harry'ego ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że całe przysługujące im szczęście zostało już wykorzystane. Myśl o tym, że Birgitta jest być może na pokładzie, sprawiła, że serce zaczęło mu walić mocno i boleśnie.

Wadkins dał znać, że Lebie ma wejść na pokład jako pierwszy. Harry odbezpieczył pistolet i wycelował w zejście do kajuty w czasie, gdy Lebie ostrożnie stawiał stopy na tylnym pokładzie. Wadkins potknął się o linę kotwiczną i ciężko stuknął nogą o pokład. Zatrzymali się, nasłuchując, lecz słyszeli jedynie wiatr i plusk fal o burty. Zarówno wejście do salonu, jak i do kabiny rufowej zamknięto na kłódki. Lebie wyciągnął wytrychy i zabrał się do roboty. Po kilku minutach obie kłódki były otwarte.

Lebie otworzył klapę do salonu i Harry zszedł jako pierwszy. Na dole panowała ciemność. Przykucnął z wycelowanym pistoletem, dopóki na dół nie zszedł Wadkins i nie odsunął zasłon. Łódź urządzono z elegancką prostotą. Wyposażenie salonu było z mahoni, oprócz tego nie rzucały się w oczy żadne szczegóły. Na stole leżała rozłożona mapa morska, a nad stołem wisiało zdjęcie młodego boksera.

– Birgitta! – zawołał Harry. – Birgitta!

Wadkins dotknął jego ramienia.

– Nie ma jej tutaj – skonstatował Lebie, kiedy przeszukali już łódź od dziobu po rufę.

Wadkins wsunął głowę do jednej z ław na pokładzie rufowym.

– Ale może tu była – powiedział Harry, spoglądając na morze. Wiatr się wzmógł, szczyty fal nieco dalej pokrywały się białą pianą.

– Trzeba tu ściągnąć chłopaków z technicznego. Może oni coś znajdą.

Wadkins się wyprostował.

– To musi po prostu oznaczać, że on ma jeszcze jakieś miejsce, o którym nie wiemy.

– Albo... – zaczął Harry.

– Nie wygłupiaj się. Ukrył ją gdzieś, trzeba ją tylko odnaleźć.

Harry usiadł. Wiatr, rozbawiony, szarpał go za włosy. Lebie spróbował zapalić kolejną cygaretkę, ale po paru próbach zrezygnował.

– I co teraz robimy? – spytał.

– W każdym razie musimy zejść z jego łodzi – stwierdził Wadkins. – Może nas zauważyć z drogi, kiedy będzie nadjeżdżał.

Wstali, zamknęli luki, Wadkins wysoko podniósł nogę, przechodząc

nad liną kotwiczną, żeby znów się nie potknąć. Lebie stanął.

– O co chodzi? – spytał Harry.

– No cóż – powiedział Lebie. – Nie za bardzo znam się na łodziach, ale czy to normalne?

– Co?

– Że rzuca się kotwicę, kiedy łódź jest przycumowana z przodu i z tyłu. Popatrzyci na siebie.

– Pomóście mi! – powiedział Harry.

### *Godzina trzecia*

Mknęli drogą, chmury sunęły po niebie. Drzewa przy drodze kołysały się, jakby zapraszały do dalszej jazdy. Trawa na poboczu układała się płasko, w radiu trzeszczało. Słońce zbladło, a po morzu w dole przemykały prędkie cienie.

Harry siedział z tyłu, ale nie widział szalejącej wokół nich wichury. Miał w oczach jedynie zieloną oślizgłą linę, którą wyciągali z wody mocnymi szarpnięciami. Kropelki wody z liny wpadały do morza jak połyskujące odłamki kryształu. Ale w dole dostrzegł biały kontur, który powoli się wznosił.

W któreś wakacje ojciec zabrał go łodzią na ryby, złowili halibuta. Był biały i niewyobrażalnie wielki. Harry'emu również wtedy zrobiło się sucho w ustach i ręce zaczęły się trząść. Gdy weszli do kuchni z połowem, matka i babka z zachwytu złożyły dłonie i zaraz zabrały się do krojenia zimnego, zakrwawionego rybiego ciała wielkimi błyszczącymi nożami. Przez resztę lata Harry'emu śnił się leżący w łodzi halibut z wyłupiastymi rybimi oczyma, w których zastygło przerażenie, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że naprawdę umiera. Na Boże Narodzenie Harry'emu nałożono na talerz kilka wielkich galaretowatych kawałków, a ojciec z dumą opowiadał, jak to razem z Harrym wyłowili wielkiego halibuta z Isfjorden. „Pomyślałam, że w tę Wigilię spróbujemy czegoś nowego” – powiedziała matka. To coś miało smak śmierci i rozpadu. Harry odszedł od stołu ze łzami w oczach, pełen gorzkiej wściekłości.

A teraz siedział z zamkniętymi oczami w bardzo szybko jadącym

samochodzie i widział samego siebie, jak stoi i wpatruje się w wodę, w której coś, co przypominało wielką meduzę, poruszało czerwonymi parzydełkami przy każdym szarpnięciu liny. Gdy dotarło do powierzchni wody, parzydełka rozpostarły się i ułożyły w wachlarz, jak gdyby usiłowały zakryć nagi biały tułów. Lina kotwiczna owinięta była wokół szyi. Pozbawione życia ciało wydało się Harry'emu dziwnie obce i nieznanym.

Ale kiedy obrócili je na plecy, Harry rozpoznał spojrzenie z tamtego lata, zakrzepłe w zdumionym oskarżycielskim ostatnim pytaniu: czy to już wszystko? Czy naprawdę wszystko ma się tak skończyć? Czy życie i śmierć naprawdę są tak banalne?

– To ona? – spytał Wadkins, a Harry zaprzeczył.

Gdy jednak powtórzył pytanie, do mózgu Harry'ego dotarł obraz jej wystających łopatek i zaczerwienionej skóry w miejscu, gdzie przebiegał biały pasek, ślad od kostiumu bikini.

– Spaliła się – stwierdził zdumiony. – Prosiła, żebym posmarował jej plecy. Powiedziała, że mi ufa. A jednak się spaliła.

Wadkins stanął przed nim i położył mu ręce na ramionach.

– To nie twoja wina, Harry, słyszysz? To i tak by się stało. To nie twoja wina.

Wyraźnie się ściemniło i kilka gwałtownych porywów wiatru ostro szarpnęło wielkimi eukaliptusami, które wywijają gałęziami, jakby usiłowały wyrwać się z ziemi i zacząć po niej chodzić niczym tryfidy z powieści Johna Wyndhama, pobudzone do życia nadciągającą burzą.

– Jaszczurki śpiewają – odezwał się nagle Harry z tylnego siedzenia. Były to pierwsze słowa, jakie padły, odkąd wsiedli do samochodu. Wadkins odwrócił się, a Lebie spojrział na niego w lusterku.

– Andrew tak kiedyś powiedział. Mówił, że ludzie z rodu jaszczurek mają zdolność przywoływania swoim śpiewem deszczu i burz. Mówił, że wielki potop został wywołany przez ród jaszczurek, które tnąc się do krwi kamiennymi nożami, śpiewały, bo chciały utopić dziobaka. – Uśmiechnął się lekko. – Prawie wszystkie dziobaki zginęły. Ale niektórym

udało się przeżyć. Wiecie dlaczego? Nauczyły się oddychać pod wodą.

Pierwsze wielkie krople deszczu padły z drzeniem na przednią szybę.

– Mamy mało czasu – powiedział Harry. – Toowoomba niedługo zorientuje się, że go ścigamy, a wtedy zniknie równie szybko jak szczur. Jestem jedynym ogniwem, które nas z nim łączy, a wy się teraz zastanawiacie, czy zdołam sobie poradzić. Cóż, co mogę powiedzieć? Chyba kochałem tę dziewczynę.

Wadkins wyglądał na zażenowanego. Lebie wolno kiwnął głową.

– Ale zamierzam oddychać pod wodą – oświadczył Harry.

Było w pół do czwartej i nikt w pokoju odpraw nie zwracał uwagi na żalną piosenkę wentylatora.

– Okej, wiemy już, kogo szukamy – mówił Harry. – I wiemy, że on sądzi, że my o tym nie wiemy. Prawdopodobnie uważa, że w tej chwili staram się zdobyć dowody przeciwko Evansowi White'owi. Obawiam się jednak, że to bardzo tymczasowa sytuacja. Pozostałe domy nie mogą mieć bez końca odciętych telefonów, a poza tym niemożność naprawienia tej usterki staje się coraz bardziej podejrzana. Rozmieściliśmy ludzi, którzy czekają na niego, gdyby zjawił się w domu. Tak samo jest z żaglówką. Ale osobiście jestem przekonany, że on jest zbyt ostrożny, żeby cokolwiek zrobić, nie upewniając się wcześniej, że ma wolną drogę. Należy chyba założyć, że w ciągu dzisiejszego wieczoru zrozumie, że byliśmy w jego mieszkaniu. To nam daje dwie możliwości. Możemy podnieść alarm. Ogłosić w telewizji, że go poszukujemy, i mieć nadzieję, że go złapiemy, zanim zniknie. Argument przeciwko temu jest taki, że facet, który spreparował u siebie w domu niezwykle wyrafinowany alarm, przemyślał również, jak się zachować w takiej sytuacji. Istnieje ryzyko, że gdy tylko zobaczy swoje zdjęcie na ekranie, zapadnie się pod ziemię. Dlatego drugą możliwością jest wykorzystanie tego krótkiego czasu, jaki nam został, zanim poczuje nasz oddech na karku, i złapanie go, dopóki nie spodziewa się zagrożenia... a przynajmniej spodziewa się go w niewielkim stopniu.

– Głosuję za tym, żeby go łapać – oświadczył Lebie i strzepnął z ramienia włos, wcale niewyimaginowany.

– Łapać? – powtórzył Wadkins. – Jesteśmy w kilkumilionowym mieście i nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie on może być. Jasna cholera, nie wiemy nawet, czy on w ogóle jest w Sydney!

– Wiemy – powiedział Harry. – W każdym razie był w Sydney przez ostatnie półtorej godziny.

– Co? Chcesz powiedzieć, że jest obserwowany?

– Yong.

Harry oddał głos wciąż uśmiechającemu się Chińczykowi.

– Telefon komórkowy – zaczął Yong, jak gdyby poproszono go o odczytanie wypracowania na głos przed całą klasą. – Wszystkie rozmowy przez telefon komórkowy przechodzą przez tak zwane stacje bazowe, które odbierają i przekazują sygnały z aparatu. Spółka telekomunikacyjna może sprawdzić, z których stacji bazowych abonent otrzymuje sygnały. Każda stacja ma zasięg około dziesięciu kilometrów. To dobry zasięg, oczywiście w terenach zabudowanych, bo wtedy aparat ma kontakt jednocześnie z kilkoma stacjami naraz, działającymi mniej więcej tak jak nadajniki radiowe. Oznacza to, że kiedy ktoś rozmawia przez telefon, centrala może w przybliżeniu określić jego położenie na obszarze o promieniu dziesięciu kilometrów. Jeśli rozmowa rejestrowana jest w dwóch stacjach naraz, ten obszar zostaje ograniczony do rejonu, gdzie zasięg tych dwóch stacji nakłada się na siebie. Jeśli sygnał odbierany jest przez trzy stacje naraz, obszar jeszcze się zmniejsza. Nie da się wyśledzić dokładnego adresu, w przeciwieństwie do zwykłych telefonów stacjonarnych, lecz można uzyskać jakąś podpowiedź – wyjaśnił Yong. – Akurat w tej chwili mamy połączenie z trzema facetami, którzy uważnie śledzą sygnały wysyłane przez komórkę Tooomby. Możemy ich przełączyć na otwartą linię tu, do pokoju odpraw. Na razie otrzymaliśmy sygnały tylko z dwóch stacji jednocześnie i najmniejszy obszar obejmuje całe City, port i pół Woolloomooloo. Dobra wiadomość jest taka, że on się porusza.

– Czekamy więc na odrobinę szczęścia – wtrącił Harry.

– Mamy nadzieję na sygnał z jednej z tych małych kieszonek, w których pokrywa się zasięg trzech lub więcej stacji bazowych. Jeśli nadejdzie, szybko wyślemy wszystkie cywilne samochody, jakie mamy do dyspozycji, i może uda nam się go znaleźć.



Wadkins nie wyglądał na przekonanego.

– A więc on rozmawiał z kimś teraz i półtorej godziny temu. I za każdym razem sygnały zostały przechwycone przez stacje bazowe w Sydney? – spytał. – Żebyśmy mogli go znaleźć, on musi rozmawiać przez ten swój przeklęty telefon. A jeśli nigdzie nie będzie dzwonił?

– Możemy chyba zadzwonić do niego – podsunął Lebie.

– No właśnie. – Na policzki wystąpiły mu ostre czerwone plamy. – Fantastyczny pomysł. Możemy dzwonić do niego co kwadrans, przedstawiać się jako zegarynka albo prababka diabła, tylko po to, żeby mu uświadomić, jak głupio jest rozmawiać przez telefon.

– To nie jest potrzebne – powiedział Yong. – On wcale nie musi z nikim rozmawiać. – Jak...

– Wystarczy, że ma włączoną komórkę – wyjaśnił Harry. – Toowoomba najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy, ale dopóki nie wyłączy telefonu, to aparat automatycznie co pół godziny wysyła sygnał, żeby dać znać, że jeszcze żyje. Ten sygnał jest rejestrowany w stacjach bazowych w taki sam sposób jak zwykła rozmowa.

– Czyli że...

– Czyli że musimy przełączyć się na otwartą linię, zaparzyć kawę, usiąść na tyłkach i mieć nadzieję.

## 21. DOBRE UCHO, LEWY PROSTY I TRZY STRZAŁY

Z systemu głośnomówiącego dobiegł metaliczny głos:

– Jego sygnał zarejestrowały stacje bazowe trzy i cztery.

Yong wskazał na mapę Sydney rozpiętą na tablicy. Zarysowano na niej ponumerowane okręgi, pokazujące zasięg poszczególnych stacji bazowych.

– Pyrmont, Glene i kawałek Balmain.

– Jasna cholera! – wściekł się Wadkins. – Zbyt duży obszar. Która godzina? Próbował dzwonić do domu?

– Jest szósta – odparł Lebie. – Wykręcał numer do swojego mieszkania dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny.

– Wkrótce zrozumie, że coś się dzieje. – McCormack znowu wstał.

– Ale na razie jeszcze nie – powiedział Harry cicho. Przez ostatnie dwie godziny siedział na krześle pod samą ścianą, milczący i nieruchomy.

– Jakies nowe prognozy pogody? – spytał Wadkins.

– Tylko to, że ma być jeszcze gorzej – odparł Lebie. – W nocy sztorm w porywach przechodzący w orkan.

Mijały kolejne minuty. Yong wyszedł przynieść jeszcze więcej kawy.

– Halo? – odezwał się system głośnomówiący.

Wadkins natychmiast się poderwał.

– Tak?

– Abonent właśnie odbył rozmowę. Namierzyliśmy go na stacji trzy, cztery i siedem.

– Chwileczkę! – Wadkins spojrzał na mapę. – To kawałek Pyrmont i Darling Harbour, prawda?

– Zgadza się.

– Cholera! Gdyby tylko podłączył się jeszcze pod dziewięć albo dziesięć, już byśmy go mieli.

– Jeśli się nie przemieszcza – przypomniał McCormack. – A dokąd on dzwonił?

– Do naszej centrali – odparł metaliczny głos. – Pytał, co się dzieje z jego domowym numerem.

– Jasna cholera! – Wadkins cały już teraz poczerwieniał. – Umknie nam. Wszczynamy alarm! Wyjazd wszystkich wozów.

– Zamknij się! – huknęło.

W pokoju zrobiło się cicho.

– Przepraszam za te słowa, *sir* – powiedział Harry. – Ale proponuję, żebyśmy poczekali na następny sygnał, nim podejmiemy pochopną decyzję.

Wadkins wpatrywał się w Harry'ego wybałuszonymi oczyma.

– Holy ma rację – orzekł McCormack. – Siadaj, Wadkins! Za mniej niż godzinę odblokują telefony. To oznacza, że możemy liczyć na jeden, maksymalnie na dwa sygnały, zanim Toowoomba zorientuje się, że tylko jego telefon jest wyłączony. Pyrmont i Darling Harbour to nie jest zbyt duży obszar, ale mówimy o jednym z rejonów centrum Sydney, w których jest najwięcej ludzi, zwłaszcza wieczorem. Wysłanie tam mnóstwa samochodów wywoła kompletny chaos, który Toowoomba wykorzysta, żeby zniknąć. Czekamy.

Za dwadzieścia siódma z głośnika nadeszła wiadomość:

– Sygnał zarejestrowany przez bazy trzy, cztery i siedem.

Wadkins jęknął.

– Dziękuję – powiedział Harry i wyłączył mikrofon. – Ten sam rejon co poprzednio. To może wskazywać, że przestał się przemieszczać. Gdzie więc może być?

Zaczęli się tłoczyć przy mapie.

– Może trenuje – podsunął Lebie.

– Dobry pomysł – stwierdził McCormack. – Czy w tej okolicy jest jakaś hala bokserska? Ktoś wie, gdzie ten facet ćwiczy?

– Sprawdzę to, *sir*. – Yong już wychodził.

– Jakies inne pomysły?

– W tej okolicy pełno atrakcji turystycznych otwartych wieczorem – powiedział Lebie. – Może jest w Chińskich Ogrodach?

– Przy takiej pogodzie na pewno przebywa w jakimś pomieszczeniu – orzekł McCormack.

Wrócił Yong, kręcąc głową.

– Dzwoniłem do trenera. Nie chciał nic powiedzieć, więc musiałem w końcu wyjaśnić, że dzwonię z policji. Lokal, w którym Toowoomba trenuje, leży w okolicy Bondi Junction.

– Cudownie – powiedział Wadkins. – Jak sądzisz, ile czasu upłynie, zanim trener zadzwoni na komórkę Toowoomby i spyta, czego, u diabła, chce od niego policja?

– Robi się gorąco – stwierdził Harry. – Dzwonię do Toowoomby.

– I spytasz go, gdzie jest? – zadrwił Wadkins.

– Zobaczę, co się stanie. – Harry podniósł słuchawkę. – Lebie, sprawdź, czy rozmowa się nagrywa. Wszyscy mają się zamknąć.

Zamarli. Lebie zerknął na stary magnetofon szpulowy i podniósł do góry kciuk. Harry przełknął ślinę. Zdrętwiałymi palcami wybrał numer. Sygnał rozległ się trzykrotnie, zanim Toowoomba odebrał.

– Halo?

Dźwięki... Harry wstrzymał oddech i przycisnął słuchawkę do ucha. W tle słychać było ludzi.

– Kto mówi? – spytał Toowoomba cicho. Gdzieś z tyłu dobiegł jakiś odgłos, po którym nastąpił radosny pisk dziecka. Potem usłyszeli głęboki, spokojny śmiech Toowoomby. – No, no, to ty, Harry? Dziwne, że dzwonisz, bo właśnie stałem i myślałem o tobie. Wygląda na to, że coś się dzieje z moim telefonem domowym, i zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie ty maczałeś w tym palce. Mam nadzieję, że nie, Harry.

Kolejny odgłos. Harry próbował się skupić, lecz nie zdołał go zidentyfikować.

– Zaczynam się robić niespokojny, kiedy mi nie odpowiadasz, Harry. Bardzo niespokojny. Nie wiem, czego chcesz, ale może powinienem wyłączyć tę komórkę. Czy tak jest, Harry? Próbujesz mnie namierzyć?

Ten odgłos...

– Jasny gwint! – krzyknął Harry. – Rozłączył się.

Opadł na krzesło.

– Toowoomba zrozumiał, że to ja. W jaki sposób, na miłość boską?

– Przewińcie taśmę! – nakazał McCormack. – I znajdźcie Marqueza!

Yong natychmiast wybiegł.

Harry nic nie mógł poradzić na to, że włosy na karku mu się podniosły, gdy znów usłyszał głos Toowoomby w głośnikach.

– W każdym razie to miejsce, gdzie jest wielu ludzi – stwierdził Wadkins. – A czym jest ten huk? Słuchajcie, są dzieci. Czy to wesołe miasteczko?

– Przewiń i puść jeszcze raz – powiedział McCormack.

„Kto mówi?” – powtórzył Toowoomba, po czym rozległ się głośny dźwięk i pisk dziecka.

– Co to? – zaczął Wadkins.

– To bardzo głośny plusk wody – usłyszeli głos od strony drzwi.

Obrócili się. Harry zobaczył nieduży brązowy łebek z czarnymi kręconymi włosami, drobnym wąsikiem i małą grubymi okularami na wielkim cielsku, które wyglądało jak napompowane pompką rowerową i mogło pęknąć w każdej chwili.

– Jesus Marquez. Najlepsze uszy w branży – przedstawił go McCormack. – A nie jest nawet niewidomy.

– Prawie – mruknął Marquez i poprawił okulary. – Co tu macie?

Lebie jeszcze raz puścił nagranie. Marquez słuchał z zamkniętymi oczyma.

– Wewnątrz. Mury. I szkło. Żadnego wygłuszenia. Żadnych dywanów ani zasłon. Ludzie. Młodzi ludzie obojga płci, prawdopodobnie sporo rodzin z małymi dziećmi.

– Jak możesz aż tyle powiedzieć, słuchając jedynie jakichś hałasów?

Marquez westchnął. Najwyraźniej nie pierwszy raz stykał się ze sceptykami.

– Wiecie, jakim fantastycznym instrumentem jest ucho? Potrafi rozróżnić ponad milion różnych rodzajów ciśnienia. Milion. Jeden i ten sam dźwięk może się składać z kilkadziesiątu różnych częstotliwości i elementów składowych. To daje dziesięć milionów możliwości. A przeciętny leksykon zawiera jedynie około stu tysięcy haseł. Dziesięć milionów możliwości. Reszta to kwestia treningu.

– Czym jest ten dźwięk, który cały czas słychać w tle? – spytał Harry.

– Ten między sto a sto dwadzieścia herców? Trudno powiedzieć. Możemy w studio odfiltrować pozostałe dźwięki i go wyizolować, ale to

potrwa.

– A my nie mamy czasu – przypomniał McCormack.

– Ale jak mógł rozpoznać Harry’ego, chociaż on się wcale nie odezwał?

– dopytywał się Lebie. – Intuicja?

Marquez zdjął okulary i odruchowo zaczął je czyścić.

– To, co tak ładnie nazywamy intuicją, przyjacielu, zawsze opiera się na naszych wrażeniach zmysłowych. Ale kiedy te wrażenia są tak drobne i delikatne, że ledwie je wyczuwamy, jak piórko muskające nos we śnie, i nie potrafimy nazwać skojarzeń, które rejestruje mózg, nazywamy to intuicją. Może to przez sposób, w jaki... hm... Harry oddychał?

– Wstrzymałem oddech – powiedział Harry.

– A dzwoniłeś stąd do niego wcześniej? Może akustyka, może jakieś odgłosy w tle. Ludzie mają zdumiewająco dobrą pamięć, jeśli chodzi o dźwięki. Z reguły nie uświadamiają sobie, jak dobrą.

– Rzeczywiście, już raz stąd do niego dzwoniłem... – Harry popatrzył na stary wentylator. – Oczywiście! Że też o tym nie pomyślałem!

– Hm... – mruknął Jesus Marquez. – Wygląda na to, że ścigacie bardzo interesującą osobę. Jaka jest nagroda?

– Ja tam byłem – oświadczył nagle Harry, nie spuszczać szeroko otwartych oczu z wentylatora. – Oczywiście! Byłem tam. To bulgotanie... – Obrócił się. – On jest w oceanarium!

Marquez przyglądał się wyczyszczonym okularom.

– To by się zgadzało. Sam tam byłem. A taki plusk mógł wywołać na przykład ogon wielkiego słonowodnego krokodyla.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że jest w pokoju sam.

### *Godzina siódma*

Możliwe, że podczas przejazdu krótkim odcinkiem z komendy do Darling Harbour naraziliby na niebezpieczeństwo życie cywilów, gdyby sztorm nie wygnał z ulic ludzi i samochodów. Lebie starał się jak potrafił najlepiej, ale prawdopodobnie jedynie niebieski kogut na dachu kazał w ostatniej chwili uskoczyć pieszemu, a paru nadjeżdżającym z przeciwnej strony samochodom gwałtownie skrócić. Wadkins na tylnym siedzeniu

przeklinał jednym ciągiem. Natomiast McCormack z przodu dzwonił do Sydney Aquarium, żeby przygotować ich na policyjną akcję.

Kiedy skręcili na plac przed oceanarium, flagi w Darling Harbour stały wyprostowane, a w nabrzeże waliły fale. Zdążyło się już zjawić kilka radiowozów i policjanci w mundurach blokowali wyjścia.

McCormack wydawał ostatnie rozkazy:

– Yong, ty rozdasz zdjęcia Tooomby naszym ludziom. Wadkins, pójdziesz ze mną do pokoju straży, tam się odbiera obraz kamer z całego oceanarium. Lebie i Harry, wy zaczniecie szukać. Oceanarium zamykają za kilka minut. Tu macie radia. Wsadźcie sobie słuchawki do ucha, mikrofony umocujcie na klapach marynarek i od razu sprawdźcie, czy macie łączność. Będziemy wami kierować z pomieszczenia straży, okej?

Kiedy Harry wysiadł z samochodu, gwałtowny podmuch wiatru o mało go nie przewrócił. Biegiem rzucili się pod dach.

– Na szczęście nie jest tu tak pełno jak zwykle – skonstatował McCormack. Po krótkim biegu ciężko oddychał. – To przez tę pogodę. Jeśli on tu jest, to go znajdziemy.

Na spotkanie wyszedł im szef strażników, który zaprowadził McCormacka i Wadkinsa do pomieszczenia straży. Harry i Lebie skontrolowali swoje radia, zostali przepuszczeni przez kasę biletową i ruszyli w tłum na korytarzu.

Harry sprawdził, czy ma pistolet w kaburze pod pachą. Oceanarium w świetle i z tyloma ludźmi wydawało się zupełnie inne. W dodatku miał wrażenie, że był tu z Birgittą całe wieki temu, gdy jeszcze obowiązywała inna rachuba czasu.

Starął się o tym nie myśleć.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszał spokojny głos McCormacka. – Sprawdzamy teraz obraz z kamer. Yong z jeszcze paroma przeszuka toalety i kawiarnie. Widzimy was zresztą, po prostu idźcie naprzód.

Korytarze oceanarium prowadziły zwiedzających naokoło. Wycieczka kończyła się niemal w tym samym miejscu, w którym się zaczynała. Harry i Lebie szli w kierunku przeciwnym do kierunku zwiedzania, tak by wszystkie twarze były zwrócone w ich stronę. Harry'emu serce waliło w piersi, czuł, że robi mu się sucho w ustach, a dłonie wilgotnieją. Dookoła

rozbrzmiewały obce języki. Miał wrażenie, że wciąga go wir ludzi różnych narodowości, kolorów skóry i ubiorów. Szli podwodnym tunelem, w którym spędzili z Birgittą noc. Teraz stały tu dzieci z nosami przyklejonymi do szkła, obserwując podwodny świat, w którym toczyło się niczym niezmacone życie.

– Niesamowite miejsce, aż ciarki mi chodzą po plecach – szepnął Lebie. Szedł z ręką wsuniętą pod marynarkę.

– Obiecuj mi tylko, że tu nie strzelisz – odparł Harry. – Nie mam ochoty na pół zatoki Port Jackson i tuzin białych rekinów w objęciach.

– Nie martw się.

Przeszli na drugą stronę oceanarium, gdzie było już prawie pusto.

– O siódmej zakończyli sprzedaż biletów – powiedział Lebie. – Teraz chodzi tylko o opróżnienie tego miejsca z ludzi, którzy są w środku.

Odezwał się McCormack.

– Niestety, wygląda na to, że ptaszek wyfrunął, chłopcy. Wracajcie do pomieszczenia straży.

– Zaczekaj tutaj – powiedział Harry do Lebiego.

Przy okienku z biletami zobaczył znajomą twarz w mundurze strażnika.

– Cześć, Ben, pamiętasz mnie? – spytał, łapiąc go za ramię. – Byłem tu razem z Birgittą.

Ben odwrócił się i popatrzył na zdenerwowanego blondyna.

– Oczywiście – powiedział. – Jesteś Harry, prawda? A więc wróciłeś? Większość wraca. Jak się miewa Birgitta?

Harry przełknął ślinę.

– Posłuchaj mnie, Ben. Jestem policjantem. Na pewno słyszałeś, że szukamy bardzo niebezpiecznego przestępcy. Nie możemy go znaleźć, ale mam wrażenie, że on ciągle tu jest. Nikt nie zna oceanarium lepiej od ciebie, Ben. Jest tu jakieś miejsce, gdzie mógł się ukryć?

Na twarzy Bena odmalował się wyraz głębokiego zamyślenia.

– No cóż – powiedział. – Wiesz, gdzie mieszka Matylda? Nasz słonowodny krokodyl?



– Tak?

– Między tym małym spryciarzem, *fiddler ray*, i wielkim żółciem morskim. To znaczy żółwia przenieśliśmy, bo budujemy sadzawkę, żeby parę małych krokodyli słodkowodnych...

– Wiem, gdzie to jest. Spiesz mi się, Ben.

– No właśnie. Jak ktoś jest sprytny i niebojaźliwy z natury, to może przeskoczyć przez pleksiglas w rogu.

– Wskoczyć do krokodyla?

– On głównie leży i drzemie w sadzawce. Z rogu jest pięć, sześć kroków do drzwi, z których korzystamy przy sprzątaniu i karmieniu Matyldy. Ale trzeba się spieszyć, bo *saltie* potrafi być bardzo zwinny i nawet się nie zorientujesz, jak rzuca się na ciebie dwie tony. Raz, jak mieliśmy...

– Dziękuję, Ben. – Harry puścił się biegiem, a ludzie uskakiwali na boki. Odchylił klapę marynarki i powiedział do mikrofonu: – McCormack! Tu Holy. Będę szukał za terrarium z krokodylem.

Złapał Lebiego za ramię i pociągnął za sobą.

– Ostatnia możliwość – oznajmił.

Lebie szeroko otworzył oczy, kiedy Harry zatrzymał się przy pomieszczeniu krokodyla i przymierzył do skoku.

– Ruszaj za mną! – Podskoczył do ścianki z pleksiglasu i przerzucił się na drugą stronę.

Kiedy dotknął stopami ziemi, w sadzawce zaczęło się gotować. Podniosła się biała piana i gdy Harry zrobił krok w stronę drzwi, zobaczył, że zielony pojazd Formuły 1 przyspieszonym ruchem wynurza się z wody tuż nad ziemią, a małe jaszczurcze nóżki obracają się po bokach jak dodatkowe koła. Harry odbił się i poślizgnął na sypkim piasku. Daleko za plecami słyszał krzyki, a kątem oka dostrzegł, że maska samochodu wyścigowego się otwiera. Odzyskał władzę w nogach i przebiegł kilka metrów dzielących go od drzwi. Sięgnął do klamki i przez ułamek sekundy myślał, że wcale nie są otwarte. W następnej chwili był w środku. Gdzieś z tyłu głowy przemknęła scena z *Parku Jurajskiego*, która kazała mu zamknąć drzwi na klucz. Na wszelki wypadek.

Wyciągnął pistolet. W wilgotnym pomieszczeniu cuchnęło mdłą mieszaniną środków czyszczących i zgniłymi rybami.

– Harry! – To McCormack w radio. – Po pierwsze, istnieje prostsza droga do miejsca, w którym jesteś, niż przez jadalnię bestii. Po drugie, zachowaj spokój i zostań tam, gdzie stoisz, dopóki Lebie nie przyjdzie do ciebie naokoło.

– Nie sły...m. Złe po...czenie, *sir*. – Harry podrapał mikrofon paznokciem. – Idę ...lej sam.

Otworzył drzwi na drugim końcu pomieszczenia i znalazł się w cylindrycznej wieży z kręconymi schodami pośrodku. Domyślał się, że schody w dół prowadzą do podmorskich tuneli, i postanowił iść w górę. Na następnym podejściu były kolejne drzwi. Zerknął w górę, lecz wyglądało na to, że więcej drzwi już nie ma.

Przekręcił klamkę, delikatnie pchnął drzwi lewą ręką, w prawej trzymając wyciągnięty pistolet. W środku było oślepiająco ciemno, a zapach zgniłych ryb wprost dusił.

Znalazł wyłącznik światła na ścianie tuż przy drzwiach, przekręcił go lewą ręką, ale światło się nie zapaliło. Puścił drzwi i zrobił dwa ostrożne kroki do przodu. Pod stopami zatrzeszczało. Domyślił się, co to jest, i bezszelestnie zawrócił. Ktoś stłukł żarówkę na suficie. Harry wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Czy jest tu ktoś jeszcze? Zazgrzytał wentylator.

Harry przemknął z powrotem na podest.

– McCormack – szepnął do mikrofonu. – Myślę, że on jest tam w środku. Proszę mi zrobić przysługę i zadzwonić do niego na komórkę.

– Harry Holy, gdzie ty jesteś?

– Teraz, *sir*, bardzo proszę.

– Harry, nie rób z tego osobistej wendetty. To jest...

– Gorąco dzisiaj, *sir*. Pomoże mi pan?

Harry słyszał ciężki oddech McCormacka.

– Dobrze, zadzwonię.

Harry pchnął drzwi stopą i stanął w nich na szeroko rozstawionych nogach, trzymając pistolet w obu rękach w oczekiwaniu na sygnał. Czas wydawał się wiszącą kroplą, która za nic nie chce się oderwać od podłoża. Upłynęły może dwie sekundy. Nic nie było słychać.

Jego tu nie ma, pomyślał Harry.

A wtedy trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Po pierwsze, odezwał się McCormack:

– Wyłączył...

Po drugie, Harry zdał sobie sprawę, że stoi w drzwiach doskonale widoczny.

Po trzecie, świat eksplodował deszczem gwiazd i czerwonych plam.

Harry pamiętał urywki lekcji boksu, których Andrew udzielił mu podczas wyjazdu do Nimbin. Na przykład to, że sierpowy w wykonaniu profesjonalnego boksera to więcej niż dość, by niewytrenowany człowiek stracił przytomność. Przez poruszenie biodra siłą całej górnej połowy ciała wkłada się w cios, który otrzymuje taką moc, że mózg na moment się wyłącza. Hak umieszczony dokładnie na czubku brody unosi przeciwnika z podłogi i posyła wprost do krainy marzeń. To gwarantowane. Również idealny prawy prosty w wykonaniu praworęcznego boksera nie daje przeciwnikowi zbyt wielkich szans na pozostanie w wyproście. A najważniejsze ze wszystkiego: jeśli nie widzisz nadciągającego ciosu, ciało nie zdoła zareagować i się usunąć, a nawet lekki ruch głową potrafi znacznie złagodzić skutek uderzenia. Bardzo rzadko się zdarza, by bokserzy, którzy doznali nokautu, widzieli zadawany ten ostatni cios.

Harry nie stracił więc przytomności jedynie dlatego, że mężczyzna w ciemnościach znajdował się nieco z jego lewej strony. Ponieważ Harry stał w drzwiach, napastnik nie mógł uderzyć go w skroń z boku, co według Andrew najprawdopodobniej by wystarczyło. Nie mógł też posłać mu skutecznego sierpowego czy haka, gdyż Harry trzymał przed sobą wyciągnięte ręce z pistoletem. A prawy prosty również nie wchodził w grę, gdyż napastnik musiałby stanąć na wprost broni. Pozostawał więc jedynie lewy prosty, który Andrew pogardliwie określił jako „dobry dla panienek”, najlepiej nadający się do rozdrażnienia, a w najlepszym razie do zmiękczenia przeciwnika, podczas bójki ulicznej nieprzydatny. Możliwe, że Andrew miał rację, ale ten lewy prosty rzucił Harry'ego w tył na schody, gdzie krzyżem uderzył o brzeg poręczy i mało brakowało, by spadł.

Kiedy otworzył oczy, wciąż stał wyprostowany. Na drugim końcu

pomieszczenia widać było otwarte drzwi. Był pewien, że tamtędy uciekł Toowoomba, ale jednocześnie słyszał lekko podzwaniający odgłos i wiedział, że to pistolet, który spada po metalowych schodach. Zdecydował, że broń jest ważniejsza. Wykonał desperacki skok, zdzierając skórę z przedramion i kolan, i zatrzymał pistolet akurat w momencie, gdy miał spaść z krawędzi w głąb dwudziestometrowego szybu. Uklęknął, zaniósł się kaszlem i stwierdził, że odkąd przybył do tego przekłętego kraju, stracił już drugi ząb. Podniósł się i o mało znów nie zemdleł.

– Harry! – wrzasnął mu ktoś do ucha.

Usłyszał też odgłos otwieranych szarpnięciem drzwi pod sobą i szybkie kroki, od których trzęsły się całe schody. Puścił się poręczy, podbiegł, żeby się nie przewrócić, i udało mu się zmieścić w otwartych drzwiach. Teraz namierzył się na drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Tym razem poszło gorzej, wreszcie jednak, chwiejąc się na nogach, wyszedł na zewnątrz z poczuciem, że wybił sobie bark ze stawu.

– Toowoomba! – krzyknął wśród wiatru. Rozejrzał się dokoła. Miał przed sobą miasto, a za plecami most Pymont. Stał na dachu oceanarium, a porywy wiatru były tak gwałtowne, że musiał przytrzymywać się drabinki przeciwpożarowej. Woda w porcie pokryta była białą pianą, a w powietrzu czuło się smak soli. Tuż pod sobą widział ciemną postać schodzącą po drabince. Postać zatrzymała się na moment i rozejrzała. Na lewo od niej stał samochód policyjny z włączonym mrugającym światłem. Przed nią, za ogrodzeniem, znajdowały się dwa zbiorniki należące do oceanarium.

– Toowoomba! – krzyknął Harry, próbując unieść pistolet, ale bark odmówił posłuszeństwa i Harry wrzasnął z bólu i wściekłości. Postać zsunęła się z drabinki, podbiegła do ogrodzenia i zaczęła się po nim wspinać. Harry natychmiast zrozumiał, co Toowoomba zamierza: dotrzeć do zbiornika, przedostać na jego tył i przepłynąć niewielki kawałek dzielący go od kei po drugiej stronie. Potem wystarczą już zaledwie sekundy na to, by zniknąć w chaosie miasta. Harry bardziej spadał, niż schodził z drabinki. Pokonał ogrodzenie tak, jakby miał zamiar je przewrócić, pomagając sobie tylko jedną ręką, i z hukiem zwałił się na cement po drugiej stronie.

– Harry, mów, co się dzieje!

Wyrwał słuchawkę z ucha i rzucił się w stronę zbiornika. Drzwi były otwarte. Harry wbiegł do środka i upadł na kolana. Przed nim rozpościerał się ogrodzony kawałek portu, skąpany w blasku światła zawieszonych na stalowym drucie rozpiętym pod sklepieniem. Środek zbiornika przecinał wąski pływający pomost i właśnie po nim biegł Toowoomba. Ubrany był w czarny golf i czarne spodnie, poruszał się swobodnie i elegancko, chociaż niestabilny pomost właściwie na to nie pozwalał.

– Toowoomba! – zawołał Harry po raz trzeci. – To ja, Harry! Będę strzelał!

Musiał się położyć, ale nie dlatego, że nie mógł ustać. Po prostu nie zdołał unieść ręki. Wycelował w czarną postać i pociągnął za spust.

Pierwszy strzał z pluskiem trafił w wodę tuż przed Toowoombą, który spokojnie biegł dalej, z wyprostowanymi rękami, wysoko podnosząc kolana. Harry wycelował nieco bardziej w tył. Plusnęło tuż za Toowoombą. Dzielili ich teraz odległość prawie stu metrów. Harry’emu przysła do głowy absurdalna myśl. To jak trening na strzelnicy na Økern, światła na suficie, echo wśród ścian, pulsujący palec na spuście i głęboka, bliska medytacji koncentracja.

To jak trening na strzelnicy na Økern, pomyślał Harry i nacisnął po raz trzeci.

Toowoomba runął do przodu.

Później podczas przesłuchania Harry zeznał, że przypuszcza, iż strzał trafił Toowoombę w lewe udo i dlatego raczej nie mógł być śmiertelny. Wszyscy jednak wiedzieli, że to zgadywanka, bo nikt nie może wiedzieć, gdzie trafił człowieka z pistoletu służbowego z odległości stu metrów. Harry mógł powiedzieć cokolwiek, a nikt nie udowodniłby mu, że jest inaczej. Nie było bowiem zwłok do sekcji.

Toowoomba leżał z lewą ręką i nogą w wodzie, krzyczał, a Harry biegł pomostem. Kręciło mu się w głowie, czuł mdłości i wszystko zaczynało mu się ze sobą zlewać. Woda, światła na suficie i pomost, który się pod nim

kołysał. Biegając, przypominał sobie słowa Andrew o tym, że miłość jest większym misterium niż śmierć. Przypomniawszy sobie dawną opowieść.

Krew szumiała mu w uszach i teraz Harry był młodym wojownikiem Wallą, a Toowoomba wężem Bubburem, który odebrał życie jego ukochanej Moorze. I teraz Bubbura należało zgładzić. Z miłości.

Podczas późniejszego wyjaśniania tego, co się stało, McCormack nie mógł zeznać, co Harry krzyczał do mikrofonu, kiedy dotarli do nich strzały.

„Słyszeliśmy tylko, że on biegnie i coś krzyczy. Chyba w swoim ojczystym języku”.

Sam Harry nie potrafił powiedzieć, co krzyczał.

Parł naprzód po pomoście w wyścigu między życiem a śmiercią. Ciało Toowoombi nagle drgnęło. To drgnienie sprawiło, że cały pomost podskoczył. Harry w pierwszej chwili myślał, że pomostowi coś się stało, ale prędko zrozumiał, że oto odbiera mu się zdobycz.

To był Upiór z Otchłani.

Wysunął swój wielki łeb topielca z wody i rozdziawił paszczę. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Harry był pewien, że potwór porwie Toowoombę, najwidoczniej jednak źle chwycił i zdołał jedynie wciągnąć zanoszącego się krzykiem człowieka nieco dalej do wody, a już musiał ponownie zanurkować z niezafatwioną sprawą.

Nie ma rąk, pomyślał Harry, i przypomniał sobie pewne urodziny u babki, matki ojca, w Åndalsnes, dawno, dawno temu, kiedy próbowali wyjmować jabłka z miski z wodą za pomocą samych tylko ust, i matka śmiała się tak, że później musiała położyć się na kanapie.

Zostało jeszcze trzydzieści metrów. Harry sądził, że zdąży, lecz Upiór z Otchłani znów się pojawił. Był tak blisko, że Harry widział, jak wywraca oczy niczym w ekstazie, triumfalnie ukazując podwójny rząd zębów. Tym razem złapał za nogę i mocno szarpnął głową. Wzbił przy tym fontannę wody, a Toowoomba przeleciał przez powietrze jak szmaciana lalka. Jego krzyk nagle się urwał. Harry dobiegł na miejsce.

– Przeklęty upiorze! On jest mój! – krzyknął zduszonym od płaczu

głosem, uniósł pistolet i opróżnił resztę magazynka do wody. Miała jasny, przezroczysty czerwony kolor, mniej więcej jak oranżada. Pod sobą Harry widział światło podwodnego tunelu, w którym dorośli i dzieci tłoczyli się, by obejrzeć koniec, prawdziwy dramat natury w całym swoim okrucieństwie, ucztę, która miała tego lata konkurować w tabloidach z morderstwem klauna.

## 22. TATUAŻ

Gene Binoche wyglądał i mówił dokładnie jak człowiek, którym był, jak facet, który żyje pełnią rockandrollowego życia i nie zamierza się zatrzymać przed osiągnięciem celu. I później też.

– Przypuszczam, że tam, na dole, też potrzebują zręcznego tatuażysty – powiedział, wbijając igłę. – Szatan docenia pewną wariację w torturach, nie sądzisz, stary?

Ale jego klient był pijany jak bela i głowa zaczęła mu opadać, więc prawdopodobnie nie dotarły do niego filozoficzne rozważania Gene'a na temat życia po śmierci ani igła wbijająca się w ramię.

Gene w pierwszej chwili odmówił temu facetowi, który przyszedł do jego małego zakładu i bełkocząc, przedstawił swoją prośbę dziwnym, śpiewnym akcentem.

Gene odparł, że nie tatuuje pijanych, kazał mu wrócić następnego dnia. Ale ten gość rzucił na stół pięćset dolarów za coś, co Gene oceniał na robotę za sto pięćdziesiąt, a prawdę powiedziawszy, w ostatnich miesiącach było dość spokojnie. Wyjął więc swoją maszynkę do golenia Lady i dezodorant w sztyfcie Mennen i zabrał się do pracy. Odmówił jednak, gdy klient zaproponował mu łyka z butelki. Gene Binoche robił tatuaże od dwudziestu lat, był dumny ze swojej pracy i uważał, że poważni fachowcy nie piją w robocie, a już na pewno nie whisky.

Kiedy skończył, taśmą przykleił na wytatuowaną różę kawałek papieru toaletowego.

– Przez pierwszy tydzień nie wychodź na słońce i myj się samą wodą. Dobra wiadomość jest taka, że ból ustąpi pod wieczór i jutro będziesz mógł to zdjąć. Zła – że wrócisz po dalsze tatuaże – zachichotał. – Zawsze wracają.

– Mnie wystarczy ten jeden – oświadczył gość i wytoczył się za drzwi.



## 23. CZTERY TYSIĄCE STÓP I KONIEC

Drzwi się otworzyły, ryk wiatru na zewnątrz ogłuszał.

Harry uklęknął na progu.

– Jesteś gotów? – usłyszał głos wołający mu prosto do ucha. – Na wysokości czterech tysięcy stóp pociągnij za sznurek i nie zapomnij później liczyć. Jeśli w ciągu trzech sekund nie poczujesz szarpnięcia spadochronu, to znaczy, że coś jest nie tak.

Harry kiwnął głową.

– Wychodzę! – zawołał głos.

Widział, jak wiatr targa czarnym strojem niedużego człowieczka, który wspinał się na drążek pod skrzydłem. Załopotwały kosmyki włosów, wystające spod kasku. Harry zerknął na wysokościomierz na piersi. Wskazywał nieco ponad dziesięć tysięcy stóp.

– Jeszcze raz dziękuję! – zawołał do pilota.

Pilot obrócił się.

– To sama przyjemność, kolego! O wiele zabawniejsze niż fotografowanie poletek z marihuaną!

Harry wysunął z samolotu prawą nogę. Miał takie uczucie jak wtedy, gdy będąc małym chłopcem jechał przez Gudbrandsdalen, zapewne w drodze na kolejne wakacje w Åndalsnes. Pozwolono mu wystawić rękę przez otwarte okno, żeby mógł „latać”. Pamiętał, jak wiatr unosił rękę, gdy odwracał ją wnętrzem dłoni do góry.

Siła wiatru na zewnątrz samolotu zdumiewała. Harry zmusił się do wysunięcia nogi i postawienia jej na drążku. W duchu powtarzał, tak jak kazał mu Joseph: „Prawa stopa, lewa ręka, prawa ręka, lewa stopa”. Stał obok Josepha. Małe kawałki chmur płynęły w ich stronę, nabierały prędkości, trafiały w nich i w tej samej chwili znikwały. Pod nimi rozciągał się patchwork w rozmaitych odcieniach zieleni, żółci i brązu.

– Kontrola! – wrzasnął mu Joseph do ucha.

– Melduję się! – odkrzyknął Harry i popatrzył na pilota w kokpicie, który podniósł w górę kciuk. – Odmeldowuję się! – Spojrzał na Josepha

w hełmie i okularach, z wielkim białym uśmiechem na czarnej twarzy.

Położył się wzdłuż drążka i uniósł prawą stopę.

– Poziomo! Góra! Dół! Już!

Wreszcie był w powietrzu. Miał uczucie, że w czasie gdy samolot kontynuował spokojny lot do przodu, on został zdmuchnięty w tył. Kątem oka dostrzegł, że samolot zawraca, zanim zrozumiał, że to on skręcił. Zerknął na horyzont, gdzie ziemia się zawijała, a niebo robiło się stopniowo coraz bardziej niebieskie, aż wreszcie zlewało się z lazurem Oceanu Spokojnego, po którym kiedyś pływał kapitan Cook.

Joseph szarpnął nim i Harry wcisnął biodra w dół, żeby poprawić pozycję opadania. Sprawdził wysokościomierz, dziewięć tysięcy stóp. Boże, mieli mnóstwo czasu! Przekręcił górną połowę ciała, wyciągając ręce w przód, wykonując pół obrotu. Był pieprzonym supermanem!

Przed nim na zachodzie leżały Góry Błękitne, błękitne z powodu drzew eukaliptusowych, które wydzielały szczególne niebieskawe opary, widoczne z daleka. Joseph mu o tym opowiadał. Opowiadał mu również, że za tymi górami leży kraina, którą jego przodkowie nomadzi nazywali domem. Bezkresne suche równiny, busz zajmujący przeważającą część tego potężnego kontynentu, bezlitosny piekarnik, w którym przeżycie jakiejś istoty wydawało się nieprawdopodobieństwem, lecz gdzie lud Josepha żył przez wiele tysięcy lat przed nadejściem białych.

Harry popatrzył w dół. Wszystko wydawało się takie spokojne i opuszczone. Piękna, dobroduszna planeta. Wysokościomierz wskazywał siedem tysięcy stóp. Joseph puścił go, tak jak się umówili. Było to poważne złamanie zasad regulaminu, lecz oni w ogóle złamali już wszystkie reguły, wybierając się tutaj i skacząc sami. Harry zobaczył, że Joseph układa ręce wzdłuż boków, żeby nabrać prędkości horyzontalnej. Odleciał w lewo zaskakująco szybko.

Harry został sam. Człowiek zawsze jest sam, tylko czuje to o wiele lepiej, gdy opada swobodnie z wysokości sześciu tysięcy stóp nad ziemią.

Kristin dokonała wyboru w pokoju hotelowym w smutny poniedziałkowy rano. Być może obudziła się zmęczona tym nowym dniem, zanim jeszcze się zaczął. Wyjrzała przez okno i doszła do wniosku, że ma dość. O czym myślała, tego Harry nie wiedział. Ludzka dusza to

głęboki ciemny las i wszelkich wyborów człowiek dokonuje sam.

Pięć tysięcy stóp.

Może wybrała słusznie. Pusty słoiczek po tabletkach wskazywał w każdym razie, że nie miała wątpliwości. Pewnego dnia musiało się to skończyć. Pewnego dnia przyszedł najwyższy czas. Potrzeba opuszczenia tego świata w odpowiednim stylu świadczyła oczywiście o próżności, słabości przynależnej tylko niektórym ludziom.

Cztery tysiące pięćset stóp.

Słabością innych ludzi, jasną i nieskomplikowaną, było po prostu życie. A może ta słabość wcale nie była tak nieskomplikowana? Tak czy owak, wszystko w tej chwili znajdowało się daleko pod nim, a dokładnie mówiąc, cztery tysiące stóp. Sięgnął do pomarańczowego uchwytu z przodu, z prawej strony na brzuchu, zdecydowanym ruchem pociągnął za sznurek wyzwalający spadochron i zaczął liczyć:

– Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa...[